C. LUBIŃSKI,

SZKICE
Z ZIEMI I HISTORYI PRUS KRÓLEWSKICH

LUBIŃSKI, SZKICE.

26 2675 4

SZKICE

Z ZIEMI I HISTORYI

PRUS KRÓLEWSKICH.

***

Listy z podróży

odbytéj przez

Czesława Lubińskiego.

[Kowotowty Damut]

GDAŃSK.
Nakładem E. Michałowskiego.
1886.

BIBLIOTEKA
UNIWERSYTECKA
w TORUNIU
802502
K. 191/01

Faire connaitre la Pologne,
c'est la faire revivre.
L. Chodźko.

I.

Chojnice....

Kochany Przyjacielu!

„....Sądzę zresztą, że nie wiele stracę, nie poznawszy Prus Zachodnich, czyli jak je zowiesz Królewskich; mam owszem przekonanie, iż mnie czeka sowite wynagrodzenie za niejaką może stratę. Wybieram się bowiem tego lata do ziemi czeskiéj, a mianowicie do jéj stolicy, starożytnéj Pragi, dokąd mnie od dawna jakaś tajemnicza ciągnie siła.....“ — Ze zgorszeniem i zmartwieniem przeczytałem te słowa w liście Twoim, kochany przyjacielu, lubo radbym w siebie wmówił, żeś ich nie napisał tyle z wiarą w ich prawdę i słuszność, ile raczéj pod wpływem nieszczęsnego, niczém nieuzasadnionego uprzedzenia, z jakiem bardzo wielu ziomków naszych patrzy z góry, jedni z pogardą, drudzy z politowaniem, na piękną i obszerną, a od wszystkich równie gorąco kochaną ojczyznę naszą w ogólności, a w szczególności na niektóre prowincye, pomiędzy niemi zaś przedewszystkiém

na Prusy. Pomijam przeto z przyjacielskiem pobłażaniem zawód, jakiś nam sprawił odmówieniem swego towarzystwa w umówionéj przejażdzce po Prusach Królewskich; ale nie mogę Ci płazem puścić słów z listu Twego przytoczonych, którebym rad wziął za lekką tylko wymówkę, mającą zastąpić brak lepiéj uzasadnionéj przyczyny, i za wynikłą z chwilowego tylko braku zastanowienia się, — jak to czasem bywa przy pisaniu listów przyjacielskich.

Nie robię Ci jednak bynajmniéj zarzutu ztąd, że się wybierasz do Czech, — broń Boże! Bo dla kogoż nie miałaby ich stolica, ten najpoetyczniejszy gród słowiański, uroczego powabu, ktoby nie pragnął widzieć „złotego miasta Libussy!“ Ale jeździć po cudzych krajach, nie obejrzawszy się wprzód po kątach własnego domu, uważam zawsze za pewne uwłaczanie, za krzywdę wyrządzoną ojczyznie i sobie samemu. Mówiąc wprawdzie, jakoby Polacy wogóle w ostatnich czasach wyleczyli się z wady swych ojców i dziadów, przenoszenia obczyzny nad kraj własny z tegoż pokrzywdzeniem, — słyszałem o tém, ale mi wierzyć trudno, albo chyba teorya i praktyka nie zgadzają się w téj mierze, jak to niestety zbyt często bywa. Wreszcie, gdy i tak było, cóż ztąd za pociecha, co za pożytek? Bo choćby już przestali „wojażować“ a jeździli rozumnie i wracali „do kochanéj ojczyzny jako wzorowi obywatele,“ zbyt mało korzyści odnosi ogół narodu z ich zagranicznych nabytków, bo zbyt skąpo albo wcale nie dzielą się swojém doświadczeniem i sądem o rzeczach zagranicznych i swojskich. Iluż to n. p. ziomków naszych zwiedziło i zwiedza ciągle Fran-

cyą, tę ongi przybraną ojczyznę Polaka, — a jak mało w rzeczywistości zna ogół ten kraj i jego mieszkańców, a co o nich wie, tego dowiedział się najczęściej z stronniczych opisów — niemieckich. Rzecz pewna, Polacy nie nauczyli się jeszcze podróżować z pożytkiem po cudzych krajach; własny kraj zaś trzeba dopiero każdemu z osobna odkrywać, jak słusznie powiedział Kraszewski o Pokuciu. Bo Bogiem a prawdą, czy ktoś wybrawszy się w podróż po Polsce dla rozrywki lub „z patryotycznego obowiązku,“ widział coś więcej jak „wesołą (olim) Warszawę,“ „poważny czy uczony lub święty Kraków,“ „zniemczony Poznań“ albo w najlepszym razie Tatry? Reszty kraju — słyszałem to nieraz na własne uszy — nie ma co oglądać, zna się to dokładnie, bo to polskie, swojskie, na większą skalę tylko owo Krasickiego: „Za laskiem piasek, a za piaskiem znowu lasek.“ Ale bodajeś, mospanie — a to odnosi się już w szczególności do Ciebie, kochany przyjacielu! — bodajeś się przynajmniej w części przejechał przez te laski i piaski, a jeszcze lepiej od ściany do ściany całą polską ziemicę, a doznałbyś może uczucia Kolumbusowego, gdy ten żeglarz pierwszy raz ujrzał brzegi Nowego Świata, zdziwiłbyś się jak Niemcewicz, a z pięćdziesiąt lat po nim Mickiewicz, że jadąc blizko miesiąc przez Polskę, jeszcześ nie przejechał tej przestronnej Polonii. Skąd zresztą, by przystąpić bliżej do rzeczy, — przychodzisz do takiego lekceważenia jednej z naszych prowincyi, która ze wszechmiar godna równego uczucia i równej sympatyi, co drugie ziemie polskie? Niestety, już to od wieków doznawały Prusy Królewskie jawnego upośledzenia

wobec drugich części kraju, a ich mieszkańców jakby nie uważano za zupełnych Polaków, — czego nie odnoszę ani do stósunków politycznych, choćby i to rozumieć można, ani do saméj przeszłości. Bo pomijając inne liczne fakta, dowodzące największéj obojętności względem téj prowincyi, czy to nie smutno i boleśnie, że ani Tańska, ani Syrokomla, ani Chodźko, którzy się umyślnie wybrali, aby poznać Polskę, o Prusy ani zawadzili lub pół słówkiem o nich wspomnieli, — albo i to, że tak gorący i tkliwy wieszcz i gruntowny geograf, jak Wincenty Pol, zapomniał zgoła o téj krainie w Pieśni o Ziemi naszéj, jakby do niéj nie należała? Przypomniał mu ten niefortunny, a dla mieszkańców ziemi pruskiéj markotny lapsus memoriae jeden z obywateli tejże ziemi i wezwał wieszcza do naprawy w następujących słowach:

Piewco polski! gdyś nam nucił,
Gdzie lud polski, czeladź Boża,
Czemuś okiem swem nie rzucił
Na szlak Wisły aż do morza,
Po Bałtyku modre wody?
Byłbyś widział na pół śpiące
Powalone polskie rody,
Dziś do życia wracające. —
Gdy więc pieśń Twa znów odpłynie,
Wlicz je w szereg polskich dzieci,
Daj świadectwo téj krainie,
Nim twój duch ku niebu wzleci!

Niestety, uleciał duch wieszcza zanim zdołał zadosyć uczynić życzeniom serc pominiętych i to nietylko zapomnianych mieszkańców nadbałtyckich, ale zapewne wszystkich rodaków, którzy nie myślą zaprzeć się braterstwa, ani wyrzec się tych wybrzeży morskich, téj jedynéj wolnéj a szerokiéj bramy, otwierającéj nam świat cały. Bo Prusy i

Pomorze to odwieczna Słowiańszczyzna, którą jako dziką płonkę uszlachetnił i zamienił w dobre drzewo wszczepiony w nią duch polski, którą takim sposobem zespolił najściślej z Polską nowy węzeł duchowy i zlał z nią w ową całość, na jaką te krainy sąsiednie natura sama przeznaczyła. Bo czy to nie ta sama życiodajna żyła, która ożywia, użyźnia, bogaci i ozdabia łany Lachów, rzek królowa Wisła, toczy swoje fale także przez sąsiednie Prusy i Pomorze? Ale jeszcze mocniejszém ogniwem, aniżeli ta wody wstęga, jest krew polska, która tę ziemię uświęciła niejednokrotnie — pod Raciążem, Brodnicą, Grunwaldem, Iławą, Fyrlądem i w tysiącu innych miejscach, która przelała się przez związki małżeńskie w synów téj krainy, — a najsilniejszém ogniwem to jednaki duch, jedna idea, jedna wiara, nadzieja i miłość, któremi obie ziemice, żyją i oddychają i które je czynią nierozdzielnemi na wieki!

Słusznie przeto i w swojém miejscu pytanie, zkąd pochodzi owe upośledzenie i lekkie traktowanie Prus przez resztę Polaków? — Czy żyzność ziemi chełmińskiéj, warmińskiéj i nizin nadwiślańskich nie wyrównuje pszennéj glebie kujawskiéj lub sandomierskiéj i nie pokrywa dostatecznie niedoboru pustyń kaszubskich i dzikich borów tucholskich? Czy sielska piękność przyrody kaszubskiéj nie może śmiało mierzyć się z najwięcéj zawołanemi okolicami Galicyi, a miasta pruskie iść w zawody z stołecznemi grodami różnych dzielnic Królestwa?

Czy może nie wysłużyła się ta kraina ojczyznie, nie złożyła dostatecznych dowodów przywiązania i miłości krwią i mieniem, lub nie starała

się dodać blasku sławie narodowéj przez swoich Denhofów, Wejherów, Koperników, Hozyuszów, Mrongowiuszów, Lindów i innych? — Dosyć, że Prusom było to zawsze bolesném, że się tak po macoszemu z niemi obchodzono, po części nie dowierzano, po części nie dosyć ceniono; to téż nie można się dziwić, gdy niekiedy rogi pokazały królom i sejmom, albo jak rozdąsane dziecko schowały się na chwilę do kąta. Ale dziś, gdzie jednaka dola gniecie kraj cały i mieszkańców bez różnicy, gdzie jedno prawo pięści pozbawiło ziemie i stany i pojedyńcze osoby praw i przywilejów bądź palcem Bożym w sercu każdego zapisanych, dziś zaprawdę nie ma najmiejszego sensu owo wzajemne pomijanie się i spozieranie ukosem jednych na drugich, dziś jest ono śmieszniejszém, a dla prawdziwego patryoty daleko boleśniejszém, niż było kiedykolwiek dawniéj. Nie zapomnijmy przedewszystkiem, że jest także daleko niebezpieczniejszém i więcéj gorszącém, gdy zważymy, z jakiem wysileniem Niemcy pracują, by tę niegdyś na wskroś słowiańską prowincyą przedstawić światu jako arcyniemiecką, by ją pozyskać żywcem i przykuć raz na zawsze do Pangermanii pochlebstwem, festynami, pomnikami, odwiedzinami królewskiemi, nowemi podziałami, przemianą nazw i tym podobnemi sztuczkami, z których wolno urągać się do pewnego stopnia, ale których bądź, co bądź nie wolno zbyt lekko ważyć lub całkiem ignorować, bo takie drobnostki działają silniéj na słabe i powszednie charaktery, aniżeli historyczne fakta i zacierają szczególniéj w wielkich masach pamięć przeszłości i poczucie odrębności narodowéj.

Ale, ale... już się zreflektowałem, kochany

bracie! Sądzę, że jako na pierwszy początek masz za swoje, a ja upuściłem sobie wystarczającą miarkę żółci; nateraz będzie tego dosyć, tem więcéj, że nie mam ani woli, ani obowiązku pisać apologii Prus Królewskich, — nie wspominam wcale o zdolnościach i powołaniu do takiego zadania, bo dopieroż dostałby się ten kopciuszek pomiędzy siostrami polskiemi z deszczu pod okap! Zachęcony jednak Twojem uprzejmém wezwaniem, abym Ci to i owo ze zamierzanéj przejażdżki opisał, korzystam, jak widzisz, chętnie z tego pozwolenia. Wątpię wprawdzie, czy będziesz wielce zadowolniony z moich listów, które będą sobie tak doraźne i urywcze jak to z podróży odprawianéj rzemiennym dyszlem, a które — o czém uprzedzam po przyjacielsku — wypadną mniéj więcéj w guście niniejszego, tj. do tego, co się dla oka lub ucha w podróży nawinie, pozwolę sobie przylepić gdzieniegdzie własne myśli i uwagi, niestety! najczęściej nieco niezdarne, jak Ci z własnego doświadczenia wiadomo od dawna. A będą Ci się tém nieznośniejsze wydawały o ile pisane, — aleś sobie sam winien; bo gdybyś się był do nas przyłączył, byłbyś nieraz z wiatrem puścił albo w „słów szermierce“ odpalił, co Ci teraz z cierpliwością czytać i w milczeniu schować wypada.

Zakładając pióro do nowego ustępu i przewróciwszy dwie karty wstecz, przekonałem się z miejsca daty, własnoręcznie na pierwszéj stronicy położonego, że obecnie jestem w Chojnicach, co trzeba nam przecie wiedzieć, aby od czegoś zacząć snucie wątku tego dzienniczka podróżnego. Przybyliśmy dotąd koleją żelazną z Wielkopolski, któréj, jako nie należącéj do planu méj podróży,

a zatém i do tematu założonego, nie mam potrzeby opisywać; ostatni zaś kawał drogi, już przez Prusy, odbyliśmy nocą, tak iż Ci go opisać nie mogę, bom go nie widział. O ile jednak przy pięknéj nocy czerwcowéj i lekkiéj drzemce poznać mogłem, co i opowiadania podróżnych zemną razem jadących potwierdzają, zgodziłbym się z Tobą co do téj części Prus, żeś nic a nic nie stracił nie widziawszy jéj, nie tylko w nocy, ale nawet we dnie. Zresztą powiadano mi, że na podobne okolice napatrzę się jeszcze w Prusiech dosyć, a zatém będę miał sposobność bądź powetowania rzekomej straty, bądź potwierdzenia wyżéj warunkowo wypowiedzianego domysłu, i to z sumiennością historyka.

Ale co Ci o Chojnicach powiedzieć? Jestto sobie miasteczko tak na kształt wszystkich innych powiatowych, które zgoła niema — przynajmniéj według mnie, nie powinno mieć — pretensyi figurowania po dziennikach i albumach podróżnych. Dawniéj wprawdzie, ale było to jeszcze przed wynalezieniem prochu — to oznaczenie czasu proszę tu rozumieć dosłownie, a wcale nie w przenośni, tym mniéj, że mi Chojniczanie dotychczas nie dali żadnego powodu do przypinania im łatek! — otóż przed wynalezieniem prochu ruśniczego, Kruppów i fortów wysuniętych, miały Chojnice przecie jakieś znaczenie i należały do twierdz pierwszorzędnych w prowincyi, dopóki grubość murów i szerokość grobli stanowiły o obronności miejsca. To téż pod murami Chojnic odbywały się często gęsto krwawe rozprawy pomiędzy różnemi stronami, a nieraz znaczył upadek Chojnic tyle, co rozstrzygnięcie dramatu. — Początek miasta sięga czasów prze

historycznych, czem się zresztą nędzne mieściny zwykle przed stolicami świata odznaczają; tyle pewna, że je założyli Słowianie pomorscy, co widocznie nazwa Chojnic potwierdza. Znaleźli się jednak uczeni z owych sławnych, co wszystkiego dowodzą i wszystko negują wedle potrzeby, lub fantazyi, którzy nie mogąc ścierpieć, aby tak sławne miasto, jak Chojnice, mieli założyć Słowianie, a nie ich ziomkowie Niemcy, dowodzą z miejscowego herbu, wołu, i z czysto niemieckiéj (sic!) nazwy miasta Conitz — Kunitz — Kuniss — Kuness — to tyle co Kuhnest, — quod erat demonstrandum! Na potwierdzenie tego genialnego wywodu etymologicznego, tak szczęśliwie popartego godłem miejskiem i teoryą descendencyjną Darwina i Vogta, nie dostawiają oni wprawdzie świadectw dokumentnych lub kronikarskich, ale przywodzą jako przykład Kadmusa, który przez siebie zajęty i zaludniony kraj nazwał także od licznych trzód, jakie tam zastał, Beocyą. Daruj, jeżeli Cię ten koncepcik znudził, ale ja miałem sobie za obowiązek wspomnieć o tém ważném odkryciu, które zaprawdę przystałoby lepiéj do tępego umysłu Beoty, aniżeli światłego, niechże będzie i Niemca, — lubo wiem, że nie powinienem był być zbyt skorym, gdyż nie ma żadnéj obawy, aby podobne brednie mogły dla rozweselenia ludzkości zaginąć, bo ich wynalazcy postarali się już o ich uwiecznienie choćby na bibule programu gimnazyalnego. Ale dla twardego łba polskiego, dla którego się takie nędzne głupstwa w mądrych głowach profesorów niemieckich wylęgają, dla upartego, powiadam, łba polskiego, w który nie chce wejść przekonanie, że cała Polska, ba cała Słowiańszczy-

zna od Łaby aż pod Wołgę, to odwieczne siedziby Germanów, nigdy za wiele argumentów przytoczyć nie można.

Zakon krzyżacki kawalerów Teutońskich, którego przebiegłéj chciwości i dyplomatycznie wyrobionéj chytrości nie dorównywała domorosła ówczesna polityka poczciwéj Polski, zagarnął dosyć rychło pod skrzydła swojéj opieki książąt pomorskich, wynagradzając sobie własną fatygę to jakoby opiekuna, to jakoby sprzymierzeńca, czy sędziego polubowego, przez owładnięcie niektórych części, a nakoniec całego Pomorza. Stało się to na samym początku czternastego wieku za panowania Władysława Łokietka; podobno 1310 zajęli Krzyżacy także Chojnice. Znając się doskonale na sztuce strategicznéj, która przez całe wieki stanowiła ich rzemiosło, zrobili z tego miasta jednę z twierdz najobronniejszych, a jako równie doskonali dyplomaci starali się różnemi środkami przykuć mieszkańców do Zakonu, nadając im liczne swobody, czyniąc podarunki w ziemi i wodach, a przedewszystkiem osadzając miasto Niemcami. Dla tego też występują Chojnice od pierwszéj chwili zawsze jako miasto niemieckie, a wierne aż do poświęcenia się za swoich dobroczyńców. Pierwszy dowód téj wierności dały Chojnice podczas pierwszego zetknięcia się Krzyżaków z Jagiełłą, gdzie upadek Chojnic rozstrzygnął olbrzymią walkę i niejako uzupełnił świetne zwycięstwo grunwaldzkie. Drugi podobien dowód złożyło toż miasto podczas trzynastoletniéj wojny pomiędzy Zakonem a Kazimierzem IV, opierając się jemu ze wszystkich miast krzyżackich najdłużéj: i teraz sprowadził upadek Chojnic koniec wojny i drugi pokój to-

ruński w r. 1466. Wraz z częścią posiadłości zakonu teutońskiego, zwaną odtąd Prusami Królewskiemi, dostały się Chojnice na nowo pod berło polskie, ale pomimo to pozostały miastem niemieckiem, w którem rzeczypospolita nie miała nawet wyższego urzędnika.

Henryk Heine powiedział gdzieś, że Niemcy stworzeni są na lokajów, i zwyciężonych nie potrzebaby okuwać w kajdany, ale przywdziać w liberye. Prawdę tych słów potwierdziła historya w różnych czasach, a w największych rozmiarach i najjaskrawiéj w czasach napoleońskich, co może dopiero wywołało sarkazm niemieckiego poety. Omyliłby się jednak, ktoby temu usposobieniu przypisywał wierność miast pruskich, po większéj części zniemczonych zupełnie, jaką okazywały dla Korony polskiéj, przeszedłszy pod jéj panowanie, i jaką dla niéj zachowały, dopóki wchodziły w skład rzeczypospolitéj: było to raczéj skutkiem łagodnych i zachowawczych rządów polskich, które umiały sobie serca nowo nabytych poddanych łatwo i stale ujmować. Jak dawniéj wiernością dla Zakonu, tak odznaczały się teraz Chojnice przywiązaniem do Korony, szczególnie podczas wojen szwedzkich. Chlubą jest także dla miast pruskich, a świetném świadectwem dla ówczesnych rządów polskich, ofiarność okazana przez niektóre miasta pruskie podczas siedmioletniéj wojny. W wspomnianéj wojnie brał król August III udział jako książę saski, nie śmiał się przeto odezwać do Polaków o jaką bądź pomoc w imieniu króla polskiego, chociaż mu pomoc bardzo potrzebną była; w tém kłopotliwém położeniu starały się przynieść ulgę swemu monarsze niektóre miasta pruskie, i

bez wezwania złożyły z własnego natchnienia, na dostarczenie królowi nowych środków do dalszego prowadzenia wojny, Chojnice 600 złp., Człuchowo 50, Tuchola 100, Frydląd 100, Elbląg i Grudziądz po 1,000, a Gdańsk 50,000 złp., — na owe ciężkie czasy i obok innych podatków są to znaczne sumy.

Tymczasem świat kołem się toczy, — a Chojnice chełpią się dzisiaj tak samo ze swéj wiernopoddańczości dla ostatniego z trzech znanych rywalów, jaką się niegdyś dla dwóch pierwszych odznaczały....

Szczątki starych murów, kilka nadkruszonych baszt i bram, wązkie i kręte ulice nadają miasteczku postać starożytną. Dzisiejszy kościół farny mieli przez blisko sto lat lutrzy w posiadaniu, albowiem Chojnice przeszły wraz z innemi miastami pruskiemi bardzo prędko na nową wiarę. W tych stronach przyłożył się mianowicie Stanisław Latalski, starosta człuchowski, bardzo skutecznie do rozkrzewienia protestantyzmu, a w Chojnicach szczególnie jego klient Kasper Jeschke czyli Jeczko, który później powrócił na łono Kościoła i umarł jako opat oliwski. W tymże kościele ma nagrobek pewien Hans von Gleissen-Derengowski; tegoż syn Jan Deręgowski, officyał kamieński i proboszcz tucholski i chojnicki, wynógł po długich zabiegach i kilkoletnim kosztownym procesie zwrócenie katolikom zabranéj świątyni. — Wspomniany Deręgowski syn sprowadził r. 1620 do Chojnic pierwszych Jezuitów, którzy tu szkołę założyli, bo dotychczas była w Chojnicach tylko szkoła luterska. Nieco później wystawili sobie ojcowie obok swéj rezydencyi drewniany kościołek, a

gdy ten zgorzał, wznieśli nową murowaną świątynię 1744, — dzisiejszy kościół gimnazyalny, obok którego było stanęło już rok pierwéj zupełnie nowe collegium, — dzisiejsze gimnazyum. „Historia Residentiae“ OO. Jezuitów daje dosyć dokładny obraz ówczesnego ruchu i życia szkólnego; wiele znajdzie w nim cienia i nagannych rzekomo uchybień i braków pedagogicznych, a nawet może zdrożności, ktoby nań patrzał okiem pedagoga najświeższéj ery lub uprzedzonego przeciwnika Jezuitów; szczególniéj muszą być dla takiego solą w oku liczne uroczystości szkólne i kościelne, procesye, popisy dramatyczne, rekolekcye itp. Czego ja zaś wcale wytłumaczyć sobie nie mogę, jest to, jak ówczesne szkoły Jezuitów w jedynéj Polsce tyle złego zdziałać miały, jak im powszechnie przypisują, kiedy te same szkoły zjednały sobie w innych krajach tyle sławy i zasługi, i do dziś dnia prym trzymają, nie zmieniwszy o wiele pierwotnego planu i metody nauczania, jak np. w Austryi, Francyi i Ameryce, — i to na przekorę wszystkim nowoczesnym szulmajstron, którzy przecie całą pedagogią w arendę wzięli. Ale niestety, jużeśmy tak przesiąkli metodą niemieckiego wychowania, że tylko po niemiecku czujemy, myślimy, sądzimy, chociaż wyrazy i zdania są polskie! — Co zaś do ówczesnych Jezuitów i smutnego w téj mierze zjawiska w Polsce, czyby może miał ktoś inny jeszcze winę, a nie sami tylko „Jezuici Polskę zgubili?“

— W téjże historyi rezydencyi dosyć często wspominane seditiones są to po prostu burdy studenckie, i leżały — mojém zdaniem — w duchu czasu i burzliwéj krwi polskiéj; a jeżeli się w

Chojnicach częściéj powtarzały, aniżeli gdzieindziéj, pochodziło to ztąd, że w mieście czysto luterskiém i niemieckiém nie zbywało zapewne na częstszéj sposobności do starć pomiędzy młodzieżą różnéj wiary i narodowości; kto z nas również nie brał udziału jako żak lub gimnazyasta w walkach staczanych w pauzach pomiędzy uczniami jednego a tego samego zakładu lub różnych szkół i pensyi? Owym zaś poczciwym kronikarzom, którzy z wielką sumiennością owe burdy, częstokroć nic nie znaczące kłótnie pomiędzy studentami, zapisywali, zapewne przez głowę nie przeszło, co tu za parę set lat uczeni niemieccy z ich kronik wyczytają i zrobią, — bo zaprawdę gdyby to byli wiedzieli, byliby o takich bzdurstwach nie wspominali, a nie byliby zaprawdę zgrzeszyli. Kto zresztą choć tylko powierzchownie zna historyą szkół niemieckich w wiekach średnich i tak zwanéj reformacyi, przyznać musi, że najswawolniejsi studenci polscy są prawdziwym wzorem przykładnego ucznia w porównaniu do „fahrende Schüler," a ich burdy, to fraszki i idylle wobec bitew i publicznych zgorszeń żaków niemieckich. — Ponieważ wypadnie mi o Kaszubach jeszcze niejedno powiedzieć, wspomnę tu tylko nawiasem, że kronikarz jezuicki ubolewając na ubytek uczniów w pewnym czasie, tłumaczy sobie takowy tém, że szlachcie okoliczněj albo zbywało na ochocie do nauk, albo się takowe nie przyjmowały na jałowéj glebie kaszubskiéj; nie bardzo to pochlebny sąd dla Kaszubów, ale niekiedy dosyć trafny, chociaż Kaszubi zkądinąd zażywają pewnéj renomy, że są przebiegłego i chytrego usposobienia, co choćby uchodzić mogło za rodzaj sprytu, nie wystarcza rze-

czywiście do oddania się z zamiłowaniem i skutkiem nauce.

1773 r. zniósł król pruski Fryderyk II. kolegium Jezuitów, a ich akademią zamienił na gimnazyum, — krótko i węzłowało wobec patentu okupacyjnego i uroczystych przyrzeczeń i zobowiązań do zachowania status quo, mianowicie w sprawach kościelnych, szkólnych i klasztornych. Nie ma co mówić, — genialnie i oryginalnie, jak na wielkiego króla przystoi!

Ale rozpisałem się może już za nadto o Chojnicach; więc potrącę tylko mimochodem, że w témże mieście i to w domu aptekarza schwycili pruscy husarzy i odstawili do Kistrzyna przed sąd pruski w r. 1768 — a zatém parę lat przed rozbiorem Polski i przyłączeniem téj ziemi do Brandenburgii — osławionego Rostowskiego, który jakby upiór jakiś pokutuje do dziś dnia po wszystkich historyach, kalendarzach, a czasem nawet elementarzach pruskich. Że ten Rostowski był sobie awanturnik nie lada, na jakich niestety nie zbywało nigdy w naszym kraju, i że nieraz może swoje sprawki przepieprzył, nie przeczę; ale oraz założyłbym się, że w relacyach o nim jest téż nie mało fałszu i przesady naszych najserdeczniejszych sąsiadów. Gdyby mi się udało dowiedzieć się o téj sprawie coś pewniejszego, doniosę Ci o tém w interesie prawdy. — tyle tymczasem!

Twój

Czesław.

BIBLIOTEKA UNIWERSYTECKA w TORUNIU

II.

Kochany Przyjacielu!

Kościerzyna.....

Istnie zaczęliśmy przegląd Prus od najgorszéj strony i jakby na potwierdzenie Twego wielce ujemnego o nich mniemania, które jednak, bądź co bądź, uważam jeszcze za mylne; bo jakkolwiek dziewięć mil długa droga z Chojnic do Kościerzyny nie przedstawia nic a nic widzenia i opisu godnego, nie mając nic dla oka lub dla ducha ponętnego, nie godzi się przecie rozciągać sądu swego o małéj cząstce na to, czego się jeszcze nie widziało. Z jakie trzy czy cztery wioski, wyjąwszy jedną znaczniejszą, Brusy, bez kościółka, bez dworu lub pałacu, z walącemi się brudnemi chatami, przypominają podróżnemu, że tu przecie mieszkają ludzie, a na pstrych słupkach poprzybijane tablice z ciekawemi wiadomościami o kompaniach, batalionach i pułkach, nie pozwalają nawet wątpić o wysokim stanie kultury i porządku, panujących w tych wrzosowych pustyniach, — czy także o pomyślności mieszkańców, wątpię jednak. Biedny ludek kaszubski zamieszkujący te stepy, jest zmuszony nietylko do bezustannéj walki z swą niewdzięczną ziemią ojczystą, aby z niéj wydobyć kawałek potrzebnego chleba, ale zmuszony nawet przytrzymywać ją gwałtem, by mu nie uciekła; bo skoro się lekki wietrzyk poruszy, to się połowa piasku zabiera na podróż powietrzną. Rzeczywiście oglądaliśmy wzdłuż szosy piaszczyste pola pokryte gałęziami choiny, (do czego każdy właściciel pod karą zobowiązany), a pomimo to naniósł

wiatr około Międzykału, wioski położonéj nad Brdą, tyle piasku na szosie, żeśmy z pół mili jak w śniegu jechali.

Ale bieda uczy rozumu człowieka, a niewdzięczna przyroda wznieca w nim przemyślność i zabiegliwość, przytłumione powodzeniem, a stępione nieraz tłustością ziemi; takie to już prawo w świecie moralnym i realnym, że zbytek bywa szkodliwy, a mierność lub niedostatek zbawienne. Nie powiedziałem Ci tu wprawdzie nic nowego, ale przypomniał mi tę prawdę widok okolicy. Bo i te obszerne, a pod pług niezdatne wrzosy nauczył się mieszkaniec tych stepów wyzyskiwać, zakładając w nich obszerne pasieki. Jeszcze więcéj uderzyły nas liczne stada indyków, które się w owych wrzosach karmią konikami polnemi i innemi owadami. Chodowla tego ptaka jest zresztą dosyć mozolna, o ile bardzo miękki, wymaga on wielkiego zawodu i troskliwéj opieki. Byle jednak było lato pomyślne, ciepłe i suche, wynagradza się gosposiom kaszubskim sowicie praca około indyków, czyli po kaszubsku gul, — samiec zowie się gularz. Równéj troskliwości doznają poczciwe gąski, stanowiące nieraz główny dochód z całego gospodarstwa. — Skoro mi już o przemyślności mieszkańców wspomniał, dodam zaraz, że dobrotliwa Opatrzność wynagrodziła mieszkańcom niepłodność ich ziemi jeszcze w inny sposób, i to zapełniwszy liczne w tych stronach jeziora i rzeczki mnóstwem najprzedniejszych rybek. Mianowicie są Kaszubom właściwe obok zwyczajniejszych gatunków, pstrągi, węgorze, leszcze, sumy, marynki i jazgarki, a w morzu Bałtyckiem łowią łososie, flądry, śledzie, sandacze, dorsze i wiele

innych, których nawet z nazwiska nie znam. Takowe rozchodzą się w większéj części do większych miast położonych głębiéj w kraju, mianowicie do Berlina, raki zaś i grzyby kaszubskie idą przeważnie do Hamburga i Londynu, a czarne jagody z tucholskich i innych borów wywożą do Niemiec i Francyi, zkąd na nasze stoły wracają jako prawdziwy bordeaux.

Te i inne szczegóły mam od naszego wspólnego przyjaciela N., który, jak Ci wiadomo, siedzi od kilku lat w Kościerzynie. Pamiętasz może, jakeśmy będąc jeszcze żakami przezwali go „Kaszubą“ dla tego, że po górno-szląsku mazurzył, — ale jakem się teraz przekonał, wcale nietrafnie; bo szeplenienie Mazura nie ma nic wspólnego z twardą mową i skakającym akcentem narzecza kaszubskiego, — wywróżyliśmy mu jednak jego przyszłość. Nie jakoby się zamienił w Kaszubę, owszem biedak nie zaaklimatyzował się nawet jeszcze, bo to lud tutejszy zbyt mało ma być przystępny, ale podobno ma serce i charakter twardy, jak jego ziemia i ostry klimat. Poczciwy N. przytrzymany jeszcze na parę dni przez zajęcia urzędowe, nie puścił nas w dalszą podróż, ale zatrzymał na kilka dni u siebie, przyrzekając zarazem, że nam w podróży towarzyszyć będzie. Aby nam kilkodniową zwłokę wynagrodzić, wyjeżdża z nami do swoich sąsiadów, księży i obywateli. Nie byłoby o takich odwiedzinach wcale co wspominać, gdybym nie czuł potrzeby serca i obowiązku wdzięczności zaznaczyć tu, że na tych kończynach naszéj ziemicy zastałem wszędzie kwitnące w całéj swéj sile czysto polskie cnoty i obyczaje, z jakich nasz naród szeroko i daleko słynie, mia-

nowicie religijność, miłość ojczyzny i gościnność. Wartogłowów politycznych i mędrków bez wiary nie znajdziesz pomiędzy tutejszem obywatelstwem, chyba wysadzi się gdzieś z konceptem jakiś emigrant au mauvais sens, pozasłużbowy na pół zniemczony porucznik z armii pruskiej lub niedowarzony studencik, który się do Królewca na akademią zabłąkał.

Smutno jednak, że obywateli w właściwem znaczeniu, nie tylko chłopów w surdutach, jest tak szczupła liczba, że palce u rąk, a czasem u jednéj ręki wystarczą, aby ich wszystkich w jednym powiecie policzyć. Różne okoliczności i wiele wpływów składało się na sprowadzenie takiego ubytku, zwłaszcza wiadomy Drang nach Osten, tu tem silniejszy, o ile Pomorze styka się z Germanią ściana o ścianę; daléj opuszczenie się i zacofanie w latach dawniejszych, żądza zabaw połączona z wystawnością przechodzącą miarę i siły, a trwająca poniekąd aż do dzisiaj; ale stanowczy cios zadał tutejszemu obywatelstwu i prawie wytępił je w drugim i trzecim dziesiątku tegoż wieku fortel rządu samego, co zresztą nie jest nikomu tajemnicą. Wiadomo bowiem, jak ówczesny prezes prowincyi pruskiéj Schoen umiał wyzyskać niebezpieczne wady i słabość charakteru polskiego obywatelstwa, zwłaszcza lekkomyślność, nieoględność i dobroduszność, aby z hypokryzyą, któréjby się najsekretniejszy lichwiarz galicyjski nie powstydził, dostać więcéj niż połowę posiedzicieli większych majątków w zastawione sidła i tak ryczałtem wygubić. Zwabiwszy oto tych panów Zabawnickich, Potrzebowskich, Niedopatrznych i t. d. na złoty lep landszafty, wypowiedział im wypoży-

czone sumy w chwili krytycznéj dla gospodarzy w całém państwie, kiedy nawet o spłaceniu zaległych procentów nie było podobieństwem pomyśleć. Wtenczas tedy poszły setki majątków polskich na subhastę, a setki obywateli z torbą w świat Boży; ich miejsce zajęli Pomry, Meklemburcy i Brandenburcy, którym rząd forszusował skrycie potrzebnych kapitałów, i puszczał za bezcen, czasem za złożone li tylko zaległe procenta — notabene, jako zapłaty! — na własność majątki, którychby dzisiaj krociami nie przepłacił. Wykrył wprawdzie hr. Raczyński te manewry rządu na sejmie prowincyonalnym w Królewcu i stósownie napiętnował hańbą, ale cóż z tego? Co się stało, odstać się nie może. Za to są jednostki, które się szczęśliwie z tego potopu wyratowały, wypróbowane i zahartowane, trzymają się dzielnie, rządzą umiejętnie i bronią z świadomością i poświęceniem posterunków zagrożonych, na których je Opatrzność postawiła. Gdyby im coś zarzucić można, albo jeżeliby to wyrażenie było zbyt surowe, gdyby od nich wypełnienia pewnéj próżni w ich pracy obywatelskiéj spodziewać się można, należałoby im użyć większego wpływu na lud prosty i przyczynić się czynniéj do poruszenia i ożywienia tych martwych mas, obudzić w nich większą żądzę oświaty i większe poczucie narodowe. Bo w téj mierze, żal się Boże, to Kaszubi dotychczas rudis indigestaque moles! Nie sprzeciwia się temu twierdzeniu bynajmniéj okoliczność, że w powiatach pomorskich przechodzą na wyborach deputowani Polacy; owszém, wypadki, iż od czasu do czasu zwycięża Niemiec, są dowodem, że nasza większość nieoświecona i nie ożywiona własnym duchem nie

daje rękojmi pewnego powodzenia, i że się na nią spuścić nie można; — spojrzyj na nasz Górny Śląsk, a zobaczysz jeszcze jaśniéj potwierdzenie mego zdania.

Rozbierając z tutejszymi obywatelami tę kwestyą, usłyszałem na ich uniewinnienie, że najprzód brak pomiędzy nimi magnatów, nie tylko w znaczeniu właściwém, ale i intelektualném; pierwsze jest niestety prawdą i nie jest bez pewnéj podstawy i wpływu w naszych stósunkach, — choć to i z magnatami ma się czasem rzecz tak.... okolicznie powiem; drugie nazwałbym chwilowém złem, któremu Opatrzność z czasem zaradzi; co do mnie powiedziałbym nawet już teraz, iż brak tylko inicyatora, przewodnika z energią, samowiedzą i odwagą, a zapewne poszłoby lepiéj nad spodziewanie. Już to chcąc się nauczyć pływać, trzeba się rzucić w wodę, — a choćby się z takiego trybuna nie wyrobił może O'Connel na całą Polskę lub prowincyą, wyrobiłby się przynajmniéj na jeden powiat. Dalej jest liczba obywateli rzeczywiście zbyt szczupła, a wpływ każdego z osobna znaczy tyle i sięga tak daleko, o ile imponuje majątkiem; bo dla Kaszubów, pieniądz najpotężniejszy argument, miara racyi i wskazówka czynności. Większy bez porównania, bo nie tylko moralny par excellence, ale mniéj więcéj także materyalny wpływ posiada duchowieństwo, i jemu téż, dzięki Bogu, jest do zawdzięczania, że rzeczy są tak, jak są, — ale powiedzmy całą prawdę: mogłoby w téj mierze być lepiéj.

Ale gdziem się téż z memi uwagami zabłąkał! Zboczenie to pochodzi ztąd, że podczas niebytności przyjaciela pozostawiony sam sobie na

kilka godzin, wpadłem w moją starą słabość — zadumę, a odkądem przestał wiersze kleić, zacząłem politykować czyli, co na jedno wyjdzie, zrzędzić. Abym się po drugi raz nie stał łupem nudów i na płonnych marzeniach nie tracił czasu, psuł papieru, a sobie i drugim humoru, polecił mnie nasz N. opiece swoich przyjaciół domowych tj. zaopatrzył w książki, traktujące mianowicie historyą tutejszéj prowincyi. Com z nich z chciwą ciekawością wyczytał, podam Ci w następnym liście w pewném zaokrągleniu, jako krótki pogląd na dzieje téj krainy, które z przeproszeniem — są może dla Ciebie, jak były i dla mnie dotychczas, terra incognita. Pokłosie zaś podróżne, zebrane na bruku i niwach kościerskich, jest chude i niesmaczne po części. Mieścina ta nosi zewnątrz i wewnątrz całkiém cechę naszych miasteczek polskich, ale z takiém przeobrażeniem, jak je dzisiaj widujemy: górą Niemcy, nasi dołem, — niemiecki pokost nowomodnéj kultury, a tło prostota polska, — bogactwo żydowsko-niemieckie, a ubóstwo polskie, — rynek i przedniejsze domy zajęte przez obcych przybyszów, a przedmieścia i zaułki przytuliskiem tubylców, — urzędnicy Niemcy, z wyjątkiem może pocztylionów, a mieszczanie Polacy. Smutny to obraz, ale smutniéj, że prawdziwy! Najwięcéj zaś zmartwiło mnie spostrzeżenie, że jakkolwiek żywioł w tém właśnie mieście jest przeważnie polski, a nawet zkąd inąd silny i nie bez pewnego znaczenia, bo nie brak tu zupełnie tak nazwanéj inteligencyi, przecież nie spostrzeżesz w całém mieście ani jednéj wiechy, ani jednego napisu, ani jednéj etykiety kupieckiéj lub rachunku w języku polskim ułożonych, a znajduje się prze-

cie pomiędzy kupcami i rzemieślnikami nie jeden Polak. Toć to nawet w naszych daleko więcéj zniemczonych miasteczkach górno-śląskich spotkasz jeszcze częściéj napis polski, choćby tylko przez fortel użyty przez sprytnych żydków; ale tu żal się Boże, komu mają żydkowie i szwabscy kramarze robić takie, choćby tylko pozorne koncesye, kiedy Polacy sami nie dbają o większą poszanę i uwzględnienie swéj mowy? Ej panowie majstrowie, nie godzi się stawiać świecy pod korzec, ale to, ale... partactwo temu winne, partactwo, które bodaj najdotkliwszą raną naszego średniego stanu, które go jak rak toczy i zwolna niszczy. Wszakże to tak, że nasi majstrowie nie mają potrzeby wywieszać wiechy polskiéj, bo ich nikt nie szuka, ani wystawiania rachunku ani po polsku, ani po niemiecku, bo dla kogo i za co? Całych surdutów i nowych butów nie szyją, szaf i półek nowych nie kleją, pieców nie stawiają, pokojów nie malują, — to wszystko wyłącznym przywilejem Niemców; nasi łatają tylko i zamazują stare dziury i kąty, za co natychmiast każą sobie płacić parę nędznych groszy. A skądże to partactwo, a z niém bieda i hańba? U jednych ztąd, że się nie wyuczyli gruntownie rzemiosła, u drugich, że osiedliwszy się, nie trzymają się szydła, igły lub młotka, ale wolą chodzić około kilku grządek źle uprawianéj kapusty i kartofli lub furmanić dla żydków półtorgiem szkapy, — ale dwom panom, jak wiadomo, nikt służyć nie może, — u jednych i drugich zaś, że im niestety zupełnie brak ambicyi, owéj szlachetnéj ambicyi, która czuje zacność i godność pracy w ogólności, a swego zawodu w szczególności.

W związku z tém markotném spostrzeżeniem przyszła mi inna myśl, naprowadzająca na drugą przyczynę smutnego zjawiska, jakie nam sprawia klasa średnia naszych miasteczek, i to brak stowarzyszeń, któreby wyrabiały w mieszkańcach świadomość ich położenia, zadania i potrzeb, któreby obudzały i rozwijały ducha korporacyjnego i poczucie narodowe, uspione od wieków, a po części zabite zupełnie przez niemieckie szkółki, wychowanie i terminacyą. Nie ma w Kościerzynie, równie jak w wszystkich innych miastach i miasteczkach polskich téj prowincyi, wyjąwszy może Toruń i Chełmno, nie ma ani jednego stowarzyszenia polskiego bądź religijnego, bądź politycznego, bądź poświęconego zabawie lub nauce; a nie zbywało przecież ani na materyale ani na przewodnikach ku temu. Ale ktoby miał obowiązek najpierwszy zająć się tą sprawą, ma niezawodnie ważne przyczyny, dla jakich tego nie czyni, i drugim uczynić nie pozwala, i tak pożera rdza lenistwa i ubóstwa umysłowego i materyalnego całe warstwy i pokolenia ludności, — a jednostki bujają sobie samopas i giną w rozpojeniu i nędzy... O bodaj samolub, który niecny frazes wynalazł i pierwszy go wyrzekł: „Co mnie do tego?“ był się nim zaraz zadławił!

Powiesz może, iż cierpię na wątrobę, widząc wszystko w tak smętném świetle i wynajdując tylko ujemne strony rzeczy. Owszém, prawda jedynie może nas zbawić, a od przesady staram się trzymać zdaleka. Nie jestem téż wcale ślepy na to, co pochwały godne, i nieczuły na to, co serce rozweselić a ducha podnieść zdolne. Wspaniały gmach Sióstr Miłosierdzia, wzniesiony w r. 1864

w Kościerzynie, to prawdziwa ozdoba dla całéj okolicy, jego widok jest zdolen pocieszyć człowieka w przygnębionem usposobieniu i obudzić nadzieję w lepszą przyszłość. Jego założycielem, który zarazem pierwszą myśl dźwignięcia podobnego gmachu dla dyecezyi chełmińskiéj powziął i z poświęceniem swego znacznego majątku wykonał, jest przezacny X. prałat Prądzyński w Peplinie, i jego słynna z swéj dobroczynności i pobożności siostra, pani Klementyna Łaszewska; przyczyniła się zaś do wykończenia kosztownéj budowli cała dyecezya z swoim biskupem na czele, a szczególnie poczciwi Kaszubi. Zbytecznemi a wcale nie pożądanemi byłyby dalsze słowa pochwały, które piękne dzieło wymowniéj ogłasza i przechowa dalszéj potomności.

Wszelako nie jedno, com widział i słyszał, wzywa do zastanowienia się, czy podobne zakłady naukowe (w Kościerzynie jest także progimnazyum niby symultanne) tak dla młodzieży żeńskiéj, jak męskiéj przeznaczone, nie stawają się czasem szkodliwemi dla naszego społeczeństwa, — już to nie wprost, ale pośrednio i z winy publiczności samej. Nie mam tu zaś na myśli prawdziwego i nieocenionego uszczerbku, jakiego uczennice i uczniowie polscy i katoliccy doznawają zbyt często w pensyonatach żeńskich, gimnazyach i progimnazyach, pobierając naukę w języku obcym, a o ile takie zakłady są symultanne, także pod względem wiary i religijnego usposobienia. Inne bowiem, a jak mi się widzi, nie mniejsze niebezpieczeństwo jest w tém, że przystęp do takich zakładów jest zbyt ułatwiony, a rodzice bądź z próżności, bądź z szczeréj chęci dania dzieciom swoim lepszéj edukacyi, posyłają córki na pensyą, a synów do gim-

nazyum, nie obliczywszy się ani z własnemi środkami, ani z zdolnościami swych dzieci, ani nakoniec z innemi okolicznościami, które przeciwko takiéj edukacyi przemawiaćby mogły. Skutkiem tego idzie nieraz, że się rodzice majątkowo rujnują, chcąc postawić na swojém, a jeszcze częściéj, że zwłaszcza chłopcy, nie ukończywszy nauk, odchodzą z kwarty lub tercyi z zawróconą głową, z pretensyami, słowem z wykrzywioném zapatrywaniem się na swe przeznaczenie i na otaczające ich realne stósunki domowe. Taki chłopak z pstrym i dumnym umysłem, albo leniuch albo gląb, rzadko skłonny do poważnéj pracy, a jeszcze mniéj skłonny i zdatny do poczciwego rzemiosła, zaciąga się nakoniec w szeregi pisarskie, gdzie bez pociechy i pożytku dla siebie i dla drugich wiedzie nędzny i jałowy żywot przepisywacza — wyrobnika. Z córkami ma się rzecz nieco inaczéj, ale nie lepiéj. Któraż to matka nie pragnęłaby widzieć swéj córeczki panią, guwernantką, mówiącéj po francusku, grającéj na fortepianie itd.!? O sposobności do spełnienia tych życzeń, raczéj marzeń, nie trudno, — wszak pensya jest w miejscu, a opłata miesięczna nie wielka! Chociaż ubiór „panienki“ musi być lepszy, a zatém téż więcéj kosztuje, książki, a czasem prywatne lekcye także nie darmo, kurs kilkoletni niekiedy długi się wydaje, przecie „mama“ i drugie rodzeństwo ponoszą wszelką ofiarę, byle córuchna swego celu dopięła. Kończą się nakoniec nauki z patentem lub bez patentu, — cóż tedy daléj? Jeżeli panna znajdzie jaką posadę, wszystko dobrze, chociaż nie na zawsze; w przeciwnym razie bardzo źle — i dla niéj i dla całego domu. Natenczas zblagowana pannica, chorująca

już teraz na wielką panią, czuje się w prostém i ubogiém lub skromném otoczeniu nieszczęśliwą, nudzi się, kwasi, narzeka, zrzędzi, ujada, dokucza wszystkim, próżnuje, stroi się, spaceruje, sypia długo, dużo czytuje, lecz nie zajmuje się żadną uczciwą pracą, nie pomaga matce w gospodarstwie, bo nie zna i wstydzi się ręcznéj pracy. Tak zamiast pociechy mają rodzice z świetnie wykształconéj córki zmartwienie i ciężar nieznośny, a czasem bolesny, i to bez nadziei, żeby jéj się prędko pozbyli przez wydanie za mąż, bo któż jéj ręki zażąda? Rzemieślnik i gospodarz się nie odważą, z obawy, by wystrojona lalka, nie znająca zwyczajnéj pracy, przesadnemi pretensyami ich nie zniszczyła, — a hrabia, porucznik lub obywatel nie tak łatwo się pojawi, by wybawić zaklętą księżniczkę, na to dziś świat zanadto prozaiczny. Zaprawdę smutne to, ale nie rzadkie już dzisiaj zjawisko w naszém społeczeństwie mieszczańskiém, które całe znaczenie człowieka i wartość życia w zewnętrznych, powierzchownych stósunkach, w stroju, blichtrach, manierach itp. widzi, i takowe sobie zbyt łatwo przyswaja, słowem w niewłaściwy, po prostu nierozsądny sposób nad swój skromny, ale szczęśliwy stan wynieść się pragnie.

Spędziliśmy w klasztorze kilka godzin, które mi do najmilszych wspomnień z całéj podróży należeć będą. Z uprzedzającą grzecznością oprowadzeni po wszystkich częściach obszernego gmachu, począwszy od Ochronki, przeszliśmy klasy dziewcząt elementarne i pensyonatu; wszędzie byliśmy zniewoleni podziwiać praktyczność, gust i schludność w urządzeniu, ułożenie, pracowitość i umiejętność dzieci i panienek; a co najwięcéj ujmo-

wało i zyskiwało serce i umysł, to był duch chrześciański, duch szczerze religijny, który wszystko ożywia, wszystkiém rządzi, wszystko uszlachetnia.

Ale wracam już do mojéj podróży, — w znaczeniu ściślejszém! Przebyta dotąd nudna i smętna okolica ani pozwala domyśleć się, jak miła niespodzianka w bliskości miasta czeka podróżnego, żądnego pięknych widoków, dla których się w świat wybrał. To téż uraczyliśmy się formalnie na codziennych przechadzkach w pobliskiéj okolicy. Przedstawiać ona wprawdzie tylko skromny krajobraz w porównaniu do wielu innych bez liku; przecie serce i wyobraźnia nie przesycona jeszcze i umiejąca przestawać na skromnych okruchach pięknéj przyrody swojskiéj, ucieszą się z wdzięcznością widokiem lubych pagórków, odzianych świeżą buczyną lub najeżonych rozłożystemi sosnami, rozgraniczonych lśniącemi jesiony lub bujnemi łąkami, zapraszającemi do kąpieli lub do wypoczynku na pulchnéj murawie. Dla botanika zaś mają liczne sapy i trzęsawiska, mchy i pasożyty roślinne w tych stronach być wdzięcznem polem poszukiwań i uroczéj zabawy. Podpadła mi tylko pewna cisza panująca w tych uroczych gajach, która jakąś tęsknotą serce napełnia; bo rzeczywiście w skrzydlatych śpiewaków jest ziemia kaszubska wogóle uboga, co zapewne da się wytłómaczyć chłodnym klimatem i długością pory zimowéj a zbyt krótkiém latem. Słowiki przynajmniéj trzymają się tylko brzegów Wisły, a nawet nie dają się, jak mówią, daléj słyszeć jak około Gniewu; w ich zastępstwie trzymają prym pomiędzy tutejszém ptastwem drózd i kos.

Nie dziw się, kochany przyjacielu, że opisu-

jąc miasto, mieszkańców i okolicę, nie wspomniałem nic o jego dziejach; nie przepomniałem o tém bynajmniéj, ale trudno opowiadać, skoro zmyślać nie wolno. Kto i kiedy założył Kościerzynę, sam tylko Bóg wie, jeżeli o tém nie wiedzą niemieccy profesorowie; miasteczko to nie odgrywało nigdy żadnéj roli, zajmując zupełnie podrzędne stanowisko w administracyi politycznéj dawniejszych rządów, nie przyszło też do żadnéj bitwy pod Kościerzyną. Dopiero w r. 1764, przy nowéj ordynacyi prowincyonalnéj zostało miasto wyniesionem do godności powiatowego: pierwszy starosta polski powiatu, w którego pięknie położonym domu mieści się po dziś dzień landratura, był oraz ostatnim. — Przed kilkudziesiąt laty słynęło kościerskie piwo na całą prowincyą, a nawet w Wielkopolsce, ubiegając się o palmę pierwszeństwa z piwem puckiém; dziś postradało i tę sławę. — Wedle podania i domorosłéj geografii kaszubskiego ludu, który w swéj krainie upatrzył sobie Ziemię świętą, miał się w Kościerzynie urodzić Judasz Iszkariot, drudzy apostołowie pochodzili po większéj części z Pucka, P. Jezus przyszedł na świat w Kartuzach, a na wejherowskiéj Kalwaryi dokonał swego krwawego dzieła, Oliwa zaś zajmuje miejsce raju straconego, — tak to upoetyzował sobie pobożny ludek swoję ojczyznę! — Do dziś dnia szczyci się Kościerzyna w ustach tegoż ludu przydomkiem „prześwietnéj;“ nie wiem, czy to nie ironia, bo zaprawdę nie podobna odgadnąć, przez coby to miasteczko zasłużyło sobie na tak szumny przydomek. Tyle przynajmniéj pewna, że do nabożeństwa i kościoła parafialnego tego przymiotnika odnosić nie można; kościółek albowiem tutejszy,

choć dość stary i murowany, jest ubogi, prosty, jak na miasto i na dzisiejsze czasy aż zanadto prosty, a dla licznéj parafii za mały.

Na tém urywam luźne uwagi o Kościerzynie.

Twój

Czesław.

III.

Kochany Przyjacielu!

Kościerzyna....

W niniejszym liście podaję Ci obiecany króciutki rys dziejów tych części dzisiejszéj prowincyi pruskiéj, które nigdyś w skład krajów należących do Korony Polskiéj wchodziły.

Tam gdzie pod Grudziądzem rzeczka Osa z prawéj strony tuli się do łona matki rzek polskich, naznaczył Bolesław Chrobry jeden z węgłów wspaniałego gmachu, który swym geniuszem stworzył, punkt najwięcéj na północ wysunięty państwa swego, i to wbijając jeden ze znanych czterech żelaznych słupów w koryto wspomnianéj rzeczki. Od tego miejsca wzdłuż Wisły toczącéj szerokiém korytem swoje wody ku Bałtykowi i daléj wzdłuż ciemno zielonych fal tegoż morza aż do ujścia Preglu, daléj półkołem ku południowi bez wyraźniejszych granic dotykając Litwy i Mazowsza, aż do zetknięcia się z punktem wyjścia w Osie, rozciągały się w tak określonym równoległoboku siedziby ludu pruskiego, który jakby na przekorę przemądrzałym badaczom dziejów ludzkich, stanowi

śród ludów Europy prawdziwą zagadkę historyczną, już nawet co do samej nazwy; bo wszystko, co o nich tak szeroko i z tak głęboką erudycyą rozprawiają, nie jest czém innem, jak szczęśliwym lub niezgrabnym domysłem bez rzetelnéj podstawy! Po lewym zaś brzegu Wisły aż do ujścia Łaby mieszkały na stumilowym obszarze liczne plemiona słowiańskie, które obejmowano pod ogólną nazwą Pomorzan, która w czasach późniejszych, przy ściślejszém rozróżnianiu jednych od drugich, pozostała jako miano rodowe i polityczne wyłącznie dla mieszkańców północno-wschodnich wzdłuż morza bałtyckiego. Z tymi właściwymi Pomorzanami, którzy sąsiadowali z Wielkopolanami, zetknęli się nasi bohaterowie nasamprzód, mianowicie Bolesław Chrobry i Władysław Herman, i zmusili ich ostrzem miecza swego do uznania zwierzchnictwa Polski, — a natenczas byli jeszcze poganami. Pamiętną jest zwłaszcza z owych krwawych zapasów bitwa pod Raciążem w powiecie chojnickim, stoczona w dzień Wniebowzięcia N. P. Maryi 1091 r., gdzie Władysław Herman zniósł do szczętu Pomorzan posiłkowanych przez bitne hufce Prusaków. Jeszcze krwawszemi były nieustanne walki, jakie dzielny Krzywousty w tych stronach staczał, a w których mu nie tylko z niesfornymi Pomorzanami, ale także z własnym namiestnikiem, zbuntowanym Świętopełkiem walczyć przychodziło. Przynajmniéj nie były owe wysiłenia daremnemi, ale owszém poparte słowem nauki boskiéj, zaszczepionéj przez św. Otona, biskupa babiogórskiego czyli bamberskiego, którego sobie Bolesław na apostoła Pomorzan uprosił, zapewniły przewagę i zwierzchnictwo Polski w tych stronach.

Niestety okropna klęska, zadana Bolesławowi IV przez Pomorzan w r. 1138, w której brat króla Henryk z kwiatem rycerstwa polskiego zginął, a niesnaski domowe, nie pozwalające królowi jéj powetować, pociągnęły za sobą upadek owego zwierzchnictwa, którego się wprawdzie królowie polscy nie zrzekli nigdy formalnie, ale téż nie byli w stanie utrzymać go i wykonywać faktycznie. Od tego zaś czasu uważają się książęta pomorscy za samowładnych panów téj ziemi, a równocześnie pojawiają się w dziejach dwie udzielne linie książąt pomorskich: jedna na Pomorzu Zachodniém czyli Dalszém lub Szczecińskiém, późniéj przezwaném niemieckiém, a druga książąt na Pomorzu Wschodniém czyli Bliższém lub Gdańskiém, późniéj przezwaném polskiém, — takie bowiém nazwy dawają różni kronikarze wspomnianym księstwom. Ten podział ziemi pomorskiéj na dwa osobne państwa, które rozgraniczała rzeczka Persanta, nastąpił prawdopodobnie, gdy Pomorze zachodnie, mianowicie Worcisław I, około 1127 wiarę chrześciańską przyjął, gdy tymczasem Wschód pozostał więcéj niż na pół wieku jeszcze pogańskim. Pomimo tego podziału trwał dotychczasowy stósunek całego Pomorza do Polski, jako lenności polskiéj, przynajmniéj jak już powiedziano, de jure, chociaż nie de facto. Dopiero gdy się następcy Worcisława, Bogusław i jego brat Kazimierz, pod opiekę cesarza niemieckiego Fryderyka I oddali, ustała ich zależność od Polski zupełnie i zapomniano o niéj po obu stronach. Wspomniany cesarz przyjął owych książąt w poczet książąt rzeszy niemieckiéj około roku 1181, co w skutkach swoich pociągnęło za sobą dość wczesne i zupełne zniemczenie panują-

cych książąt i całego kraju. — Panujący na Pomorzu Wschodniém Subisław I przyjął także wiarę chrześciańską około 1170, i odtąd naprawiły się dotąd nieprzyjazne stósunki pomiędzy tém księstwem a Polską, ustały przedewszystkiém najazdy Pomorzan na granice polskie, a przez to i przez przyjęcie ewangielii przez Pomorzan, straciła Polska główną przyczynę do podejmowania dalszych wypraw przeciwko swoim północnym sąsiadom. Pomimo to nie mogli królowie polscy zapomnieć o dawniejszéj zawisłości Pomorza od korony polskiéj, co razem z przewodnią ideą ówczesnéj polityki polskiéj — ściślejszego zespolenia wszystkich sił słowiańskich przez połączenie Słowian zachodnich ze wschodnimi w jedno państwo, aby się tém skuteczniéj oprzeć rozdymającym się Niemcom — to było i nadal powodem wznawiających się od czasu do czasu zatargów i zbrojnych rozpraw pomiędzy wspomnianemi stronami.

W tych prawdziwie olbrzymich wiekowych pasowaniach chodziło dla obu stron o wielkie rzeczy: Pomorzanie, dopóki poganami byli, nieświadomi niebezpieczeństwa grożącego im ze strony Niemców, posuwających się wolno, ale stale ku nim, i równie nieświadomi dobrodziejstwa ofiarowanego im przez Polaków, bronili w dobréj wierze najdroższych skarbów swoich — wolności, wiary i siedzib; Polacy, powodowani światłą i wielką ideą, starali się pobratymców swoich uzyskać dla téjże idei, pozyskać dla prawdziwéj swobody, wiary i oświaty, i tak zabezpieczyć ich i siebie samych od wrogich sąsiadów niemieckich. Ku temu uważali słusznie za najpewniejszy środek nawrócenie pogańskich Pomorzan do wiary chrześciańskiéj i po-

łączenie z koroną polską, w czém uprzedzając Niemców zapewniali współplemiennikom przyszłość i niepodległość. Przyjęli wreszcie Pomorzanie ewangielią, ale przyjęli ją za pośrednictwem Niemców, przez co polityka polska chybiła po części swego celu, ale nie odstąpiła wszelakoż od niego i nie poprzestała dalszych usiłowań, jako też uprzedzenie Pomorzan przeciwko Polakom nie ustało z przyjęciem wiary chrześciańskiéj. Trwała przeto walka daléj, a była to walka prowadzona na zabój, walka rozdrażnionéj, ślepéj siły z światłą ideą, krwawa i bezwzględna jak ówczesny obyczaj, zacięta i niszcząca jak instynktowy opór jednych z obmyślaną wytrwałością drugich. Podobne boje, zamieniające się łatwo z wojen w hece narodów, których bądź co bądź bronić nie myślimy, choćby się usprawiedliwić dały, zajmowały także cesarzy niemieckich przez całe wieki i zyskały im sławę, zasługi i przydomki Wielkich; a z jakim naciskiem i skutkiem prowadzone były, o tém poucza nas rzut oka na mapę środkowéj Europy i historya, która nam się dziś jakby legendą wydaje, donosząc, że Łaba od źródła aż do ujścia była kiedyś rzeką słowiańską! Ale co Karolom, Henrykom i Otonom uchodziło, co ich na szczycie sławy stawiało i z nich rzekomo największych dobroczyńców ludzkości czyniło, toż samo jest zbrodnią w oczach historyka niemieckiego, skoro podjęte przez słowiańskiego monarchę w tym samym celu i w ten sam sposób. Nie tylko oburzeniem, ale wstrętem i pogardą przejmuje takie faryzeuszostwo, z jakiém n. p. Voigt naszych Bolesławów i Władysławów, którym zkądinąd nie może odmówić pewnych zalet i pochwał, z téj przyczyny błotem

obrzuca, zowiąc ich rabusiami i podpalaczami, i rozwodząc się szeroko nad ich barbarzyństwem. Komu się tu nie przypomni przypowieść o źdźble i tramie? Ale szkoda słów, bo im więcéj zyzowatemu gadasz, by prosto patrzał, tém więcéj się wykrzywia; tymczasem nie zawadzi o téj podwójnéj mierze i wadze historyków niemieckich przynajmniéj pobieżnie potrącić.

Także z późniejszą historyą Pomorza wschodniego mogę się równie krótko uprzątnąć. Książęta pomorscy byli prawdziwie ojcami dla swoich poddanych; za ich troskliwém staraniem rozszerzyła się wiara chrześciańska w krótkim czasie w całym kraju, a z nią ogłada i pomyślność. Będąc osobiście bardzo pobożnymi, odznaczali się wszyscy szczególniejszą dbałością o służbę Bożą i hojnością w wyposażaniu świątyń Pańskich i sług kościoła, jak o tém świadczą liczne przez nich wzniesione świątynie i klasztory, mianowicie w Oliwie, Gdańsku, Peplinie, Żukowie, Żarnówcu i t. d., a będąc równie czujnymi o własne dobro i swoich poddanych, zakładali liczne miasta i obronne twierdze. Ale to samo licho, co Polskę nieraz o zgubę przyprawić groziło, co Śląsk zgubiło i w ręce wrogów wydało, t. j. ciągłe podziały i rozdrabianie posiadłości pomiędzy spadkobierców, przyspieszyły i sprowadziły nakoniec upadek księstw pomorskich. Podczas owéj samodzielności, która niespełna 200 lat trwała, zażywał największego znaczenia i miał jakoby rodzaj zwierzchnictwa czy opieki nad młodszemi liniami, książę pan na Gdańsku; nie mogąc w szczególności podać, ile pobrego każdy z nich dla kraju swego zdziałał, podaję Ci przynajmniéj imiona tych książąt, tak

mało niestety pomiędzy nami znanych. Po pierwszym z nich, który, jak już powiedziałem, około 1170 r. dał się ochrzcić, Subisławie panował w Gdańsku Sambor, Mestwin I czyli Mszczug (Mścisław?) i Subisław II, i najdzielniejszy z wszystkich, nieprzejednany wróg kawalerów Teutońskich, Świętopełk, który niepowodzeniem złamany na duchu a wiekiem na ciele, przekazał państwo swe Mestwinowi II; ten zaś bądź przez niejasną politykę, bądź jak utrzymują drudzy, ponieważ był słabego umysłu, dał powód do wmięszania się po śmierci swojéj w sprawy Pomorza kawalerom niemieckim. Tenże Mestwin bowiem nie mając potomstwa, mianował jeszcze za życia (1290) swoim spadkobiercą Przemysława, księcia wielkopolskiego. Była to jedyna i najsposobniejsza chwila, aby stósunki pomiędzy Pomorzem a Polską w najzbawienniejszy dla obu stron sposób i stale uporządkować; niestety zbrodnia pod Gąsawą, gwałtowna śmierć Przemysława, którego najęci przez margrabiego brandeburskiego Waldemara mordercy znienacka napadli i zabili, zniweczyła na nowo plany Bolesławów i odroczyła przyłączenie Pomorza do Polski na długo, — poniekąd na zawsze.

Tak oto przedstawiają się dzieje Pomorza w ogólnych zarysach aż pod koniec trzynastego wieku; przeprawmy się teraz na prawy brzeg Wisły, gdzie o tym czasie nie zastajemy już Prusaków, tubylców odwiecznych téj krainy, ale rozwielmożnionych przybyszów obcych, o których wypadło nam już nieraz wspomnieć — Kawalerów Teutońskich czyli Rycerzy Maryi Panny. Wiadomo Ci jeszcze z ław szkólnych, jak ten mnichowsko-rycerski zakon powstał podczas oblężenia Akry r. 1191 na

Ziemi świętéj, założony przez kupców i rycerzy niemieckich z podwójném zadaniem pielęgnowania chorych i walczenia przeciwko niewiernym; jak następnie dostał się nad brzegi Wisły i stał się naszym sąsiadem i wrogiem, jak mówi Hołowiński, „wylęgły na piaszczystém Syryi wybrzeżu smok obrócił potém chciwe żądło na samychże chrześcian,“ — a stało się tak.

Prusacy, których siedziby nakreśliłem wyżéj, naród dzielny i bitny, spokrewniony z Łotyszami i Litwinami i jak ci z zapałem do wolności, z fanatyzmem przywiązany do swéj wiary, ale przytém okrutny i barbarzyński — tak się przynajmniéj zdaje, jeżeli tylko części opisów kronikarzy wierzyć można — byli najwięcéj niesfornymi i najniebezpieczniejszymi sąsiadami Polaków; zaledwo dzielne ramię Chrobrego zdołało ich utrzymać na wodzy lub przynajmniéj z daleka od granic polskich, bo daléj sięgające zamiary bądź mieczem bądź słowem, okazały się zarówno bezskutecznemi, jak późniejsze próby następców Chrobrego, pomiędzy którymi zasługuje szczególnie na chlubne wspomnienie rycerski zakon Braci Dobrzyńskich. Pomimo rozruchów domowych i osłabienia władzy królewskiéj po śmierci Kazimierza Sprawiedliwego, opędzali się królowie polscy jak mogli od niesfornych sąsiadów bez obcéj pomocy; dopiero niedołężny i lekkomyślny Konrad Mazowiecki wpadł na niefortunną myśl sprowadzenia na pomoc przeciwko pohańcom pruskim Kawalerów Teutońskich, którzy bez długiego wahania się przyjęli ofiarowane im zadanie. Bynajmniéj nie mam zamiaru podsuwać zakonowi, jakoby się już wtenczas kierował złą wolą i pewnemi widokami względem ziemi

pomorskiéj lub polskiéj, — ale tyle pewna, że miał złe zamiary względem ziemi pruskiéj, i że mu pomysł Konrada był wcale na rękę, bo mu zapewniał dalszą przyszłość, odpowiednią jego powołaniu a zagrożoną niepewném położeniem sprawy krzyżackiéj w Ziemi świętéj. Z drugiéj strony trzeba być sprawiedliwym dla Konrada, i o tyle możnaby jego krok osądzić z pewną wyrozumiałością i przyznać mu nawet niejaką słuszność, gdyby mu można przyznać zarazem bystrość rozumu i jasną politykę lub gorliwość o wiarę i dbałość o dobro kraju. Aliści nawet tak stronniczy historyk jak Voigt sądzi tak surowo Konrada, jego rządy, obyczaje, charakter i całe postępowanie, że trudno nie widzieć w kroku Konrada li tylko chwilowy, lekkomyślny pomysł bez gruntownego zastanowienia. Potwierdza to i czyni Konrada jeszcze winniejszym w oczach narodu i przed historyą, że to uczynił bez wiedzy i porozumienia się z drugimi książętami polskimi, jako też i sposób, w jaki się zrzekł ziemi chełmińskiéj, krwią polską tak drogo okupionéj, na rzecz nieznajomych przybyszów, cechuje jego lekkomyślność i chwiejność, główne znamiona jego charakteru. Transakcye, jakie się w sprawie sprowadzenia Krzyżaków, mianowicie o nadanie im wspomnianéj ziemi chełmińskiéj, pomiędzy Konradem a zakonem toczyły, chciwość, niedowierzanie i nieużytość, jakie rycerze już przy téj sposobności zdradzali, powinny były zaprawdę Konradowi oczy otworzyć i pouczyć go, że lepiéj mieć nieprzyjaciela aczkolwiek niebezpiecznego, ale otwartego, aniżeli przyjaciela niepewnego i dwuznacznego, który każdéj chwili mógł się zamienić w groźnego

wroga. Arcyciekawém jest w téj mierze postępowanie zakonu; nie mniéj nie więcéj jak siedm razy odrzucili braciszkowie w szyszaku dokument, mocą którego im Konrad przekazuje ziemię chełmińską i reguluje się stósunek dalszych zdobyczy, i to, ponieważ im się nigdy dosyć jasnym i pewnym nie wydawał, — nie wspominając już o tém, że każdy nowy cesarz rzymsko-niemiecki i nowy papież musiał im takowy potwierdzić. — Prawdopodobnie, że Konrad zaczął już wtenczas przeczuwać, co się święci, jakiego bazyliszka sobie w zakonie w zanadrze wpakował, i usiłował przeto ratować się wybiegami dyplomatycznemi, ale już to było za późno, — znalazł on w braciszkach swoich mistrzów.

Zabawną rolę odgrywa przy opowiadaniu tych zdarzeń Voigt, narzucając się gwałtem na rzecznika zakonu, — naturalnie! Tyle jednak pewna, że ów dokument Konrada, dotyczący nadania mnichom polskiéj ziemi chełmińskiéj. — o któréj zresztą Voigt wciąż chłodno i gołosłownie twierdzi, że to była ziemia przez Chrobrego na Prusakach zdobyta — nie musiał być ze wszystkiém w porządku, jasny i pewny, kiedy się braciszkowie wcale uspokoić nie mogli i Konrada bezustannie do wystawienia coraz nowych aktów przynaglali; ztąd można snadno sobie wytłómaczyć, że nasi kronikarze jak Bogufał, Długosz, Kadłubek, Kromer i inni, podawają rzecz w odmiennem od naszego profesora brzmieniu i znaczeniu, i to przedstawiając ją przychylnie dla Konrada i w korzystném dla sprawy narodowéj świetle. Ale pan profesor umie sobie dać radę! Dla niego jest treść owego dokumentu, tak jak on go przywodzi, rozumie i tłómaczy „ganz klar und geschichtlich er-

wiesen;“ opowiadania zaś i twierdzenia kronikarzy polskich kwalifikuje przez wzorową klimax jako „auffallend — grundlos — ungereimt — wunderlich — abgeschmackt — unwahr — unwissend — ein Musterstück von Verworrenheit.“ (Tom II. str. 197 not.). Wszak to nie tylko dobitnie powiedziane, ale i przekonywające dowody? — Nadto pan profesor nie zawahał się w swoich stronniczych celach i na poparcie swoich twierdzeń użyć jeszcze innego środka, co przynajmniéj dwuznacznego, a prawie równającego się sfałszowaniu tekstu dokumentu, o który owe spory. Wykazuje to X. Polkowski w Żywocie M. Kopernika na stronie 26 w dopisku pierwszym. We wspomnianym dokumencie albowiem opuścił Voigt zakończenie przywileju, „to jest tego miejsca, w którém biskup mówi, że wolno mu będzie wyrzucić Krzyżaków,“ — dla nas wystarcza dowiedzieć się, że biskup, do którego odstąpiona ziemia chełmińska należała, miał prawo wyrzucić Krzyżaków, że ci przeto nie nabyli owéj ziemi na wieczną posiadłość i własność, ale w pewnych celach i pod pewnemi warunkami, usque ad revocationem.

Ale za długo już zatrzymałem się u samego wstępu; sądziłem to jednak za pożyteczne, aby dać poznać ducha i usposobienie, cechujące już na samym progu wkraczający do kraju i aż po wszystkie wieki zakon kawalerów Teutońskich, walczących rzekomo dla chwały Bożéj i królestwa niebieskiego na ziemi. Dodam tylko jeszcze to jedno ku uzupełnieniu téj charakterystyki, że pierwszą sprawą zakonników po ich przybyciu do ziemi polskiéj w r. 1228, było wcielenie na krótkiém toporzysku polskich Braci Dobrzyńskich w

swoje szeregi i zajęcie na swą własność ich obszernych posiadłości w Lubawskiém, 24 mil długich a 15 szerokich, i to wbrew woli i wiedzy Konrada i wbrew woli większéj części Braci Dobrzyńskich, którzy z swoim Mistrzem na czele ustąpili z protestem i poszli za Bug, gdzie w walce z poganami zginęli bez pamięci; cześć tym bohaterom!

Rączo i dzielnie wzięli się potém Krzyżacy do wykonania swego zadania, t. j. pozyskania pogańskich Prusaków dla wiary chrześciańskiéj — ale nie jako apostołowie, lecz jako rycerze, nie jako posłowie pokoju z krucyfiksem w ręku, ale jako żołnierze z szablą, a niestety niekiedy także — z stryczkiem. To też rezultat ich pięćdziesiątletniéj krwawéj i znojnéj pracy odpowiadał zupełnie środkom użytym. Nie można go treściwiéj i charakterystyczniéj określić, jak to uczynił kronikarz zakonny Duisburg, mówiąc: „Extunc terra Pruschiae quievit in pace“ — aeterna, dodajmy do jego słów, a będziemy mieli prawdziwy obraz apostolsko-rycerskiéj czynności mnichów-kawalerów w ziemi pruskiéj. „Ubi solitudinem fecerunt, pacem appellant.“ Tak, ziemia pruska od Wisły aż do Niemna stała się jedną wielką mogiłą, pod którą cały naród z swojém życiem i czuciem, wiarą i obyczajem, z mieniem i nazwą, z wszystkiém co był i co miał szlachetnego i zdrożnego w sobie, pochowany został na wieczne czasy. Jestto fakt jedyny w dziejach ludów chrześciańskich — wyjąwszy może jemu podobne, ale nie całkiém równe z czasów odkrycia Nowego Świata — a tak okropny, straszny, nieludzki, że na samo wspomnienie przewraca się człowiekowi serce i dusza z grozą od-

wraca się od niego. A jednak znaleźli się tacy, i to liczni mężowie z takim brakiem czucia i sumienia, którzy to przerażające zjawisko dziejowe starają się usprawiedliwić. Ale to przynajmniej dwuznaczne, a w każdym razie daremne usiłowanie jest nie tyle gorszącém i bezczelném, ile raczéj niém jest sposób usprawiedliwienia, gorszy od rzeczy saméj; bo tam było uprzedzenie fanatyczne, rubaszność wieku i obyczaju, roznamiętnienie osobiste, wywołane widokiem oporu, ale tu brak udziału osobistego, namiętności interesowanych, i powszechny kilkuwiekowy postęp powinien wzywać do chłodniejszego i sprawiedliwszego sądu rzeczy. Ten zaś mieści się mniéj więcéj w tych słowach: Źle się stało, ale można wybaczyć, bo się stało na korzyść Germanii! Taki przynajmniéj sens mają obszerne refleksye i rozumowania Voigta nad grobem narodu pruskiego, które drugi sławny historyk niemiecki a mistrz pierwszego, Luden, dla ukojenia odzywającego się sumienia, w te słowa streszcza: „...natenczas czuje serce ludzkie potrzebę odkryć jakieś przyczyny, któreby z owemi wypadkami pogodziły człowieka. I rzeczywiście nasuwa się niejedna uwaga, która zdaje się być zdatną do uspokojenia nieco względem przeszłości i przyszłości. Oto zdaje się (sic!), że ludy pochodzenia łotyckiego były ze względu na położenie swoich siedzib, jako też z przyczyny swéj wewnętrznéj krewkości (nota bene — te same ludy, które się tak dzielnie broniły!) niezdolne, aby się utrzymać przy swéj niepodległości i samodzielności. Gdyby się więc nie były dostały pod władzę Niemców, byłyby się rychléj czy późniéj stały zdobyczą Słowian, Polaków lub Rosyan; a

ze względu na stósunki tych ostatnich narodów, byłyby owe szczepy przepadły bez korzyści i użytku, przeciwnie zaś weszły pod panowaniem niemieckiém w służbę ducha ludzkiego (des menschlichen Geistes?), albowiem przez opanowanie brzegów bałtyckich zyskali Niemcy (sic!) na miejscu i sposobności do wyrobienia i spożycia swoich sił żywotnich." — Co za giętkość i niejasność myśli, co za chromanie szanownego profesora w dowodzeniu, opartém na subjektywném przypuszczeniu „zdaje się," a które w ostatniém zdaniu zamienia się na pukaninę słów, w których jednak nie bardzo zręcznie stawia potrzebne quid pro quo. Bo przecież nie mowa tu o prostém podbiciu Prusaków, aby ich wprzęgnąć w „służbę ducha ludzkiego," ale o ich zupełném wyplenieniu i zastąpieniu ich przez Niemców, — jakże przeto ci, co nie byli, mogli wejść w wspomnianą służbę i stać się pożytecznemi dla ludzkości? Więc słabsze narody są na to, aby silniejsze od nich przez ich absorbcyą spożywały swoje zbytnie siły żywotnie? Jest to wcale piękna teorya zapatrywania się na dzieje rodzaju ludzkiego, taka sama, jaką się rządzą zwierzęta drapieżne, jest to zaś rzeczywiście aż do dziś panująca teorya nowożytnéj szkoły niemieckiéj, któréj ojcem i głową właśnie wspomniany Luden, tylko że za jego czasów nie występowała ona jeszcze tak nago, ale odziana dziurawym płaszczem sofizmów i frazesów. Dziś przy dalszém rozwinięciu systemu powiada pan profesor Leo bez ogródki: że pewne narody, a zwłaszcza słowiańskie (dawniéj było tylko łotyckie), odebrały od Opatrzności — ale co ja gadam o Opatrzności, przepraszam! — że narody słowiań-

skie mają w układzie ekonomicznym ludzkości przeznaczenie być nawozem, mierzwą dla nas szlachetniejszych, — naturalnie że nie innych, jak niemieckiéj; — albo jak powiedział ktoś inny, którego nazwiska sobie nie przypominam, ale którego słowa powtarza dziś lada golibroda lub szewczyk przy kufelku, że cała ziemia przeznaczona li na kolonią niemiecką. Ale dosyć na tém, stało się; Niemiec mówi: es ist geschehn, drum sei's verziehn, a my ukorzmy się przed zamiarami i wyrokami Opatrzności nie naciągając ich do swego widzimisię.

Zobaczmy teraz, czém się zacny zakon krzyżacki zajął po tak wzorowém uprzątnieniu się z Prusakami. W Prusiech nie było już ani kogo nawracać, ani z kim walczyć, bo doraźne utarczki z niedobitkami były podobne do podskakującego płomyka w gruzach pogorzeliska, które nogą przytłumić łatwo. Byli jednak daléj na Wschód jeszcze inni Łotysze w Estonii i Inflantach, i Litwini poganie; ale od walki z temi szczepami na seryo zrażało nieco doświadczenie na Prusakach zrobione, a nadto „mądry Litwin przed szkodą“ poszedł zawczasu po rozum do głowy. Bo gdy Krzyżacy jęli wojować ziemię litewską — Żmudź, nie mogąc się chętce oprzeć, zbliżyli się Litwini do Polaków, którym także spadło już dawno bielmo z oka, niestety nie dosyć wcześnie, by nie dać powodu do przysłowia „mądry Polak po szkodzie.“ Odstąpili przeto Krzyżacy od tego niewdzięcznego zadania, lubo jako mądrzy dyplomaci trzymali sobie zawsze tę kwestyą otwartą, wyzyskując ją zwłaszcza do ściągania świeżych ciągle posiłków z Niemiec. Natomiast zwrócili swe pożądliwe oczy

na Zachód, na tamtą stronę Wisły, bo też ludne, bogate i już znacznie ogładzone Pomorze było równie ponętniejszą zdobyczą, aniżeli lesista, dzika i uboga Litwa. Oprócz chęci nie zbywało im także na potrzebnym czasie; bo zaprowadzanie tak nazwanej „kultury“ w krainie pruskiej, z której zrobili tabula rasa, szło wcale gładko i ograniczało się na lokowaniu miast i rozdawaniu ziemi pomiędzy niemieckich przybyszów, krewniaków rycerzy, i to w ten sam sposób co dzisiaj, że Słowianie, zwłaszcza Polacy i Pomorzanie, byli wprost wykluczeni z prawa nabywania ziemi i wszelkich przywilejów i korzyści, przysługujących kolonistom zaludniającym owe pustynie. W dzisiejszych czasach i stósunkach można sobie tę arcyludzką praktykę wytłómaczyć, ale co takowa miało wspólnego z apostolskiém zadaniem i poselstwem mnichów-rycerzy, tego nie mogę Ci powiedzieć, bo tego nie wiem, — chyba że rycerze byli tego zdania, że Bóg chrześciański więcéj kocha Niemców, aniżeli inne narody. Nawiasem muszę Ci wypowiedzieć moje zgorszenie z powodu, że wcale przeciwnie działo się po stronie polskiéj i słowiańskiéj w ogóle, i to już wtenczas; bo jak wielu z dzisiejszych naszych panów, czuli także ówcześni książęta, prałaci i wojewodowie wielką słabość ku Niemcom, których formalnie gwałtem ściągali do swoich majętności i obsypywali przywilejami, z jakich się ani okruszyna nie dostała ich ziomkom i poddanym; dziś wprawdzie są tymi wybrańcami szczęśliwymi chyba jeszcze gajowi, ekonomowie i dyrektorowie fabryk i banków, ale źle pozostaje złém, a nawet wygląda gorszém, bo dawniéj można się było poniekąd zasłonić wymówką, która

już dziś nie popłaca, że pomiędzy swoimi nie było odpowiednich lub ich nie starczało; — zresztą nie mamy książąt i pralatów, coby mieli do rozdawania ziemie i przywileje, — bo inaczéj kto wie, coby było.

Nie chcąc, abyś mi na słowo uwierzył i pragnąc wyraźniéj pokazać, o co Kawalerom Teutońskim jedynie chodziło i w jaki sposób swe posłannictwo religijne i cywilizatorskie spełniali, przytaczam niektóre ustawy, jakie na kapitule zebranéj w Malborgu 1310 z mocą prawa ułożono: Kto ma pruskich poddanych i służbę, niechaj ich pilnie przytrzymuje do nabożeństwa i na to baczy, by nie rozmawiali pomiędzy sobą po prusku; niechaj téż sam jak najmniéj przemawia do nich po prusku, ale usilnie wprawia do używania mowy niemieckiéj. Zakazuje się, aby w miastach i przedmieściach niemieckich (t. j. lokowanych na prawie niemieckiém), siołach, osadach i karczmach Prusak nie był stawiony starszym nad innymi lub do jakiego urzędu przypuszczonym został. Zarówno zakazuje się Prusakom, bądź mężczyźnie, bądź kobiecie, szynkowania piwa; mają zaś Prusacy być przytrzymywani, aby opuszczone spadki i spustoszałe włóki zasiedlali i uprawiali zagony zapuszczone i t. d. Tout comme chez nous! Nie podoba się wprawdzie taka otwartość kronikarza, Szymona Grunau, który te przepisy dla potomności przechował, panu Voigtowi, i dla tego stara się tenże podać je w wątpliwość, a widząc trudność zadania, usiłuje odjąć wiarę biednemu kronikarzowi, którego zbytnia otwartość wogóle mu wcale nie na rękę, piorunuje na niego i obrzuca błotem, zowiąc kłamcą, głupcem, fałszerzem i Bóg wie,

jak jeszcze. Ale, panie profesorze, każdy w swoim guście, chodzi tylko o to, kto z was dwóch więcéj zgrzeszył.

Stósownie do woli i rozporządzenia ostatniego księcia pomorskiego w Gdańsku, Mestwina II, po śmierci Przemysława Wielkopolskiego i krwawéj rozprawie z Wacławem księciem czeskim, połączył Władysław Łokietek ziemię wschodnio-pomorską z Koroną. Tymczasem udało się już było zakonowi okroić nieco spadek książąt pomorskich; stanąwszy bowiem podczas wspomnianéj wojny po stronie czeskiéj i korzystając z ogólnego zajęcia, nabył na Pomorzu znaczne obszary ziemi drogą kupna, — widocznie w tym celu, byle mieć tyle miejsca, aby choć jedną nogą stanąć na Pomorzu. Niestety Władysław, zajęty, jak wiadomo, ciągle walką z swoimi przeciwnikami, nie miał potrzebnych sił ni czasu, by sobie zapewnić posiadanie Pomorza, a zwłaszcza by usunąć zuchwałe uroszczenia margrabi brandenburskiego, który opierając się na dawnych i przedawnionych układach familijnych, wkroczył na Pomorze i obległ Gdańsk. Niepomny na smutne doświadczenie ongi Konrada Mazowieckiego, zawezwał Władysław pomocy zakonu krzyżackiego, pod przyrzeczeniem zwrócenia kosztów wyprawy podjętéj ku odsieczy obsaczonego miasta. Zaprawdę niebaczny nie mógł Krzyżakom uczynić większéj przysługi, jak wciągnąć ich w tę sprawę i otworzyć im na oścież wrota do kraju, do którego się rwali jakby do Ziemi obiecanéj. Rozumie się przeto, że zakon przychylił się jak najchętniéj do żądania Władysława i wykonał je również, ale po swojemu: oswobodził Gdańsk i Pomorze od Brandeburów i zatrzymał

je dla siebie. Daremnie ofiarował Władysław zwrócenie kosztów, łożonych przez Krzyżaków na tę wyprawę; nie przyjęto nawet wyższego wynagrodzenia, aniżeli było umówionem, ponieważ się król nieco spóźnił z terminem. Braciszkowie nie przyjęli nakoniec posłów króla polskiego, i aby przecież jakiém prawem, którego zgoła nie mieli, upozorować zagrabienie ziemi pomorskiéj, weszli w układy z margrabią brandeburskim, jako jedynym prawowitym pretendentem, z tym samym przeto margrabią, którego w imieniu króla polskiego wyrugowali z najechanéj przez niego ziemi. A mając siły po temu i potrzebne pieniądze, nie było im trudno, tegoż i drugich współubiegających się książąt zachodnio-pruskich zbyć gotówką, a królowi polskiemu dostała się szydercza odprawa. Nieprawości po szczególe, jakich się kawalerowie przy zajmowaniu twierdz i grodów pomorskich dopuszczali, wypędzając wszędzie namiestników i urzędników króla polskiego, pomiędzy nimi synowca królewskiego, dowodzącego w Świeciu, rugując z miast i wypędzając całkiém z kraju magistraty, radnych i obywateli wiernych królowi, to znów przekupując jednych a wieszając drugich, nieprawości te są tak liczne i oburzające, że nawet Voigt widzi się zmuszonym wydać wyrok potępiający takie postępowanie, zowiąc je „ein überaus hartes Verfahren und auf keine Weise zu rechtfertigen.“ (IV, 225.) Wspominam zaś umyślnie o tém, bo będzie sposobność i potrzeba odwołać się na tak ohydne postępowanie Kawalerów Teutońskich. Również nie może Voigt przyznać zakonowi słuszności względem zagarnięcia ziemi pomorskiéj, mówiąc, iż jakkolwiek Kawalerowie nabyli

poniekąd pewnego prawa do Gdańska przez przyniesienie mu odsieczy, za co nie zostali w swoim czasie wynagrodzeni, „so konnte der Orden doch keineswegs ein unbestreitbares und ewiges Besitz- und Eigenthumsrecht auf Pommern begründen. (tamże). Zawsze wymowny i wyrozumiały rzecznik zakonu wyraża się, jak widać, bardzo oględnie i pobłażliwie, ale już i te słowa wystarczą na ocenienie postępowania i ducha Kawalerów Teutońskich nie mniéj, jak do wyświecenia ich praw do ziemi pomorskiéj.

Wspomniane wypadki miały miejsce w latach 1307 aż do 1311. Następujące dziesiątki zeszły to na układach, to na bojach bezustannych i bezskutecznych, w których się odznaczał przez najczynniejszy udział król Jan czeski, wichrząc kraj polski i zagmatwując stósunki coraz bardziéj. Świetne zwycięstwo pod Płowcami, odniesione w dzień Przeniesienia św. Stanisława d. 27 września 1331 przez Władysława, nie zostało należycie wyzyskane; potwierdziło się na nowo, że Polacy umiejąc zwyciężać, nie umieli z zwycięstwa korzystać; byli rycerzami, ale nie dyplomatami. Trwały więc zjazdy, transakcye, ugody, spory i wojna przez cały wiek czternasty, zapełniając całe panowanie Władysława i Kazimierza Wielkiego, dla których to, należących do najdzielniejszych i największych z królów naszych, niema historyk niemiecki, którego się wciąż trzymam, ani słówka uznania i sprawiedliwości, wspominając owszém o nich zawsze z przekąsem i lekceważeniem, niekiedy nawet z pogardą. Nie tracą na tém nic w oczach naszych wielcy królowie, ale dla nas dobrze to i pożytecznie, poznać praktykę przeciwników naszych i być nam

także nieco chłodniejszymi w podziwianiu dziejów i bohaterów niemieckich, do czego nas zaprawiają po szkołach, a czasem sami zbytnie lub zbyt łatwo się zapalamy.

Tymczasem zasiadł na tronie Piastów Władysław Jagiełło, a Krzyżacy zaczęli się domyślać, że się dla nich coś święci; ich przeczucie miało się w krótkim czasie ziścić, gdy się ich usiłowania nie powiodły, aby zażegnać gotującą się z daleka burzę. Drobna na pozór rzecz, bo spór graniczny o kilka wiosek położonych nad Notecią, stała się ową iskrą, która z zarzewia nagromadzonego od wieków wzniecila ogromny pożar wojenny (1407), pamiętny wygraną pod Grunwaldem. Wypadek ten jest zanadto świetny i znany, abym się miał szczegółowo o nim rozpisywać na tém miejscu. Powiem Ci tylko, jaki był rezultat; owo jak zwykle prawie żaden! Zawarto pokój w Toruniu, pierwszy, w dniu 2 lutego 1411 r. na następujących warunkach: cały kraj pruski z ziemiami chełmińską i lubawską, jaki Kawalerowie mieli w posiadaniu przed wojną, — pozostał i nadal przy nich, o Pomorzu i Nadnoteckiém mieli orzec sędziowie polubowi; Żmudź dostała się Witołdowi aż do jego śmierci; poczém miało być zakonowi wolno wystąpić z dawnemi pretensyami (!), — oprócz tego musiał zakon grubo zapłacić, — i to wszystko! Nie dziw przeto, że niezadowolenie po stronie polskiéj trwało daléj, a skutkiem tego, pomimo wiecznego pokoju, bezustanne skargi, wzajemne zarzuty i zbrojne utarczki. Atoli klęska Kawalerów pod Grunwaldem, jakkolwiek w namacalne korzyści dla Rzeczypospolitéj tak uboga, zadała stanowczy cios dotychczasowéj politycznéj przewadze i wewnętrz-

nej sile zakonu niemieckiego, od tej chwili albowiem datuje jego upadek, spowodowany ogromném wysileniem w ludziach i pieniądzach, rozprężeniem wewnętrznego organizmu t. j. ubytkiem karności w członkach, a miłości i zaufania u poddanych, — braki, jakich napływ świeżych środków materyalnych z wielkiéj ojczyzny niemieckiéj nie był w stanie wynagrodzić lub zastąpić.

Niedługo po zawarciu pierwszego pokoju, toruńskiego, zawiązało pomiędzy sobą kilkadziesiąt miast pruskich i pomorskich i znaczna liczba rycerzy niemieckich tak nazwany Związek Jaszczurczy, który był poprostu spiskiem przeciwko zakonowi, uciemiężającemu poddanych przez ogromne podatki i ścieśnianie swobód. Gdy Kawalerowie słusznym w téj mierze żądaniom skonfederowanych nie uczynili zadosyć, udali się ci ostatni pod opiekę króla polskiego Kazimierza Jagiellończyka, i złożyli mu hołd uroczysty w Toruniu (1453). To stało się hasłem do trzynastoletniéj wojny pomiędzy królem i Krzyżakami, którą z rzadkiém powodzeniem dla oręża polskiego prowadzono. O niektórych szczegółach będzie może jeszcze późniéj sposobność powiedzieć niejedno; na teraz wymieniam jako ważniejsze wypadki bitwę pod Chojnicami, dwudziestotygodniowe oblężenie Malborga przez wojska polskie, który po pierwszém zajęciu przez Polaków dostał się za zdradą mieszkańców znowu w ręce W. Mistrza, i bitwę pod Żarnówcem w bliskości Pucka, w któréj się odznaczył pewien Paweł Jasieński. Upadek Chojnic rozstrzygnął tak jak pierwszą wojnę za czasów Jagiełły, te krwawe zapasy, a zakończył je drugi pokój toruński (19 października 1466), przez

który całe Pomorze wróciło do Polski, a zachodnia część Prus od Wisły aż do Olszy (Alle) z Malborgiem, Toruniem i Gdańskiem przeszły pod panowanie polskie; reszta posiadłości krzyżackich tak nazwane Prusy Wschodnie, pozostały jako lennictwo króla polskiego w posiadaniu Kawalerów. *) — I tu nie podobna pominąć milczeniem faryzeuszowskich deklamacyi Voigta, jakiemi — na pokrycie niezadowolenia — usiłuje zohydzić Polaków i ich sposób prowadzenia wojny; a jużcić to wojna nie zabawą à la guerre comme à la guerre, a jeżeli Polacy zniecierpliwieni podstępną chytrością i rozjątrzeni w wysokim stopniu zaciętym uporem wiarołomnych braciszków, na co, jak całe wieki przekonywały, nie było rady i lekarstwa, nie przebierali w środkach, gdzie chodziło o byt własny; to przynajmniéj Kawalerowie nie byli lepszymi od nich, płacąc pięknem za nadobne. Owszém rozprzężenie obyczajów i reguły w zakonie i brak karności w ich zastępach wojennych, będących zbiegowiskiem landsknechtów z całéj Europy zachodniéj, były nadzwyczaj rażące i odbijały się

*) Mianowicie odstąpił zakon:

a) Pomorze gdańskie z grodami i miastami: Gdańsk, Puck, Lambork, Hejla, Kościerzyna, Tczew, Gniew, Nowe, Świecie, Osiek, Jasiniec, Kiszewa, Człuchowo, Chojnice, Fyrląd, Hamersztyn, Baldenbork, Bytow, Tuchola, Sobowidz i Skarszewy.

b) Ziemie chełmińską i michałowską: Toruń, Chełmno, Grudziądz, Bierzgłowo, Starogród, Unisław, Kowalewo, Rogoźno, Pokrzywdowo, Radzyn, Golub, Papowo, Brodnica, Brytau, Nowemiasto, Lubawa, Lasin.

c. Zamek i miasto Malborg z żuławami, Sztum, Elbląg, Tolkemit i Kiszpork.

d) Ziemię warmińską z Brunsbergą i kilku innemi miastami.

jaskrawo w przedsięwzięciach wojennych Krzyżaków, których pamięć w ziemiach polskich dopiero Szwedzi zatarli i zastąpili równą sławą. Zresztą nie można się temu dziwić: Zakon już był wtenczas utracił swą idealną podstawę, na której tak olbrzymio wyrosł, utracił również racyą dalszego bytu, a z tém warunki powodzenia; albowiem przeznaczony do walki z niewiernymi i rozszerzania królestwa Bożego między poganami, przeniewierzył się dawno swemu zadaniu, obróciwszy miecz swój na chrześcian i wojując od przeszło 150 lat prawie wyłącznie dla spraw osobistych i czysto politycznych, nie mających nic wspólnego z jego pierwotném zadaniem. Zdradził i opuścił sprawę Boga i dla tego oddał go Bóg w ręce tych, których zguby szukał, — bo czém kto zgrzeszył, tém bywa karan.

Twój

Czesław.

IV.

Kochany Przyjacielu!

Kartuzy....

Tandem tedy wyruszyliśmy z prześwietnéj Kościerzyny w dalszą podróż i to w samą głąb Kaszub, do tak zwanéj kaszubskiéj Szwajcaryi. Pomijam w moim opisie dworki i plebanie, jakieśmy po drodze nie tylko z daleka oglądali, ale z bliska poznali i polubili, bo wszędzie znaleźliśmy, by jedném słowem wszystko powiedzieć, polską cnotę. Z wielu miar zacni obywatele kaszubscy wydawali mi się

tém większego szacunku godni, że wystawieni na swoich wprawdzie obszernych, ale jałowych wydmach na ciężką i nieustanną walkę z niewdzięczną ziemią, i nieco przygnębieni takiém pasowaniem się, przecie z rzadkim hartem duszy podejmują i toczą równie ciężką i nieustanną, a daleko zaciętszą walkę moralną z zalewającym ich kraik żywiołem obcym. Wolni od szkodliwéj rdzy marnotrawstwa i od szpecącéj śniedzi lenistwa, które tak stale kruszą falangę szlachty polskiéj, przyświecają oni właśnie przeciwnemi owym wadom cnotami, oszczędnością i skrzętnością, dzieląc te dwa przymioty po części z ludem kaszubskim zarówno, jak tegoż niekłamaną religijność.

By pozostać przy jednéj rzeczy i z nią się uprzątnąć, zanim przejdę do drugiéj, uzupełniam kilku uwagami notatki podane wyżéj a dotyczące ludności kaszubskiéj. Kaszubi czyli jak się w swojém narzeczu zowią, Kaszebi (z przyciskiem na pierwszéj zgłosce) należą do wielkiéj familii zachodnio-słowiańskiéj, która niegdyś zajmowała ogromną przestrzeń pomiędzy Łabą a Wisłą. Rzeczka Persanta w dzisiejszéj Pomeranii dzieliła Kaszubów na Wschodnich i Zachodnich; ci ostatni zachowali swoję niezależność polityczną pod narodowymi książętami na Szczecinie aż do r. 1181, w którym, jakom już wyżéj wspomniał, oddali się pod opiekę cesarza niemieckiego Fryderyka Rudobrodego, tego samego, który w ten sam sposób połączył Piastów śląskich z Niemcami. Krok ten uczynili książęta pomorscy z konieczności, aby byt swój ocalić przed zagarniającym wszystkie słabsze księstwa dla siebie Henrykiem Lwem, książęciem saskim; wprawdzie utrzymali się takim

sposobem przy tronie i kraju, ale jak Piastowie na Śląsku zniemczyli się w krótkim czasie z całym prawie ludem. Kaszubi wschodni zaś byli od niepamiętnych czasów ściśle związani z Polanami nad Gopłem, dopiero pod rządami mniéj dzielnych i zabiegliwych następców Chrobrego, zdołali się wyłamać z pod zwierzchnictwa królów polskich i przez sto lat tworzyli niezawisłe księstwo, począwszy od bajecznego Subisława Starego aż do Mestwina II (od 11?? aż do 1294), który zeszedł z świata bez męzkiego potomka. Wiadomo już, jakim sposobem Pomorze wschodnie, tak albowiem Polacy zwali powszechne księstwo gdańskie, dostało się pod panowanie Kawalerów Teutońskich i jak następnie wróciło do Polski.

Patrząc na skład téj ludności, zastanawiać się trzeba nad tém, jak mało znać szlachta, ten najważniejszy czynnik w organizmie politycznym słowiańskim, zwłaszcza polskim, zdołała sobie wyrobić i zapewnić stanowisko wpływowe i górujące ponad drugiemi stanami, albo chyba przypuścić należy, że Kawalerzy Teutońscy pozbawili ją całkiem znaczenia, wyzuwszy z mienia i odsunąwszy od zarządu krajowego, co bardzo prawdopodobném przy znaném postępowaniu rycerzy. Za czasów polskich zaludnił się kraj na nowo szlachtą polską, która przecież nie zdołała lub nie chciała wpłynąć stanowczo na niższe warstwy ludności. Druga i to znaczniejsza część ówczesnéj szlachty krajowéj, pierwotnie niemieckiéj, przedzierzgnęła się z czasem w Polaków, czego dowodzą liczne nazwiska podwójne, pierwotnie niemieckie z przydomkiem lub tłómaczeniem polskiém, i herby niepolskie. Dzisiejsza, nadzwyczaj liczna drobna szlachta kaszub-

ska, nie mająca żadnego znaczenia, pochodzi po większéj części z czasów króla Jana III, który, jak wiadomo, całe osady spieszące na potrzebę turecką nobilitował i obdarzał ryczałtowo jednym klejnotem, w którym nigdy nie brakuje pół-księżyca. Nieraz mieszkańcy całéj osady, nie różniący się w niczém od prostego chłopa, pomni jednak zawsze swego klejnotu, i noszący nazwiska, którychby im pozazdrościć można, okazują się godnymi przywileju szlacheckiego, umieją go cenić i przechowują starannie; téj to może okoliczności jest do zawdzięczenia, iż Kaszubi w ogólności tak mało ochoty okazują do germanizowania się, zwłaszcza, że duszą i sercem są przywiązani do katolickiéj wiary ojców, tak że miano katolika, podobnie jak w drugich stronach Polski, znaczy dla nich to samo co Polaka, a Niemca to samo co lutra.

Reszta ludności wiejskiéj stała się pod nieludzkiemi rządami Krzyżaków tém, czém ją dzisiaj widzimy, opuszczoną, sponiewieraną trzodą, nad któréj zniemczeniem pracują przeszło sto lat, zwolna ale statecznie i z wyrachowaniem. Głównym środkiem ku osiągnięciu tego celu była dawniéj kolonizacya, którą mianowicie Fryderyk II na wielką stopę urządził; nie tylko, że młodych ludzi z Prus Królewskich gwałtem sprowadzał do Pomeranii i Brandenburga, zkąd ich po wyuczeniu rzemiosła i języka niemieckiego odstawiano napowrót do miast pruskich; nie tylko; że gwałtem zabierano młodzież szlachecką i pakowano do świeżo założonych zakładów kadetów w Słupcu i Chełmnie, zkąd wyszli dziś w armii pruskiéj tyle słynący Kręccy, Małotki, Węsiercy i wielu innych; ale by dojść rychléj do zamierzonego celu, ściągał

do „swéj Kanady,“ jak nasze Prusy szyderczo przezwał, tysiące rodzin niemieckich, nakazując surowo, aby się starano o kolonistów z Palatynatu, Śląska, Turyngii, Mokloborza, a nie dopuszczano „Stockpolen“ z Górnego Śląska lub z Wielkopolski. Co pół roku kazał sobie zdawać raport o postępach kolonizacyi, trzymając się na początku zasady mięszania obcych przybyszów, gołych fryców i chłystków bez wyjątku z tubylcami Polakami, czyli jak to zwał w swoim drastycznym tonie „mit polnischem Volke meliren.“ Ale bądź, że się ta sztuka nie udawała — bo téż trudno ogień z wodą zmięszać — o ile że pojedyńczy koloniści śród ludności polskiéj przepadali jak kamień w wodzie, bądź że przybysze sami nie chcieli być „meliret mit dem polnischen Volke,“ dość, że ich następnie osadzano gromadnie po wsiach polskich lub zakładano całkiém nowe osady. Oprócz tego zalał zabrany kraj, co się samo przez się rozumie, setkami urzędników, zwłaszcza z wysłużonych żołnierzy, któremi wszystkie nowo potworzone urzędy niższe i szkoły poobsadzał.

Lubo w następnych czasach kolonizacya nie była tak energicznie forsowaną, wszelako nie ustawała nigdy całkiém; głównie to jednak pozostaje dziełem Fryderyka II, że ludność Prus Królewskich jest więcéj aniżeli wszelkich innych części zabranéj Polski, więcéj nawet aniżeli Górnego Śląska, mięszaną, stósunkowo najmniéj w Kaszubach samych, a to dla tego, że Fryderyk skierował główny prąd emigracyi w powiaty położone w środku prowincyi, aby mu z powiatów nadgranicznych koloniści nie zbiegali napowrót do Niemiec, co się dość powszechnie działo. Wszelako nie godzi się prze-

pomnieć także o zasługach położonych około samozwańczéj kultury przez Krzyżaków i niektórych zakonów, mianowicie Cystersów i Kartuzyan, w tych stronach, którzy nietylko sami byli zawziętymi Niemcami, wrogami ludności słowiańskiéj, śród któréj znaleźli wygodne pomieszczenie i od któréj się odgradzali jakby od paryasów, ale nadto obsadzali liczne dobra klasztorne swoimi ziomkami, nieraz nawet lutrami. — W ostatnich czasach obrano nowy system t. j. nie materyalne, lecz moralne ciosy ponosimy. Przekonano się bowiem, że materyalnymi środkami nic się nie wskóra, dla tego przywołano na pomoc szkołę, by już młodocianne umysły do swych celów zużytkować. Smutno to rzeczywiście, bardzo smutno, bo jeśli Bóg sam nie przyjdzie na pomoc w téj walce, a jeśli rodzice nie postarają się o zastąpienie ubytku w nauce religii i języka ojczystego przez jakiebądź poduczenie swoich dziatek tego, co szkoła zaniedbuje, natenczas, mówiąc otwarcie, choć po prostu, weźmie język polski i ludność polska w łeb w tych stronach, — a z nimi zniknie wiara katolicka!

Ale to strachy na Lachy, — mamy twarde łby i nie damy się strawić, choć żeśmy się zjeść dali, jak nas pocieszał J. J. Rousseau. To téż odwracam się od dalszego przeglądu téj roboty politycznego rzemiosła, aby obaczyć, jak ten lud wygląda, na którym się owe manewra i sztuki odbywają od pokolenia do pokolenia. — Trzy zwłaszcza czynniki składały się skutecznie na uwydatnienie w Kaszubach znamion dosyć charakterystycznych: i to twardy klimat północny, zaostrzony przykremi wiatrami i długą a mroźną zimą; powtóre dzika i skąpa ziemia, pagórkowata, lesista i sapowata,

a nakoniec długa niewola i z nią połączone zaniedbanie umysłowe. Dwa pierwsze wpłynęły głównie na usposobienie fizyczne ludności i wyrobiły z niéj plemię, nie odznaczające się wprawdzie kształtnością ani pięknemi rysami twarzy, ale zahartowane, jędrne, przestające na lichéj strawie, na szorstkiém i niedostatecznem odzieniu i na nędznem pomieszkaniu. Trzecia okoliczność wpłynęła więcéj na usposobienie moralne ludu i to mniéj korzystnie, gdyż Kaszuba odznacza się chytrością, a zwłaszcza uporem tak dalece, że weszło w przysłowie: uparty jak Kaszuba; posiada on téż obfitą żyłkę do kupiectwa, ztąd skłonniejszy do rozmaitego zarobkowania, aniżeli do ciężkiéj pracy. Do dodatnich zaś przymiotów Kaszuby należą przedewszystkiém gorące przywiązanie do wiary ojców i języka, wrodzony spryt i umiarkowanie. Z przyczyny wymienionych ujemnych stron charakteru brak téż Kaszubom owéj giętkości i wrodzonéj elegancyi, właściwéj szczególniéj Małopolanom, i owéj serdeczności, która cechuje Wielkopolan i Ślązaków; owszém razi w nich zbyteczne nieokrzesanie i gburowatość, z których znać słynęli już dawniéj jak tego dowodzi wzmianka w „Responsie IMCpana Marcina Nieborowskiego, podkomorzego sochaczewskiego, 1658, na Satyry Krzysztofa Opalińskiego, pisane w roku 1650," gdzie śród czerni, jaką ten ostatni sprowadził z Szwedami na Polskę, są także wymienieni Kaszubi:

„Nawet Żyd, Cygan i gruby Kaszuba,
Swych Ryńskich owiec w ostach odbieżawszy,
Szedł z nim na wojnę, bardziéj na rabunek."

Nie wyrodzili się jednak Kaszubi co do bitności i waleczności, im wspólnéj z całą rodziną

słowiańską, i musieli się owszém dać nie raz nie źle we znaki nieprzyjaciołom, kiedy po dziś dzień wspominają o nich w swoich pieśniach w nabożnéj zwrotce: „Vor Wenden und Kaschuben, bewahre uns, o Herr!“

Ze stroju narodowego przechowała się jedynie czapka barankami obszyta, pokrywająca prawie przez rok cały — wedle przysłowia kaszubskiego, aż do świętego Ducha nie zdejmij kożucha, a po świętym Duchu chódź znowu w kożuchu — jakby okrągły szyszak całą głowę i kark, zresztą zupełnie podobna do czapek Serbów łużyckich; od długiéj fałdzistéj sukmany z samodziału, z kroju podobnéj do surduta, ma wedle kronikarza Bogufała pochodzić nazwa Kaszub (?). Bez wyjątku lubują się w pięknych koniach, szlach i derach; zamiast rogacizny hodują dla braku dobréj paszy, duże fagasy polskie z grubą wełną. Wogóle nie można jednak powiedzieć, żeby się odznaczali pracowitością i zabiegliwością, przenoszą raczéj nad ciężką pracę około roli zajęcia przypominające stan koczowniczy: połów ryb i raków, hodowlę gąsek i indyków, zbieranie suchych gałęzi, grzybów i jagód, to najmilsze i powszechne zatrudnienie Kaszubów.

O narzecze kaszubskie prowadzą lingwiści do dziś dnia zacięte spory. Ja, jako nieuczony, ani lingwista, nie kuszę się bynajmniéj o rozstrzygnięcie tego sporu, ale przychylam się ze swéj strony najwięcéj do tego zdania, że narzecze kaszubskie, które wedle mego zdania przedstawia szczątek połabsko-nadbałtyckiego narzecza, podległo silnemu wpływowi polskiemu, i w skutek tego nie ma w obecnym kształcie pomiędzy niém a językiem pol-

skim tak wielkiéj różnicy, jak pomiędzy małoruskiém narzeczem a wielkoruskim językiem, albo też pomiędzy słowacką a czeską mową. Właściwie zaś mówiąc, polskie i połabsko-nadbałtyckie języki przedstawiają pośród narzeczy słowiańskich taką dwójkę blizko spokrewnioną, jaką z drugiéj strony pojawia narzecze wielko-ruskie z mało-ruskiém albo czesko-morawskie ze słowackiém“ *). — Pomijając szkaradne germanizmy, n. p. byłem idzony, byłem jechany, jestem wygrany, da i nie da (es gibt — gibt nicht), od jakich nawet tyle okrzyczane narzecze górno-śląskie uchowało się szczęśliwie, przejmując wprawdzie pojedyńcze wyrazy niemieckie, ale ratując w zwrotach mowy ducha polskiego; uderza w tém narzeczu najwięcéj stała zmiana samogłosek, co się wprawdzie w mowie chłopskiéj także w drugich prowincyach polskich napotyka, ale z pewném ograniczeniem na niektóre formy i samogłoski, n. p. rek — rak, jo — ja, en (łen) — on, me — my, wa — wy. Daléj sprawia zupełnie brak spółgłosek zmiękczonych i akcent wyrazów, spoczywający bez wyjątku na trzeciéj zgłosce od końca, że narzecze kaszubskie wydaje się bardzo twardém n. p. sę — się, dzob — dziób, mec — mieć, peck — piec, pijeli, na dachu, tsy pteki psćleceli — trzy ptaki przeleciały i t. d. Tak odmienna akcentuacya wyrazów pozwala przypuścić, że pierwotne narzecze kaszubskie nie należało do jednéj familii z polskiém, obok którego utrzymało się jeszcze jedynie serbsko-łużyckie, w którém przycisk wyrazu

---

* J. Baudouin de Courtenay: Kilka słów z powodu „Wszechsłowiańskiego abecadła“, tłum L. Rzepecki.

spoczywa na przedostatniéj zgłosce z końca. Jak twardy był duch téj jędrnéj mowy pierwotnéj, pokazuje się także z niektórych imion własnych, które się aż do naszych czasów przechowały, a zaiste pochodzą z najodleglejszych wieków n. p. rzeki Brda, Wkra, Gwda, Drga, Lda, Wzdzydze (jezioro w powiecie kościerskim), Mszczug (Mestwin), Mściszewice, Strzepcz, Puck, Gdańsk, Rzeżęcin, Dzierżążno i t. d. Dodać winienem, że Kaszubi sami dzielą się na greb-kaszebów (grubi) i fejn-kaszebów; tamci zamieszkują powiaty wejherowski i gdański i przechowali swe narzecze w większéj czystości, ci zaś zajmują powiaty kartuski, kościerski i chojnicki i zbliżają się swoją mową więcéj do Polaków, i ztąd też uchodzą zapewnie za więcéj ogładzonych. Po prawym brzegu Wisły, a nawet po lewym w powiatach starogardzkim i świeckim, chociaż takowe należały dawniéj do Pomorza, jest narzecze kaszubskie wcale obce, i ludność tamtejsza mówi językiem czysto-polskim. Nastąpiło to niezawodnie nie tylko skutkiem bliższego sąsiedztwa z ludnością polską, ale można przypuścić, iż ta posuwając się zwolna coraz dalej, zastąpiła pierwotną ludność pochodzenia kaszubskiego; zresztą ostatnie powiaty odznaczają się także przed powiatami zamieszkanemi przez Kaszubów większą urodzajnością i łagodniejszym klimatem, co się również mogło przyczynić ku zmianie ludności, o ile zwabiały więcéj Polaków do osiedlania się w tych stronach, aniżeli w mniéj ponętnych położonych ku północy *).

*) Dla ciekawości podaję Ci kilku wyrazów czystokaszubskich, jakie mi się przy sposobności pochwycić udało:

Tandem tedy — ale teraz już z przeproszeniem Ignacego Krasickiego resp. pana Podstolego — puściliśmy się w góry szembarskie, na które się z Kościerzyny dość często zapatrywałem. Po jednostajnéj dwugodzinnéj podróży — bośmy nie obrali szosy idącéj wprost na owe góry — przez nędzne wioski i piaszczyste wrzosy stanęliśmy około południa we wiosce tegoż nazwiska, co i garby, u których stóp leży. Są to najwyższe szczyty wyżyn w średniopólnocnéj Europie pomiędzy Uralem i lasem hercyńskim, które się w różnych kierunkach po Prusiech Książęcych, Pomeranii, Mokłoborzu i Brandenburgu rozchodzą. Są to ogromne masy piaszczyste utworzone przez wylewy morza w czasach przedhistorycznych, zakrawające swoim kształtem zwłaszcza w tych stronach na góry drugorzędne, tak że je Niemcy ochrzcili „kaszubską Szwajcaryą,“ i to tym razem dosyć słusznie, o ile romantyczne krajobrazy, urozmaicone dzikiemi stekami, potoczystemi strumykami i jeziorami, obfite w prześliczne widoki, przypominają rzeczywiście Szwajcaryą en miniature. Najwyższy szczyt

---

weszczerzyca — jaszczurka, potrawnica — poziomka, szczérebki — torki, piskorz — szarańcza, maslok — moiyl, mera — motyl, zdawane — ślub, wergle — dziwactwo, śmieszność góscieje — ospa, jastry Ostern) — wielkanoc, pastewka — kasztan, koronka, gronk — garnek, ruta — szyba, ruta — piołun, nenka — mama, urzasnąc się — ulęknąć się, mol — miejsce (majątek, statek, laik — rysik, duszko, chutko — szybko, łużenec — uwiązać, guła — indyk (samica), gularz — indyk (samiec), reda — warstwa ziemi pokrywająca pokład torfu, wierzeje — wrota, wiecheta — gałąź, śledz — śledź solony, perki — śledź wędzony, mancy — śledź świeży, krelczy — kartofle, sznera — katar, komtur — ropucha, mełnia — błyskanie się bez grzmotu i światłość morza.

wznosi się przeszło 1000 stóp nad powierzchnią morza, co przy blizkości tegoż stanowi poważną wysokość, zwany powszechnie Thurnberg od rusztowania na nim postawionego w celach trygonometrycznych. Nazwę gór wioski Schöneberg — Szembark — trzeba z tém wszystkiém brać w znaczeniu eufemistycznem, wedle etymologii lucus a non lucendo; jestto kolonia niemiecka, którą założył Dymitr Wejher, starosta kościerski w roku 1607 i obsadził luterskimi Pomerańczykami.

Wszedłszy na sam szczyt góry ucieszyliśmy się nader miłym, obszernym widokiem, tylko że zbyt martwym i jednostajnym; w około pełno lasów, wrzosów, chudych pól i jezior, ale mało wiosek, ruchu i życia, — słowem skromny to widok, ale luby i zajmujący. Po miłym wypoczynku ruszyliśmy daléj ku Kolanu, położoném nad samém jeziorem raduńskiém. Jestto przeszło dwie mile długa woda, rozpadająca się jakby w kształcie krzyża na cztery ramiona i tak nie tylko kształtem, ale i ślicznem otoczeniem przypomina zupełnie tyle zachwalane jezioro fyrwalsztackie w Szwajcaryi, — według opowiadań podróżnych, którzy jedno i drugie widzieli. Wkrótce stanęliśmy w Kamionce, gdzieśmy znaleźli najserdeczniejsze polskie przyjęcie. U stóp pagórka, na którym dworek stoi, wita przechodnia ogromna Boża Męka, która ma także swoję małą historyą. Jak nam albowiem uprzejmy gospodarz opowiadał, znaleźli jego ludzie przy kopaniu gliny znaczną bryłę bursztynu, którą przed panem ukryli i natychmiast żydkowi za bezcen sprzedali. Ale właścicielowi udało się uzyskać ją napowrót, poczém ją temu samemu żydowi sprzedał za cztery razy większą

cenę, aniżeli był ludziom zapłacił. Za te pieniądze wystawił dwie piękne figury, jednę w Kamionce a drugą w pobliskiéj Górnéj Brodnicy, i jeszcze pozostało dosyć na wynagrodzenie ludzi, którzy bursztyn znaleźli. Ten dziwny płód mineralny, stanowiący niegdyś główne bogactwo i sławę krain nadbałtyckich, ceniony w czasach przedchrześciańskich wyżéj od złota, stał się dzisiaj dosyć rzadkim w tych stronach i w głębi prowincyi; umiejętnie dobywają go jednak jeszcze pod Puckiem i w kilku miejscach Prus Książęcych na koszt rządu, albowiem prywatnym nie opłaciłaby się praca. Pojedyńcze mniejsze lub większe bryły bursztynu znachodzą się czasem przy kopaniu torfu, przy oraniu i łowieniu ryb; ale bywają także wypadki, chociaż rzadkie, że niejeden 'gburek zrobił fortunkę, jeżeli szczęśliwym trafem nadszedł na obfitszą żyłę téj skamieniałéj żywicy. Kawał jednofuntowy kosztuje do 60 talarów, za pięć bryłek idących na funt płacą połowę téj ceny, za pięćdziesiąt drobnych kawałków na funt do trzech talarów. Oprócz wielkości wpływa głównie na cenę kolor bursztynu, najwięcéj poszukiwany i najdroższy jest koloru blado-kapuścianego i z muszkami skamieniałemi, najpospolitszy i najtańszy jest przezroczysty, podobien do szkła.

Pięknemi widokami można się tu nasycić zupełnie, gdyż z każdego pagórka przedstawia się zawsze nowy, a zawsze równie ładny krajobraz. Na szczególną wzmiankę zasługują Dolna Brodnica, Ramboszewo, Ostrzyce, Goręczyn i Chmielno, któreśmy z kolei to pieszo, to czołnem, to powozem zwiedzili. Mianowicie uraczyliśmy się porannemi przechadzkami po cienistych stekach i parowach,

gęsto zarosłych buczyną, olszyną i świerkami, a ożywionych rozmaitém ptastwem, które rozweselało ucho swém kwileniem, gdy się tymczasem oko napawało obszernym widokiem lub zagłębiało w zwierciadlanych wodach jeziora, którego powierzchnią muskały zwinne rybaki (mewy), uwijające się za pluskającemi w słońcu rybkami. O piękny to zaprawdę kawałek naszéj drogiéj ojczyzny, te okrzyczane, wzgardzone i zapomniane Kaszuby!

Nowym urokiem przyodziewały nam tę okolicę także podania ludu, których tu wcale nie brak; żałuję jednak mocno, żem się nie mógł nic pewnego i całkowitego dowiedzieć, jak tylko niektórych urywków z owych legend. I tak opowiadają sobie, że czerwony piasek, pokrywający brzegi jeziora pod Kamionką, nabrał téj barwy od krwi tu przelanéj w wielkiéj bitwie, stoczonéj niegdyś pomiędzy Polakami a Niemcami; na lodach tegoż jeziora odbyła się także, jak starzy ludzie pamiętają, na początku tego wieku potyczka pomiędzy Francuzami i Prusakami, co łatwo być może, że się tu spotkał oddział Francuzów załogujących w Gdańsku z Prusakami, którzy tego miasta dobywali. Jeden z pagórków w bliskości Kamionki zowie się Zamczyskiem, a o Strzepczu wspominają, że się tam kiedyś zapadł w ziemię cały klasztor w skutek grzechów zakonników, w którém to podanie trudno domyślić się jakiegoś jądra prawdy, gdyż w tém miejscu nie było nigdy klasztoru. Miłe jest także podanie o dawniejszym kościele chmielnickim. Kościół ten rozebrany przed kilkunastu laty, — niestety nie zdjęto fotografii z niego przed rozebraniem! — należał do najstarszych świątyń na Pomorzu i odznaczał się wedle opi-

sów jakąś dziwaczną strukturą. Wedle podania ludu zbudowała go książniczka turecka, która przyjąwszy chrzest święty, uciekła przed swoim zagniewanym ojcem i tu osiadła jako pustelnica. Dziki Turek odkrył po długich latach schronienie swej córki, która nie widząc ratunku przed gonięcym ją z szablą ojcem, wskoczyła do jeziora i utonęła; mściwy mahometanin rzucił za nią dzwony kościelne w jezioro, które podobno do dziś dnia dają się czasem słyszeć; oprócz tego uszkodził świątynię i wyrzekł na nią klątwę, aby nigdy naprawioną czy wykończoną nie została. Tę część legendy przeniósł lud po rozebraniu starej świątyni także na nowy kościół, może dla tego, że takowy nie jest rzeczywiście ukończony albo sprawia przynajmniej takie wrażenie, dla braku wieży, — i przy tém twierdzi, że kościół nie zostanie prędzej ukończony, aż po wielkiej wojnie z Turkiem, który się aż w te strony ma dostać, poczém się Turcy nawrócą.

Szczególnie pięknego obrazu staliśmy się widzami w wilią św. Jana Chrzciciela, wracając z wycieczki do pewnej gościnnej przystani. Porę letniego porównania dnia z nocą obchodzą, jak w wielu stronach słowiańszczyzny, także w Kaszubach zapaleniem po szczytach gór Sobótek; przezorna policya, rzekomo dla niebezpieczeństwa pożaru, stara się znieść ten niewinny, prastary zwyczaj, ale na szczęście nie udało jéj się dotychczas. Wystaw sobie tedy nasze wesołe towarzystwo, płynące wolno po ciemnych falach ogromnego jeziora, nad nami przecudne sklepienie niebieskie, błyszczące tysiącami gwiazd brylantowych, w około zaś z blizka i z daleka jarzące się w płomieniach

Sobótek rozczochrane czoła pagórków i dolatujące chwilami tęskne piosenki lub wesołe wykrzykniki uroczystującéj młodzieży, a nakoniec poczciwe staropolskie dudy i krzykliwą piszczałkę, które nie wiem zkąd się tu wzięły o téj porze, — a pojmiesz łatwo, że wesołe i gwarne towarzystwo uciszyło się zwolna, zajęte ślicznym widokiem, a każdy zajęty własnemi myślami i uczuciami.

Po kilku tu i tam mile spędzonych dniach, pełnych serdecznéj swobody i zabawy, a czasem pouczającéj poważnéj pogadanki, wyruszyliśmy do Kartuz, zwanych niegdyś dla cudnego położenia Rajem Panny Maryi; choć i tu wiele się przemieniło i wiele przeminęło, nad czém czułe serce ubolewać musi. W przecudnéj dolinie, otoczonéj naokoło wieńcem wyżyn pokrytych dębiną i buczyną, zaległéj łąkami i trzema jeziorkami, rozpierzchły się szeroko gustowne domki, nad któremi panuje pyszna świątynia pokartuzyańska, albowiem ta tylko jedyna pamiątka pozostała z obszernéj niegdyś osady klasztornéj. Wprawdzie gdy ten klasztór zakładano, nie była okolica tak modnie piękna, jak się dziś przedstawia: przerobili ją dopiero pracą rąk swoich na taką synowie św. Brunona, którzy sobie zazwyczaj obierali na siedzibę miejsca dzikie i zapuszczone. Ile bowiem — taka była treść naszych pogadanek spacerowych — zakonów i rodzin duchownych na gruncie Kościoła powstało, każda i każda z nich odpowiadały osobnym potrzebom, miały różne cele, różnego ducha i różny kierunek, który w nich natchnął patryarcha — założyciel, i to tak dalece, że się uwydatniał nawet w budowli świątyni, pomieszkaniu, a nawet stósował się do zewnętrznego położenia osady. Ży-

wiołem Kartuzyan jest duch umartwienia i pokuty, zupełnego wyniszczenia grzesznéj istoty ludzkiéj, a podniesienie człowieka do doskonałości prawie anielskiéj; ten duch, znamionujący ich nadzwyczaj ostrą regułę w najdrobniejszych nawet szczegółach, kazał im szukać miejsc samotnych, dzikich pustyń, jako najwięcéj usposabiających do bogomyślnego żywota. Ich pierwszym założycielem jest św. Bruno, opat pierwszego eremu w Chartreuse w dyecezyi Grenoble (r. 1086), zkąd powstała nazwa Kartuz przeszła na inne osady téjże reguły. Sposób życia kartuzyańskiego opisują „Starożytności polskie“ jak następuje: Golą brody, koszul płóciennych używają, pod które kładą na gołe ciało szkaplerz ostry z włosia końskiego. Na mszą wychodzą do kościoła ale nie ubierają się w zakrystyi, jak inni księża, lecz przy ołtarzu; ubrany ksiądz przed ołtarzem czyni medytacyą przez kwadrans, po odprawieniu któréj zaczyna mszą świętą. W święta pewne schodzą się do chóru, zwyczajnie odmawiają bardzo długi brewiarz każdy z osobna. Milczenie zachowują ustawicznie w klasztorze; nawet kiedy przechodzi jeden obok drugiego, nie wolno mu przemówić innego słowa jak tylko te dwa: memento mori! Przestawają jednak z sobą na migi i pisemnie. Żeby zaś takowa samotność nie wprawiła ich w melancholią, dwa razy w tydzień wychodzą na przechadzkę, na któréj mają wszelką wolność mówienia i bawienia jeden z drugim. Tego zakonu w Polsce tylko się trzy klasztory znajdowały: w Gidlach pod Częstochową, w Beresie na Litwie, i trzeci oto w miejscu dziś zwaném ponich Kartuzami, dawniéj Rajem Maryi.

Wedle podania, o czém wprawdzie dokument

erekcyjny nie wspomina, założył ten erem, aby ulżyć swéj matce w mękach czyścowych, która się przez próżność miała wielce przewinić, uważając siebie za piękniejszą aniżeli samę matkę Boską, Jan Ruścieński, w dzień św. Piotra i Pawła 1382 r. Wspaniałą świątynię i eremy dla dwunastu mnichów wedle liczby uczni pańskich, wystawił Jan Tyrgart, obywatel gdański wraz z kilku innymi dobrodziejami. Pierwszym przeorem był Jan Deterhus z Pragi czeskiéj, zkąd także pierwsi zakonnicy przybyli, — trzydziesty czwarty a ostatni był Jerzy Szwengel, zmarły 1766 r. Po zajęciu Prus królewskich przez Fryderyka II zostały dobra klasztoru, który się do najbogatszych w prowincyi liczyły, przejęte pod administracyą rządową, a zakonnikom płacono nędzną pensyą na utrzymanie. *)

Tak ostatecznie wegetował już tylko świetny niegdyś erem aż do r. 1823, a zatém przetrwawszy 441 lat, poczém aż do r. 1836 służył jako dom emerytów dla kapłanów dyecezyi chełmińskiéj; zabudowania klasztorne rozebrano zwolna do szczętu, tak że dziś, po niespełna pięćdziesięciu leciech, nie ma ani śladu dawnego klasztoru.

---

*) Jeszcze 1772 posiadał klasztór kartuski 40 wsi i tyleż jezior, 9 młynów, 20 karczem, 24 rybników, 11 wielkich borów, w Gdańsku i po innych miastach liczne domy i śpichrze, z czego dochody szły nie tylko na utrzymanie 20 konwentuałów i służby bożéj, eremów, biblioteki, kosztownych aparatów kościelnych — które nie wiedzieć, gdzie się podziały, — ale które służyły także na rozpowszechnienie służby Bożéj w dyecezyi przez wystawianie i utrzymywanie kościołów, n. p w Goręczynie, Kościerzynie, Sturem Grabowie, parafialnego św. Katarzyny w Kartuzach samych itd.

Jak wiele klasztorów na ziemi polskiéj, które się przeważnie niemieckimi zasilały nowicyuszami, biorąc swój początek najczęściéj z Niemczech, tak byli i kartuzyanie w Raju Panny Maryi gorliwymi Niemcami i pracowali w takimż duchu; częstokroć nie znali nawet języka ludności polskiéj, pomiędzy którą, z któréj i dla któréj żyć i pracować mieli, tak, że o O. Filipie Bolmanie (1645—1662) wspomina kronika z chlubą, że mówił i prawił nawet po polsku. Usiłowania królów polskich, aby przynajmniéj na opatów i przeorów klasztorów, założonych w Ziemiach prusko-pomorskich obierano Polaków, nie powiodły się względem Raju Panny Maryi, z jednym wyjątkiem Kaspra Jeszkiego, który był przez wiele lat administratorem Kartuz, i na którego niemieccy kronikarze — a za nimi późniejsi historycy wiele złego nawymyślali, ale jak się zdaje głównie dla tego, że to był dobry Polak.

Wnętrze kościoła nie odpowiada bynajmniéj zewnętrznéj wspaniałości, nie mieści równie nic osobliwego, jestto długa, wązka a niezmiernie wysoka budowla. Kartuzyan i ich ducha pokuty przypominają jeszcze ściany, nietynkowane wedle zwyczaju, ale tylko ciemném wapnem obrzucone z gruba, i kilka obrazów przedstawiających Matkę Boską Bolesną i Pana Jezusa Ukrzyżowanego. Wielki ołtarz zmieniony zupełnie; jeden poboczny z kosztownego marmuru, roboty snycerskiéj i przecudnéj piękności stale, jak gdzieindziéj szczątki dawnéj ornamentyki, świadczą o guście dawnych mieszkańców, od czego odbijają dodatki nowsze n. p. ambona i kilka ołtarzy, jakby przylepki u kosztownego klejnotu. W kaplicy św. Józefa znaj-

duje się piękny marmurowy pomnik, przyozdobiony alabastrowemi figurami, jakiegoś szlachcica, który tu z dwiema żonami i kilkorgiem dzieci pochowany leży. W poczet dobrodziejów tego klasztoru zaciągnął się także król Michał; jego fundacya przetrwała sekularyzacyą, i jest o tyle ciekawa, że proboszcz miejscowy ma obowiązek święcić pamięć króla fundatora nie tylko przez nabożeństwo kościelne, ale także przez ugoszczenie u siebie pewnych osób.

Siedząc wśród ślicznego wieczora sam jeden nad pięknem jeziorem, w którém się przeglądała wspaniała świątynia kartuska i wesoło umajone pagórki, słuchając na melodyjny głos dzwonów, rozlegający się tęskno śród nocnéj ciszy, zadumałem się nieco; w sercu ozwały się uczucia na pół tkliwe, na pół pobożne, a w wyobraźni ożyła jakoś przeszłość tego domu bożego i jego świątobliwych mieszkańców. Pozwól, że się z wrażeniem, jakiegom doznał i w następujące słowa ująć się starał, z tobą podzielę.

Na „Raj przenajświętszéj Panny Maryi,“
Dziś „Stolicę kaszubskiéj Szwajcaryi,“
Rozlała noc swoje urocze cienie,
Rozbiwszy z góry gwiaździste sklepienie.
W jeziorze przegląda się twarz miesiąca,
Buki i lipy i brzoza płacząca;
Nic nocnéj ciszy nie mąci dokoła,
Chyba niekiedy głos dzwonu z kościoła....
Ach, luby dzwonu, nikt cię już nie słucha,
Nikt nie rozumie, bo mogiła głucha
I tych już nie wyda, co każdéj chwili
Czy we dnie czy w nocy gotowi byli
Z twym głosem łączyć pobożne pienia
Czci boskiéj, pokuty i dziękczynienia!
Nim kury jutrzenkę zapowiedziały,
Już syny ojca Brunona padały

Pokotem w prochu przed zastępów Panem,
Z sercem skruszonem i z obliczem zlanem
Łzami pokuty. Bo dusza bawiła
W Ogrójcu z Jezusem, gdzie z Nim dzieliła
Smutek, szyderstwo i trwogę konania.
Gdy się skończyły tkliwe rozmyślania,
Rozległy się w celkach wzniosłe a smutne,
Serce wzruszające psalmy pokutne;
W nich się gubiły plagi dyscypliny,
Jaką mniéj za swe, jak za cudze winy
Ojcowie sami sobie wymierzali,
Aż Miserere wolno odśpiewali.
Daléj szła spowiedź, msza święta, pacierze,
Skromny posiłek, poczém każdy bierze
To młot, to siekierę w świętém milczeniu,
Z modlitwą w sercu i w myśli skupieniu
Pracując, dopóki im zachód słońca
Modłom i pracy nie położył końca. —

Twardy to żywot, którym się myśl miękka
Zraża i na samo wspomnienie lęka.
Cóż więc sprawiało, że był pożądany,
Tak że prostaczki, że i możne pany
Rzucały domy, wygody, zaszczyty,
Aby wieść żywot skromny i ukryty,
Wszystkiego, co świat lubi, pozbawiony,
A od wyziębłych lub głupich wzgardzony? —
Gdzie dom i serce od pożądliwości,
Od skąpstwa wolne, pychy i zazdrości;
Tam też nie znana ni trwoga, ni troska
Ni grzech, tam bowiem mieszka miłość boska.
Ta miłość, co się z żywéj wiary rodzi,
Jak ciepło z światłem z ognia się rozchodzi;
Płodna, co cnoty i zasługi mnoży,
Cudowna, co świętych z grzeszników tworzy.
Dla niéj rozkoszą boleść i cierpienie,
Dla niéj jedyną sławą zapomnienie,
Dla niéj pokarmem modlitwa i praca,
Niebo jedynie spodziewana płaca.
Z źródła téj wiary i miłości płynie
Siła cudowna, co Kartuz pustynię
Na raj wybranym mężom zamieniła.

Ale zazdrosna ..... zburzyła

Niestety, ten cichy cnoty zakątek.
Nie cierpiąc nawet w ruinach pamiątek.
Celki rozebrała, mury rozbiła,
Ledwo przybytek pański zostawiła.
Gdy wszystko legło w zapomnienia gruzach,
Kościół jedyny pomnik po Kartuzach,
Ogromna mogiła pośród cmętarza,
Kamiennym głosem ich godło powtarza:
Memento mori!

Twój

Czesław.

V.

Kochany Przyjacielu!

Jastarnia Pucka na Helu...

Dla obawy, aby Cię powtarzaniem nie znudzić zbytecznie, opuszczam opis pięknych widoków, jakich używaliśmy w dalszéj podróży, i gościnnego przyjęcia, jakiegośmy doznawali powszechnie, nie wymieniając nawet wszystkich miejsc umyślnie lub z potrzeby zwiedzonych. Wszędzie było nam miło w téj kaszubskiéj Szwajcaryi, wszędzie odmienne widoki, choć wszędzie te same skromne garby i jeziora i wioski, — a przedewszystkiém wszędzie jeszcze jesteś pomiędzy swoimi, oddychasz polskiém powietrzem; cieszysz się polskiego słowa dźwiękiem, czujesz polskiego ducha. Czasem tylko udało się jakiemuś figlarnemu djabełkowi podstawić nóżkę poczciwemu Kaszubie i przypiąć mu łatkę śmieszności. Tak przypominam sobie pomiędzy innemi, — tylko nie pamiętam już, gdzie to było, — żem czytał na wieczniku

czyli katakumbie, podobnéj do naszych śląskich szabatników *), napis następujący:

„Erbbegräbniss der Familie von Krztyprztycki."

Już miałem ochotę zgorszyć się na seryo z tego pomysłu pana von Krztyprztyckiego, nie tylko dla tego, że sobie tak niegustowny wiecznik wystawił, bo guściska mają to samo prawo, co gust, ale więcéj jeszcze z jego apostazyi od narodowości, na którą jego dźwięczne nazwisko wyraźnie wskazywało; nie przyszło jednak do zgorszenia i oburzenia, tylkom się serdecznie rozśmiał z naiwnego konceptu, gdy mi na seryo zaręczono, że ten sam pan von Krztyprztycki i cała jego rodzina są najlepszymi Polakami w świecie, i broń Boże, by ktoś śmiał ich wziąść za Niemców! Panie, daruj im przeto tę głupotę, pomyślałem, bo nie wiedzą co czynią, — minęły już przecie czasy, gdzie tak dobitne epitheton „von" lub niemczyzna imponowały naszym „chłopkom."

Z kolei wypada mi wspomnieć o Wejherowie, ubiegającém się z Kartuzami o pierwszeństwo względem piękności położenia i otaczającéj je przyrody. W téj mierze jednak szczęśliwsze Wejherowo, o ile sztuka przyczyniła się znacznie do podniesienia i uwydatnienia przyrodzonéj piękności sielskiéj, albowiem właściciele tego miasta pozakładali tu śliczne ogrody i parki albo raczéj zamienili prawie całą okolicę na jeden wielki ogród. Co jednak téj miejscowości nadaje szczególnego uroku i zwyczajny podziw zamienia w wzniosłe uczucie nabożeństwa, jest Kalwarya rozciągająca

*) Szabatnik czyli piekarnik, jaki w sadzie każdego gburka w Górnym Śląsku widać.

się po stromych lesistych pagórkach na półmilowym obszarze.

Przybyliśmy dosyć rychło, aby jeszcze wysłuchać mszy św.w kościele parafialnym, który szczupły i ciemny, nie przedstawia nic szczególnego ani w budowie ani w przyborach lub wspomnieniach z przeszłości. Poszliśmy potém do kościoła OO. Reformatów na wotywę. Uderzyła mnie tu wielka liczba nabożnych. Rzadko kiedy modliłem się téż, zwłaszcza w podróży, z takiém nabożeństwem i skupieniem ducha, jak w tym domu Bożym, a w tak wdzięczne usposobienie wprawił mnie śliczny śpiew, którego pierwsze wyrazy: „W pierwszym momencie bez zmazy poczęta“, porwały mnie tak gwałtownie, żem nie mógł obfitych łez powstrzymać. Och, bo téż nasz serdeczny, nasz szczery polski śpiew jest jakby ogień topiący zlodowaciałe serca, jakby burza budząca zastygłą w światowości duszę.

Jeden z wejherowskich księży towarzyszył nam na Kalwaryą, położoną tuż pod miastem. Tu odmówiliśmy przy jednéj z kaplic przepisane modlitwy w celu uzyskania odpustu, przywiązanego do każdéj kaplicy z osobna, i obejrzeli niektóre z nich, gdyż dla obejścia Kalwaryi nie dostawało nam czasu. Największą jest kaplica P. Jezusa Ukrzyżowanego; nie odznacza się przecież najmniejszym przepychem oprócz ochędostwa, wspólnego wszystkim drugim, ale porusza widza głęboko okropną, acz wiernie oddaną prawdą Męki Zbawiciela, rozpiętego w nadludzkiéj wielkości na drzewie odkupienia.

Kalwarya ta jest równie jak inne, w które nasza ojczyzna tak bogata, wiernem naśladowaniem

miejsc męki Zbawiciela w Ziemi świętéj, i ściąga na uroczystość Znalezienia Krzyża św., Wniebowstąpienie Pańskie i w uroczystość Trójcy przenajśw. tysiące pobożnych pielgrzymów z całych Prus Królewskich, a nawet Książęcych i Wielkopolski. Założył ją ex voto Jakób Wejher, wojewoda malborski w latach 1649—1655 wraz z kościołem i oddał pod zarząd OO. Reformatom. Kalwarya na górze św. Anny pod Leśnicą jest nierównie wspanialsza, nie tylko dla tego, iż kaplice są okazalsze i lepiéj zbudowane, ale że prawie wszystkie położone na wysokiéj górze można jednym rzutem oka objąć, gdy tymczasem mniejsze wejherowskie ukrywają się w cienistym lasku; nie mało też podnosi widok św. Anny wspaniały kościół i klasztór, osiadły na samym szczycie wysokiéj góry, — dziś niestety i to wszystko pustki, — ciało bez duszy!

Następnie puściliśmy się daléj na północ ku ostatnim krańcom Polonii, ku morzu naszemu jedynemu, którego tak dzielnie strzegą kaszubscy wiarusy, nie dając się odeprzeć od niego ani podstępem, ani przemocą. Wkrótce stanęliśmy w Pucku, małéj ale schludnéj i zamożnéj mieścinie, położonéj nad samą zatoką morza słonego, znanéj w geografii pod imieniem puckiéj, u tutejszych mieszkańców zwanéj morzem małém. Okolica ta stanowi nadzwyczaj urodzajną oazę pośród piaszczystéj ziemi kaszubskiéj. Puck jest prastarą osadą słowiańską i zażywał w dawniejszych czasach nie małego znaczenia tak za książąt pomorskich jako za Krzyżaków i pod rządami polskiemi; ze zmianą granic upadło jego znaczenie. Jednym atoli pomnikiem dawnéj świetności jest wspaniała świą-

tynia, którą wystawili Krzyżacy, ze stylu podobna do licznych drugich kościołów w dyecezyi chełmińskiéj, powstałych w czternastym i piętnastym wieku.

Zamiarem naszym było przeprawić się łodzią rybacką do Jastarni i miasteczka Heli, a ztamtąd w ten sam sposób przewieść się do Gdańska. Tymczasem dobrzy przyjaciele, jakicheśmy wszędzie spotykali, zmienili nasz plan, zabierając nas najprzód do siebie, i tak stało się, żeśmy cały półwysep helski przejechali na wozie, co było uciążliwszém od podróży wodnéj, ale dla nas korzystniejszém, nie wspominając już wcale o przyjemności miłego towarzystwa. Zabrawszy tedy z sobą prawie wszystko, co do dobrego obiadku potrzebne, naturalnie w stanie surowym, a zwłaszcza zaopatrzywszy się w świeże mięso, — jak to bywa przy wyprawie do osamotnionéj krainy — wyjechaliśmy ze Swarzewa do Wielkiéj Wsi, po za którą kończą się znamiona kultury umundurowanéj t. j. pstre słupy ze znanym spisem o batalionach i kompaniach, — ale kończą także znamiona prawdziwéj kultury t. j. bite trakty i umiejętnie prowadzona uprawa roli. Półwysep zwęża się coraz więcéj, miejscami ścieśnia się na kilka set kroków, tak że podczas gwałtownéj burzy północnéj zalewa się całkiém pomimo wysokich zasp piasku i tam umyślnie wzniesionych. Ziemia piasczysta, gdzieniegdzie ledwie zdatna do uprawy ziemiaków, żyta i owsa, leży jak długa i szeroka odłogiem, służącym za pastwisko dla gruborunych fagasów i chudych krówek. Rząd nosił się podobno przed laty z oryginalną myślą wyludnienia całego półwyspu i zamienienia go na pustynię, i

oto dla znacznych kosztów, jakich wymaga utrzymywanie brzegów morskich i wspieranie ubogiéj ludności, nie mając naturalnie najmniejszego zysku z ludzi i ziemi. W tym celu zabroniono surowo stawiania nowych budynków i reperatury starych, zaniechano umyślnie wszelkich prac ku zabezpieczeniu od wylewów, ofiarowano każdemu, któryby sobie życzył, przesiedlenie na koszt rządu zwłaszcza do Prus Książęcych, pewne ulgi w podatkach i t. p. Atoli zamiary rządu rozbiły się o energiczny opór ludności kilku wiosek, która żadną miarą nie dała się użyć do przeprowadzenia projektu, przywiązana z równą miłością do niewdzięcznéj ziemi ojczystéj, jak z namiętnością do niebezpiecznego rzemiosła rybackiego. Chwycił się przeto rząd innego środka, a zdaje się lepszego, przynajmniéj godniejszego rządu prawdziwie ucywilizowanego, to jest postanowił stanowczo obronić wspomniany półwysep od rozsypki i ku temu zasadzono większą część obszaru gęstym lasem, z czego sam ma zysk pewny, a wązki języczek cieśniny nabył siły odpornéj w walce z falami morskiemi, a nawet rola się użyźniła.

Po kilkugodzinnéj podróży wzdłuż brzegu morza małego, jadąc po mokrym piasku falami ubitym jak najlepsza żwirówka, stanęliśmy w Jastarni Puckiéj, gdzie się niebawem pokazało, że nasza przezorność względem zabaw i potrzeb gastronomicznych nie była wcale zbyteczną. Albowiem mieszkańcy Helu, począwszy od pierwszego aż do ostatniego, żywią się czy w świątki, czy w piątki li tylko rybami, zaś chleb, mięso, piwo, jarzyny, korzenie i cokolwiek jaka taka ucywilizowana kuchnia wymaga, trzeba sprowadzać z lądu, co przy uciąż-

żliwéj komunikacyi, nie łatwo; nie rzadki to więc wypadek, że się bez tych przydatków obejść trzeba. Tak opowiadał nam, podczas gdy przywiezione zasoby przyrządzano, proboszcz w Jastarni, także nasz ziomek, że pewnego roku spędził święta Bożego Narodzenia i całą oktawę bez chleba i mięsa, przestając na wędzonych i marynowanych rybkach, winie i tytoniu, ponieważ gwałtowne burze nie dozwalały rybakom wychylić się z domu i ani morzem, ani lądem dostać się do Gdańska, lub do Pucka.

Po odpoczynku obejrzeliśmy schludny, drewniany kościółek, wioskę i stacyą do ratowania rozbitków morskich. Ciekawe szczegóły opowiadał nam uprzejmy gospodarz o sposobie życia i zwyczajach tutejszéj ludności. Jest ona bez wyjątku polska i katolicka, co się zowie, a to widzieliśmy potwierdzonem na każdym kroku. Mężczyźni i niewiasty odznaczają się olbrzymią postacią, zuchwałą odwagą malującą się na twarzy i w postawie, jakiéj nabierają w skutek ciągłego pasowania się z dzikim żywiołem morskim i z walki o kawałek powszedniego chleba. Ich język jest czysto polski, jak z nie małém zadziwieniem spostrzegłem; mianowicie słyną mieszkańcy Jastarni Puckiéj z piękności śpiewu kościelnego, który w nienaruszonéj czystości przechowują od wieków, o czém miałem nazajutrz sposobność przekonać się podczas mszy świętéj. W niedziele i święta odśpiewują nawet godzinki o Matce Boskiéj po łacinie i to na tę samę nutę, jak się ich praojcowie nauczyli od OO. Cystersów. Największą atoli zaletą tych wyspiarzy jest wzorowa obyczajność; pijaństwo i grzechy przeciwko szóstemu przykazaniu są po-

między nimi zjawiskami arcyrzadkiemi, i chyba zaimportowane przez młodzież, która w marynarce lub lądowéj armii pruskiéj swoją szkołę odbyła. Jest to szczęśliwy skutek ich życia pełnego niebezpieczeństwa, grożącego każdemu co chwila nagłą i gwałtowną śmiercią; dla téj przyczyny mają téż szczególne nabożeństwo do św. Antoniego i św. Barbary, jako patronów szczęśliwéj śmierci. Bowiem smutny wypadek, opisany w następujących wierszach, jaki niedawno przed naszém przybyciem miał miejsce, powtarza się niestety dosyć często, zwłaszcza w porze zimowéj.

Straszna burza kona zwolna,
Gromko jeszcze mruczy morze
I spienione, zadyszane
Wraca zwolna w swoje łoże.

Z chmurną nocą światło słońca
Wschodzącego się pasuje,
A gromada kobiet z brzega
Helu w wody się upatruje.

Wytężonym wzrokiem śledzą
Biedne śród burzliwych fali
Mężów swoich, którzy wczoraj
Wieczór na łów wyjechali.

Lecz niestety, nigdzie śladu
Ani żagla, ani łodzi,
Tylko połysk piany często
Oko, częściéj serce zwodzi.

Pewnyć wszystkim już rybaków
Los, gdyż dotąd nie wrócili;
Tylko serce żon ich jeszcze
Nadzieję chować się sili.

I dopiero, gdy rozbitków
Szczątki dobijają brzega,
Wtedy płacz i krzyk tym głośniéj
Wdów i sierót się rozlega. —

Wkrótce morze się wygładza,
Słońce znowu jasno świeci,
Lecz na Helu długo jeszcze
Płaczą wdowy i ich dzieci.

W ich życiu panuje odwieczny, dziwnie patryarchalny komunizm. Nie posiadając własności nieruchomej, albo przynajmniéj nie tyle, by się z uprawy roli wyżywić mogli, uprawiają wszyscy jeden łan, koszą wszyscy jedną łąkę, a zatém dzielą się wszyscy jednym plonem. Tym łanem, tą łąką jest błękitne morze, tym plonem są ryby wszelkiego rodzaju, qui perambulant semitas maris, a mianowicie śledzie, węgorze, sędacze, flądry i łososie. Każdego gatunku ryby mają swój czas i porę połowu, wymagają różnego zachodu, różnych narzędzi, zawsze jednak odbywa się połów wspólnie, bądź w spółkach po dziesięć do dwunastu rybaków, bądź całéj osady. Ostatni sposób praktykuje się zwłaszcza przy walnych połowach łososi na jesień i na wiosnę, stanowiących niejako żniwa roczne; w tym razie dzieli się cały połów, tak jak to bywa z każdym innym nadzwyczajnym zarobkiem n. p. z wynagrodzeniem za pomoc niesioną rozbitkom i t. p. na tyle cząstek, ile osada głów liczy, począwszy od niemowląt kolebce aż do dziadka u drzwi kościelnych, od stróża nocnego aż do proboszcza w zakrystyi. Zachowuje się jednak stósunek taki, że co trzy wdowy i troje dzieci biorą tyle, ile jeden mężczyzna dorosły. W roku z miernem powodzeniem wynosi cząstka przypadająca na głowę z połowu śledzi 30 talarów, z węgorzy 15 do 20 talarów, z flądrów 10 do 15 talarów. Dość często jednak bywa zysk daleko mniejszy, n. p. jeżeli zimny prąd wody morskiéj

ryby od brzegów półwyspu w inną stronę skierował, albo je stada psów morskich spłoszyły i t. p. Te stają się niekiedy formalną klęską dla ryb, a przez to i dla rybaków; zwykle w nie zbyt wielkiéj liczbie odpoczywają te zwierzęta i grzeją się na głazach morskich wystających nad powierzchnię wody; ale czasem pojawiają się w niesłychanéj ilości, jak 1837 i 1876, w którym Helenczycy ubili ich ze sto, i przynajmniéj w ten sposób powetowali stratę poniesioną w rybach. — Oprócz już wspomnianych fagasów, które jednak w małéj tylko ilości trzymać wolno dla szkody, które w zagajeniach robią, kilka krówek i drobiu, nie ma na całym półwyspie innych zwierząt. To też były nasze konie i bryka zwłaszcza dla ciekawéj dziatwy widowiskiem, jakiem się nasycić nie mogły.

Z Jastarnią Pucką styka się niemal Jastarnia Gdańska, wioska należąca już do terytoryum magistratu gdańskiego. Była to niegdyś kolonia niemiecko-luterska założona przez Gdańszczan, ale spolszczyła się zupełnie i została prawie całkiem katolicką. Na samym końcu sześć mil długiego półwyspu leży miasteczko Hela, liczące z 70 domów a 400 dusz. Jestto także prastara kolonia gdańska — na kamieniu umieszczonym w szczycie luterskiego kościoła pokazują datę 1142, lecz kto wie, czy to nie omyłka, lub może coś gorszego, — i należy również do terytoryum miasta Gdańska. Mieszkańcy trudnią się bez wyjątku rybołóstwem, władza miejska nosi szumny tytuł: „wójta, burmistrza i radnych. — Różnica pomiędzy mieszkańcami miasta Heli (nazwa miasta jest rodzaju żeńskiego, półwyspu w ustach krajowców rodzaju męskiego, Hel) a ludnością słowiańską półwyspu jest nde-

rzająca, a wypada wcale na niekorzyść Niemców, tak pod względem zewnętrznym, jako pod względem usposobienia i uposażenia duchowego.

Całą mieścinę stanowi jedyna długa ulica; jéj jedyną ozdobą jest dziwaczny park, czy sad, składający się z niezliczonych słupów i palów, na których rybacy swe niewody rozwieszają. A przecież kosztowały te nędzne chaty, pale i płoty ogromne sumy, chociaż w rzeczywistości Heleńczyk ani grosza na drzewo do budowli lub do opału nie wydaje. Albowiem drzewa na wszelkie potrzeby dostarczają mu rozbite okręty, których szczątki i dawniejsze przeznaczenie łatwo odgadnąć w domu, obórce, lub szopie. Bez przesady można tedy powiedzieć, że w Heli najlichsza chata bez wyjątku kosztuje kilka kroć set tysięcy talarów. — Stary kościółek luterski, nie mieści w sobie nic osobliwszego, odkąd prastare niezgrabne z kamienia wykonane posągi, podobno jakichś bóżków, przeniesiono do muzeum w Gdańsku. Za to jest widzenia godną latarnia morska, nad którą budowano od r. 1806 aż do 1825, położona na samym brzegu morza. Na zewnątrz podobna do latarni w Ryksywie, na zachodnio - północnym przylądku pruskim ku Pomeranii, wznosi się 125 stóp nad poziom morza, jest jednak innego systemu. Wewnątrz albowiem obraca się za pomocą maszyny dwanaście latarni czyli lamp ogromnych, także światło nie jest stałe jak w latarni ryksywskiéj i gdańskiéj, ale okazuje się w małych przerwach. Szkło w latarni ryksywskiéj któreśmy także oglądali, jest czeskie, a obrabiane w Paryżu. Grube na cal szyby, rznięte w kształcie prysmy, tworzą kompletnie beczkę na dziesięć stóp wysoką, z średnicą o połowę mniejszą; cztery

knóty koncentryczne, umieszczone w téj niby lampie — beczce, konsumują co godzinę dwa funty oliwy.

Aby przynajmniéj mimochodem wspomnieć o nazwisku tego, jak widzisz, dość ciekawego skrawka ziemi, przyznam się, że nie mogę się domyśleć znaczenia nazwy Helu, nie znajdując ani w słowiańskim, ani w germańskim języku nic wskazującego na pewne pochodzenie. Uczeni par excellence, dla których nie ma tajemnicy na niebie, na ziemi i pod ziemią, twierdzą, że Hel należał niegdyś do wysp bursztynowych Elektrydów, które Fenicyanie i Argonauci zwiedzali, i z których tamci założyli podobno kolonię Skurgon; z téj osady powstał rzekomo w czasach gminoruchów miasto Skirygheal, założone przez Skandynawczyków, z którego powstała z czasem nazwa Hela, co znaczy tyle co jaskinia (Hoehle) lub zatoka (?). Wedle innych wziął półwysep swą nazwę od szwedzkiego wyrazu hale t. j. ogon, — proszę sobie więc obrać, co ci się zdaje *).

Obok istniejącego miasteczka Heli leżało w dawnych, ale historycznych czasach, drugie miasto z przydomkiem Stara Hela. Było ono znacznie większe, ale zburzone do szczętu przez rozbójników morskich, nie podźwignęło się już więcéj z gruzów; dziś nie widać po niém najmniejszego śladu. Żyje jednak jeszcze w podaniu mieszkańców, którzy sobie o niém dziwy prawią. Było to, jak mówią, bardzo potężne i bogate miasto, które z naj-

*) Po napisaniu tego zwrócił mi ktoś uwagę, że pochodzenia nazwy Helu trzeba jednak szukać w narzeczu słowiańskiém, i to w tém samém źródłosłowie, od którego pochodzi góralskie hala, wedle Lindego oznaczająca wysokie łąki w Tatrach, wystawione na wiatry i słońce.

dalszemi krajami prowadziło ożywiony handel; złoto, perły, jedwabie i kosztowne specyały indyjskie i arabskie były tu w takiéj obfitości, że o srebro i płótno nikt nie dbał. Ale skutkiem ogromnych bogactw nastało wielkie zepsucie obyczajów, rozwiozłość i duma, które gniew i karę nieba na miasto ściągnęły. W jednéj nocy, a było to z pierwszego na drugi dzień Zielonych Świątek, zalało morze nagle całe miasto i pochłonęło w przepaściach mieszkańców, ich domy, śpichrze, okręty, słowem wszystko przepadło w bezdennéj otchłani morskiéj. Ale na dnie morskiém można do dziś dnia oglądać w pierwszy dzień Zielonych Świątek przepyszne miasto, widzieć można wspaniałe świątynie i bogate pałace pełne złota i marmurów. Można także widzieć mieszkańców w ówczesnym stroju, odzianych w czarne płaszcze z cienkiego sukna włoskiego, ozdobionych w ciężkie łańcuchy z litego złota i ze szpadą u boku, jak się przechadzają po szerokich ulicach, a piękne niewiasty kosztownie wystrojone, ale z bezwstydną twarzą jak się umizgają do dorodnych młodzieńców. Czasem dają się także usłyszeć z głębi morza głosy dzwonów i dźwięk prześlicznéj muzyki. Ale biada rybakowi, któryby się dał uwieść ułudnemu obrazowi i ponętnym głosom dzwonów i nieznajomych instrumentów, biada śmiertelnemu człowiekowi, któryby się zbyt pożądliwie lub ciekawie zapatrzał w te dziwy morskie! Zginąć musiałby niechybnie w błękitnych falach morskich, porwany czarodziejską siłą na dno morskie, któréj nikt oprzeć się nie zdoła; spróbowało wprawdzie już kilku śmiałków i spuściło się po kosztowne skarby, ale przypłacili swe zuchwalstwo i łakomstwo życiem a nawet

ich ciało nie wypłynęło już na powierzchnię morza. To wszystko daje się widzieć w niedzielę zielonoświąteczną; ale ku wieczorowi gaśnie czarujący obraz podczas burzy i szarugi morskiéj, a w poniedziałek nie ma po nim ani śladu, choćby pogodne słońce aż na samo dno morza rozwidniło wody. — Nie rzadki w tych stronach miraż czyli fata morgana, który niekiedy dalekie okolice, n. p. Kopenhagę i inne miejscowości północne zdumionym mieszkańcom przed oczy stawia, dał zapewne powód i wątek do téj pięknéj legendy.

Ciekawém jest także dla nas, iż na tymże półwyspie, ale nie wiedzieć w którém miejscu, wystawił Władysław IV dwie obronne twierdze dla zasłonięcia okrętów powstającéj żeglugi polskiéj, które nazwał Władysławów i po swoim bracie Janie Kazimierzu, Kazimierzów. Za nieszczęśliwych rządów tegoż zburzyli je Szwedzi do szczętu.

Jutro mamy niedzielę, w którą ma przybyć z Gdańska parowiec, a ztąd przewieść podróżnych świątecznych żądnych zabawy do Sobótki (Copot). Postanowiliśmy z téj sposobności korzystać; noc więc spędzimy w gościnnéj plebanii naszego ziomka, a nazajutrz przyłączymy się do turystów i przewieziemy się z nimi do Sobótki, zkąd się możesz spodziewać świeżych wiadomości.

Twój

Czesław.

Kochany Przyjacielu!

Oliwa....

Stało się, jakośmy sobie ułożyli; przewieźliśmy się szczęśliwie do Sobótki. Obeszło się bez choroby

morskiéj, bez wypadku i sceny; wypadałoby chyba wspomnieć o téj krótkiéj przejażdżce, że nam się serdecznie sprzykrzyło towarzystwo podróżne; była to po prostu uliczna gawiedź wielkomiejska, żarliwi czciciele Bachusa i Gambrinusa i wszelkich patronów jakichbądź zabaw. Tém chętniéj zwróciły się zwolna oczy i uwaga nasza całkiém na śliczny krajobraz roztaczający się przed nami. Jak olbrzymi wieniec, którego dwa końce nie dochodzą, ciągną się przecudne brzegi stałego lądu i Helu. Owe dwa końce zdobią latarnie morskie, helska i gdańska; u stóp dość znacznych, gęstym lasem pokrytych pagórków rozkłada się wspaniały Gdańsk i mnóstwo drobniejszych wiosek i pomieszkań letnich. Pomiędzy niemi odznaczają się Copoty, cel naszéj bliższéj przejażdżki. Zupełnie nowy, gustownie i pysznie wystawiony gmach kąpielowy, — (kurhaus), o dwóch wieżach, frontem zwrócony ku morzu sprawia już z daleka dobre wrażenie. Równie ujmuje korzystnie i utwierdza w dobrém usposobieniu przybywających gości, czy turystów także widok obszernych i schludnych łazienek i daleko w morze sięgający pomost, który o pewnych godzinach, zwłaszcza wieczorem, służy za korso dla gości kąpielowych, z których jedna część tu przybywa, aby była widzianą, druga, aby oglądać. — Wioska sama, podobniejsza do miasteczka i z liczby mieszkańców i rozległości ulic, robi również miłe wrażenie, jakkolwiek wszystko i na każdym kroku przypomina widzowi, że jest u wód — par excellence. Poczciwy ludek miejscowy, wskazany na zarobek z gości szukających u wód zdrowia lub rozrywki, i zarząd kąpielowy czynią co mogą, aby nie tylko przybywających tu zadowolić, ale oraz, aby za

drugiemi zakładami nie pozostać w tyle, lecz owszém, ile możności takowe prześcignąć. Poniekąd udało się to Copotom, o ile żadne z miejsc kąpielowych bliższych, których zwłaszcza w ostatnich latach powstało bardzo wiele, z niemi mierzyć się nie może. Zresztą zawdzięczają Copoty to powodzenie także sympatyi, jaką Polonia od dawien dawna dla téj miejscowości okazuje; zwłaszcza w dawniejszych latach przybywało obywatelstwo polskie z familią nie tylko z Prus Królewskich, ale i zKongresówki, po ukończeniu żniw na sezon drugi, który ztąd bywał bardzo ożywiony. Ale i dzisiaj przebywa tu zawsze znaczna liczba Polaków, zwłaszcza duchowieństwa, dla których to głównie wygody pewna zacna pani, która niestety już nie żyje, wystawiła na własnym gruncie i niemal całkiém swoim nakładem piękną kapliczkę, gdzie goście kąpielowi co dzień mszy św. wysłuchać mogą. — Nie małą téż rekomendacyą jest dla Copot bliskość wielkiego miasta, Gdańska, gdyż obok pobytu na wsi i odbywania kuracyi można najwygodniéj zażywać wszelkich przyjemności wielkiego miasta, o ile że co dzień po kilkanaście pociągów kolei żelaznéj kursuje pomiędzy Gdańskiem i Copotami.

Aby choć pobieżnie wspomnieć o nazwie téj miejscowości, Copoty czy Sobótka, zdaje się dziś już nie podlegać wątpliwości, że ostatnia nazwa jest niewłaściwą, jakkolwiek może się wydawać ponętną i mieć niejedno dla siebie. Wiadomo, że nasi pogańscy przodkowie lubili dla obrzędów swoich zwanych Sobótkami obierać miejsca wysoko położone, ile możności w bliskości morza, jeziora lub rzeki; tamże lubili sypać swoje żale czyli

kurhany, których się wielu i tu wzdłuż Małego morza napotyka. Wszelako, nie wykluczając całkiem możności, iż miejscowość ta zwała się pierwotnie Sobótką, na co zresztą nie ma poparcia w aktach lub kronikach, wydaje się jednak prawdopodobniejszém, że miejsce to nazwano Copotami czy Sopotami jako sapowate, źródliste czy wodniste, co rzeczywistość dziś jeszcze potwierdza.

Okolicę Sobótki wystroiła przyroda jak najhojniéj. Szczególnie piękny a prawdziwie romantyczny widok przedstawia się z niedalekiego pagórka, zwanego Thalmuehle, na wspaniałe morze i bujne łęgi nadbrzeżne, opasane z jednéj strony wieńcem umajonych pagórków, z drugiéj lamusowane przecudną koronką usnutą z srebrnych fali morskich, a jak daleko oko sięga, zasiane ładnemi wilami i wioskami. Z tych zajęło moją uwagę prawie wyłącznie Karlikowo, i to dla tego, że tam nasz Sobieski dość często przebywał, a królowa Marya prawie co rok spędzała tam kilka dni, lub nawet tygodni; niestety oprócz tego wspomnienia, które się pomiędzy ludem utrzymuje, nie pozostały po nich i innych monarchach polskich żadne inne pamiątki, chociaż oni, zwłaszcza Wazowie, okazywali przywiązanie do tych stron naszéj ojczyzny, wyświadczali im mnogo łask i zaszczycali je często swoją bytnością.

Po kilkogodzinnym pobycie opuściliśmy Sobótkę, kwitując dobrowolnie koncert i lusztyk z iluminacyą w ogrodzie kuracyjnym, zapowiedziane na ten dzień, i wyruszyliśmy pieszo przez śliczne łąki ku Oliwie, odległéj z milę od Sobótki. Tylem się już był poprzednio nasłuchał i naczytał o rajskiéj piękności brzegów bałtyckich, zwłaszcza Gdańska

i Oliwy — której samo imię potrafi zaintrygować — tylem się już nawet sam napatrzał na istotnie piękną przyrodę Szwajcaryi Kaszubskiéj, że w téj mierze była naturalna ciekawość prawie nasycona i nie mogłem się spodziewać nic więcéj; to téż im więcéj się zbliżałem ku Oliwie, tym więcéj ustępowało i znikało zwolna usposobienie turysty, aczkolwiek zawsze nastrojonego patryotycznie, czyniąc miejsce uczuciom wznioślejszym. Bo otóż wstąpiłeś już na ziemię klasyczną starego Pomorza, z daleka widzisz już kolebkę wiary i oświaty chrześciańskiéj tego pobratymczego ludu i gniazdo pobożnych i potężnych książąt słowiańskich a równie nieszczęśliwych — ludu i książąt — jak wszyscy inni tego szczepu. Dziwne uczucia ogarniały mnie na przemian, to podziwu i wdzięczności, to żalu i tęsknoty, to goryczy i nadziei — w miarę, jak się duch zagłębiał w świetnéj przeszłości lub dumał nad ołowianą teraźniejszością lub na różnych skrzydłach gonił za lepszą przyszłością. Zaprawdę, dopiero staje nam się jakąbądź okolica ciekawą, gdy jéj dzieje, jéj przeszłość znamy; a jeżeli ta okolica stanowi cząstkę ziemi ojczystéj, natenczas dopiero staje nam się piękną, drogą, kochaną. Przekonałem się o tém niejednokrotnie, ilem razy podróżując po różnych stronach Polski, był zmuszony poznać ich specyalną historyą bliżéj; doznałem tego na nowo, odkądem znał stare dzieje Pomorza, że prawdziwa, gorąca miłość ojczystéj ziemi jest zgoła niepodobną lub martwą i pozorną tylko bez znajomości jéj historyi. Wcale słusznie można przeto powiedzieć to samo o miłości ojczyzny, co mówi Klementyna Tańska o edukacyi narodowéj, zowiąc historyą kraju jéj

poręką. „Tę każdy obywatel — są jéj słowa — umieć najpierw powinien; dziecię, które najpierwszy raz otwiera oczy, nic innego widzieć nie ma nad ojczyznę, dla któréj saméj tylko zamknąć je kiedyś obowiązek będzie miało. Pierwszą książką, którą w rękę weźmie, niech będą dzieje tych ludzi, z którymi żyć mu trzeba. Ono jest nieczułe i głuche na los Asyryjczyków i Medów, ale o swoich pradziadach posłucha ciekawie. Wielki jest błąd najpierwéj obcych historyi uczyć; osobliwie my Polacy przyznajmy ze wstydem, że najmniéj siebie samych znamy.... Młode dusze zbałamucone temi państwy, w których żadną miarą żyć nie będą, nie znając tego kraju, w którym koniecznie żyć muszą, stają się jeszcze w młodości męczennikami żądań próżnych w dalszym wieku już swego domu lubić nie będą, znudzą sobie kraj własny, tęskniąc zawsze do tego, o którym najwięcéj słyszeli. „Rodzice nieroztropni, nie ukazujcie dzieciom cacka, którego mu dać nie można, bo się rozpłacze.“ (Kołłątaj.) Jan Zamojski w testamencie upomina, opiekunów jedynaka syna Tomasza, aby po skończonéj edukacyi domowéj w dziewiętnastym roku nie dozwalali mu za granicę wyjeżdżać, dopokąd przez jedno i drugie popisanie się w boju nie okaże dowodów swojéj cnoty, nie przywyknie do pracy i nie wzmocni obywatelskiego ducha.“ — O piękne to, złote słowa; ale bodaj to my Polacy wszyscy ładnie, a nawet trafnie mówić umiemy, nawet z przekonaniem i z gorącą żarliwością, ale byłoby z nami lepiéj, gdybyśmy wedle naszych słów i zasad działali. A oto masz znowu morały, i to wśród marszu, podczas którego przeszliśmy połowę wioski i stanęli przed

wspaniałą świątynią oliwską, ku której się kroki nasze, idąc za prądem myśli, jakby same z siebie skierowały. Wstąpmy na chwilkę, — tymczasem!

Usłużny kościelny, czatujący z ogromnym pękiem kluczy przed kościołem na turystów, powstrzymał nas w samych drzwiach, aby nam z progu dać uczuć wspaniałe wrażenie, jakie pierwszy widok wnętrza téj świątyni sprawia na wchodzącego. Lecz tym razem, wobec nas byłoby się obyło bez jego uwagi i nie było potrzeby wywoływać sztucznie uczucia, któremeśmy na wskroś przejęci byli; co do mnie z osobna, trzymam się zwyczaju, że wchodząc do jakiegobądź kościoła katolickiego, zanim się do oglądania zabiorę, rzucam się nasamprzód na kolana, — naturalnie, co każdy katolik czyni, a potém dodaję, co może nie wszyscy praktykują, jedno Zdrowaś Marya za dobrodziejów téj świątyni, drugie za dusze wiernych zmarłych, trzecie za kościół i ojczyznę. Nie wspominam o tém, aby się tém popisywać, ale, aby drugich zachęcić, którzy dla braku zastanowienia się opuszczają rzecz aczkolwiek prostą i zbawienną. — Na teraz wystarczyła nam tu krótka wizyta; wyszliśmy po krótkiém westchnieniu, bo się już téż ściemniało, aby wypocząć po przydłuższéj przechadzce. Wieczorem przytrzymała nas w pokoju burza; poświęciliśmy przeto kilka godzin na czytanie nie Dancygierki, ani Kladderadacza, ale różnych opisów Oliwy, okolicy a głównie klasztoru i kościoła pocysterskiego. Z tego, com wyczytał, a przez następujący dzień prawie cały spędzony w kościele, sam widział i uzupełnił, podaję Ci niektóre szczegóły. Może Ci się ten opis będzie za-

długi wydawał, jabym powiedział, że to zbyt szczupły i niekompletny szkic tylko; albowiem historya Oliwy zasługuje na obszerne opracowanie przez pióro życzliwe, to jest polskie. Oliwa i jéj dzieje to jeden z najkosztowniejszych klejnocików Pomorza i jego przeszłości, ale niestety, jak wiele innych, zapomniany i zaniedbany, z wielką szkodą dla kraju, i to tém więcéj, że istniejące opisy niemieckie są stronnicze, błędne i niedokładne. Ten zarzut muszę podnieść, pomijając drobniejsze pisemka, przeciwko książce pod tytułem: Die Cistersienser-Abtei Oliwa von J. C. Kretschmer. Był to pierwszy zeszyt zamierzanego przez autora szeregu opisów podobnych, na którym się całe wydawnictwo skończyło, z wielką korzyścią dla nieopisanych domów i publiczności, mianowicie polskiéj i katolickiéj. Autor protestant, był radzcą pruskim i dedykował dziełko swoje ś. p. X. biskupowi chełmińskiemu Sedlagowi; po przeczytaniu tych 173 stronnic, albo choćby tylko kilkunastu kart wstępnych, lub saméj jedynie dedykacyi do X. biskupa, nie można nic innego przypuścić, jak że przewielebny dostojnik kościoła nie znał zgoła treści téj książki, bo inaczéj nie byłby w życiu zezwolił na przypisanie mu dzieła tak stronniczo napisanego, obrażającego uczucia katolickie w najwyższym stopniu, a do tego najeżonego błędami i niedokładnościami rozmaitemi. W dalszym opisie będę unikał wedle możności niesmacznéj polemiki; com powiedział, niechaj wystarczy do ocenienia pracy Kretschmera.

Po tym koniecznym wstępie zanurzam się in medias res. Domniemanym fundatorem klasztoru oliwskiego jest Subisław Stary, książę pomorski;

równie niepewny, ale przez kroniki klasztorne podawany jest jako rok fundacyi 1178; za nim przemawia najstarszy dokument datowany z tegoż lata, który dla ciekawości, zwłaszcza dla wymienionych w nim osad, dziś po części nieznanych, podaję w całkowitém brzmieniu:

In Nomine sancte et indinidue trinitatis. amen. Ego Schamborius Princeps Pomeranorum scire cunctos Sancte Matris Ecclesie Filios tam presentes quam futuros volo, me viris Religiosis Cysterciensis ordinis, quos Dei pietas collocavit in loco, qui Olyva dicitur, constructo in mea propria possessione, que mihi euenit de paterna hereditate, pro remedio anime mee ac vxoris mee, liberorumque et parentum meorum, ad sustentationem eorundum sanctorum Fratrum, septem villas cum omnibus attinentiis et prouentibus suis, sub Testamento contulisse et de nostra in eorum delegasse potestatem atque Dominium. Villarum autem nomine, quas ipsis libertate perpetua coram testibus, delegaui, hae sunt. Oliva, ubi cenobium constructum est, Salcouitz, Clamboui, Sterkow, Stanoue, Gransowi, Sintimitz, libertatem quoque hominibus eorum de omni exactione et expeditione perpetuam damus, excepta reedificatione castri et pontis in Gdanze, decimam etiam de omnibus Tabernis prefati Castri et decimam Thelonei et decimam de Rezek *). Insuper decimam piscationis de clausura in Merczina **) et decimum piscem de Barsizka, decimam

*) Wyraz nieznany, może znaczyć „rzek" albo „raków," po kaszubsku rek, reczk, — reczków

**) Może tyle co „mierzywy" t j. morza małego, zwanego po staropolsku „mierzają" (Sebast. Klonowicz), lecz przeciw temu tłómaczeniu mówi następujące „recenti mari."

quoque de omnibus peccoribus nostris. Preterea liberatem piscandi in salso et recenti mari, cuiuscumque generis piscis: allec, rumbos et esoces ***) in omni Dominio nostro, quibuscunque retibus et instrumentis, naues etiam et res ipsorum a theloneo absoluimus per omnem terram nostram. Insuper ipsis libertatem conferimus construendi molendina in riuulo, qui Stricza nominatur (dziś Strzyża). Datum in castro nostro Gdanzc. Anno ab Incarnatione Domini, Millesimo centesimo septuagesimo octavo, XV Kalendis Aprilis. Testes huius donationis sunt hij. Dominus Euerhardus Abbas de Colbaz, Sacerdotes Heinricus et Hermannus, Dominus Grimizlaus Gnezota (Książę) et Martinus frater ejus, Zulis (?), Heinricus Camcerarius, Stropha et alii quam plures. Presenti itaque Carta per sigilli nostri impressionem predictam Donationem confirmamus, qua tenus nulli imposterum eam infringere liceat; sed quicunque hoc attentaverit, a Deo se dampnandum sciat; Cunctis, vero eidem loco sua ira servantibus et bona facientibus sit pax Domini Nostri Jesu Christi quatenus ex hic fructum bone actionis percipiant et apud districtum Judicem premia eterna habere mereantur in celis. Amen.

Przebrzmiały święte i pełne wiary słowa, kończące ten dokument, w uszach ludzi śmiertelnych, przebrzmiały i poszły w zapomnienie lub pogardę u świata, ale czy przebrzmiały i poszły także w zapomnienie u Boga?...

Wedle reguły czy obyczaju starszych zakonów osiadło w Oliwie dwunastu zakonników z

***) Śledzie, rambory (Steinbutten) i łososie.

trzynastym opatem, na pamiątkę i uczczenie grona apostolskiego z Chrystusem Panem na czele; pierwszym opatem był Dythard z klasztoru Cystersów w Kolbaczu na Pomeranii, założonego dziesięć lat przed oliwskim. Była to pora najświetniejszego rozwoju zakonu cysterskiego, którego patryarchą jest św. Robert z Burgundyi. Nową osadę na północy nad rzeczką Strzyżą nazwano „Ad montem Olivarum," z czego powstała skrócona nazwa Oliwy; nie trudno domyśleć się, iż nazwa ta ściąga się od Kalwaryi, jaką sobie zakonnicy wystawili albo raczéj zamierzali wystawić u stóp poważnego pagórka Pachołków, dziś zwanego powszechnie Karlsberg. Później używał także klasztór niekiedy nazwy: Domus B. Mariae Virginis de Oliva, jako swéj patronki.

Osada klasztorna przechodziła różne koleje, zażywając wiele chwil pomyślnych, ale też nie mało złych i smutnych wypadków doznając, o których niżéj pomówię obszerniéj, a teraz podam Ci szczegółowy opis świątyni i klasztoru. Kościół i drugie zabudowania istniejące dotychczas, nie są tak stare, jakby się zdawać mogło, bo sięgają zaledwie 1577 r. i lat następujących, gdy po ostatniéj ruinie, zadanéj téj osadzie pobożnéj przez Gdańszczan, na nowo dźwignięte zostały. Oprócz kościoła stoją jeszcze: główna oficyna, w któréj się niegdyś mieściła apteka, kasa i kancelarya sądowa, dziś zamieniona na szkołę katolicką i pomieszkania dla nauczycieli, organisty i zakrystyana, daléj domek przy bramie i kapliczka św. Bernarda, dziś zamieniona na więzienie wiejskie; nowy pałac opata, dziś królewski, w którym mieszka księżniczka z katolickiéj linii Hohenzollernów;

stary pałac opacki, dziś służący za dom mieszkalny dla inspektora ogrodu. Oprócz wymienionych istnieją jeszcze liczne obory, stajnie, śpichrze i znaczna część właściwego klasztoru, którą, o ile nie stoi pustkami, obrócono na mieszkanie dla proboszcza i wikaryuszów. Rozebrano zaś po kasacyi klasztoru lub runęły pod wpływem czasu i zaniedbania, pomieszkanie przeora i nowicyat, browar, w którym się także pokoje dla gości znajdywały, młyn wodny i inne liczne zabudowania; kościółek św. Jakóba, za czasów klasztornych parafialny, przeszedł po sekularyzacyi na użytek lutrów, dawniejszy zbór luterski zaś rozebrano, a na jego miejscu i z tegoż materyału wystawiono dom dla pastora.

Klasztór był zbudowany w czworobok, którego środek tworzy nie wielki dziedziniec; na wewnątrz idą w około dziedzińca wspaniałe krużganki, z których po trzech stronach jest wejście do rozmaitych gmachów klasztornych, czwartą zaś zajmuje kościół. Wejście do niego z dziedzińca wewnętrznego zdobi piękny portal z czarnego marmuru i tablica, o której będzie niżéj mowa. Po przeciwnéj stronie leży refektarz letni mnichów, do którego się wchodzi przez równie wspaniały portal z następującym napisem:

Haec Porta transportata per M. A. H. A. O. S. R. M. S. P. P. Commissarium generalem et per eundem adornata 1689 *).

Jestto wysoka i obszerna sala, któréj śliczne sklepienie wspiera się na trzech granitowych

*) To jest Michaelem Antonium Hacki, Abbatem Oliv., Sacrae Regiae Majestatis Secretarium, per Prussiam Commissarium i t. d.

kolumnach, z nich każda wykowana z jednego głazu; atoli jedna z nich runęła niedawno i złamała się w dwóch miejscach, i to skutkiem zawalenia się pokojów położonych nad tymże refektarzem; kapitele tych kolumn tworzą kielichy kwiatów, z których się liście i łęty rozwijają w przepyszne sklepienie. Pod gzymsem idą w około ścian długim rzędem portrety wszystkich opatów, z datą ich elekcyi i zgonu; niektóre z nich uszkodziła w nowszym czasie chciwość i głupota ludzi, szukających w murze za portretami ukrytych skarbów. Niedostaje tylko portretu ostatniego opata Rybińskiego i dwóch tytularnych opatów oliwskich, książąt Józefa i Karola Hohenzollernów; a ciekawa rzecz, że właśnie te trzy portrety uzupełniłyby w koło idący wieniec, nie pozostawiając miejsca dla nowych obrazów. — Framugi w sklepieniu są ozdobione malaturami, przedstawiającemi sceny z życia św. Bernarda. Naprzeciw wejścia do refektarza znajdują się szczątki sztucznéj fontanny, która wedle opisów miała kształt drzewa oliwnego, które z liści i owocu tryskało promienie wody, spływającéj w ogromną kadź marmurową.

Nad refektarzem była dawniéj biblioteka, z drugiéj strony sala kapitulna i inne gmachy, ale prawie całe piętro po tych dwóch stronach dziedzińca zawaliło się dawno. Poddasze zaś jest zapełnione stalami, figurami i obrazami świętych Pańskich, które wyrzucono z kościoła; są pomiędzy niemi także portrety książąt, opatów i rozmaite sprzęty domowe, które tu jako stare rupiecie złożono molom i pyłowi na pastwę. Smutno patrzeć na taką obojętność, skazującą na pewne zniszcze-

nie tyle przedmiotów, cennych jako zabytków starożytności, a może i sztuki.

Wejście do sali kapitulnéj zdobią gustowne podwoje z takim napisem:

J. H. S. MA

odit amat punit conservat honorat

v. Hic locus ria

excessus, pacem, murmura, jura, bonos

(posążek) (posążek)

S. Albericus. S. Stephanus.

Na wschodniéj stronie dziedzińca, ponad wejściem do obszernych podziemnych sklepów, leży tak zwana sławna sala pokojowa, która jako szczuplejsza, służyła mnichom za refektarz zimowy. Zanadto dobrze Ci znana kilkuletnia wojna szwedzka, któréj wreszcie pokój w Oliwie zawarty koniec położył, abym się nad nią miał szeroko rozpisywać. Wspomnę przeto tylko o niektórych szczegółach, dotyczących samego pokoju, które Ci może mniéj znane.

Ostatnie dwa lata długiéj wojny, rok 1658 i 1659, były dla rozzuchwalonych Szwedów wcale niepomyślne: Czarniecki i Lubomirski wyparli ich bowiem z Torunia, Grudziądza, Tczewa, Brodnicy, słowem niemal z wszystkich warownych i znaczniejszych grodów pruskich, nakoniec poddał się Polakom także Gdańsk (22 października 1659), tak że do ściany przyparci Szwedzi, korzystając z obecności Jana Kazimierza w tém mieście, wysłali do niego za namową Francyi posłów z prośbą o pokój. Na propozycyą ambasadora francuskiego Antoniego de Lombres, przeznaczono klasztór oliwski na miejsce obrad, a trzechmilową przestrzeń naokoło orzeczono za neutralną dla obu stron nieprzyjacielskich. Pomimo jednak szczerej

chęci i potrzeby pokoju dla obu zapaśników, było wiele przeszkód do usunięcia, wynikających głównie z wzajemnéj zazdrości i niechęci tych dworów europejskich, które swe usługi i dobre rady wojującym ofiarowały, zanim nakoniec przystąpiono do ważnego dzieła to jest do układów samych. Mianowicie nie chciał cesarz niemiecki uznać Francyi za pośredniczkę pokoju, na co inne państwa ją obrały; rzekomo jednak, by się układy rozpoczęte nie rozbiły, ale rzeczywiście dla tego, aby ambasadora cesarskiego drożącego się zbytecznie nie wykluczono wreszcie całkiém od obrad, przyłączyli się także delegaci cesarscy do konferencyi, ale nie znosili się wprost z francuskim posłem, lecz oddawali swe wotum pełnomocnikom brandeburskiemu i polskiemu, a ci komunikowali je posłowi francuskiemu, który go znów udzielał Szwedom, a tak był i wilk syty i koza cała. Po długich korowodach i spacerach zebrali się nareszcie pełnomocnicy różnych dworów na dniu 23. marca 1660 r. po raz pierwszy w murach klasztoru oliwskiego, i to w salonie recepcyjnym ambasadorów polskich; w już wspomnianym refektarzu zimowym, który od owego czasu zowie się powszechnie „salą pokojową.“ Delegowani przez króla Jana Kazimierza mieszkali w Górnéj Strzyży, a nimi byli: Jan Leszczyński, wojewoda poznański, Jerzy Lubomirski, hetman polny i marszałek koronny, Mikołaj Prażmowski, w. kanclerz koronny, Krystyan Pac, w. kanclerz litewski, Andrzej Morsztyn, referendarz koronny, Władysław Rej, skarbnik koronny, i Jan Gniński, podkomorzy pomorski. Pełnomocnicy elektora brandeburskiego mieszkali w Polankach, tuż przy Oliwie; poseł fran-

cuski umieścił się w starym pałacu opackim, a posłowie cesarscy pozostali w Gdańsku, zkąd jak i drudzy nie będący na miejscu, dojeżdżali do Oliwy; nakoniec pełnomocnicy szwedzcy mieszkali w domu przeora. Rokowania toczyły się w sposób również zmudny jak naiwny, można powiedzieć dziecinny, charakteryzujący niechęć i próżność dworów interesowanych i pośredniczących, zwłaszcza niemieckiego. Bo otóż delegowani nie zbierali się bynajmniej razem na sesyą, ale jak już powiedziano, pomiędzy paktującemi stronami wędrował poseł francuski, przyjmując i oddając dalej oświadczenia pojedynczych stron i nakłaniając je do zgody. Te promenady odbywały się pomiędzy dworem przeora, gdzie posłowie szwedzcy siedzieli, i już wspomnianym salonem recepcyjnym posłów polskich, około których się drudzy zbierali, wyjąwszy posłów cesarskich.

Zaraz w pierwszy dzień rokowań zagroziła wiadomość o śmierci króla szwedzkiego, Karola Gustawa, rozbiciem zaledwie rozpoczętego dzieła pokojowego, bo słusznie musiano się oglądać, zwłaszcza z polskiéj strony, na następstwa tego nieprzewidzianego wypadku. Atoli rozsądny Jan Kazimierz udał się osobiście do Oliwy, aby rokowania przyspieszyć i jak najrychlej do końca przyprowadzić. Rzeczywiście porozumiały się z większą łatwością, aniżeli się spodziewano, równie spragnione pokoju obie strony wojujące, przynajmniéj co do głównych punktów spornych, najwięcéj trudności sprawiała kwestya dysydentów w Polsce i ugoda o Liwonią. Nareszcie przyrzekł król w imieniu rzeczypospolitéj w trzecim artykule pokojowego instrumentu odstąpić Szwecyi tę część Liwo-

nii, którą Szwedzi podczas wojny zdobyli, zatrzymując dla siebie część południową, jako też Kuronią, Semgalią i obwód pełteński. Daléj zrzekł się Jan Kazimierz dla siebie i za swoich zastępców na wieczne czasy korony szwedzkiéj, zastrzegając sobie wszelako używanie tytułu i herbu króla szwedzkiego aż do swego zgonu, wyjąwszy w korespondencyach z dworem szwedzkim. Nareszcie zapewniono w 25. artykule ugody dysydentom polskim ogólną amnestyą, a nadto przyrzeczono dysydentom pruskim przywrócenie dawniejszych swobód religijnych i politycznych. Oto takie są główne punkty sławnego pokoju oliwskiego, który w dniu 3 maja 1660 przez pełnomocników państw traktujących i pośredniczących o saméj północy podpisany został. Zawarcie pokoju, który ukończył dość niekorzystnie dla kraju jednę z najnieszczęśliwszych wojen dla oręża polskiego i potęgi rzeczypospolitéj, a najszkodliwszą bez wątpienia dla ziem polskich, a do tego wojnę z pobudek osobisto-dynastycznych i niepraktycznych podjętą i prowadzoną, obchodzono uroczystym aktem dziękczynnym w kościele oliwskim, a nazajutrz odbyło się na rozkaz króla po wszystkich świątyniach gdańskich solenne nabożeństwo.

Próżne i śmieszne spory etykietalne pomiędzy posłami niemieckim a francuskim wlokły się aż do samego końca i uwydatniły najjaskrawiéj przy podpisaniu dokumentu pokojowego. Podpis bowiem miał dla większéj okazałości nastąpić publicznie i to dopiero 10 maja w kościele oliwskim; atoli poseł rakuski odmówił wziąść udziału w téj ceremonii, i to nie chcąc ustąpić pierwszeństwa posłowi francuskiemu. Dla tego odstąpiono od

pierwotnego zamiaru, i podpisała jedna strona traktat w sali pokojowéj, a druga w domu przeora; nadto na egzemplarz przeznaczony dla Austryi, nie położył ambasador francuski swego nazwiska ani pieczęci, na czém, jak widać, cała sprawa nic nie straciła, a Austrya nic nie zyskała. Wzajemna wymiana instrumentów pokoju nastąpiła u bramy kościelnéj, która do świątyni z krużganku prowadzi, gdzie późniéj wmurowano wspomnianą wyżéj tablicę marmurową na pamiątkę tego aktu. Jan Kazimierz wyjechał potém niebawem do Warszawy, gdzie sejm potwierdził zawarty traktat, a równocześnie zwinęła załoga szwedzka kotwice i wyniosła się z Piławy do Szwecyi.

„Salę pokojową“ pozostawiono od r. 1660 aż do 1807 w tym samym stanie nietkniętą, jak ją nasi posłowie opuścili; nic ruszono nawet z miejsca fotelów i kobierców, wyjąwszy, że na ścianach pomnieszczano liczne napisy. Dopiero gdy 1807 Francuzi klasztór oliwski na szpital zamienili, poginęły z sali pokojowéj wszystkie sprzęty i pamiątki historyczne; jednie napisy pomnikowe i ciężki stół dębowy z marmurową płytą uszły zniszczeniu i można je dotychczas oglądać. Nie miałem czasu zastanawiać się długo i dumać nad donośnym aktem, jaki się w tém miejscu dokonał; obecna chwila nie pozwalała zapuszczać się w rozwlekłe rozumowania, a obecny stan sali opuszczonéj, brudnéj i obdartéj, wywoływał żywy żal i oburzenie.

Na jednym z rogów framugi okna, widać dwie ściskające się dłonie, jedna ubrana w suknię granatową — to polska, druga w czerwonym rękawku z kolorami szwedzkiemi, niebieskim i żół-

tym, a nad niemi taki napis:

MessVIt hiC oLeas Vbres gens sVeCa polona.
frVCtIbVs eXCelsIs paX sVrgat OLIVa
perennet.

Po polsku: Tu zebrał obficie owoc oliwy naród szwedzki i polski. Świetne owoce niech wyda pokój i Oliwa niechaj trwa na wieki. — Chronostych w tych wierszach zawarty, podaje, jak się łatwo domyślić można, rok pokoju 1660. Na jednej z wązkich ścian pokoju jest wmurowana marmurowa płyta, opiewająca w wyrazach pełnych przenośni i sztuczek poetyckich, co następuje:

Oliva
Anagramma
Viola

Sanant non violant violae sic fecit Oliva
Languenti patriae dum medicina fuit,
Leniit haud laesit non punxit at unxit Oliva
Fructus non luctus flosculus iste dedit
Hinc oleum vitae dulcissima pharmaca ab ista
Pax sumpsit viola quae violata fuit.
Anno quo
paX MoDo CLaret.

To znaczy: Oliva — viola (Oliwa — fijołek).

Fijołki leczą, nie ranią: tak zrobiła Oliwa,
Gdy się stała lekarstwem dla cierpiącej ojczyzny;
Oliwa goi, nie jątrzy nie kłuje, ale głaska.
Owocow, nie smutku udzielił ten kwiatek,
Ztąd oleju życia, najsłodszego lekarstwa od tego
Fijołka zaczerpnął pokój naruszony.
W roku, który
Światłem pokoju zabłysnął (t. j. 1660.)

Pod tą tablicą umieścił krewny opata Kęsowskiego, pod którego rządami pokój w Oliwie zawarty został i który pierwszą tablicę postawił, druga płytę z czarnego marmuru z tym szumnym napisem:

Rosa
quam cernis hospes
Kęsowiana est.
In vita candida in Morte purpurea
In Lechico Prussiae enata campo
Et florem dedit et odorem,
Zelo fervens eloquio clarens
Consilio potens virtute constans
Ad terna regni comitia Legatione
Ad tribunal ejusdem Deputatione
Ad Prussiae Consilia Directione
Illustris
fecit specimina
Ubique fragrantissima meritorum eorum,
Nec togae gloria contenta
In sago quoque tam Chocimensibus adoreis.
Quam Vienensibus lauris coronata
Ad Parcanum Hungariae
Bellonae Turcicae manu succisa
Marti sacro cui sacrata cecidit victima.
Hic demum Olivae
Ut Avi Abbatis Memoriae gloriosae
Digni et ultimi Nepotis perennatura accederet fama
Implantata est
Anno quo
oLIVa DIXIt paX Mea huic rosae.

Po polsku:

Róża,
którą tu widzisz, przychodniu,
Jest Kęsowskich.
Za życia biała, w zgonie szkarłatna,
Na lechickiém Prus polu wyrosła,
Wydaje kwiat i zapach,
Płonąca gorliwością, jaśniejąca wymową,
Można w radzie, stateczna w męstwie
Trzykroć wysłana na sejm królestwa,
Deputowana do tegoż trybunału,
Przewodząca sejmikowi pruskiemu
Prześwietna
Złożyła wszędzie wonne dowody swych zasług.
Nie zadawalając się sławą sukni obywatelskiéj,
Okryła się płaszczem wojennym, strojnym w wawrzyny

Pod Chocimem, pod Wiedniem,
Pod Parkanami w Węgrzech
Ukróciwszy ramię tureckiéj Bellony
W świętéj wojnie, w któréj legła świętą ofiarą;
Tu nareszcie w Oliwie,
Aby przymnożyć świetnéj pamięci opata, przodka
Godnego i ostatniego potomka, długotrwałą sławą,
Wsadzoną została
W roku, gdy
Oliwa rzekła: mój pokój téj Róży!

Chronostych oznacza rok 1679. — Żeby z tych wierszy koniecznie wynikało, jak niektórzy twierdzą, iż jedynie próżność jednego z potomstwa opata Kęsowskiego sobie ten pomnik wystawiła, przyczém sobie dość nędznie dowcipkują, nie widzi mi się wcale. Chyba cudzoziemca patrzącego obojętném okiem na nasze sprawy i nieświadomego publicznych stósunków z naszéj przeszłości, może razić dbałość, dajmy, że nieco wygórowana, szlachcica polskiego o swoją sławę osobistą lub rodzinną, zwykle ściśle związaną ze sprawami publicznemi i sławą całego narodu. W każdym razie, mnie przynajmniéj, stokroć milszy szlachcic, który się z chlubą i zasługą wywięzuje z obowiązku szlacheckiego i obywatelskiego względem ojczyzny i społeczeństwa, choćby się przez to wydawał nieco butnym i niesmacznym, aniżeli szlachcic marnotrawca lub profesor — demokrata, który nic takiego nie czyni, z czegoby mu było wolno pochwalić się i wynosić, ale częstokroć zaś sławę drugich szarpie lub własne gniazdo kala.

O pokoju oliwskim wspomina nakoniec tablica marmurowa, wmurowana w ścianie przy wejściu z krużganku do kościoła na pamiątkę wymiany instrumentu pokojowego, téj treści:

A M D. G.
Pax perpetim duratura
Inter Regnum Poloniae ac confederatos
S. Caesar. Mtem et Sermum Electorem Brandeb.
ex una
Tam inter regnum Sueciae
ex altera parte,
Mediante Christmi Regis legato
Ecclesiam SSmo regnante Do. Alexandro VII.
Imperium Romanum Leopoldo I.
Regnum Poloniae Casimiro IV.
Conclusum in Oliva
Sub Rm. Praesule Alexandro
Kęsowski.
3 May ipso scilicet die
S. Alexandri Pontificis
Anno quo
PaX MoDo CLaret.

Obejrzyjmy teraz świątynię samę! Takowa należy pod względem rozmiarów, wspaniałości i gustu do najcelniejszych budowli Prus Królewskich, tak bogatych w podobne gmachy. Jéj plan przedstawia formę krzyża łacińskiego, z ramionami bardzo przykróconemi i prostą koroną; długa noga składa się z trzech naw, z których jedna — wedle zwyczaju przyjętego u Cystersów — znacznie węższa i przez to podobna do krużganku, jest także bez ołtarzy i wszelkich ozdób. Dwie poboczne łodzie tworzą już wspomnianą koronę, przedłużając się wokoło presbyterium, odgrodzonego murem sięgającym aż do sklepienia; z obu boków czepia się korony kilka kaplic. Długość kościoła wynosi 318 stóp, szerokości ma w ramionach krzyża $80^1/_2$ stopy, a w łodziach długiej nogi 77 i pół stopy. Facyatę zdobią dwie gustowne, ale nie wysokie wieże, a po bokach wznosi się kilka mniejszych wieżyczek; wszystkie są kryte miedzią,

kościół zaś holenderską skorupą. Nad wspaniałą, ale wpływem czasu i powietrza znacznie uszkodzoną główną bramą, znajduje się herb opata Hackiego i następujący napis:

ad M. D. G.

Ecclesia Mariae B. V. de Oliva S. O. C. a Subislao Duce Pomeraniae Ao D. M. C. LXX et SS. Trinitati B. V. Deiparae ac mellifluoDoctori Bernardo dedicata a Rmo De Davide Konarski. A. O. Anno D. M. D. L. XXXVIII Porta decorata et Anno D. M. DCCLXXI per venerabilem conventum in Oliva in facie exornata. Z tych słów wykazuje się, że kościół ten jest poświęcony Trójcy Przenajśw., Najśw. Maryi Pannie i św. Bernardowi; jak się zaś obecnie przedstawia, został wzniesiony pod rządadami opata Dawida Konarskiego, o czém niżéj dokładniéj mowa będzie.

Wspomniałem już przy wstępie niniejszego listu, jak nas wstępujących do świątyni zakrystyan powstrzymał w samym progu, aby nam dać całkowicie uczuć wrażenie, jakie zwłaszcza pierwszy rzut oka na wnętrze tego kościoła sprawia. I rzeczywiście, widok ten zadziwia i zachwyca oko, umysł i serce przychodnia nie tylko wielkością rozmiarów, bo nie mało téż przyczynia się do podniesienia piękności podwójne światło, wpadające wielkiemi oknami do pobocznych łodzi, a mniejszemi otworami oświetlające z góry główną nawę. Ta kończy się, jak dopiero co rzekłem, jakoby olbrzymią framugą, odłączoną wysokim murem od reszty kościoła, i tworzy presbyterium z głównym ołtarzem. Takowy jest dziełem już kilkakrotnie wspomnianego, zasłużonego opata Hackiego, rządzącego od r. 1683 do 1703 r., i zaleca się rzadką na ową

epokę elegancyą i gustem. W około albowiem właściwego ołtarza idą półkolem liczne marmurowe kolumny, dźwigające obłoki niebieskie, wielkiéj doskonałości sztukateryą. Z obłoków wyzierają główki aniołków, a sam środek nieba tworzy okrągłe okno ze szkła malowanego, przedstawiające Trójcę Przenajświętszą, zaś wielki obraz olejny, niżéj owéj ornamentyki sztukaterskiéj, pomiędzy czarnemi kolumnami umieszczony, przedstawia Najśw. P. Maryą i św. Bernarda. Obficie spadające strugi światła z okien wysoko umieszczonych i z szklannego obrazu uwydatniają bardzo miłe piękne kształty tego ołtarza.

Wysokie ściany, które presbyterium od reszty kościoła zamykają, są wewnątrz okryte wspaniałemi malaturami; po stronie ewangielii znajdują się wizerunki fundatorów, po stronie epistoły portrety celniejszych dobrodziejów kościoła i klasztoru, jak to opowiadają objaśniające napisy. I tak czytamy po lewéj stronie:

Monumentum illustrissimorum fundatorum hujus monasterii.

Pierwsze niejako miejsce, ponad główną malaturą, trzyma portret Stefana Batorego, który ze względu na to, że on przyczynił się najwięcéj do odbudowania obecnego gmachu, zmuszając Gdańszczan za spalenie kościoła i klasztoru 1577 roku do wypłacenia 20,000 talarów na rzecz klasztoru, z téj przyczyny zalicza się słusznie do fundatorów tego domu bożego. Nad portretem znajduje się herb Batorych, trzy wilcze kły w czerwonem polu, i następujący napis:

Stephan Dei gratia Rex Poloniae, magnus Dux Lithouaniae, Russiae, Prussiae, Masoviae, Samogi-

tiae, Livoniaeque etc. nec non Transsyl vaniae Princeps, — a tuż nad jego głową —

Ad majorem Dei gloriam domum hanc destructam restituam.

Po lewéj obok portretu króla Stefana, znajduje się tablica z napisem:

Noverint universi filii domus hujus quod Jll'mus Princeps dux Pomeranorum Subislaus senior primus in Oliva fundator exstitit Ao. Milmo, centesimo septuagesimo, qui senex in ipsa Oliva sepultus, duos reliquit filios Samborium et Mestevinum. Post Samborium itaque et filium ejus Subislaum juniorem cum in ducatu Mestvinus successisset, tandem etiam cum iisdem hic Olivae requievit Anno MCCXX.

Tablica po prawéj stronie zaś opiewa:

Mistvini filii Suantopolcus, Rateborius et Wartislaus inter hos illustrios Suantopolcus, dux pius cum se et sua strenue defendisset obiit MCCLXVI. cujus funus filii Mistvinus et Wartislaus solemni ritu Olivae curarunt. Mistvinus post patrem dux Pomeranorum sine stirpe moriturus, successore sibi Praemislio duce Poloniae designato, vitam finit Anno MCCXCV et hic sepultus.

Niżéj portretu Stefana Batorego znajduje się pięć wizerunków, wymienionych u góry w łacińskim tekscie książąt pomorskich, i to począwszy od ółtarza, najprzód fundatora pierwszego Subisława Starego, pięknéj twarzy i szlachetnéj postaci starca, przybranego w bogatą kapę książęcą podobną do biskupiéj, z podpisem:

Jll. Princeps dux Pomeranorum Subislaus senior, cum primus inter duces fidem catholicam suscepisset hanc Olivam Ssmae et individuae

Trinitati, gloriosissimae Virgini Mariae, sancto Bernardo obtulit et dedicavit Anno 1170.

Drugi jest portret Sambora z podpisem:

Jll. Princeps dux Pomeranorum Samborius villis, juribus libertatibusque Olivam magnifice dotavit.

Potém następuje portret Mestwina czyli Mściwoja lub Mszczuga, przybranego w guście słowiańskim t. j. w pyszne sobole, z podpisem:

Jll. Mestevinus dux Pomer. Princeps pacificus et strenuus Olivam possessionibus cumulavit.

Następuje obraz Świętopełka Wielkiego, w kosztownéj zbroi rycerskiéj, a niżéj:

Jll. dux Pomeraniae Suantopolcus vir bellicus et piissimus fautor Olivae multa impendit pietatis Opera.

Ostatni jest wizerunek Mestwina II., także zbroją okrytego, ostatniego księcia na Gdańsku, na którym wygasła linia książąt wschodniopomorskich po mieczu, z podpisem:

Jll. Dux Pomeraniae Mestvinus ultimus beneficus princeps plurimas contulit Olivae libertates.

Ten to wielkiego serca ale słabego umysłu książę przyczynił się głównie przez zbytnie zamiłowanie pokoju, dobroduszność i chwiejność, do rozpostarcia się Zakonu Krzyżackiego i usadowienia się w tych stronach, ustępując mu dobrowolnie 14 wiosek, do których sobie zakon rościł pretensye, a które należały się cystersom oliwskim, za co tych wynagrodził nadaniem 16 innych wiosek.

Pod tą główną malaturą przedstawia mniejszych rozmiarów obraz, chrzest Subisława Starego i budowę kościoła oliwskiego, około któréj krzą-

tają się także Cystersi w habitach, a nad nim taki napis:

Illustrissimus princeps dux Pomeranorum Subislaus senior per R. D. Abbatem colbacensem beptizatur et hanc Olivam Cisterciensium ordinis monachis ex dicto Colbaciensi monasterio assumptis fundat Anno MCLXX.

Po obu stronach tegoż obrazu są dwie tablice z obszerną treścią; lewa opiewa:

Encomium
Illustrissimi principis Suantopolci a patribus
Hujus Monasterii ejus contemporaneis
Metrice scriptum.

Dux Suantopolcus persolvit debita Mortis,
Ingenuus sapiens et ad certamina fortis,
Atque Dei cultor fidei defensor et ultor
Veri zelator, magnus cleri venerator,
Osor iniquorum, vehemens corrosor eorum,
Juste censebat, oppressis subveniebat,
Sicut debebat; oppressores reprimebat,
Causas cunctarum primo tractans viduarum
Juri causarum post intendens reliquarum
Terram defendit propria mira probitate,
Nullum suspendit, quia plenus erat pietate,
Sed delinquentes et contra jus facientes
Carcere claudendo, spoliando bonis capiendo
Sic castigavit, nullum vita spoliavit
Immo prodentes hunc tradere qui voluerunt,
Non nece damnavit aliquos sicut meruerunt
Obiit anno quo supra tertio idus Januarii
Cum vixisset annos XCVII.

Wiersze te istniały już przed zniszczeniem kościoła w r. 1577, jak to ze słów wstępnych jasno wynika, choćby ich nawet Kasper Szyc (1525) w swojéj kronice Ziemi pruskiéj nie cytował dosłownie. — Na prawéj zaś czytasz:

Fundatorum
Hujus Monasterii Olivensis
Commendatio.

Lagra beneficiorum Impendia continuas, juges-
que.

actiones exigunt gratiarum Illustrissimi Duces quondam Pomeranorum, Domum hanc in Honorem sui, et omnium Conditoris, de propriis suis facultatibus erexerunt, utque in ea catholica fides, et cultus divinus, juxta institutum S. Ordinis Cisterciensium, perpetuum consequeretur rigorem, ipsam, pro ducali magnificentia liberaliter dotaverunt, per hoc nimirum et altissimo complacere, et sui memoriam relinquere cupientes. Ne igitur Nos qui ejusmodi sustentamur beneficiis, veluti ingrati tantorum collatorum inveniamur immemores, hujus rei notitiam, gemino quodam objecto, picturae videlicet et scripturae, fratribus nostris dulcissimis tam praesentibus, quam secuturis dignum duximus intimare. Horum proinde Illustrissimorum principum fundatorum, tum etiam aliorum fautorum ac protectorum nostrorum celebrem, in hoc loco, memoriam, sequenti die, post dedicationem Ecclesiae, annuatim agimus, et ut pro eorum animabus Dominum sedula deprecemur, perpetuos nos cogno scimus Debitores.

Po téjże samćj stronie znajduje się pod malaturą tuż przy ścianie kosztowny sarkofag z czarnego marmuru, z herbem książąt pomorskich, Gryfem, i tym prostym napisem:

Sepulcrum illustr. Ducum ac Principum Pomeraniae fundatorum hujus domus.

Pod tym sarkofagiem złożono w r. 1577. kości owych wymienionych książąt pomorskich, których

ciała pierwotnie nie w kościele, ale po różnych miejscach na krużgankach klasztornych na wieczny spoczynek złożono. — Nie uwierzysz, z jakiém uszanowaniem i rozrzewnieniem patrzałem na portrety i miejsce ostatecznego spoczynku tych książąt, których charakterystyczną cechą była pobożność, dobroć i szczodrobliwość, którzy te znamiona szczepowe Słowian uszlachetnili w swojéj dynastyi i podnieśli do wysokości cnót chrześciańskich. Bo i jakże się nie rozrzewnić na myśl o szlachetnych intencyach tych najcnotliwszych mężów i najczcigodniejszych monarchów (którym historya oprócz zbytniéj dobroci nic złego zarzucić nie może), a dzisiaj — jak nam dufać wolno — wielkich świętych pańskich, jak się nie rozrzewnić na widok ich dzieła, po którém nic okrom pamięci i garstki ich własnych popiołów nie pozostało! Wszystko na świecie wprawdzie zmienne i znikome, ale podwójny żal ściska serce, gdy się widzi, że nawet najszlachetniejsze i najświętsze dzieła nie tylko podlegają zmianie i zgubie, ale służyć skazane wręcz intencyom przeciwnym ich przeznaczeniu. O byłoby wiele do mówienia, ale po co się rozczulać, po co rozwodzić płonne żale — po co wywoływać cienie świątobliwych mężów, wszak oni na nas i na naszą dolę i kraju, niegdyś swą własność, patrzą i otaczają nas bez wątpienia tą samą jak za życia troskliwością i dziś przed majestatem Boga najświętszego, który sam wieczny, niezmienny i sprawiedliwy. —

Odpowiednio tablicy pamnikowéj po lewéj stronie, znajduje się druga równych rozmiarów na prawéj ścianie, poświęcona pamięci dobroczyńców klasztoru oliwskiego. Pierwsze miejsce u góry zaj-

muje obraz Zygmunta III., ozdobiony herbem Wazów i następującym napisem:

Monumentum serenissimorum et illustrissimorum Benefactorum; — nad obrazem czytasz:

Sigismundus tertius Dei gratia rex Poloniae, magnus dux Lithuaniae, Russiae, Prussiae, Masoviae, Samogitiae, Livoniae, nec non Suecorum, Gothorum, Vandalarumque haereditarius Rex. — a pod obrazem:

Ad majorem Dei gloriam hanc restitutam, protegam.

Tablica po lewéj stronie Zygmunta podaje wiadomość o królu Przemysławie, którego Mestwin II. swoim następcą mianował, a po którego zabójstwie, dokonaném przez margrafa brandenburskiego, Wacław czeski tron polski zajął. Jéj treść jest następująca:

Przaemislius dux Poloniae et Pomeraniae corona regni a sede Apostolica accepta, uno anno superstes per Satellites Marchionis Brandeburgensis occisus est. Hunc successit Venceslaus II. Rex Bohemiae filiam unicam Przaemislii in uxorem ducens, quo mortuo et post ipsum filio Venceslao III. in Olmütz interempto Vladislaus regnum Poloniae et ducatum Pomeraniae obtinuit.

Tablica po prawéj stronie Zygmunta opiewa zdradę kanclerza Piotra Świecy, nabycie Pomorza przez Krzyżaków i trzynastoletnią wojnę, skutkiem któréj kraj ten pod berło polskie wrócił, i to w następujących słowach:

Vladislaus cum munitionibus Pomeraniae dispositis Cracoviam rediisset Suenza palatinus gdanensis ejusque filii et alii milites Waldemarum Marchionem de Brandenburg ad suscipiendum

ducatum Pomeraniae vocarunt. Postque quem Domini Crucigeri diu eundem ducatum titulo emptionis (sic!) possederunt, donec Casimirus rex Poloniae Crucigeris multo sanguine victis Pomeraniam suae ditioni subjecit.

Niżéj jest umieszczonych sześć obrazów przedstawiających najprzód króla Przemysława, z takim podpisem:

Serenissimus Praemislius II. Rex Poloniae protector et amplificator jurium Oliviae exstitit.

Króla Wacława, z orłem polskim i lwem czeskim:

Serenissimus Venzeslaus Rex Poloniae et Bohemiae singularis devotionis affectu Olivam complexus est.

Daléj wizerunek margrafa Waldemara, równie brzydkiego z twarzy jak jego strój niemiecki, z czarnym orłem niemieckim i podpisem:

Incl. Voldemarus Marchio Brandenburgensis detrimenta in bello accepta Olivae liberaliter compensavit.

Następuje wizerunek W. mistrza Winryka Knyprode, z krzyżem teutońskim i napisem:

Magnificus Princeps Venricus Kniprode magister Crucigerorum speciali favore Olivam sibi devinxit.

Ostatni jest portret Jana Kazimierza Jagiellończyka, z orłem polskim i pogonią litewską. Wielce zaciekawił mnie na tym portrecie piesek u stóp króla leżący, który ma na szyi obróż z literami: NIRP...; ani tych liter ani pieska wytłómaczyć sobie nie mogę, nie wątpię jednak, że odnoszą się do jakiego faktu, i to tém więcéj, że wszystkie portrety — przynajmniéj po téj stronie — są

rzeczywistemi portretami i z historyczną wiernością wykonane. Napis pod obrazem Jana Kazimierza brzmi:

Seren. Casimirus III. Rex Poloniae superatis crucigeris jura et bona ablata Olivae restituit.

Pod tą malaturą znajduje się mniejsza, podobnie jak na tamtéj stronie, która przedstawia krwawą scenę wymordowania zakonników przez pogańskich Prusaków, a po każdéj stronie dwie tablice pomnikowe, z których pierwsza wylicza klęski, jakich ten dom boży w różnych czasach doznał, druga zawiera panegiryk na Jana Kazimierza. Nad sceną wymordowania Zakonników znajduje się taki napis:

Conventus fratrum de Oliva per Pruthenos gentiles Pogazanos seu Hoggerlandos usque in Gdanczk ductus ibique pro nomine Jesu Chr. proque Catholica Romana prisca et vera fide est misere trucidatus Anno MCCXXIV. die 27Septembr.

Na lewéj tablicy czytasz:

Vastationum
Hujus Monasterii Olivensis
Commemoratio.

Ao. MCCXXIV. Die XVII. Septembr. Pruteni Pogazani Olivam incendiis et rapinis vastarunt ut supra.

Ao. MCCXXXIV. in circumcisione, Domini, Pruteni Warmienses Gentiles Olivam incenderunt sex conversis, Elco, Tidlifo, Gerboldo, Sibodo, Wulfardo, et Barthuso cum triginta quatuor servis, gladio miserabiliter interemptis.

Ao. MCCXLIII. crucigeri in discordia cum

Suantopolco Olivam cum Grangiis et horreis igni absumpserunt.

Ao. MCCXLVII. iidem Crucigeri Olivam equis et pecoribus abactis, ad extremam pauperatem adegerunt.

Ao. MCCLII. in conversione S. Pauli iidem Crucigeri Olivam omnibus rebus iterato spoliaverunt.

Ao. MCCCL. in Parasceve, quae fuit XXV. Martii, Oliva fortuito incendio tota conflagravit.

Ao. MCCCCXXXIII. die IIII. Decemb. Hussitae heretici Olivam igni et ferro depopulati sunt.

Ao. MDLXXVII. Die XV. Feb. miles Gedanensis Olivam diripuit, et XVIII. ejusdem mensis igne totam concremavit.

Na tablicy po prawéj stronie zaś czytasz:

Elogium

Serenissimo Cazimiro III. Regi Poloniae magno Duci Lithuaniae, Russiae, Prussiae etc.

Jagellonea Casimirus origine princeps
Rex bene Sarmaticus rexit et auxit opes
Fratri sufficitur, non illi pace vel armis
Imper, inque Deum non pietate minor.
Fortuna potior certe cadit ille sub armis
Agmina Turcarum dum sine fine quatit.
Hoc terrente, viri fastum posuere superbi
Dives, qua Pelago Vistula mittit aquas.
Cedit ei Mariae, non vi sed foedere Castrum
Cedunt Choynitiae, vi satagente, plagae.
Mitia jura dedit Prussis cupientibus ultro
Extulit et sub eo rursus Oliva caput
Ducentem relique felicia tempora vitae
Fata pium terris eripuere Ducem.
Si tamen ereptus, quem regnet ut aethere coeli

Antiqua vegetat semper Oliva fide.
Natus Anno XXVII coronatus Anno XLVII.
Denatus Anno XCII. supra MCCCC.

W tych oto obszernych malowidłach i wierszach mieści się streszczona, ale dobitna i wymowna historya nietylko głównych wypadków, jakie ten kościół i klasztór spotkały od jego założenia aż do przejścia pod rodowite rządy polskie, ale także ważniejsze koleje, jakie ojczyzna nasza w tym czasie przechodziła. Nie dostaje dokończenia jego dziejów i losów aż do chwili zupełnego zniesienia po upadku ojczyzny, ale można się chętnie zrzec téj reszty, bo wszakże ją mamy wszyscy w świeżéj i aż nadto żywéj pamięci, wyrytą rylcem boleści na własném sercu; — gdy pomyślniejsze chwile dla tego domu bożego nastąpią, jakich się znów z wskrzeszeniem matki ojczyzny spodziewać można, potomni uzupełnią jego przerwaną historyą...

Oliwa, świetna kolebko i grobie
Pobożnych Samborów, chrobrych Mestwinów,
Powabnaś jak młoda wdowa w żałobie,
Płacząca straty i męża i synów.

Tu obmyślały kaszubskie książęta
Swojego państwa silne podwaliny;
Ztąd rozlewała łaskę wiara święta,
Z oświatą na te pomorskie krainy.

Jak matka swego u'ubieńca stroi
Upośledzając dzieci mniéj lubione,
Tak odznaczali cię panowie twoi
Świadczący dobrodziejstwa niezliczone

Jak Subisławy wprzódy i Sambory
Tak cię pieścili z równą życzliwością
Późniéj Jagiełły, Zygmunty, Batory,
Szlachetną hojność łącząc z pobożnością.
Dziś jeszcze twoja wspaniała świątynia,
Obrazy, rzeźby i śmiałe sklepienia

Tobie uroku, im sławy przyczynia,
W nas budzi wyraz żalu i zdumienia.
Zblakło, zszarzało, co sztuka zrobiła,
Lecz niezmienioną została przyroda,
Dzisiaj ta sama, co przed wieki była,
Zawsze uśmiechnięta, krasna i młoda.
Jak bluszczu gęste liście litościwe
Zdobi chylącą się polną kaplicę,
Tak taż przyroda krasi dziś Oliwę, —
Wspomnień i wielkich mężów popielnicę.

Twój

Czesław.

VII.

Kochany Przyjacielu!

Oliwa....

Bez długich wstępów kontynuuję Ci opis kościoła oliwskiego tam, gdziem go przerwał, przechodząc do przeglądu niektórych szczegółów w jego wnętrzu. O filar narożny, przedzielający lewe ramię krzyża od presbyterium, opiera się gustowna ambona; takowa jest wystawiona w nadobnym stylu renesansowym z 16. wieku, z drzewa lipowego, czarno malowana z bogatą ślicznie utrzymaną pozłotą; szkoda, że niewiadomo, kto ani kiedy ją zbudował.

Zaczynając przegląd dwudziestu i dwóch ółtarzy mniejszych od zakrystyi, umieszczonej w rogu prawego ramienia krzyża, napotykasz najprzód ółtarz św. Józefa, marmurowy, wzniesiony w r. 1636. Obraz w ółtarzu przedstawia scenę, jak Zbawiciel Piotrowi klucze Królestwa niebieskiego

oddaje, i zaleca się pięknem wykonaniem. Drugi ołtarz Wniebowstąpienia dźwignięty w r. 1644 także z marmuru, także następujący Zmartwychwstania z r. 1645 nie są szczególne. Sąsiedni ołtarz św. Wojciecha wystawił, jak napis na nim umieszczony podaje, Wawrzyniec Bruchman, mieszczanin z Brunsbergi, i jego żona Regina; zdobiące go figury alabastrowe św. Weroniki, Piotra, Andrzeja i Reginy są bardzo zgrabnie wykonane. — Róg tej nawy na skręcie za wielkim ołtarzem zajmuje śliczna kapliczka św. Krzyża, do której się po kilku stopniach wstępuje. Jestto ujmująca nadobnością mała rotunda, oświetlona światłem spadającego z góry przez kształtną kopułkę, i wykładana gipsem, naśladującym marmur kolorowy, tylko szkoda, że znacznie uszkodzona. Służyła niegdyś za prywatną kaplicę opatowi, do której tenże wchodził osobnemi drzwiami, wybitemi w murze kościelnym poza presbyterium. — Następujący z kolei ołtarz także marmurowy, wystawiony w r. 1646, przedstawia Chrystusa Pana krzyż dźwigającego; zaraz obok stojący ołtarz z piaskowca, przez opata Michała Hackiego dźwignięty, poświęcony P. Jezusowi cierniem Ukoronowanemu, został, jak się zdaje, w nowszych czasach po barbarzyńsku pomalowany! Opat Trebnic (1617 do 1630) fundował następujący ołtarz, poświęcony P. Jezusowi Ubiczowanemu, drugi przedstawiający zdradę Judasza. Pomiędzy niemi stoi ołtarz z piaskowca, przedstawiający P. Jezusa przed Piłatem, rażący jako i poprzedni, zbytnią jaskrawością złości i brzydoty figur. Tak ten jako i następujące ołtarze Wniebowstąpienia Pańskiego, z piaskowca, i Narodzenia P. Jezusa, z marmuru, wystawił opat

Hacki. I w tych ołtarzach wielki brak gustu, ale za to mieści się w ostatnim obraz Narodzenia P. Jezusa, jeden z najlepszych, w które ta świątynia jest zresztą uboga. Także w następnym ółtarzu św. Trzech Króli znajduje się ładny obraz malowany na miedzianéj blasze; jak rok erekcyi 1647 i znak herbowy róży domyślać się każą, wystawił go opat Kęsowski, który też następujący ółtarz Nawiedzenia Matki Boskiéj fundował.

W lewém ramieniu krzyża, do któregośmy teraz doszli, mieści się ołtarz wprawdzie drewniany tylko, ale przecudnéj roboty snycerskiéj i bogato pozłacany, a jak na ołtarz poboczny bardzo wielkich rozmiarów, poświęcony Trójcy Przenajśw. Naprzeciw niego są równie piękne, rznięte stale, jedno i drugie dziełem zasłużonego opata Dawida Konarskiego. W samym rogu ramienia znajduje się, także wielkością i gustem odznaczający się, ołtarz z szarego marmuru, z pięknym obrazem Zwiastowania P. Maryi. Na jednym z marmurowych filarów wyrysował kaprys przyrody dosyć wiernie i wyraźnie twarze — Maryi Teresy, i jéj największego wroga — Fryderyka II., na co usłużny zakrystyan nie omieszkuje zwracać uwagi widzów, choćby o wielu ważniejszych i ciekawszych rzeczach zapomniał lub nie umiał dać pożądanego objaśnienia, — ale taka to nędzota ludzka w czém przecież większa może wina oglądających, aniżeli oprowadzającego. W następującym ołtarzu, stojącym już w pobocznéj lewéj nawie nogi krzyżowéj, godzien uwagi jeden z lepszych obrazów świątyni, przedstawiający św. Bernarda z Clairveaux, jak krzyżowców do świętéj walki przeciwko poganom zagrzewa. Do najlepszych zaś dzieł pędzla w tym

kościele liczą dwa małe obrazki w tymże ołtarzu umieszczone, malowane na miedzianéj blasze, z których jeden paschę żydowską, a drugi ustanowienie Przenajśw. Sakramentu przedstawia. Ołtarz ten jest darem opata Kęsowskiego. Z kolei następuje jeszcze kilka ołtarzy, mianowicie św. Antoniego, św. Michała i św. Szczepana pierwszego męczennika, wszystkie z marmuru, ostatnie dwa z dosyć dobremi obrazami. W pięknéj kapliczce, przybudowanéj w tém miejscu do nawy przez Feliksa Konarskiego w r. 1650, który tu z żoną swoją Eufrozyną z Sokołowskich spoczywa, i malowanéj al fresco, znajduje się ołtarz poświęcony św. Janowi Nepomuceńskiemu; ołtarz jako też figura świętego są z gipsu marmurowanego i nie odznaczają się ani pomysłem, ani wykonaniem; kaplica ta służy teraz za chrzcielnicę. Ostatni ołtarz w tym rzędzie jest Wszystkich Świętych, marmurowy z r. 1653, z pięknym obrazem. — Prawie wszystkie ołtarze są opatrzone w antependia starożytne ze skóry wybijanéj w piękne kolorowe i złociste desenie, które dziś umyślnie w tym celu przybywający do Oliwy fabrykanci obić i tapetów jako wzory dla swoich wyrobów zdejmują.

Naprzeciw kaplicy św. Jana, ale po prawéj stronie kościoła, znajduje się druga kaplica, zakrawająca swemi rozmiarami na kościółek. Właściwie należy ona składem i położeniem swojém do zabudowań klasztoru, i to wedle pierwotnego przeznaczenia swego. Służyła bowiem za czasów Cystersów jako miejsce, gdzie starzy i słabowici zakonnicy mszą św. odprawiali i gdzie się nowicyusze w kazaniach i służbie lewickiéj ćwiczyli. Dawniejszy obraz w ołtarzu, przedstawiający Na-

igrawanie się z P. Jezusa, został przed kilkunastu laty zastąpiony piękną kopią Madonny della Sedia, wykonaną przez malarza Sy, Gdańszczanina. Jakkolwiek kopii téj nie można nic zarzucić pod względem sztuki, wszelako zdaje mi się, że ani oryginał, ani kopia nie są stósowne jako obrazy ołtarzowe i kościelne wogóle. Mniejsza o rzadko przydatny, czworograniasty kształt, ale nie mogę się w nich dopatrzeć ducha kościelnego, bo też wiadomy sposób, jak ten obraz powstał; malarz był wówczas daleki od uczucia wzniosłego, od natchnienia z góry i namaszczenia, któreby się przeto z obrazu przelać mogły i powinny na patrzącego i wznieść modlącego się przed nim do wyżyn niebieskich, do tronu Matki łask i miłosierdzia; Madonna della Sedia to nie nasza Matka Boska Częstochowska albo Piekarska albo Gostyńska; jestto sobie po prostu szczęśliwa młoda matka, — kobieta. Może Ci się moja otwarta krytyka będzie wydawała herezyą albo wielkiém głupstwem, niechże tak będzie, ja mówię, jak czuję.

Natomiast znajdują się w téjże kaplicy trzy stare i bardzo dobrze wykonane kopie słynnych oryginałów, i to Zdjęcie P. Jezusa z krzyża podług obrazu Rubensa, znajdującego się w jednym z kościołów antwerpskich; Rodzina święta podług Andrzeja del Sarto i Aniołowie płaczący nad Ciałem P. Jezusa podług nieznanego mistrza.

Muszę Ci też wspomnieć o organach, jakich ten kościół ma dwoje. Jedne mniejsze na chórze w prawém ramieniu krzyża, służyły za czasów klasztornych podczas modlitw kapłańskich odprawianych w chórze, i jak dziś jeszcze do powszedniego nabożeństwa. Drugie na wielkim chórze w

głównéj łodzi należą do największych tego rodzaju instrumentów na świecie: oprócz cymbałów, dzwonków i innych sztucznych głosów, zwłaszcza aniołków grających na trąbach, liczą 83 piszczałek, a miechów do dymania mają piętnaście. Wielka przecie szkoda, że tak śliczny instrument nie może się w całéj swéj okazałości rozwinąć dla szczupłości gmachu kościelnego. Pierwszy i drugi organ zbudował w r. 1763 i następujących Jan Wulf, braciszek cysterski, którego zgromadzenie oliwskie umyślnie za granicę wysłało, aby się sztuki orgarmistrzowskiéj gruntownie wyuczył; wiadomo albowiem, że Cystersi odznaczali się wogóle zamiłowaniem do muzyki i starali się usilnie o to, aby posiadać jak najwięcéj braci muzykalnych w swoich domach.

Z kosztownych sprzętów kościelnych, w które wspaniały dom Boży w lepszych czasach obfitował, pozostałe do dziś dnia szczątki dozwalają domyślać się, jak wielką musiała być dawniejsza zamożność. Poginęły bez śladu złote i srebrne pastorały, mitry, łańcuchy opatów, monstrancye, kielichy i pacyfikały, drogie wota i kosztowne kapy i ornaty, po części podczas klęsk wojennych zabrane, po części zaś, i to po przejściu majątku klasztornego pod administracyą pruską w r. 1772, spieniężono je w celu utrzymania licznego konwentu, by przy udzielanym chlebie łaskawym bracia nie pomarli z głodu; mała część także została rozdana pomiędzy inne kościoły w dyecezyi, a nie mało zapewne przepadło w znaném rzeszocie... Pomimo to posiada kościół oliwski dotychczas kosztowną, dwanaście funtów ważącą monstrancyą, ośm kielichów i cyborjów srebrnych pozłacanych, ważą-

cych razem z patenami przeszło dziesięć funtów, kilka srebrnych świeczników i krzyżów, ampułek itp.; z aparatów kościelnych zaś dziewięć kap po części z złotogłowia, 93 ornatów i kilka dalmatyk.

W pomniki historyczne, wyjąwszy już wyżej wspomniane, jest kościół oliwski stósunkowo do swego znaczenia i swéj wielkości ubogi, nie można się jednak temu dziwić, zważywszy, że to kościół klasztorny, że doznawał także klęsk rozmaitych, podczas których wiele pamiątek poginęło, a nadto, że życie publiczne w tych stronach naszéj ojczyzny było wogóle mało rozwinięte i zbyt odległe od ogniska politycznego i towarzyskiego ruchu świata polskiego, który, jak wiadomo, żył po pańsku, a umierał po plebejuszowsku, nie wiele dbając o pomniki, — jak to bywa i bywać powinno w narodzie wolnym i państwie demokratyczném, do czego przyczyniło się w tym razie zapewne nie mało, że konwent na wskroś niemiecki, nie cieszył się zbytnie sympatyą obywatelstwa krajowego. Com jednak spostrzegł, podaję Ci ile mogę w zupełności, by jak najmniéj pominąć z drogich nam dziejów narodu i przeszłości pojedyńczych osób. Może Ci się, kochany przyjacielu, moja skrzętność okazywana w zbieraniu mnogich szczegółów będzie wydawała nudną i drobiazgową, — nie przeczę temu; wszelakoż nie chodzi mi tylko o to, aby rzekome drobiazgi otrząść z pyłu zapomnienia, w jakiém zostawione przez cudzych i obcych pisarzy dotychczas butwieją, i aby je ocalić przed zupełną zatratą, jaka je niechybnie z czasem spotka; ale głównie chodzi mi o to, aby siebie i ciebie zbudować pamięcią naszych wielkich i cnotliwych przodków, zapoznać się lepiéj z naszą przeszłością albo

raczéj oswoić się z nią, poznać ją jako rzeczywistą, domową, powszednią, co tém potrzebniejsze, że ją zazwyczaj poznajemy i uważamy za jakąś abstrakcyą, istniejącą tylko jeszcze w jałowych i kusych kompendyach naukowych, a nie mającą prawie żadnego związku z teraźniejszością i z nami. Nie, trzeba nam ojczyznę naszę poznać jako żywe ciało, żywe do dziś dnia; nasze dzieje jako nić nieprzerwaną, która się snuje od pokolenia do pokolenia; a naszych przodków jako ludzi — ludzkich, nie tylko jako postacie historyczne, a przedewszystkiém jako naszych ojców, — a wtenczas przypomnimy sobie żywo nasze zadanie i obowiązek i nabierzymy otuchy do jego wykonania, a niém jest dokładna znajomość historyi naszego narodu.

Najwięcéj pomników przechowało się w nagrobkach mnichów i braci klasztornych, wyrytych na flizach posadzki, ale po największéj części wytartych niestety do niepoznania stopami przechodniów lub zawalonych niezgrabnemi ławami. Zaprawdę nie mogę przenieść na sobie, aby choć w tém miejscu nie wyrazić życzenia, by odnośne władze zechciały raz przecie koniec położyć temu barbarzyństwu przez wydanie stósownego rozkazu, aby nagrobki umieszczone w posadzkach ocalić przed zupełną zgubą, przez ich podzwignięcie i ustawienieprzy ścianach; przykro patrzeć na taką obojętność dla przeszłości, a markotno na taki brak uczucia, poszany i czci dla pamięci mężów po większéj części zasłużonych i cnotliwych. — Jak zaś z krótkiego napisu, kończącego się zawsze wiele znaczącém: „Sequimini!“ albo: „Alle mir nach!“ a zawierającego w języku łacińskim lub

niemieckim imię i godność, rok śmierci i narodowość zmarłego, widać, byli Cystersi oliwscy powiększéj części pochodzenia niemieckiego, lub z Prus, rzadko spotyka się Polonus, a są nawet Francuzi i Czesi pomiędzy nimi, a co do godności zakonnéj wymieniają nagrobki przeorów, księży, braciszków, kucharzy, muzyków i t. d. Z prywatnych nagrobków wymieniłem już jeden Feliksa Konarskiego i jego żony Eufrozyny z Sokołowskich; inne wspominają o Jerzym Konopackim i jego żonie Annie z Konarskich, o Potulickich i innych; znachodzą się też imiona i herby obce, i to osób wojskowych lub dygnitarzy kościelnych, zmarłych przypadkiem w Oliwie lub w pobliżu, które jednak pomijam dla tego, że dla nas mogą być obojętnemi. Jedyny nagrobek, o ile zauważyłem z napisem polskim, podaję Ci dosłownie zachowując pisownią, w jakiéj jest ułożony: „Tu ślachetney Zophiei zswiecin odpoczywa Proszczewiłowey ciało, duch z Bogiem przebywa. Umarła dnia 16. miesiąsa czerwca w roku Pańskim 1648.“ Czy podane nazwisko jest familijne czy oznacza może miejsce urodzenia — zswiecin — nie jest mi jasno, nie będąc zaś heraldykiem, nie mogę Ci także wytłómaczyć znaków herbowych t. j. dwóch róż, strzały i pelikana czy może łabędzia; — może też tu zachodzi po prostu jakaś omyłka.

Najwspanialszy jest olbrzymich rozmiarów, także cenny jako zabytek sztuki, pomnik familii Kosów, cały z piaskowca, farbami pociągnięty, z figurami naturalnéj wielkości. Pod nim złożono zwłoki Mikołaja Kosa, zmarłego 1599. r. i jego żony Justyny Konarskiéj † 1631 r., i dwóch synów, Jana, zmarłego w wieku dziecięcym 1581

r. i Andrzeja † 1618. Wszystkie figury wykute z kamienia, dwaj mężczyzni w zbroi rycerskiéj, matka i dziecko w ówczesnym sutym stroju. Familia Kosów istnieje dotychczas w pobliskiéj Pomeranii, ale naturalnie zniemczona i zlutrzała. — Na wzmiankę zasługuje także piękny pomnik z piaskowca, ozdobiony en relief podobizną zmarłego, Jerzego Konstantego Hulzen, szambelana Augusta III., którzy mu wznieśli jego synowcy: Jerzy Hulzen, biskup smoleński, i Jan Hulzen, wojewoda miński.

Zaraz obok tego znajduje się piękne epitafium pewnego Hejdensteina ozdobione jego własnym i portretem jego żony, Konarskiéj; z tego, jako też z napisu wynika, że to był syn Reinholda Hejdensteina kronikarza, którego rodzina należała do szlachty osiadłéj w Prusiech. Oto jego osnowa:

D. O. M. S.

Prussia mi patria est: Hejdensteinis patre natus:
Edidit in gelidas, Anna Krokowna, plagas.
Grata solecismum dominus: optatissima nobis,
Nupta, Konarscii nominis, uxor erat.
Cara et munda, thori quae pignora terna jugales
Virginei sexus, filiolumque dedit
Post natale solum Germana atque itala tellus,
Gallia post artes me docuere boras;
Queis Stefano placui Regi regique Sigmundo:
Forsan et a sera posteritate sciar.
Nondum prima meas cinxit lanugine malas,
Aetas, jam norat me Stefani aula suum.
Assiduae hinc tracto dum magna negotia regum,
Quando etiam orator publica jussa fero
Sunt tamen ingenii, quae monumenta reliqui,
Plura quidem: sed quae plurima fama ferat.
Scripsimus indomitos modo fractos viribus hostes,
Moschos, et Latio gesta polona stylo.
Inter tristitia, laeta labores, inter et horum
Praemia, mors tacito venit et ipsa pede,

Vita quid est? Umbrae nisi transcurrentis imago?
Christi tibi tantum sit placuisse, precor.

Z pomników poświęconych pamięci opatów oliwskich, wymieniam najprzód Dytharda, pierwszego opata, który się z Kolbacza przeniósł do Oliwy. Wiersze te są starsze aniżeli kościół i jak z dopisku widać, zostały przy odbudowaniu świątyni w r. 1577 tylko na nowo umieszczone:

Praefuit hic primus qui vita non fuit imus
Abbas Dithardus, redolens ut florida nardus.
Sobrius et largus, sensu fuit insuper argus
Carne fuit castus, devitans daemonis astus,
Ipsam *) seduxit, seduxit ipse reduxit
Per solidos mores, dans nosse vias meliores.
Cubavit rebusque noctibus atque diebus
Fratrum, grex Christo, Claustro serviret in isto.
Vestitum tantum Monachatum, non fore sanctum
Semper praedixit, dum virus corpore vixit
Idcirco in celis, laudes canet iste fidelis
Cujus in hac fossa servantur corporis ossa,
Inclusa hoc muro, sed surrectura futuro
Tempora ventura vita, non post moritura,
Laude tua Christe, benedictus sit locus iste
Quem benedixisti tua gratia dum dedit isti
Dithardo flores virtutum res et honores
O lex praediva, cunctos fratres in Oliva
Sub Christi dextra praeserves intus et extra.
Hic venerare fratres cum Bernardo Benedictum
Per quos indictum vitae genus Ordine patres.

Hoc S. M. veneranda Antiquitas Dom. Dithardo primo Abbati Olivens. Professo Colbacensi posuit.

*) Przedostatnia litera w tém słowie jest nieczytelna, ale podobniejsza do E aniżeli do A, jak czyta Kretschmer (ipsam), i ztąd bi rze asumpt do płytkiego i dwuznacznego dowcipkowania, ubliżającego pamięci cnotliwego męża. Byłby lepiéj zrobił poświęcając większą uwagę na poprawne przepisanie pomnika, które się u niego od pomyłek roi.

Uwagi godne są także epitafia opata Dawida Konarskiego, zmarłego w r. 1616, z pięknym portretem i obszernym napisem, opiewającym jego mnogie zasługi około Oliwy; Kazimierza Dąbrowskiego, tyle okrzyczanego Kaspra Jeszki i Feliksa Kosa, opata pelplińskiego, który, jak się zdaje, umarł podczas wizytacyi klasztoru oliwskiego r. 1618 i tu pochowany został. Wejście do katakumb kościelnych pokrywa wielki głaz z takim napisem:

hiC sIbI sVb saXo.
requIeM fVnDaVIt OLIVa.
CVI LUX, VIta qVIes fIrMae
sIt Ipse DeVs.
has DenVo VICes Iterat Moest —
VsqVe precatVr.
C. O. S. O. C.
Requiescant in pace.

W tych wierszach umieszczone są trzy chronostycha, oznaczające lata: 1686 — 1691 — 1627, których znaczenia trudno się domyślić.

Naprzeciw wejścia pobocznego do kościoła z kurytarza klasztornego znajduje się w jednym filarze mała framuga, dziś próżna, w której dawniej pokazywano chleb skamieniały wedle legendy powtórzonej prozą przez Bronisławę Kamińską, a wierszem przez Adama Górczyńskiego, otóż przytaczam ją, nie wiedząc, czy ją znasz.

„Jest klasztór nad morzem o milę od Gdańska, zakonu cysterskiego, Oliwa rzeczony; w tym to kościele, między wielu ozdobami znajduje się na stronie prawej za szkłem bułka chleba w kamień obrócona. A to z tej przyczyny: roku Pańskiego 1228 (1217), gdy około Gdańska wielki głód ludzi trapił, pobożny opat oliwski kazał ustawicznie piec chleb i zgłodniałym ludziom rozdawać.

Trafiło się, że jeden z ubogich wziął bułkę chleba i wyszedłszy z klasztoru, wrócił się potém i skłamawszy, że dopiero pierwszy raz przyszedł, dostał drugą. Aż gdy powraca do Gdańska, zaszła mu drogę poważna bardzo matrona, piastująca na ręku śliczne dzieciątko, która go prosiła, aby jéj na posiłek użyczył chleba. Rzekł ów: „Ja sam nie mam chleba!“ Rzecze mu owa matrona: „A toć masz za pazuchą bułkę;“ on na to: „to kamień, nie chleb;“ a to mówiąc palcem go dotykał. Więc ona rzekła: „Niechże będzie kamień!“ I natychmiast zniknęła. Postąpiwszy ów kłamca i nieużyty człowiek o staj kilka, wyjął ową bułkę, aż obaczy, że kamień, a w nim znak palca jego; zaczém struchlały i skruszony a oświecony od Boga, co to była za matrona, wrócił się do klasztoru oliwskiego, winę kłamstwa swego wyznał i rzecz całą opowiedział; na którą to pamiątkę chleb ten chowają.“

Atoli nietylko skamieniały niby chleb, ale nawet pamięć o tém podaniu zginęły zupełnie w miejscu samém, kiedy nawet oprowadzający nas zakrystyan nie wiedział nic o jedném i drugiém, i dopiero przez nasze pytania a raczéj nasze opowiadanie uzupełnił swoje wiadomości kronikarskie o ten szczegół, którym odtąd nie omieszka zapewne raczyć nowych przybyszów. Próżne zaś miejsce jest ozdobione następującym napisem w języku łacińskim i niemieckim, z których pierwszy brzmi:

Sta et considera mirabilia Dei.
Job. 37.
M. ducentesimo bis IXV post tempora Christi
Tempora sunt cara; mors undique regnat amara;
Bladi pro marca modius mercotur ab arca
Hic lupis efficitur tunc, qui de pane videtur.

Na tém kończę opis wspaniałéj świątyni Oliwskiéj. Radbym podał Ci jeszcze niektóre wiadomości z historyi rządów opackich, wewnętrznego życia Cystersów i ostatecznych losów tego znamienitego opactwa; dowiedziałbyś się zaprawdę o niejednéj ciekawéj rzeczy, pouczył, ucieszył i zbudował, ale to przekroczyłoby zanadto ciasne ramki listu, a nadto obawiam się słusznie, by Cię nie znużyć zbytecznie temi „staremi dziejami.“ Zresztą straciłyby istotnie te dzieje na zbyt dorywczém opowiadaniu, a może znajdziesz jeszcze sposobność dokładnego ich poznania, skoro Oliwa znajdzie równie życzliwego i biegłego historyka jak i Kartuzy, Pelplin *) ta młodsza nieco latorośl na rozłożystém drzewie Zgromadzenia Cysterskiego na naszéj ziemi; byłby to wdzięczny i cenny przedmiot dla pióra biegłego w służbie Kościoła i narodu!

Przyznam Ci się szczerze, żem przez kilkanaście godzin, jakiem spędził na oglądaniu klasztoru i kościoła, na szperaniu po wszystkich kątach i przerzucaniu opisów klasztoru oliwskiego, zapomniał zgoła, żem był turystą, podróżującym dla zabawy; nie dziw przeto, że w takiém usposobieniu kronikarza, z głową pełną dat i nazwisk, a sercem pełném różnych tkliwych uczuć, małom zważał na okolicę. Wnet jednak przyszedłem do siebie, bo przecudna przyroda, trzymająca tę osadę w swoich objęciach jak złota obrączka drogi kamień sygnetowy, oddziałała wkrótce na duszę,

*) Nim jest znany X. profesor Stan. Kujot, który w uznaniu zasług położonych około historyi ojczystéj, mianowicie Prus, został przez akademią umiejętności w Krakowie w grono jéj członków przyjęty.

jak orzeźwiająca kąpiel na skrzepłe członki ciała. Jak przedtém przestronne krużganki i ogromną świątynię, tak przebiegałem teraz od razu bez planu i wypoczynku najpiękniejsze miejsca, patrząc na wszystko z daleka i unosząc się nad czarującym widokiem. Dopiero po zaspokojeniu pierwszéj ciekawości zabrałem się do spokojnego oglądania szczegółów i raczenia nietylko ócz, ale i serca tém, co sztuka i natura tutaj w takiéj obfitości nagromadziły do uprzyjemnienia tego miejsca, które Kaszubi nie bez dowcipu uważają za miejsce straconego raju. Przecie nie myślę Cię zaprzątnąć obszernym opisem wszystkiego, com widział i słyszał, a jeszcze mniéj tém, com myślał i czuł, bo nie byłoby końca opowiadania, ale ograniczam się na tém, co pióro z pamięci, zasypanéj mnogością wrażeń i obrazów, wygrzebie.

Już poza kościołem i klasztorem rozciąga się aż do szosy, ogromnych rozmiarów i cudnéj piękności ogród tak zwany opacki, dziś królewski. W nim mieści się już wspomniany, gustownie zbudowany i urządzony nowy pałac packi i zaraz obok stary zamieniony na dom przeora; tamten jest obecnie zamieszkały przez księżniczkę pruską, krewniaczkę ostatnich dwóch opatów tytularnych Hohenzollernów, ten zaś przez jéj służbę i inspektora ogrodu. Jak mi kościół oliwski przypomniał przepyszną świątynię P. Maryi w Paradyżu w Wielkopolsce, tak mnie przeniósł pierwszy widok ogrodu opackiego do ogrodu książęcego w Rudach pod Raciborzem; rzecz to naturalna, bo wszystkie trzy były siedzibą i dziełem Cystersów, którzy, jak wiadomo, trzymając się ścisłe gustu i zwyczaju wyrobionego w swém zgromadzeniu, wy-

ciskali nietylko na pojedyńcze dzieła swoje, ale nawet na całą okolicę pewne piętno, które pomimo odmienności koniecznéj, daje się łatwo poznać w całości, — a chociaż ani ogród oliwski ani rudzki nie cieszą się już staranną opieką umiejętnych rąk zakonnych, i podlegają w szczegółach innym regułom gustu i mody, przecież główne zarysy, wytknięte przez ich założycieli, nie dozwalają już następnym gospodarzom i panom zetrzeć z nich charakterystycznéj cechy. A takową stanowią przecudne drzewa, cieniste ganki, obszerne murawy i wody, umiejętnie wciągnięte do ogólnego planu. Na to wskazywał zwłaszcza ostry klimat i położenie Oliwy śród gór i nad morzem, co nie sprzyja wielce chodowli kwiatów, to też pomimo pochwał sypanych przez rozmaitych turystów niemieckich ustnie i piśmiennie „Florze oliwskiego ogrodu“ — które mówiąc nawiasem, mam w podejrzeniu, że są tylko pochlebnemi komplementami dla pana inspektora, którego zachwalanéj grzeczności także nie miałem szczęścia doznać, — nie mogę powiedzieć, żebym widział coś nadzwyczajnego, czegoby mianowicie u nas w Śląsku w pierwszym lepszym większym ogrodzie także widzieć nie można. (O oranżeryi i kwiatach doniczkowych eksotycznych nie mogę sądzić, ponieważ mi ich oglądać nie pozwolono, krótko i węzłowato: ist nicht erlaubt!) Tylko na samym wstępie do ogrodu i przed pałacem opackim są zbiory rzeczywiście pięknych i rzadkich kwiatów swojskich i zagranicznych, które zapachem i świeżością kolorów zyskują sobie słuszne uznanie przychodnia.

Tém szczerzéj i chętniéj oddaję szczodre

pochwały formalnemu lasowi drzew i krzewów najrozmaitszych, które też stanowią główną zaletę ogrodu oliwskiego, i wogóle ogrodów cysterskich i okolic przez zakonników téj reguły zamieszkałych. Jakie tylko drzewa liściowe w naszych stronach istnieją, znajdziesz je wszystkie razem zebrane na téj piędzi ziemi, a iglicowych dostarczyły Ameryka, Chiny, Japonia, Syberya i Bóg wie jakie jeszcze kraje, w swoich najrzadszych i najpiękniejszych gatunkach. Najsliczniejsze są kasztany i nasze cudne, słowiańskie lipy, które zwłaszcza w dawniejszym ogrodzie klasztornym, przeznaczonym niegdyś do użytku zakonników, dziś zamienionym na łąki i pola, a przedzielonym szosą od opackiego, dochodzą do zdumiewającéj wysokości i objętości, która wnosić pozwala, że przynajmniéj niektóre z nich pamiętają jeszcze Subisława Starego i Dytharda, a większa część z nich udzielała cienia Stefanom, Zygmuntom i Sobieskim.

Najcelniejszym punktem całego parku jest olbrzymi szpaler utworzony przez cztery rzędy ogromnych lip i grabiny. Średnia aleja, jakby mur zielony, obsadzona gęsto rozłożystemi lipami, strzyżonemi subtelnie, a okrytemi od korzenia aż do wierzchołka bujnym liściem, jest podobna do olbrzymiego dalekowidza. Aleja ta albowiem zwęża się nieznacznie ku końcowi i zostawia wolny widok na błyszczący w słońcu Bałtyk, co sprawia, że to przeszło pół mili odległe morze wygląda, jakby dotykało samej ze sto kroków długiéj alei, a złudzenie jest tém większe, że w końcu szpaleru jest kilka stawków, których poziom powierzchni zniża się ku morzu. Skręciwszy się zaś z téj ślicznéj alei średniéj w jedną z pobocznych,

zmienia się nagle widok i wprawia w nowe w swojém rodzaju zadziwienie. Poboczne albowiem aleje są gęsto grabiną także z góry i to tak szczelnie pokryte, że wchodzącego ogarnia zupełnie ciemne i chłodne sklepienie, jakby podziemny tunel, w którym tylko wązki dla oka otwór na ogród pozostaje wolny. Jestto kontrast zupełny, ale rażący; bo nie wiem, jak tam komu, ale mnie się serce ścisnęło i w duszy zrobiło chłodno w tym tunelu. Tu dopiero poznałem namacalnie, jak piękny jest świat boży jasny i ciepły, jak śliczne morze i słońce, błękitne niebo i zielona murawa, jak wiernym symbolem życia szczęśliwego i swobodnego jest dzień pogodny, a jak wiernym obrazem nieszczęścia, smutku i grozy jest noc chłodna i ciemna. Szybkim tedy krokiem przebiegłem ten żywy tunel, aby się rozgrzać na słońcu i zetrzeć z duszy ponure wrażenie widokiem błękitnego niebios sklepienia i iskrzącego się zwierciadła morskiego.

W najbliższém sąsiedztwie ogrodu opackiego wznosi się najwyższy szczyt tutejszych wyżyn, po księciu biskupie warmińskim i opacie oliwskim Karolu Hohenzollern, przezwany Karlsberg, lub jak go gmin zowie Pacholkenberg. Wedle mniemania niektórych ma to być zepsuta nazwa z Pikkoloberg czyli bóżka Piekła, ponieważ tu Słowianie czcić mieli tego bałwana. Nie wchodzę w słuszność i prawdziwość tego przypuszczenia, dosyć zaznaczyć, że to nazwa słowiańska widocznie, która coraz więcéj z użycia wychodzi i wkrótce będzie całkiém zapomnianą, nawet przez swoich. Rozgłos i wzięcie, jakiego ten pagórek zażywa powszechnie, są zupełnie usprawiedliwione; bo

zaprawdę trudno sobie wystawić ślicznieszy erem, jak go to miejsce przedstawia. Po szerokich krętych chodnikach, pośród klątbów różnych krzewów i rozłożystych sosien, mimo ław i grot zapraszających do wypoczynku, śród tajemniczéj ciszy i wonnego ciepła rozlanych po téj wyżynie, wchodzi się na sam szczyt góry, z którego się otwiera cudowny widok jakby na dwa światy: na przyrodę dziką, podobną do wiejskiéj dziewicy, pełnéj własnéj krasy i prostych wdzięków, i na przyrodę ucywilizowaną, podobną do pani wielkiego świata, wystrojonéj wykwintnie i okrytéj klejnotami podnoszącemi jéj wdzięki. Z jednéj albowiem strony buja oko po nieprzejrzanych, czerniących się borami pagórkach, które wedle słów psalmisty jedne drugim po piętach depcą, z drugiéj zaś gubi się na ogromnéj dolinie, na któréj się rozległy rozpierzchłe domy Oliwy, które długie zielone pasy drzew łączą, z czerwonemi murami blizkiego Gdańska, jarzącego się od licznych wieżyc, a oblanéj ciemnym lazurem baltykowych fali. Długo patrzałem zadumany w pewnym świątobliwym zachwycie na te dziwy boże, aż zwolna chyża myśl wyprzedziła oko i pogoniła za morze i uleciała za obłoki, nurząc się w morzu czasu i kołysając w wspomnieniach lat młodocianych, jasnych niewinnością serca, ogrzanych uczuciem żywéj wiary, ożywionych bujną wyobraźnią i uświęconych postaciami kochanemi ojca, matki, sióstr i przyjaciół; ale gdy łódka myśli zapłynęła na mgliste i wzburzone topiele wezbranych namiętnością i uprzedzeniami lat młodzieńczych, zaczęło serce zmiękczone krzepnąć w żalu, dopóki oko mgłą łez zaszłe nie przywołało zbie-

głéj myśli do rzeczywistości i miło mi znów było dopiero, gdy zgoda pomiędzy myślą a okiem i sercem nastąpiła, podczas cichéj modlitwy do Ojca niebieskiego, który światem, czasem i sercem rządzi.

Byłoby jeszcze do wspomnienia o tym i owym pięknym punkcie i widoku z wycieczek w okolicę Oliwy zrobionych, ale obawiam się słusznie, żeby Cię opis szczegółowy nie znudził; byłaby to rzecz zawsze jednak ta sama, bo i widoki są w ogólności zawsze te same piękne i miłe, chociaż się w rzeczywistości z każdym krokiem zmieniają. Wystarczy, gdy Ci wymienię niektóre z owych miejscowości, mianowicie Rynarzewo (Rinnersdorf) położone nad szosą, gdziem się blizko pół godziny przyglądał zabawie — kozłątka z kocikami, z czegom się serdeczniéj naśmiał, aniżeli z przedstawień dresowanych małp i koni; daléj wymieniam Sobótkę (Zobtenberg), Hammer, Freuden i Schwabenthal, pięknie położone zakłady hutnicze nad Strzyżą, które mi cokolwiek nasz Śląsk przypomniały, Prochownię (Pulvermühle); dawniéj była ta prawdziwa fabryka prochu ruśniczego, jak i drugie wymienione miejsca własnością klasztoru oliwskiego, Owczarnia (Schaeferei) leśniczostwo, tak miluchno i skrycie położone śród parowów i gęstego boru, że go trudniéj dostrzedz jak gniazdka na gałęzi; Konradshammer, niedawno jeszcze własność pewnego hrabiego Polaka, którego tęsknota wygnała do Królestwa, niegdyś ognisko wesołego życia, a dziś żywa ruina z pysznym ongi pałacem, kapliczką i ogrodem, podobnym do raju opuszczonego; Gletkowo, wioska kąpiąca się literalnie w falach Bałtyku, gdziem u tamtejszego nauczyciela staruszka, pamiętającego jeszcze ksią-

żąt Karola i Józefą Hohenzollernów i rozprawiającego o nich z upodobaniem wdzięczności, znalazł schronienie przed naglą burzą.

Słowem jestem z Oliwy tak dalece zadowolony, że temu ustroniu nie zdołały ujmy zrobić nawet wysokie ceny w hotelu, gdzieśmy stanęli, wprawdzie pierwszorzędnym, ale jedynym, gdzie się wygodnie i przyzwoicie pomieścić można; gdyż drugie bardzo liczne są bez ustanku zapełnione rojami turystów codziennych i powszednich z Gdańska, którzy szczególnie w niedziele i święta tysiącami wylegają z miasta i psują drugim prawdziwą zabawę, podobni do brzydkich i natrętnych much i szerszeni, które najsłodsze potrawy i najpiękniejsze kwiaty najgęściej obsiadają i szpecą.

Twój

Czesław.

VIII.

Kochany Przyjacielu!

Gdańsk....

Po wysłuchaniu mszy św., zamówionej przez nas i odprawionej na pewną intencyą w Polskiej kaplicy świątyni oliwskiej, ruszyliśmy ku Gdańskowi, i to nie koleją żelazną, ani tramwajem, ani omnibusem, ale — pieszo, aby zupełnie i do woli nasycić oko i serce prawdziwie rajską przyrodą tej okolicy.

Z głębi nizin bowiem nadwiślańskich wyzierały schludne wioski, a z wieńca pagórków po-

krytych gajami wymuskane wile bogaczy miejskich; przed nami roztaczała się podobna do czarodziejskiéj łąki zielonawa zatoka pucka, po niéj kołysały się podobne do olbrzymich rybaków (mew) z rozpostartemi skrzydłami okręty morskie, a brzegi Nowego Portu i Wisło-Ujścia i wysokie nagie groble portu gdańskiego z latarnią morską wrzynały się ostro w fale morskie, gdzie niegdzie zaś połyskał się srebrzysty szmat naszéj Wisły, którąśmy tu po pierwszy raz choć z daleka wesoło powitali, wijącą się przez lesiste pagórki i urodzajne niziny, ginące tam gdzieś w dalekiéj przestrzeni. Nasyciwszy się ogólnym widokiem tego pięknego kawałka świata bożego, nie traci ani oko, ani umysł wracając do rozpoznawania bliższych szczegółów, bo prawie cała droga z Oliwy do Gdańska, wynosząca mniéj więcéj milę, jest zasiana ślicznemi ogrodami i wilami, im bliżéj miasta tém gęściéj, a co téj miejscowości dodaje wiele powabu, to jest niejedno wspomnienie historyczne, nie obojętne dla nas. Ale ponieważ nie piszę do Ciebie w intencyi, aby listy moje miały zastąpić Baedekerów lub inne szczegółowe opisy téj okolicy, ograniczam się na pobieżném sprawozdaniu z téj cząstki, którą jedynie oglądałem.

Obraliśmy zaś na naszą promenadę stary trakt, pozostawiając szosę po lewéj, nie tylko dla tego, że stara droga bliższa, ale głównie z téj przyczyny, że przyjemniejsza, bo w jednéj i drugiéj mierze przewyższali starzy zmysłem praktycznym budowniczych nowszych traktów bądź bitych, bądź kolei żelaznych. Z tych kierunków rzadko kto zadowolony, i nie powinno to nikogo zadziwiać, pomnąc, że się drogi te budują zazwyczaj bez

wyższego poglądu na rzeczy, a nawet bez względu na korzyść ogółu, uwzględniają się zaś tém częściéj życzenia i zachcianki zakulisowe, a czasem kieruje niemi osobista niechęć ku pewnym miejscom i ludziom, — istna to nędzota powiatowszczyzny, ale to postęp! Dość, obraliśmy drogę przez Polanki, osadę składającą się z tak zwanych Siedmiu Dworów. Były to niegdyś wile bogatych Gdańszczan i to wile pełną gębą, jakichby się żaden niemiecki książe tuzinkowy nie powstydził; dziś zajęte przez skarłowaciałych na duszy i mieniu potomków owych Gdańszczan, zamieniły się na garbarnie i tym podobne świątynie nowoczesnego wyznania, kultury i materyalizmu; pozostała im tylko dawna sława i uroda przyrodzona, o ile takowych ręka ludzka z nich zedrzeć jeszcze nie zdołała. Wstąpiliśmy do jednego z tych dworów, aby obejrzeć zakład urządzony do sztucznego rozpłodu ryb, który nas wielce zajął, i do drugiego, który dziś za Dom Sierót służy. Jestto jedna z najstarszych instytucyi dobroczynnych tego rodzaju w tych stronach, bo pierwotnie już w r. 1350, jak twierdzą, przez Kawalerów Teutońskich założona, a dopiero kilkanaście lat temu, jak ją z miasta tudotąd przeniesiono. Dopóki ten zakład był katolicki — a zlutrzył się wraz z Gdańskiem — należeli królowie polscy i dygnitarze Rzeczypospolitéj do jego największych dobrodziejów; to przypominają jeszcze dwa wizerunki, które po ostatniém zniszczeniu tego zakładu przez wielki pożar ocalały, a mianowicie Zygmunta III i jego sekretarza Gabryela Grabowieckiego. W poczet jego dobrodziejów zaciągnął się także Jan Rapp, adjutant

Napoleona I., będąc komendantem Gdańska i to w tani i oryginalny sposób. Wszystkie albowiem towary angielskie, skonfiskowane podczas osławionéj blokady portów europejskich, przekazywał Rapp temu domowi sierót, które dzięki téj szczodrobliwości przez blisko pięćdziesiąt lat ubierały się w najkosztowniejsze materye sukienne jedwabne i aksamitne, nie wyłączając szkarłatu i aksamitu, w którym musiały naturalnie bardzo pocieszne wyglądać. Adamaszkowe obicia fotelów i kanapek i piękny portret Jana Rappa z francuskim podpisem przypominają do dziś dnia owe „tłuste lata,“ po których nastąpił wkrótce długi szereg „lat chudych,“ tak, że nawet liczbę sierót ograniczono. Pomimo to jest ona jeszcze dosyć znaczna, bo wynosi przeszło 150 chłopców i dziewcząt, ale w lepszych czasach dochodziła pięciu set. Obejrzeliśmy cały zakład od dołu aż do góry, podziwiając wszędzie porządek, czystość, karność i dobre usposobienie sierotek, przy czém nam jeden z tamtejszych nauczycieli dawał z wielką uprzejmością potrzebne objaśnienia.

Zaprawdę jestto nieocenione dobrodziejstwo, jakie się ludzkości w ogóle, a w szczególności tym biednym, opuszczonym istotom wyświadcza, któreby bez téj opieki po większéj części zmarniały na duchu i ciele. Tém boleśniéj dotknęła mnie uwaga, a jak mi się zdaje, słuszna, że nasz naród w porównaniu do innych, zwłaszcza Niemców bądź katolików, bądź lutrów, tak ubogi w podobne dobroczynne zakłady. Wprawdzie w dawniejszych czasach nie było u nas potrzeby zakładania domów sierót, jak nie było potrzeby fortec i stałego wojska, bo za wszystko to stał cały

naród i albo zapobiegał potrzebie zawczasu, albo jéj zaradzał przez pomoc doraźną i ryczałtową. Sierót stanu szlacheckiego nie znano w Polsce wcale, bo gdzie wszyscy byli braćmi, tam nie mogło być sierót, bo tam znajdywały odumarłe przez rodziców ojca i matkę w swoich krewnych lub pomieszczenie na dworze magnatów, którzy je w poczet swoich dworzan przyjmowali, wychowywali i wyposażali; innych zaś wspierały w potrzebie klasztory, bursy i fundacye brackie przy kościołach. Dziś zaś, przy zmienionym na wskroś stanie rzeczy, gdzie z wolnością i obyczajami narodowemi upadły najzbawienniejsze instytucye krajowe, przy powszechném można rzec ubóstwie narodowém, niema nikogo, ktoby był w stanie zastąpić ich ubytek lub podjąć się ich wskrzeszenia. A przecież jakże nam są potrzebne i pożądane, bo są dyecezye i prowincye polskie, które ani jednego domu sierót katolicko-polskiego nie mają! Dziewczęta znajdują jeszcze prędzéj schronienie i opiekę w licznych zakonach żeńskich, ale dla osieroconych chłopców nie ma rady i pomocy. Ale czyby zaprawdę trzeba koniecznie bogacza, aby wystawił pałac i wyposażył go krociami? Nie, dali nam dowód X. Bodouin i X. Kozłowski, by nie szukać dalekich przykładów, którzy z niczego stworzyli najwspanialsze przytułki dla opuszczonéj dziatwy naszéj. O, komu dobro Kościoła i narodu na sercu leży, kogo na to staje i komu stanowisko dozwala, komu obowiązek nakazuje — a komuż nie nakazuje? — niechby się zajął tą sprawą, niechby zaczął od trzech, od dwóch sierotek, a błogosławić go będą późne pokolenia i pobłogosławi go ten, co rzekł: „Ktoby jedno z tych maluczkich, które

we mnie wierzą, przyjął w imię moje, ten mnie przyjął.“ — Do domu sierót w Polankach należy obszerny, piękny ogród, który dawniéj służył jako zakład leczniczy w rodzaju Prysnica, co jeszcze przypominają pozostałe cztery stawy, położone na czterech tarasach, tak że jeden leży znacznie wyżéj od drugiego, a przez wszystkie przepływa jedna i ta sama woda, tryskająca z źródła znajdującego się na samym szczycie góry, — coś podobnego do sadzawek króla Salomona, en miniature.

Puściliśmy się nareszcie w dalszą drogę ku Gdańskowi. Niejako centrum wszelkich piękności, roztoczonych szeroko w koło nas, stanowi Jeszkental, prawdziwie lube ustronie, które ma niesłychany powab dla chciwych zabaw i rozrywek Gdańszczan. Najlepszym tego dowodem jest niezmierne mnóstwo ogrodów publicznych i oberży i poważna liczba 20,000 gości, którzy w wilią uroczystości masońskiéj św. Jana Chrzciciela wylegają z miasta gwoli zabawy. Pod tym względem przeto, jako ulubione zbiegowisko próżniaczéj i hulaszczéj gawiedzi wielkomiejskiéj, nie zrobiło Jeszkental na mnie żadnego wrażenia, przynajmniéj nie jest ono lepsze od jemu podobnych zakładów. Dosyć że kręgielnie, karusela, poprzewracane krzesła, ławy i stoły, długim szeregiem stojące kuchenki do gotowania kawy, którą niemieckim zwyczajem goście sami sobie przyrządzają, nudne płoty rozgraniczające jeden ogród od drugiego, talerznicy w wytartych frakach i wykrzywionych lakierkach, rozsiane po ziemi tłuste papiery i resztki spożytych potraw, słowem wszystko to nie przyczyniało się do podniesienia piękności przyrody, ale owszém

ujmowało jéj znacznie, — chociaż nie myślę bynajmniéj owéj surowości posuwać do tego stopnia, by żądać od ludzi, aby się jako czyste duchy bawili, zapominając całkiém o potrzebach i wygodach ciała. Owszém znużeni chodzeniem po gajach i łąkach, wąwozach i pagórkach, z których jeden nosił dawniéj imię Heweliusza, owego sławnego astronoma gdańskiego, co to tarcz Sobieskiego zawiesił na sklepieniu niebieskiém, drugi zaś Gutenberga z domkiem wzniesionym na jego pamiątkę w r. 1840., a trzeci nawet naszego Kopernika, którzy dziś wszyscy ustąpili miejsca Fryderykom, Albrechtom, Wilhelmom i t. p., po obejrzeniu, powiadam, tego wszystkiego, wstąpiliśmy na wypoczynek do jednego ogrodu, do którego lepsza publiczność t. j. zamożniejsza i gładsza uczęszcza, i uraczyli się wybornym podkurkiem, któregoby się przy naszym apetycie żaden gourmand nie wyparł. Ale byś mnie nie posądzał o marnotrawstwo lub nie zrobił uwagi, że widzę źdźbło w oku bliźniego, a nie czuję tramu w własném, powiem otwarcie, żeśmy sobie kazali podać sztukę pstręga, szparagów, raka morskiego marynowanego i szklankę „Danziger Aktienbier“, pomni na przysłowie: że co kraj to obyczaj, a żeśmy niektóre z tych przysmaczków dotychczas jedynie z historyi naturalnéj, i to nie bardzo dokładnie znali.

Teraz proszę pofatygować się raz jeszcze z nami na Johannesberg, najwyższy z nadbrzeżnych pagórków, który chociaż się tylko o 300 stóp nad powierzchnią morza wznosi, ze względu na tegoż bliskość, otwiera piękny i obszerny widok, którego nie będę Ci jednak opisywał, by się nie powtarzać zbyt często. U stóp wspomnianego

pagórka rozkłada się śliczna wila nazwana „doliną królewską,“ Kenigstal, nosząca wcale słusznie to miano dla swéj piękności, choć ją tylko z daleka oglądać wolno, bo jest własnością prywatną; dla mnie zaś była tém ciekawszą i milszą, bo uświęcona pobytem i pamięcią króla Jana w r. 1677, od którego swą nazwę przybrała. — Dziwne wrażenie i uczucie wywołuje rzut oka z jednego z pagórków na drugą stronę góry, gdzie się w głębi rozłożystych zgrzybiałych sosien chowa skromny cmentarz żydowski, jak uważałem, nieco opuszczony, albo może nieużywany już wcale. Z pomiędzy ciemnych cyprysów, które żydzi z Turkami i innemi wschodniemi ludami tak radzi widzą na miejscach swego wiecznego spoczynku, wystawają jakby postacie duchów wysokie, wązkie grobowce kute z białego piaskowca, a cisza panująca nad tém polem umarłych, czynią to miejsce jeszcze więcéj ponurém i smutném, do czego przyczynia się nie mało kontrast hałaśliwéj zabawy z drugiéj strony góry. Ale czy inaczéj w całém życiu ludzkiém? Czy ta sama czara nie raczy nieraz słodyczą i gorzkością, smutkiem i radością? Czy nieraz śmierć nie zaprasza od zabawy do grobu, od uczty na łoże śmiertelne? To téż nie zgorszyłem się bynajmniéj tym widokiem, ale przeciwnie zbudował, a gdyby było w mojéj mocy, wydałbym rozkaz, aby wszyscy ile razy przybywają na zabawę do Jeszkental, zwłaszcza „bracia odkielni“ w dzień św. Jana Chrzciciela, poszli przypatrzeć się temu niememu, jednak tak głośnemu: Memento mori (Pamiętaj, że umrzesz!).

Dalsza droga ciągnie się przez przedmieście Langfur, składające się po większéj części z wil,

mieszkań letnich, oberży niższego rzędu, fabryk i t. p. zabudowań. Od tego przedmieścia aż do samego Gdańska prowadzi pyszna aleja wysadzona czterema rzędami lip, które w roku 1767 sprowadzono z Holandyi za 100,000 złotych gdańskich (200,000 złp.), a jest tam nie mniéj jak 1416 drzew. W miłym cieniu tych olbrzymów doszliśmy około południa do miasta, nieco znużeni niezwyczajnym spacerem i z przytępionym od gorąca humorem. Ale jeden rzut oka na „Wysoką Bramę," przed którąśmy się u wejścia do właściwego miasta ujrzeli, ożywił nas i zajął niesłychanie: zaprawdę to przepyszna brama to godny wstęp do dumnego grodu, który się lubi zwać Wenecyą północy, — w którém to porównaniu, aczkolwiek nie znam południowéj „królowéj mórz," domyślam się z przyrodzonéj mi złośliwości, nieco zuchwałéj przesady. Przecież gdym późniéj oglądał, bliżéj Wysoką Bramę i dowiedział się niektórych o niéj szczegółów, nie straciło nic pierwsze dobre wrażenie. *) Ogromna budowa, składająca się w najdawniejszych czasach z trzech bram z dziedzińcami przedziałowemi, została wzniesiona w r. 1588 z ciosanych głazów i bogato przyozdobiona rzeźbami wklęsłemi i wypukłemi, z których mnie najwięcéj zajął w samym szczycie umieszczony orzeł polski i napis:

1588
Sapientissime fiunt omnia
Quae pro Republica fiunt.

*) Dla wygodniejszéj komunikacyi rozebrano w ostatnich latach Wysoką Bramę, pozostawiwszy samą tylko facyatę, która się ztąd obecnie dosyć kuso przedstawia, i nie powala wcale domyślić się ogromnych rozmiarów i oryginalności dawniejszéj całkowitéj budowy.

Justitia et pietas duo sunt Regno — Rum omnium fundamenta.

Civitatibus haec optanda bona ma — Xima: Pax Libertas, Concordia.

Zmiarkujesz przeto, dla czego Wysoka Brama tak silne i sympatyczne wrażenie na mnie zrobiła; powstrzymuję się jednak od dalszych refleksyi, które zresztą byłyby zbytecznemi w tém mieście, gdzie prawie każda znakomitsza budowla lub miejscowość i nazwa przypominają, że był to niegdyś gród słowiański, że jego dzieje splotły się szczelnie z dziejami polskiemi, że jego świetne czasy minęły razem z upadkiem téj Polski, któréj winien zamożność, sławę i swobodę, téj Polski, któréj się dzisiaj z taką ostentacyą wypiera, wciskając się gwałtem do koła obchodzących stypę na stuletniéj mogile własnéj matki. Ale bo krótka pamięć ludzka, jeszcze krótsza pamięć wdzięczności, — lecz choćby ludzie milczeli, kamienie jeszcze długo wołać będą.

Szybkim krokiem przebiegliśmy kilka ulic i stanęli w skromnym hotelu oliwskim, który był niegdyś własnością Cystersów oliwskich, a dopóki zostawał w ręku jakiegoś katolika, przystanią dla przybywającego do Gdańska duchowieństwa z dyecezyi, — dziś bodaj czy spadł w opinii, czy nie odpowiada już wymaganiom postępu i czasu, rzadko teraz bywa przez nich uczęszczany. Po południu postanowiliśmy pyły, poty i znużenie podróży zmyć w falach morskich i w tym celu udaliśmy się parowcem do Nowego Portu, nie zbyt starego miasteczka położonego o milę od Gdańska nad samym brzegiem morskim. Zaledwie dobre pół godziny trwała ta przejażdżka wodna, ale w

tym krótkim czasie przesunęło się kilka wieków przed okiem ducha, a stanęły przed nim wszystkie te ziemie i grody i ludy, o które się otarły mętne fale, z któremi razem dążyliśmy do morza. O Wisło, nasza Wisło jedyna, ty naszych rzek królowo i kraju polskiego chlebodajna matko! Ale ty nie tylko żywisz twe dzieci, ale z niemi czujesz i cierpisz, tyś nietylko świadkiem ich wielkości i sławy, ich nieszczęść i cierpień, ale i z niemi podzielasz i dźwigasz to samo jarzmo obcéj przemocy. Lecz ty podzielasz także z synami twéj ziemi ich nieugiętego ducha swobody i niespożytą siłę życia, strasznych w gniewie, niewyczerpanych w środkach, nieobliczonych w zamysłach, stałych w wierze, nadziei i miłości. Zaprawdę, Wisła to wierny obraz narodu polskiego: potężna i obfita w wodę, rzutka i potoczysta w swym biegu, nieprzewidziana i straszliwa w swoich wylewach, a czasami leniwa i wycieńczona. Gdybym był poetą, wylałbym swe myśli i uczucia w odzie do Wisły, z Białéj Wody *), która jak mi się zdaje, nie podziela w téj mierze równego szczęścia jak jéj siostry, Ren, Dunaj, Tybr lub nawet brudna Sekwana, będącemi niewyczerpaném źródłem natchnienia dla patryotycznych wieszczów. Za to podaję Ci kilka prozaicznych szczegółów o téj rzece, sądząc, że takowe potrafią także zająć Twoję uwagę.

Wyjąwszy rzeki rosyjskie, trzyma nasza stara Wisła trzecie miejsce pomiędzy wodami Europy, idąc z kolei za Dunajem i Renem. Jéj długość albowiem od niepozornego źródła pod wioską

*) Seb. Klonowicz.

Wisłą w Księstwie Cieszyńskiém, aż do ujścia wynosi mil 144, jéj szerokość pod Warszawą ma 1000 stóp, i pomimo podziału na liczne odnogi bliżéj ujścia pozostaje mniéj więcéj ta sama aż do morza. Znana jest bystra potoczystość Wisły, od czego nawet swoje nazwisko wzięła, a spowodowaną głównie obfitym przypływem rzek potocznych. Jedyną pomiędzy większemi rzeczkami Europy ma właściwość Wisła, bez którejby się zresztą lepiéj obeszła, a nią jest, że koryto jéj wzbiera najwyżéj ze wszystkich rzek, dochodząc nieraz aż do 19 stóp nad normalny stan powierzchni wody: ztąd można sobie łatwo wytłómaczyć tak częste i niesłychanie wielkie wylewy i powodzie; pomimo to cierpi żegluga rzeczna prawie co rok dla płytkości wody podczas letnich upałów. Z znaczniejszych lub słynniejszych rzek pobocznych Wisły wymieniam Rudowę, wpadającą do niéj pod Krakowem, odkąd téż zaczyna się ożywiona żegluga; daléj San pod Sandomierzem, Wieprz, Pilica, Bug pod Modlinem, Bzura i Drwęca, należąca już do Prus królewskich, a oprócz niéj nieznaczna ale pamiętna Osa, Czarna Woda, Wierzyca, Motława i Radunia. — Pod tak zwanym Mątowskim przylądkiem dzieli się Wisła po pierwszy raz na dwie odnogi, z których wschodnia pod nazwą Nogatu, dawniéj samodzielna rzeka, odpływa do zatoki fryskiéj, prawa zaś zachowując pierwotne nazwisko dzieli się powtórnie niżéj Tczewa na Elblągską Wisłę, która leniwie daléj płynąc ginie w Zatoce fryskiéj i na Gdańską Wisłę, która w r. 1840 przerznąwszy się przez piaszczyste żuławy utworzyła sobie nowe koryto i otworzyła główne czeluście, któremi swe wody do Bałtyku wyle-

wa. Tamtę, Elblągską, zwali nasi dawniéj Lachą, tę zaś gdańską, czyli główne koryto, Samicą, jak wspomina Klonowicz we Flisie.

Czy ta zmiana kierunku rzeki pozostanie ostatnią, trudno powiedzieć, albowiem ten dziki olbrzym dopuścił się już tyle niespodziewanych wybryków, że w jego zupełne okiełznanie i ujęcie w dyby za pomocą ogromnych tam nie można nigdy na dobre uwierzyć. Jestto tém prawdopodobniejszém, że zadziwiającéj wysokości i niezwykłych rozmiarów tamy okazują się wedle doświadczenia niewystarczającemi od czasu do czasu, o ile, że się koryto rzeki zwolna co raz wyżéj podnosi skutkiem gromadzącego się z gór piasku. Wspomniane tamy, zasługują w każdym razie na podziwienie i są bądź co bądź chlubném świadectwem przemyślności, siły i wytrwałości — ludzkiéj powiem, nietylko niemieckiéj, albowiem także rządy polskie przyczyniały się znacznie do ich utrzymania i rozszerzenia, inaczéj byłaby je Wisła zjadła przez trzy wieki, jak ten kraj należał do Rzeczypospolitéj polskiéj. Ich długość wynosi 28 mil, szerokość jest tak znaczna, że kilka wozów może się na nich wyminąć bezpiecznie, służą nie tylko do utrzymania w karbach rozuzdanéj Wisły, ale także do komunikacyi publicznéj, która byłaby inaczéj w rozmiękłéj gliniastéj ziemi czasami wcale niepodobną. Sława i zasługa pomysłu osuszenia nizin nadwiślańskich i nogackich za pomocą tam i zamienienia tego obszernego pola popisów swawolnych nurtów królowéj sarmackiéj, na najbujniejsze w świecie łany należy się W. Mistrzowi Meinhardowi, który pierwszą tamę zarzucił nad Wisłą i Nogatem w r. 1288. Takim sposobem

zamieniło się z czasem błotniste delta nadwiślańskie na słynne z urodzajności niziny czyli żuławy, dzielące się powszechnie na nizinę małą i wielką malborską, gdańską i elblągską. Że jednak niziny te były już zamieszkałe przed sztucznem osuszeniem podjętém przez Krzyżaków, tego dowodem, że najstarsze kroniki wspominają o pięciu wioskach istniejących tam przed przybyciem Krzyżaków do Prus, a mianowicie wymieniają obronny zamek Zantyr, który rycerski książę Świętopełk wystawił roku 1240 w miejscu, gdzie dziś wioska Piekło, na samym końcu mątowskiego przylądka.

Tak zwane tłuste niziny mają swoje „ale“; nietylko że im grozi bezustanne niebezpieczeństwo powodzi, ale przedewszystkiém cierpią na dotkliwy brak opału; nie tak trudno o budulec, w który ich bory polskie zaopatrują, ale który na opał za drogi. Ponieważ zaś dla ukrytego w pewnéj głębokości martwego piasku i tłustości swéj ziemia niezdatna do chodowli lasów a nawet drzew owocowych, dla tego jest wierzba jedynem drzewem, które im opału dostarcza, ale nie w ilości dostatecznéj. Dla tego zastępują mianowicie menonici ten brak słomą, mieszając ją (sit venia verbo!) z łajnem krowiém, które na kształt torfu wyrabiają; ale fetór z tego rodzaju opału ma być tylko dla nosa menonickiego znosnym. — Drugą plagą, przypominającą tym krolom chłopskim od czasu do czasu zmienność losu ludzkiego i niestałość szczęścia doczesnego, a zamieniającą im na pewien czas ten raj urojony na prawdziwy padół płaczu, są okropne powodzie, następujące wskutek przerwania tarasów nadwiślańskich i nadnogackich. Od r. 1394 aż do 1856 zapisano takich

wypadków 79, co w przecięciu wynosi co siedm lat jedną przerwę, i to przypadającą zwykle na wiosnę lub około św. Jana, gdy w skutek stopnięcia śniegów karpackich Wisła po drugi raz nagle wzbiera. Jak powszechną i gwałtowną ta klęska czasem bywa, a jak bezskutecznemi wszelkie zabiegi i środki ludzkie w takim razie się okazują, dowodzi ta okoliczność, że w jednym r. 1829 przerwała woda tamy od Torunia aż do Gdańska w 84 miejscach! To też usiłowania w celu zapobieżenia przerwom, poskromienia gwałtowności nurtów wiślańskich i utrzymania grobli w dobrym stanie są olbrzymie i nader kosztowne, a przytém dla mieszkańców nizin nadzwyczaj uciążliwe; *) czy atoli okażą się podjęte w téj mierze w nowszych czasach przez rząd pruski nowe środki, a mianowicie kanał umyślnie wykopany pomiędzy Wisłą a Nogatem skuteczniejszemi, chyba dalsza przyszłość dowiedzie.

Na zakończenie tego krótkiego opisu nizin dołączam kilka szczegółów. Płodność téj ziemi jest tak wielka, że jeżeli gospodarz nie zbierze z jednéj morgi pruskiéj przynajmniéj 30 szefli pruskich pszenicy, narzeka na nieurodzaj. Właściciel dziesięciu włók miary chełmińskiéj czyli 625 morgów pruskich trzyma zwykle po sto koni, których jednak przez całe lato nie karmi przy żłobie, ale wypędza na paszę; zresztą konie te są słabe i miękkie do ciężkiéj pracy, a do dalekiéj jazdy wcale niezdatne. Głównem bogactwem i przedmiotem chodowli jest bydło rogate; mierna krowa

*) Rok 1876, 77 i 82 pokazały już, że wszystkie w téj mierze podjęte środki są daremne, i rzadko kiedy zrządziły wylewy tyle szkody, co ostatnie.

daje dziennie 20 do 30 kwart mleka, które po większéj części wyrabiają w miejscu na rozmaite sery, które jednak nie mogą się mierzyć z serami wyrabianemi w krajach obfitujących w wonne zioła i trawy. Wilgotny klimat i niezdrowa pasza nie pozwalają także rozwinąć się chodowli owiec; ten brak wynagradza trzoda chlewna, stanowiąca drugą ważną gałąź gospodarstwa i intratnego handlu.

Wracając po tém zboczeniu do dalszéj relacyi z méj podróży, zapraszam Cię z sobą do kąpieli morskiéj na Wester-Platte przy Nowym Porcie, gdzie gustowne i porządne łazienki są ciągle zapełnione kąpiącymi się Gdańszczanami i gośćmi przybyłymi w celu odbycia tu kuracyi morskiéj, dla których pobyt w Sobótce lub Oliwie i byłby zbyt drogi. Jak Ci wiadomo, lękam się od saméj kolebki wody jak żyd, chociaż z innéj przyczyny, bo nie z tchórzostwa, ale że mi kąpiel nie służy; atoli dla saméj satysfakcyi rzuciłem się przecież z drugimi we wody Bałtyku. Tym razem nie zaszkodził mi krótki pobyt we wodzie, alem téż nie doznał żadnéj szczególnéj przyjemności, ani dostrzegł różnicy pomiędzy wodą morską a słodką; pochodziło to może stąd, że tu podobno woda rzeczna Wisły przeważa słoną morską, a potém i ztąd, że morze było jakby w zupełném uśpieniu, i ledwie się poruszała powierzchnia. Nie dziwi mię przeto, że pomiędzy licznemi nazwami, jakie Bałtyk miał w różnych czasach i u różnych ludów zowiąc się to sarmackiém, to wendskiém, to swewskiém, wandalskiém i gockiém, to zaś u Duńczyków a dziś jeszcze u Niemców wschodniém, zyskał także przydomek morza leniwego (mare

pigrum), rzekomo dla wyraźnego braku odpływu i przypływu, — ja bym powiedział prędzéj dla zwyczajnéj wód nieruchomości. Po kąpieli przeszliśmy się po pięknych plantacyach i wstąpili dla wypoczynku na koncert do ogrodu publicznego. Tuż przy łazienkach ciągną się olbrzymie tamy, zbudowane z wielkich głazów w r. 1826 daleko w morze, tworząc bezpieczny wjazd do portu właściwego. Ich koniec zdobi żelazna wieża, latarnia morska, która w tym samym roku zastąpiła starą latarnię, wzniesioną już 1758 r. prawie w samym środku miasta t. j. Nowego Portu, a dziś zamienioną na stacyą marynarską dla skonstatowania ruchu wiatru. Daleki kawał drogi po golćj tamie nie był nam dosyć ponętny, ani téż zachwalany widok z latarni nie zdołał nas skusić, aby wejść na galeryą wieży, bo nakoniec widok choć nieco obszerniejszy, nie byłby nam nic nowego odkrył. Samo miasteczko, przez któreśmy przechodzili wracając do parowca, niema także nic osobliwszego, i nie dziw, bo dopiero 250 lat temu, jak ten cały kawał ziemi tak nazwany Wester Platte, z miastem i wszystkiém, co tam widzisz, nie istniał ani na mapie ani w rzeczywistości, — dopiero go morze utworzyło sprowadzające bez ustanku na południowe swe brzegi ziemię oderwaną z brzegów północnych, szwedzkich. 1627 roku nabyli Gdańszczanie od opata oliwskiego, do którego te wybrzeża należały, pozwolenie wystawienia w tém miejscu jatek i szałasów dla rybaków i marynarzy; z tego skromnego początku powstało z czasem miasteczko Nowy Port (Neufahrwasser), liczące dziś 6000 dusz.

Z tamtéj strony Wisły na wschód, ale niżéj

Nowego Portu, wystrzela z zieleni wysmukła wieżyczka; jestto forteczka Wisło-Ujście (Weichselmünde), smutnéj pamięci, jako jedno z miejsc przeznaczonych dla więźniów politycznych, zwłaszcza Polaków; naturalnie, żeśmy nie mieli ochoty zawierać bez potrzeby znajomości z temi murami, któréj się tu też chętnie na zawsze zrzekamy. Już Kawalerowie Teutońscy mieli tu obronny blokuz, 1563 r. zamieniony na warowną twierdzę murowaną, która Batoremu, oblegającemu 1577 Gdańsk, stawiła silny opór. Wtenczas to lizały jeszcze fale morskie jéj podmurze, dziś jest spory kawał od morza oddalona.

Powrót do miasta na parowcu, już o ciemnéj porze, był nadzwyczaj malowniczy. Oba brzegi Wisły i Nogatu iskrzyły się od tysięcy świateł, sprawiających miłe złudzenie wspaniałéj illuminacyi; po szerokiéj Wiśle uwijały się szybkie czołna i leniwe statki najrozmaitszego kształtu, zabierające stanowisko na noc lub na czas dłuższy; czasem przesunęła się wystrojona i rzęsisto oświetlona łódz, obsadzona wesołą muzyką i dobranem towarzystwem gdańskiém, dla którego dopiero zaczynała się zabawa na dobre, do tego dodaj turkot wozów, trzaskanie z bicza woźnic, nawoływanie majtków i tragarzy, którzy tu osobny cech stanowią, krzyki kobiet i uliczników, wesołe rzępolenie naszych ziomków flisaków na ulubionych skrzypkach, sentymentalne arye katarynek włoskich i harmoniki i t. d., a tak masz prawdziwy i oryginalny obraz wielkiego miasta morskiego.

Ale chcąc być szczerym, muszę Ci wyznać otwarcie, że obraz ten jest właściwie pięknym i malowniczym tylko w wieczór i z daleka oglą-

dany, lub jak na obrazie, w rzeczywistości zaś, z bliska i w nielitościwém świetle słonecznem traci nie tylko urok, ale nawet okazuje się nędznym, brudnym, nieponętnym; takie wrażenie sprawił port na mnie przynajmniéj, ilem razy go późniéj oglądał. Wprawdzie szonery, tratwy, pramy, czołna, łodzie, dubasy, berlinki, komięgi, szkuty, galary, parowce, i Bóg wie, jak się tam te okrągłe, podługowate, czworograniaste, gładkie, rogate, płytkie, głębokie, wysokie, szerokie, wązkie, krótkie i długie statki jeszcze inaczéj zowią, a mianowicie okręty morskie z bogatym rynsztunkiem w maszty, żagle, liny, kosze, chorągiewki, wprawdzie straganki, wiechy, towary rozmaite i rojące się bez ustanku mrówie najrozmaitszych postaci ludzkich, to wszystko powiadam, bardzo ożywiony daje widok, ale nie ujmujący pięknością, ani zdumiewający wielkością i świetnością. Daremnie albowiem szukałbyś tu wystawności, elegancyi, bogatych składów wzdłuż nadbrzeża czyli skweru, znalazłbyś same tylko nędzne graty i graciki przydatne i potrzebne li dla flisów i majtków, i wyznałbyś ze mną, że to wszystko podobniejsze do wielkiéj tandety, aniżeli do bazaru w lepszém znaczeniu. Zdaje się, że Sebastyan Klonowicz, który żył przecie kilka set lat przed nami, nie znalazł w téj mierze także nic nadzwyczajnego, bo zapewne byłby w swoim Flisie nieco inaczéj opisał port gdański, z czego wnosić wolno, że „kultura“ rzekoma nie zrobiła tu przez kilka wieków żadnych postępów, albo przynajmniéj zbyt znacznych.

Bo czy to nie zbyt chudo i jałowo wygląda, co w Flisie czytamy, choć przyznać trzeba, że

Klonowicz w ogóle nie grzeszy wybujałą fantazyą i zbytkiem malowniczości w swoich opisach?

Tu ujrzysz dziwnych rzeczy na przebindy,
. . . . . już to masz śpichlerze,
Masz i machlerze.
Masz Zielony Most, cel naszéj roboty,
Tu wzwody, schody, dziwne kołowroty,
Masz wagę, trety, ławy, dziwne sprawy,
Różne zabawy.
Tu masz okręty z płóciennemi skrzydły,
Tu masz z za morza trefne skrzydły, widły,
Maszty wyniosłe z bocianiemi gniazdy,
Pod same gwiazdy.
Tu w stradyjektach masz śmiałe bosmany
Masz z stron dalekich kupce i ziemiany i t. d.

Ale i te „bosmany, ze stron dalekich kupce i ziemiany," to wszystko bardzo powszednie, zasmolone, rubaszne i nie do poznania, czy który z nich Niemiec, Anglik, Szwed lub Duńczyk, bo okręty innych narodów prowadzących handel na morzu, rzadko przybywają do Gdańska, a strojnych oficerów od marynarki trzeba na lądzie wszędzie indziéj szukać, tylko nie w porcie. Jedyny wyjątek w tym tłumie, powlokłym brudną i nic nie znaczącą pokrywą kosmopolityzmu, stanowią nasze flisaki, ci jedynie wyglądają prawdziwie oryginalnie i malowniczo. Skoro tylko kra puści, zapełnia się Wisła od Krakowa aż do Gdańska tratwami i galarami, a zaludnia flisakami, którzy drzewo i pszenicę z Polski do morza spławiają. Zaprawdę jest do podziwienia, że te największe, a prawie jedyne skarby kraju naszego, wywożone od wieków w niesłychanéj ilości, jeszcze się nie wyczerpnęły, albo ich przywóz przynajmniéj się nie zmniejszył, gdyż główny i prawie jedyny zysk z tego handlu odnoszą nie właściciele, ale odbiera-

jący je Niemcy i pośredniczący w nim Żydzi. Najcięższą pracę a najlichszy zarobek w tym handlu mają biedni flisacy; przez kilka tygodni a czasem miesięcy nie dostają się pod strzechę, znoszą cierpliwie mróz i upały, żywią się lichą strawą; po dostawieniu towaru na miejsce przeznaczone, wracają nakoniec z nędznym zarobkiem, niekiedy uszczuplonym przez chytrego faktora żydka, pieszo do rodzinnéj zagrody. Widać po nich wprawdzie tę biedę, ale nie poznać kłopotu, lub niezadowolenia, lecz owszém serdeczna i spokojna wesołość jest główną cechą ich szczęśliwego usposobienia, które podsycane czasem wódeczką, ale nie „złotą gdańską," odzywa się na każdéj przystani, podczas każdéj chwili wypoczynku w strunach wrzaskliwych skrzypek, które namiętnie lubią. Biedni poczciwcy, nie ma im w rzeczywistości zaprawdę czego zazdrościć, a jednak jakże oni szczęśliwi, szczęśliwi i lepsi od tych tysięcy przechodniów, napiętnowanych blagą, nieukontentowaniem lub skrytą zazdrością, którzy z zadartym nosem patrzą z śmiesznym rodzajem litości lub pogardy na te szczęśliwe dzieci boże, bo się mienią daleko wyższymi i lepszymi aniżeli „die dumme Polaken." Chyba jako cenny przydatek do urozmaicenia landszaftowego obrazu nadwiślańskiego znajdują pobłażanie w oczach dumnych kulturników, bo jak już powiedziałem, flisacy sami jedni wyszczególniają się z korzyścią w tym tłumie zasmolonym dziegciem, węglem i pyłem. Ale bo téż każde oko z upodobaniem, a oko Polaka z pewną dumą spogląda na postacie flisów, z których prawie każdy pod względem postawy i wyrazu twarzy uchodzić może za typ męskiéj siły i

urody. Każdy z nich wysmukły i wiotki jak jodła, a przytém barczysty i żylasty jak dąb; na ogorzałéj twarzy ozdobionéj niemal u wszystkich zawiesistemi wąsami, a jakby oprawionéj w ramki gęstym, na ramiona spadającym włosem, rozlana jest pewna dobroduszność zmięszana z cichą energią, a z jasnych oczu patrzy wyraz śmiały i mądry. Dodaj do tego ubioru prosty, czasem brudny i zużyty wprawdzie, ale oryginalny i kształtny, składający się z siermięgi białéj lub kożucha, koszuli spiętéj pod brodą czerwoną tasiemką i wypuszczonéj na szarawary, z pasa nabitego ćwiekami i z kozikiem na taśmie, do tego szeroki kapelusz lub baranią czapkę i kaletę skórzaną lub kobiałkę z łyka przewieszoną przez plecy, a u zamożniejszych długie bóty, a masz wierny wizerunek polskiego zucha; — a przytém i przedewszystkiém jest to lud uczciwy, nabożny, skromny w każdéj mierze. — Pomimo to, żem patrzał na nich z sympatyą i świadomém siebie uprzedzeniem życzliwości, nie mogłem się przecież oprzeć pewnemu uczuciu żalu i litości; bo biorąc rzecz ściśle i nie łudząc się pozorami, ani życzliwém uprzedzeniem wbrew lepszemu przekonaniu, trzeba przyznać, że to lud ciemny i zaniedbany, materyał surowy, jak te nieobrobione kłody, przez nich spławiane. Jak z tych przemyślna ręka mistrza wyrabia podziwienia godne, cenne i pożyteczne sprzęty, tak dałoby się i z flisów coś zrobić. Byle tylko w tych poczciwcach ocucić przyśpionego ducha, obudzić i rozwinąć uczucia szlachetniejsze, mianowicie znajomość i chęć do życia godniejszego, ale nie czytaniem i pisaniem, lecz zachętą do innych mniéj mechanicznych prac,

aniżeli jest ich zajęcie równające się prawie lenistwu. Bo ich przestawanie na małym zarobku, na lichéj strawie i odzieży, nie opiera się bynajmniéj na pewnych zasadach religijno-moralnych, ale jest po prostu wynikiem lenistwa, i neapolitański lazzaroni, druciarz słowacki i flis polski — to rodzeni bracia, jeden i drugi woli nie jeść, jak ciężko pracować, a pracuje tyle tylko, byle z głodu nie umrzeć.

Czujesz się zapewne znużonym czytaniem, podobnie jak ja pisaniem, zabierając się na pierwszy nocny spoczynek w Gdańsku, zmęczony trudami i mnogiemi wrażeniami dnia poprzedniego; to téż usnąłem jak kołysany, a spałem jak marmurek aż do białego dnia, o czém wspominam z pewną wdzięcznością, albowiem w następujących nocach nie dozwolił mi nietylko gwar uliczny, przeciągający się aż do samego rana, spać spokojnie, ile raczéj dwa szalone zegary na blizkich kościołach, wygrywające co dobę dłuższe, co kwadrans krótsze chorały siekane, odpędzały sen spokojny wprawiając nieomal w desperacyą, — o czém później.

Twój

Czesław.

IX.

Kochany Przyjacielu!

Gdańsk....

Niniejszy list poświęcam całkiem opisom kościołów gdańskich; pomimo to będzie to szkic nie-

dokładny, uwzględniający zaledwie główne rysy budowli i ich historyi, bo chcąc je opisać wyczerpująco, trzebaby prawie o każdéj świątyni napisać osobną książkę. Zaczynam zaś od kościołów katolickich, których Gdańsk liczy pięć a z przedmieściami siedm i to zarazem parafialnych; nie zbyt wielka to liczba na 20,000 katolików, zważywszy nadto, że niektóre z nich są bardzo szczupłych rozmiarów. Dawniéj dzieliło się miasto na sześć parafii, wedle cyrkumskrypcyi biskupa Szaniawskiego; w ściślejszém jednak znaczeniu był tylko jeden kościół parafialny i to t. z. Kaplica królewska, z księdzem świeckim jako proboszczem na czele, przy drugich kościołach i to wszystkich klasztornych sprawowali obowiązki proboszcza zakonnicy różnych reguł. Z owych sześciu parafii upadła jedna przy kościele Bonifratrów (Braci Miłosierdzia), gdy ich kościół na początku tego wieku zburzono i już więcéj nie dźwignięto.

Uprzedzam daléj, iż opisy odwiedzanych przezemnie świątyń naszych będą Ci się może zbyt suche i szczupłe wydawały, i to mianowicie w porównaniu do opisu kościołów luterskich. Pochodzi to z bardzo prostéj przyczyny, że kościoły nasze nie przestały jeszcze być tém, czém być powinny t. j. domami bożemi, domami modlitwy w całém znaczeniu, które się odwiedzają nie dla ciekawości, ale dla nabożeństwa, gdy tymczasem kościoły luterskie są raczéj muzeami i magazynami starożytności, aniżeli domami bożemi. Świątynia katolicka staje się wprawdzie także interesowniejszą, jeżeli jest gmachem wspaniałym, bogatym w dzieła sztuki i owianym ciekawą historyą wieków minionych, ale nawet przy zupełnym bra-

ku tego wszystkiego nie traci nic a nic ze swéj powagi i świętości; lecz czémże jest zbór luterski bez owych akcesoryów, które mówiąc nawiasem, pochodzą prawie wszystkie z czasów katolickich? Świątynie katolickie są przybytkami Boga żywego, ogniskami najwznioślejszych cnót i uczuć, w nich nie gaśnie nigdy żnicz chrześciański, t. j. wieje ożywiająca łaska Ducha św., zbory zaś luterskie są to ciała bez duszy, podobne do próżnego grobu Pańskiego w Wielkanoc, gdy się z niego wyniósł Syn Boży, chłodne i wyziębione z żywych uczuć chrześciańskich. Przeto nietylko ze względu na świętość miejsca, ale też ze względu to, aby odwiedzającym i oprowadzającym po świątyni nie wyziębiać duszy z świątobliwych uczuć i tak mimowolnie nie zacierać w nich usposobienia religijnego, nie lubię się wypytywać o rzeczy ciekawe lub widzenia godne, ani słuchać gadatliwych opisów miejsc świętych, wolę nawet w téj mierze ponieść pewną stratę dla wiedzy i ciekawości, bylem się zbudował, nakarmił duszę i wyniósł z sobą wrażenie i pamięć, żem był w domu Bożym.

Prym pomiędzy świątyniami katolickiemi trzyma kościół podominikański czyli św. Mikołaja, patrona rybaków i od klęski wilków; w tém masz wytłómaczenie, dla czego w północnéj i wschodniéj Europie spotyka się tak wiele kościołów poświęconych św. Mikołajowi. Już z daleka ściąga ten wspaniały gmach uwagę na siebie ogromnością murów i szerokością rozmiarów, a maleńka wieżyczka przyczepiona do samego szczytu w środku dachu przyczynia się tylko do lepszego uwydatnienia wielkości budowy 240 stóp długiéj,

a 100 stóp szerokiéi. Wedle znawców pamięta zachodni szczyt kościoła, jako też sąsiednia osobliwszéj konstrukcyi, ośmiokątna wieżyca, należąca do najstarszych zabytków dawnéj fortyfikacyi miasta, jeszcze czasy Świętopełka, który w tém miejscu miał wedle podania swoję kaplicę zamkową św. Mikołaja, a którą osadził dominikanami za pomocą św. Jacka, (1227), który, jak wiadomo, utwierdzał w tych stronach nowonawróconych Pomorzan w wierze chrześciańskiéj, i urządził tu domy osobiście dla swoich braci. Za taką gorliwość zaszczycił Papież Grzegórz IX. umyślném brewe księcia Świętopełka, wynurzając mu swoję radość ojcowską, a Aleksander III. udzielił 1260. odpust wieczny na dzień św. Dominika, 5 sierpnia, na który ściągało się corocznie z dalekich stron wiele pobożnych pielgrzymów. Ztąd powstał sławny niegdyś i do dziś dnia istniejący, ale bez dawnéj świetności i oryginalności, jarmark czyli odpust dominikański, trwający przez całe pięć tygodni, dziś ograniczony na 5 dni. Najsławniejszym z nich stał się krwawy odpust w r. 1310. Było to właśnie tego samego roku, kiedy Łokietek zażądał od Krzyżaków pomocy przeciwko księciu brandeburskiemu, który roszcząc sobie prawo do Pomorza Wschodniego dobywał Gdańska. Wiadomo, jak się Rycerze z tego zlecenia króla polskiego wywiązali: pod pozorem wzmocnienia załogi przebrani w pątników i kupców weszli Kawał. Teutońscy do miasta i sprawili okrutną rzeź pomiędzy załogą polską i mieszczanami, trzymającymi z królem, z których przeszło 10,000 trupem położyli; od tego czasu pozostawał Gdańsk przez 140 lat w posiadaniu

Zakonu. — W tymże klasztorze krótko po przejściu Gdańska pod rządy polskie knował spisek przeciwko koronie polskiéj pewien Marcin Kogge; ale odkryto spiskowca i ścięto, a z jego majątku wystawiono bramę po nim nazwaną Koggi, dziś przezwaną Zieloną. Klasztór dominikański uległ po kilka razy napaści motłochu ulicznego, zwłaszcza od czasów zaprowadzenia nowinek luterskich w Gdańsku; 1813 zgorzała podczas oblężenia większa część zabudowań klasztornych, resztę rozebrano 1839 zupełnie, a jego miejsce zamieniono na plac musztry dla wojska. — Z członków domu tego wsławili się Szymon Grunau jako kronikarz (1524) i Pankracy Klemme czy Klein, apostata i rzekomy reformator Gdańska (1525).

Wnętrze kościoła św. Mikołaja przedstawia nadzwyczaj piękny i wspaniały widok. Wielki ołtarz uchodzi za arcydzieło sztuki rzeźbiarskiéj i liczy się do celniejszych zabytków starożytnych w mieście. Niektóre z dwudziestu pobocznych ołtarzy są ozdobione dobremi obrazami, pomiędzy niemi chwalą mianowicie Chrzest P. Jezusa i obraz św. Róży. Na południowéj ścianie znajduje się obraz przedstawiający akt nadania dominikanom téj świątyni, pędzla nieznanego malarza szkoły włoskiéj. W tak nazwanéj kaplicy Kawalerów Teutońskich znajdują się groby członków tego Zgromadzenia, którzy w Gdańsku mieszkali i zmarli. Bardzo liczne są pomniki z napisami niemieckiemi mieszczan gdańskich; spostrzegłem także kilka polskich, pomiędzy nimi Daniela i Piotra Wychowskich, marszałków, tam tego królowéj Kazimiry, drugiego zaś Katarzyny, i pewnego Józefa

Hercyr z Lubna, jak napis opiewa „splendor województwa płockiego.“

Niedaleko kościoła św. Mikołaja leży ukryty za dawnemi gmachami klasztornemi nie mniéj wspaniały kościół św. Byrgity, 230 stóp długi, 103 stóp szeroki. Podług podania stała w tém miejscu już w trzynastym wieku podle cudownego źródła kapliczka Najśw. P. Maryi i klasztorek Magdalenek pokutnic. Gdy zaś 1374 przeprowadzano ciało św. Byrgity z Rzymu do Szwecyi i w téj kaplicy przez kilka dni ku czci wiernych wystawiono, kazał W. Mistrz Konrad Jungingen starą kapliczkę rozwalić, a na jéj miejscu wystawił obszerną świątynię pod wezwaniem św. Byrgity, jako téż dwa klasztory dla zakonników i zakonnic tegoż imienia, którzy jak Trapiści i Trapistki, mieszkają w domach tylko przez mur przedzielonych od siebie. I te klasztory bywały kilkakrotnie przedmiotem swawoli burzliwego motłochu; powodem do tego albo raczéj pozorem byli OO. Jezuici, jako spowiednicy zokonnic, którzy już wtenczas — jak się jeszcze dokładniéj o tém przekonamy — posiadali zaszczytny przywiléj swoich dzisiejszych braci i to, że się na nich głównie wylewała jadowita nienawiść nieprzyjaciół Kościoła. Z gruzów świątyni 1587 roku zgorzałéj wzniesiono 1602 dzisiejszy kościół, który w ostatnich latach bardzo bogato i gustownie zrestaurowano. Jego wnętrze wygląda nieco duszno i jakby przepełnione, pomimo że niema więcéj jak jedenaście ołtarzy; nie zawiera zresztą nic osobliwego, wyjąwszy niektórych obrazów, na których wartości nie znam się niestety dosyć, aby je uczynić przedmiotem méj uwagi. Przed wielkim ołtarzem znajduje się

nagrobek pewnego tkacza imieniem Christoph Hejneke z szczególnym napisem: „Ich glaube, was die heilige Mutter, die roemisch katholische Kirche glaubt, nichts Anderes. Herr, so es ein Irrthum ist, so sind wir von Dir betrogen.“ Taka naiwność, zdaje mi się, charakteryzuje doskonale skłonność narodu niemieckiego do skeptycyzmu protestowania, czy tam jakiéjś restrykcyi, że nawet w najlepszym katoliku pluży tak czy owak żyłka heretycka — alias subjektywizm. — Zabudowania poklasztorne zamieniono zwyczajnym w ostatniém stuleciu trybem na koszary i magazyn broni.

Zaraz obok największego gmachu w całém mieście i największego z kościołów luterskich P. Maryi, leży najmniejszy z kościołów katolickich co do obszerności, ale ujmujący swém wnętrzem i miłém wspomnieniem króla Jana, t. z. Kaplica królewska, poświęcona Duchowi Przenajśw. Jéj początek jest następujący. Nominacya proboszczów przy głównym kościele w Gdańsku P. Maryi należała do prerogatyw króla, jakie król Kazimierz dla siebie i dla swoich następców przy zajęciu Prus zastrzegł. Gdy w r. 1557 kościół P. Maryi przeszedł w ręce lutrów, pozwolono ówczesnemu proboszczowi, który swéj wierze wiernym pozostał, odprawiać aż do śmierci mszą św. przy głównym ołtarzu. Po jego śmierci (1572) zamianował król wedle przysługującego mu prawa nowego proboszcza, któremu zlutrzeni parafianie przekazali wprawdzie pewną część dochodów i zostawili pomieszkanie proboszczowskie, ale zabronili przystępu do kościoła. Odprawiał przeto mszą św. w swojéj prywatnéj kaplicy, na którą wszyscy zna-

komitsi katolicy, przedewszystkiém urzędnicy Polacy, uczęszczać lubili. Na rozszerzenie tedy kaplicy domowéj proboszcza, który był zarazem oficyałem archidyakonatu pomorskiego, zbyt szczuplej dla liczby nabożnych, przeznaczył zmarły w r. 1677 arcybiskup gnieźnieński Jędrzej Olszowski 80,000 złotych gdańskich (160,000 złp.), do któréj sumy dołożył król Jan 40,000 złp. Rozpoczęta 1678 a skończona 1683 r. w nadobnym stylu włoskim kapliczka, znana powszechnie pod nazwą Królewskiéj czyli św. Ducha, jest poświęcona patronom pobożnych fundatorów, św. Jędrzejowi i Janowi. Położona na piętrze, 85 stóp długa a 38 stóp szeroka, jest to wprawdzie domek boży szczupły, ale miluchny i gustowny, i zniewalający niejako do nabożeństwa.

Dla zupełności opisu kościołów katolickich wypada wspomnieć także o kościele św. Józefa czyli pokarmelickim, tak ukrytym w zaułkach i poza rozmaitemi gmachami, żeśmy go z biedą odszukali. Drukowane przewodniki mało nam się przydały w tym razie; albowiem zawarta w nich krótka wzmianka o kościołach katolickich jest zwykle niezrozumiałą, a czasem i mylną, z przyczyny, że przewodniki i lud, a czasem i katolicy i lutrzy każdy kościół odmiennie odznaczają. W tamtych albowiem podane są zwykle pod nazwą patrona świętego, lud zaś zna je prawie jedynie i to nie wyłączając katolików pod dawną nazwą jako dominikanów, karmelitów, byrgidek albo raczéj jako Weissmünken-, Graumünken-, Schwarzmünken-, Nonnen- lub Jesuiterkirche. — Wspomniany kościół św. Józefa został 1470 r. wzniesiony na miejscu małego kościółka św. Jerzego, wybudo-

wanego przez Kawalerów niemieckich, dla braku pieniędzy w daleko mniejszych rozmiarach, aniżeli od razu zamierzano. I ta świątynia była niejednokrotnie nawiedzana przez rozmaite przygody, pożary i gwałtowne napaści pospólstwa, z których najokropniejsza miała miejsce r. 1678, wywołana przez uroczystą procesyą, jaką Karmelici do Oliwy urządzili. Te napaści, tak często się powtarzające w tém mieście, zniewalają słusznie do zastanowienia się nad przyczynami, które je wywoływały. Ze względu na okoliczność, że nie tylko powszechnie znienawidzeni ojcowie Jezuici, ale wszystkie osady zakonne bez różnicy podlegały równemu losowi, i ze względu na zawziętość, z jaką klasztory formalnie burzono i plądrowano, jakby twierdzę nieprzyjacielską wziętą szturmem, nie podobna ich brać za proste wybryki swawoli zuchwałego pospólstwa, ale można domyślać się w nich mile widzianych, a może skrycie popieranych i zręcznie wywołanych sprawek „ministrów słowa bożego“ i „ojców miasta,“ którzy się w mieście tém aż do dzisiejszego dnia odznaczają fanatyzmem i nietolerancyą względem katolickich mieszkańców, tylko że ją umieją zręczniej zamaskować i gładszą okazać, aniżeli w owych wiekach rubasznych ich przodkowie. Do tego był ów fanatyzm religijny podsycany ciągle przez nienawiść plemienną, o ile że katolicyzm znaczył dawniéj jak i dzisiaj w téj prowincyi to samo, co narodowość polską, który za rządów naszych był daleko silniejszy aniżeli dzisiaj, a opierając się o rząd, znajdował w każdym klasztorze ognisko i punkt oparcia.

Kościół św. Wojciecha nadał swą nazwę przedmieściu, na jakiém leży niemal milę od samego

miasta. Jak chce starożytna legenda, mieli aniołowie ciało św. Wojciecha, zamęczonego przez pogańskich Prusaków pod Fiszhauzem, przenieść ztamtąd zawinięte w obłoku i złożyć na pagórku w bliskości miasta Gdańska; ztąd dopiero przewieziono święte zwłoki do Gniezna, a na wspomnianym pagórku wystawili wierni na cześć św. męczennika kapliczkę jemu poświęconą. Prawdopodobnie kazał św. Wojciech także w tych stronach, dla czego tu później wzniesiono na jego pamiątkę kapliczkę, o której kroniki już pod rokiem 1222 wspominają, zowiąc ją pomnikiem św. Wojciecha pod dębem. Do istniejącéj po dziś dzień kaplicy starożytnéj, którą nie wiedzieć kto i kiedy zbudował, odbywa się corocznie w dzień św. Wojciecha 23 kwietnia uroczysta procesya. Naprzeciw tego pagórka, po lewym brzegu rzeczki Raduni, wystawili Benedyktyni mogilscy kościół poświęcony temuż świętemu i obsadzili księżmi swéj reguły; około kościoła powstała wkrótce osada Mogiła czy Mogilno, dzisiejsze przedmieście św. Wojciecha. 1320 r. przeszedł kościół z należącemi do niego dobrami, darowizną pobożnych książąt pomorskich, na własność biskupa kujawskiego i został oddany jako parafialny księżom świeckim. Wielce zasłużony biskup kujawski, X. Konstanty Felicyan Szaniawski, późniéj biskup krakowski, wprowadził do tegoż kościoła XX. Misyonarzy reguły św. Wincentego a Paulo, którzy mieli obowiązek odbyć corocznie trzy podróże misyjne po dyecezyi kujawskiéj albo raczéj téj części, która stanowiła archidyakonat pomorski. Ta osada XX. Misyonarzy utrzymała się aż do r. 1823, w którym wraz z drugiemi osadami zakonnemi ule-

gła sekularyzacyi, a kościół św. Wojciecha dostał się na nowo pod zarząd księży świeckich. Takowy nie odznacza się ani okazałością budowy, ani wspaniałością wnętrza. Mieści się jednak w nim piękny marmurowy posąg św. Wojciecha, który Zygmunt III wraz z pomnikiem dla swego ojca, Jana III króla szwedzkiego, kazał we Włoszech wykonać. Atoli usunięty od tronu szwedzkiego, zatrzymał pomnik przeznaczony dla ojca i postawił go w zbrojowni gdańskiéj, zkąd na prośby dworu szwedzkiego przeniesiony został 1782 do Sztokholmu. Także wspomniana figura św. Wojciecha, przeznaczona do jakiegoś kościoła w Polsce, pozostała w Gdańsku i przeleżała kilka wieków w téj saméj zbrojowni, dopóki fiskus wojskowy nie podarował jéj w r. 1825 kościołowi św. Wojciecha.

Przenieśmy się teraz na piękne i bogate przedmieście szotlandzkie, które się wzdłuż szosy kartuzkiéj, po zasianéj ślicznemi sadami dolinie rozsiadło. Jedni wywodzą początek i nazwę téj gminy od Szkotów, którzy się w połowie piętnastego wieku licznie w tém miejscu osiedli; drudzy — a zdaje się z wielką słusznością — twierdzą, że pierwotna nazwa téj osady brzmiała: Schadeland tj. jakoby szkódnik, albo uszczerbek, ze względu na to, że przez założenie téj kolonii powstał dla handlu i przemysłu gdańskiego wielki uszczerbek. Jéj założycielami i protektorami byli biskupi kujawscy, którzy pościągali tu licznych rzemieślników i przemysłowców, którzy będąc pozbawieni prawa i przywilejów obywateli gdańskich (przez privilegium Casimirianum wykluczające z obrębu miasta wszystkich cudzoziemców, to jest wszystkich,

którzy się nie urodzili w Gdańsku), nie mogli się osiedlić lub zamieszkać w murach miasta. Osiadłszy zaś przed samą bramą, sprawiali rzeczywiście wielką konkurencyą dla mieszkańców Gdańska. Dziś znikła wprawdzie dawniejsza zamożność i okazałość do tyla, że Szotland nie liczy ani dziesiątéj części domów, co miał w dawniejszych wiekach, pomimo że liczba wynosi jeszcze do trzech tysięcy. Do tego upadku przyczyniła się nie mało zmiana stosunków politycznych i socyalnych, ale jeszcze więcéj klęski i pożary, jakim ta osada często ulegała, bo bezbronna wystawiona na pierwszy napad nieprzyjaciół Gdańsk oblegających. Po kilka razy zniszczał Szotland prawie do szczętu mianowicie w latach 1454, 1520, 1576, 1656, 1807, a ostatni raz 1813 r.; w r. 1807 legł także w gruzach kościół i klasztór Bonifratrów, założony i bogato wyposażony przez Jana Tesmera, starostę malborskiego, w r. 1646. Majątek tego zbawiennego i dla cierpiącéj ludzkości arcypożytecznego zakładu, obliczony na 11,838 talarów.

Drugi kościół katolicki na Szotlandzie św. Ignacego, pojezuicki, nie może mierzyć się z budowlami jezuickiemi po innych miastach, i lubo pozbawiony zdobiących go dawniéj dwóch wieży, które podczas oblężenia w r. 1813 runęły, panuje przecież, zbudowany na wysokim stoku ciągnącego się wzdłuż drogi wzgórza, nad całém swem otoczeniem, a swoim kształtem daje się łatwo poznać jako budowla jezuicka, chociaż restauracya po ostatnich uszkodzeniach wykonana zatarła nieco pierwotne rysy. Istny to wydawał mi się obraz kościoła rzymsko-katolickiego, który położony jako miasto boże na górze niebieskiego objawienia

i oparty na opoce wiary, przewyższa wszelkie inne zbory dźwignięte przez dumę i oparte na rozumie ludzkim, a który nie przestając być przedmiotem burz nieustannych, napadów i nienawiści piekła i świata, może być wprawdzie uszkodzonym w swych częściach i zeszpeconym na zewnątrz, ale nigdy nie może być zniszczonym. Wprawdzie OO. Jezuitów niema tu już oddawna, ale ich duch żyje i żyć będzie, choćby ich nawet nietylko w Niemczech i Europie, ale nawet w całym świecie zabrakło, jak to już raz było: bo ich duch jest to właśnie Duch Przenajśw., o którym założyciel kościoła powszechnego powiedział, że będzie z nami po wszystkie dni aż do skończenia świata. Jeden z największych dobroczyńców archidyakonatu pomorskiego i prawdziwa ozdoba nietylko katedry kujawskiéj, ale całego kościoła polskiego, X. Hieronim Rozrażewski, jest fundatorem świątyni i kolegium jezuickiego na Szotlandzie. Nie tyle dla uczczenia i odświeżenia pamięci świątobliwego męża, która nie zaginie tam, gdzie ma jedyną wartość — u Boga, i to dopóty, dopóki słowa pisma św. powtarzane w brewiarzu pozostaną prawdą: Immortalis est enim memoria illius, quoniam apud Deum nota est et apud homines, — ile raczej dla własnego zbudowania się i zachęty do naśladowania, nie mogę sobie odmówić umieszczenia ustępu o jego żywocie, wyjętego z Wiadomości o archidyakonacie pomorskim X. kan. Hildebrandta, bo nie wiem, czy jeszcze będę miał sposobność pomówić o nim.

„X. Hieronim Rożrażewski, herbu Doliwa, ukończywszy nauki filozoficzne i teologiczne, został najprzód proboszczem płockim i sekretarzem ko-

ronnym, a potém za potwierdzeniem papieża Grzegorza XIII. biskupem dyecezyi kujawskiéj, dla któréj tyle dobrego zdziałał, iż sobie na jéj wiekopomną wdzięczność zasłużył. Ofiarowano mu wyższe godności, albowiem arcybiskup Stanisław Karnkowski do siebie go wzywał jako koadjutora z prawem następstwa na stolicy gnieźnieńskiéj, a Klemens VIII. papież przez kardynałów Baroniusza, Bellarmina i św. Karola Boromeusza rzymską purpurą zaszczycić go pragnął, ale pasterz ten swiętobliwy, wielką pokorą przejęty, za wszystko podziękował. Podług opisu Damalewicza obrał sobie biskup ten cnotliwy w własném życiu i zarządzaniu dyecezyą za wzór św. Karóla Boromeusza, arcybiskupa medyolańskiego, i głęboko wyrył w sercu swém napomnienie w liście św. apostoła Pawła do Tytusa wyrażone, iż biskup ma być bez przygany, jako szafarz boży, nie pyszny, nie gniewliwy, nie chciwy zysku szkaradnego, ale wdzięcznie gości przyjmujący, trzeźwy, sprawiedliwy, roztropny, uczciwy, powściągliwy, któryby się trzymał wiernych słów, które są wedle nauki, iżby mógł napominać przez zdrową naukę i przekonać tych, którzy się sprzeciwiają. Dobry ten pasterz uczęszczał nietylko co dzień, lecz i co noc do kościoła i modlił się gorąco przed Najświętszym Sakramentem za owieczki swoje, czuwał nad niemi właśnie wtenczas, gdy one spały. Wizyty kościołów, nie pomijając archidyakonatu pomorskiego, często odbywał. Wszędzie kazał sobie zwoływać dzieci i pytał się katechizmu, pouczał, napominał, pocieszał je i rozdawał im na pamiątkę obrazki i książeczki. A Bóg dawca wszystkiego dobrego, wynagrodził niezmordowaną pracę tego wzorowego

biskupa tak obfitém błogosławieństwém, że nietylko u katolików na nowo żarliwość ku chwale boskiéj się obudziła, ale nawet wielu luteranów i kalwinów na łono św. Kościoła katolickiego powróciło. Ukończywszy pobożny ten dostojnik pierwszą wizytę wszystkich kościołów dyecezyi, odbył w r. 1586 synod dyecezalny, którego uchwały po otrzymaném aprobacyi ze strony św. stolicy apostolskiéj w r. 1589 drukiem ogłosił. Najbardziéj zobowiązał sobie ten wielce zasłużony biskup archidyakonat pomorski do niezgasłéj wdzięczności założeniem kolegium OO. Jezuitów w Szotlandzie przy Gdańsku, któremu 30,000 złotych i wielką swą bibliotekę darował, a za przyzwoleniem prześwietnéj kapituły jeszcze wieś Gemlice i zarząd tamecznego kościoła parafialnego nadał. — Jezuici odznaczali się tak tu, jak wszędzie, głęboką nauką i wielką cnotą. Rozpoczęli swój zawód nauczycielski dla archidyakonatu pomorskiego w kolegium szotlandzkiem. Tu uczyli młodzież, kształcąc jéj serca i odrywając od świata, prowadzili do Boga, oświecali jéj rozum wykładem gruntownym badań filozoficznych prawd religijnych, opartym na podstawie nauki Zbawiciela i jego św. kościoła, zbijając zarazem zarzuty i wszelkie sprzeczne mniemania. Do kolegium tego zbierała się téż liczna młodzież archidyakonatu i rzucała się z zapałem do nauki. Obok nauk gimnazyalnych wykładano tu niedługo filozofią i teologią. Tu kształciło się wielu, którzy potém znakomite urzędy w hierarchii kościelnéj sprawowali. W ogóle z kolegium tego wychodzili ludzie uczeni, kapłani zacni, obywatele wszechstronnie wykształceni, wierni synowie Kościoła, głęboko przejęci prawdziwą miłością ku

wierze, językowi, ku zwyczajom i obyczajom swych ojców.

Niezgasłéj pamięci biskup Hieronim Rozrażewski umarł pełen zasług i pobożności w r. 1600 podczas wielkiego jubileuszu w Rzymie, dokąd z tego powodu pielgrzymkę odprawił. Zwłoki jego spoczywają w tamecznym kościele jezuickim.

Jaka była szczególna intencya pobożnego fundatora przy założeniu tego kolegium przed samą bramą Gdańską, téj warowni ewanielii oczyszczonéj, a specyalne zadanie ojców Jezuickich na Szotlandzie, nie trudno się domyślić. Atoli wszelkie usiłowania Jezuitów, aby sobie wyrobić przystęp do miasta samego lub uzyskać pozwolenie nauczania z ambony, pozostały najzupełniéj daremnémi: władze miejskie oparły się stanowczo, i nawet surowe kary przez sądy koronne na nich nałożone, nie były w stanie skruszyć ich oporu.

Na jedném z przedmieść mają Siostry św. Karola Boromeusza klasztórek z kaplicą i szpitalem, których dla braku czasu i znaczniéj odległości nie mogliśmy obejrzeć. — Katolicy gdańscy zażywają w dyecezyi tutéjszéj powszechnego uznania i uszanowania; we wierze ojców swych okazują się stałymi, co potwierdza okoliczność, że się najświeższym nowinkom starokatolickim wcale obałamucić nie dali. Wielkie w téj mierze, już w nowszych czasach, zjednał sobie zasługi X. Stanisław Rosołkiewicz, kanonik honorowy i przez 56 lat proboszcz przy kaplicy Królewskiéj, a oraz ostatni archidyakon pomorski, zmarły 1855 r. On to osobistém wstawieniem się u Napoleona I. podczas zajęcia Gdańska przez Francuzów uzyskał dla katolików wiele swobód, które przez wy-

trwałość i mądrość połączone z wielką łagodnością charakteru utrzymał i rozszerzył w następnych latach, niwecząc widokiem swéj cnoty uprzedzenie i niechęć władz królewskich i miejskich, które nakoniec w uznaniu jego zasług około miasta, a mianowicie około podniesienia szkół miejskich, w dzień jego sekundycyi zaszczyciły go dyplomem honorowego obywatela miasta Gdańska, — rzadki to i może jedyny wypadek w kronice tego miasta. W ostatnich latach rozwinęło się także życie towarzyskie pomiędzy katolikami przez skupienie się ich w kilku kółkach towarzyskich i dobroczynnych*). To wszystko zasługuje tém więcéj na wzmiankę i uznanie, ile że katolicy gdańscy stanowią nieznaczną mniejszość mieszkańców, wystawieni są równocześnie na liczne pokusy pod względem wiary i dobrego ducha wobec silnego prądu luterskiéj większości ślepo uprzedzonéj ku wszystkiemu, co katolickie. Wszystko to, co tutejszym katolikom chlubę i korzyść przynosi, stworzyli i utrzymują przeważnie zacni i dzielni duchowni, a przedewszystkiem doskonali kaznodzieje, co w wielkiem, po większéj części luterskiem mieście uważam za najpotrzebniejszy przymiot, niemal za cnotę kapłana i pierwszy warunek powodzenia.

Przechodzę teraz do przeglądu zborów luterskich, zaczynając od największego i najsławniejszego, kościoła Najśw. P. Maryi, który nietylko jako budowla zasługuje na szczególną uwagę, ale którego także wnętrze zapełnione rzadkiemi a licznemi zabytkami sztuki i starożytności, jako i

*) Do nich przybyło przed kilku laty nowe stowarzyszenie polskie, „Ogniwo."

dzieje przedstawiają prawie niewyczerpane źródło dla zaspokojenia ciekawości wędrowca.

Z podziwieniem patrzałem na tę świątynię, która w kolosalnych rozmiarach wznosi się ponad ściskający ją z wszystkich stron tłum domostw, jakby statek morski ponad czołna rybackie.

Kościół P. M. ogromny, wspaniały, piękny stał się obcym swemu pierwotnemu przeznaczeniu, bo z kościoła katolickiego zamienił się na zbór luterski.

Jego miejsce zajmowała niegdyś wzniesiona przez książąt pomorskich kaplica poświęcona Bogarodzicy, (1243), którą zastąpiła dzisiejsza kolosalna świątynia, rozpoczęta przez W. Mistrza Ludwika Koenig von Waitzu właśnie w sto lat później, bo 1343 r. Ale dopiero po upływie drugich stu lat, 1453, poprowadzono dalej budowlę tę w rozszerzonych rozmiarach, a ukończono nareszcie 1502 r. Kościół ten zbudowany w kształcie krzyża o dwóch ramionach i długiej nodze; jego wielkość można poznać z miar następujących; długość nogi krzyżowej wynosi 333 stóp, szerokość 111, a długość ramion (nierównych) 218 stóp; pomieścić może się w nim 24,706 osób. Sklepienie spoczywa na 26 murowanych pilastrach dosyć lekkich, wnętrze oświetla 37 okien, z nich sześć ze szkła malowanego, są darem króla pruskiego Fryderyka Wilhelma IV, który jak wiadomo wiele kościołów luterskich, a podobno i katolickich, zaopatrzył w podobną ozdobę. W około ciągnie się wieńcem 30 kaplic, tak że z tej przyczyny można uważać jakoby pięcionawowy, podobnie jak tum wrocławski. W wszystkich kaplicach, z wyjątkiem jednej, znajduje się jeszcze

oltarz z czasów katolickich, a z 26 oltarzy, jakie się dawniéj o filary opierały, istnieje jeszcze 17, naturalnie ogołoconych z ozdób i przyborów kościelnych. Główny oltarz, zupełnie nowo dźwignięty w czystym stylu gotyckim roboty snycerskiéj i o jaskrawych kolorach, razi niezmiernie swoją świeżością; a ze względu na olbrzymie rozmiary świątyni, zwłaszcza na jéj wysokość, wydaje się zbyt nizkim i szczupłym, — poznać widocznie, że ten oltarz nie w swojém miejscu, któreby jedynie oltarz katolicki był w stanie zapełnić pod względem realnym i moralnym. Pomiędzy ewanielistami, umieszczonymi na oltarzu, spostrzegasz z niemałém zdziwieniem dwóch świętych, którychbyś daremnie szukał w kalendarzu rzymskim: są nimi ewanieliści najnowszego Zakonu, Marcin Luter i Filip Melanchton. Wyglądają oni zresztą dość dziwnie w swojém towarzystwie.

Nim do opisu niektórych przedmiotów przystąpię, które dziś mają jedynie znaczenie i wartość jako dzieła sztuki lub zabytki starożytności, uprzątnę się wprzód z przyborami służącemi do nabożeństwa, a tych niewiele: chrzcielnica, ambona i organ. Ten ostatni zbudowany 1760 r., jest równie dokładny jak drogi, i mieści się na głównym chórze naprzeciw wielkiego ołtarza; dwa mniejsze na pobocznych chórach, jako do luterskiego nabożeństwa niepotrzebne, wyrzucono już dawno. Podobnemi przymiotami, co organ, zaleca się chrzcielnica, jest bardzo kosztowna a niegustowna, cała z miedzi lana, bez sztuki i gustu, wyszła z fabryki amsterdamskiéj r. 1554; wieko należące do niéj utonęło podobno z okrętem, na którém je wieziono, zastąpiono je zaś drewnianém, co nie

bardzo do twarzy całości, i nie bardzo też zdaje mi się zgadzać z gruntownością i akuratnością niemiecką. A co się powiedziało o organie i chrzcielnicy, stósuje się słowo w słowo do ambony, drogiéj ale niegustownéj robocie snycerskiéj w stylu zwanym baroque (z r. 1762). Jak z przytoczonych umyślnie lat widzisz, pochodzą te rzeczy wszystkie z ery protestanckiéj, są dziełem mistrzów protestanckich i fundacyą protestantów. Jakże to dziwnie odbija od dzieł z czasów katolickich i ręką mistrzów katolickich wykonanych!

Zaczynając od pobocznych drzwi podle zakrystyi przegląd starożytnych zabytków świątyni, spotykasz zaraz po lewéj ręce przy wejściu wielki zegar misternéj roboty, dzieło Norymberczyka, Jana Dyringiera, który nad nim przez kilka lat pracował (1465—70). Wedle powtarzającéj się także w innych miejscach legendy, ale w tym razie niedowiedzionéj i niczém nie uzasadnionéj, wykłuto mistrzowi oczy, aby nie mógł zrobić drugiego podobnie sztucznego zegara; by się zemścić za doznaną krzywdę, zepsuł wedle tegoż podania oślepiony mistrz mechanizm, którego nikt nie jest w stanie naprawić. Zdaje się jednak, że zatrzymano zegar dla wielkiego łoskotu, jaki sprawiał, przez co w nabożeństwie przeszkadzał, a dziś zapewne mało kto dba o starożytne zegary, ciesząc się nowoczesnemi wymysłami i figielkami efemerycznemi, na które nie godzi się krzywo spojrzeć, by się nie popsuły. — Ścianę po stronie zakrystyi zdobią subtelnie rznięte stale i z wielką starannością wykonany obraz sądu ostatecznego, niewiadomego mistrza. — Za wielkim ołtarzem znajduje się nagrobek uszkodzony przez bombę mo-

skiewską 1743, pokrywający ciała dwóch nieszczęśliwych burmistrzów gdańskich, Leczkow i Hebet; wspominam o nich dla tragicznego ich losu, jaki ich spotkał, a cechującego doskonale rządy i ducha krzyżackiego. Wspomniani oto prezydenci miasta, proconsules civitatis Dańske, ściągnęli na siebie przez energiczne wystąpienie w obronie swobód miasta gniew komtura Plauen, który ich podstępnie na zamek zwabił i tu mieczem stracić kazał bez procesu (1411). Taka okrutność nie dała się naprawić przez złożenie komtura z urzędu, i zaszkodziła, jak słusznie zauważa kronikarz, Krzyżakom więcej, aniżeli klęska z roku poprzedniego pod Grunwaldem. Ale jak nikt nie myśli tłumaczyć i bronić postępku komtura, tak samo niepodobna stawiać tego wypadku obok wyroku wykonanego na Bartłomieju Blum, burmistrzu malborskim, który po zajęciu tegoż miasta przez Polaków konspirował, zostawiony na swym urzędzie z Krzyżakami, a zatém sprawiedliwie odebrał nagrodę zdrajcy.

W kaplicy św. Urszuli i jéj Towarzyszek, czyli jak Niemcy mówią, Jedenastu Tysięcy Męczennic, w prawéj nawie w bok wielkiego ołtarza, mieści się wizerunek Ukrzyżowanego P. Jezusa, przecudnego dłuta roboty, przez niektórych przypisywany Michałowi Aniołowi, dla tego, że podobien posąg tego mistrza ma się znajdować w Rzymie.

Okazałością i wytwornością kratek rzniętych uderzają stale rady miejskiéj, za któremi się w małéj kapliczce przechowują niektóre kosztowne aparaty kościelne z czasów katolickich. Pomiędzy nimi znajduje się ornat jedyny w swoim rodzaju

może na całym świecie, bo zrobiony z jakiegoś papieru; drugi przerobiony podobno z kobierców, które niegdyś zdobiły podnoże tronu sułtana Ikonium, Assedina Kaikausa, z r. 1219, tak przynajmniéj domyślają się z roku, nazwiska i przydomka „białego sułtana,“ wyszywanych arabskiemi literami na bogatém złotogłowie. — W téjże kaplicy, albo raczéj saloniku, opatrzonym w stół, wygodne fotele i ogromny piec kaflowy, odbywali dawniéj radni miejscy sprawy naglejsze zaraz po nabożeństwie, by się znaleść w komplecie i nie tracić czasu. Dziś w czasach postępu pozbyto się i téj średniowiecczyzny, odkąd szanowni radni nie uczęszczają co niedzielę na nabożeństwo, natomiast gdy się okaże nagła potrzeba, zwołuje się naturalnie posiedzenie extra-ordynarne na ratusz, a opuszcza nabożeństwo całkiem, — co się z resztą nie tylko w Gdańsku lecz i gdzieindziéj praktykuje. Probatum est!

W kaplicy Matki Boskiéj jest widzenia godny ołtarz w stylu gotyckim, przedstawiający w 12 misternych rzeźbach główne chwile z życia P. Maryi i P. Jezusa. Wogóle napotyka się tu liczne zabytki snycerskie, z których obfitości ten kościół słynął.

Najkosztowniejszy skarb téj świątyny i całego miasta chowa się w kaplicy św. Doroty, a nim jest sławny obraz Sądu ostatecznego. Ale jak się znawcy w tém zgadzają, że we wspomnianym obrazie widzą arcydzieło sztuki, tak się różnią w swych zdaniach o mistrzu, który je wykonał, i o sposobie, w jaki miasto ten skarb nabyło. Dzisiaj uzyskało prawie powszechną wiarę mniemanie, że

obraz ten dostał się jako łup wojenny w ręce kupców gdańskich, którzy go miastu ofiarowali. W r. 1473 albowiem zabrał podczas wojny toczącéj się pomiędzy Hanzą niemiecką i Anglikami, kapitan statku gdańskiego, imieniem Paweł Benke, angielski statek, na którym wieziono ów obraz z Nyderlandów do Pizy, przeznaczony podobno dla Papieża. Długo traktowano o jego wydanie, ale Gdańszczanie pozostali głuchymi na wszystkie przedstawienia, prośby i groźby, i nie wydali obrazu. Z tą samą stanowczością odrzucili także następnie wielkie sumy, jakie im cesarz niemiecki Rudolf II. (80,000 złp.) i jakiś książe saski (26,000 tal.) ofiarował. 1806 zabrali obraz Francuzi do Paryża, skąd 1816 wrócił na swoje stare miejce. Wpływ czasu nie uszkodził wprawdzie przecudnéj malatury, ale dał się we znaki drewnianéj płycie, na któréj się takowa znajduje, co stosunkowo dosyć częstych wymaga restauracyi.

Pomijam dowody na poparcie licznych domysłów, które to arcydzieło pędzla przypisują to nieznajomemu mistrzowi w Ultrajekcie (Utrecht), żyjącemu w wieku czternastym, to braciom van Eyk, to Albertowi Ouwater, to Bernardowi Orlay, Michałowi Coxio, Janowi Mostaert, to Hugonowi Goes, to nakoniec — a jest to dziś powszechne i największemi powagami poparte mniemanie — pewnemu Janowi Memling, który się 1430 w Nyderlandach urodził i tam jako najzdolniejszy z uczni van Eyków zasłynął; pomijam także uczone spory krytyków o farbach użytych do tego dzieła, czy ono białkiem czy olejem wykonane, i spory o wielkich zaletach, a drobnych usterkach w wykonaniu, a przedstawię Ci wedle możności je-

dynie sposób, w jaki nabożny twórca swoją myśl o Sądzie ostatecznym wyraził *)

Wspomniany obraz przedstawia ołtarzyk składany, tn. tryptyk, składa się przeto z trzech tablic. Na środkiem polu widzimy Sędzię boskiego, Chrystusa Pana, siedzącego na tęczy przecudnéj piękności i otoczonego apostołami, w blasku chwały niebieskiéj i z wyrazem łagodności bożéj, u jego stóp toczy się rozprawa sądowa, któréj On w spokoju przewodniczy. W téjże dolnéj części jest najważniejszą figurą św. Michał, który na ogromnéj szali waży uczynki każdego człowieka. Jeżeli się mistrzowi udało, w postaci Syna Bożego przedstawić najwyższego Sędziego jako obraz wiecznéj niezmienności i świętego spokoju, nie biorącego osobistego i czynnego udziału w właściwym sądzie; przedstawia nie mniéj szczęśliwie archaniół surową sprawiedliwość. Odziany błyszczącą złotą zbroją i opatrzony w miecz ognisty, zdradza w całéj swéj postawie, a mianowicie w rysach twarzy całą surowość i powagę swego urzędu. A pomimo to jest on zjawiskiem tak miłém i pięknem, tak ujmującém urodą młodzieńczą i słodyczą dziewiczą, tak zgodném z nauką i tradycyą Kościoła o duchach niebieskich, że ją potwierdza najzupełniéj. Na jednéj szali, którą archaniół w ręku trzyma, leży człowiek z wyrazem pokory i poddania się, z złożonemi dłoniami i oczami ku niebu wzniesionemi: szala spuszczająca się z nim nizko, jest dowodem, że sądzony nie za lekki znaleziony i że znajdzie łaskawe przyjęcie. Figura umieszczona na drugiéj

*) Niektóre z następujących myśli są wyjęte z dzieła Die Weichsel von Brandstaetter.

szali, unoszącéj się wysoko do góry, zdradza wyrazem strasznéj rozpaczy okrutny los, jaki ją czeka. W około wstają z grobów liczni umarli, w świeże ciała odziani, nieco wysmukłe, bo tak ówczesny gust wymagał, ale wybornie wykonane w rysunku i kolorycie; mianowicie zasługuje na podziwienie rozmaitość, jaka się uwydatnia w charakterze i sytuacyi. Prawe pole przedstawia błogosławionych, których Piotr święty, przecudnéj piękności postać, wprowadza do nieba, które się jako wspaniały kościół przedstawia. Pomiędzy błogosławionymi uderza postać murzyna, przez co chciał mistrz przypomnieć, że wszystkie narody mają miejsce w królestwie bożém i są powołane do zbawienia. Na lewém zaś polu, zajętém przez tłumy potępionych na wieczne męki, podpada brzydka postać mnicha z ogoloną głową, smutny to wstrętny widok, ale niestety prawdziwy i przypominający nam, że nawet święty stan duchowny sam przez się nie daje rękojmi zbawienia, na które trzeba zasłużyć przez ciężką pracę, że nawet święcenie kapłańskie nie jest w stanie zachować od wiecznego potępienia. Ta część jest najdoskonalszą i najpiękniejszą całego obrazu. Straszny to widok wprawdzie, jak potępieńcy pchani i szarpani ognistemi widłami przez szkaradnych djabłów przewracają się w znak i giną w przepaściach piekielnych; ale w tém właśnie okazał mistrz wielkość swego geniuszu, że okropnością widoku nie odraża, że nie przesadza i nigdzie nie wystawia karykatur wstrętnych i obrzydliwych. Atoli niektórzy przyznawają większą wartość obrazowi przedstawiającemu błogosławionych, aniżeli tamtemu, i możnaby się z nimi zgodzić; to rzeczy-

wiście zdaje się być lżejszém zadaniem przedstawić wiernie wyraz rozpaczy, zgrozy i namiętności potępionych, aniżeli słodki spokój i anielską słodycz zbawionych, zawsze mniéj więcéj jednako się wyrażających.

Długo stałem zadumany przed tém arcydziełem, nie mogąc się od niego oderwać. Nie znam się na sztuce, ale zdaje mi się, że choćbym był najnamiętniejszym i najchłodniejszym krytykiem, zapomniałbym w obec tego obrazu o swém rzemiośle. Wszakże téż nie dla przemądrych krytyków tworzyli mistrze pędzla, pióra i kielni mularskiéj swe dzieła, aby je ci ćwiartowaniem niszczyli, ale dla chwały Boga i jego pobożnych czcicieli; w téj mierze osiągnął twórca Sądu ostatecznego u mnie swój cel najzupełniéj: jego obraz był dla mnie kazaniem — zajmującém, przerażającém, pocieszającém i budującém. Te wszystkie uczucia odzywały się we mnie z kolei, ciekawość ustąpiła rychło miejsca zbawiennéj trwodze, która zimnym dreszczem przeszła po ciele i duszy, aby wzruszyć serce do żalu za grzechy popełnione, wlać w nie słodką otuchę i nadzieję w miłosierdzie boże i wywołać postanowienie poprawy życia, stwierdzone cichą łzą w oku i błagalnémi słowy na ustach:

Sędzio, Boże sprawiedliwy,
Daruj wszystko, gdy rzewliwy
Płacząc błagam przebaczenia,
Nim się stawię do sądzenia!
Moje prośby nie są godne,
Bom Twe dziecko jest wyrodne;
Przecież błagam Cię serdecznie,
Nie daj gorzeć w piekle wiecznie.
Daj mi miejsce w świętych gronie,
Bądź mi, Jezu, ku obronie,

Oddal od kozłów stolicy,
A postaw mnie po prawicy.

....Nie pozostawało już nic znaczniejszego do oglądania, ani też nie miałem ochoty spłaszać i zacierać nowemi widokami wzniosłe myśli i zbawienne uczucia.

Wychodząc przyspieszonym krokiem i z pełném sercém z téj mogiły, rzuciłem raz jeszcze okiem na pyszne filary i ogromne sklepienie, i teraz dopiero uderzyła mnie mnogość chorągwi porozwieszanych u góry. Może ich być 50 mniejszych i większych, jednych całkowitych i nietkniętych, drugich mocno uszkodzonych i poszarpanych, że pozostał tylko goły proporzec; są to podobno trofea zdobyte przez Krzyżaków na różnych nieprzyjaciołach, a są pomiędzy niemi, jak się domyślałem, także znaki pomorskie, polskie i litewskie.

Chętnie przeto rozstałem się z świątynią, która nie potrafiła uzyskać mojéj sympatyi, albowiem wyjąwszy zbawienne wrażenie, jakie we mnie wywołał obraz Sądu ostatecznego, nie doznałem innego uczucia oprócz zaspokojonéj ciekawości i markotnego żalu. Nie miałem nawet ochoty oglądać drugich kościołów luterskich, których w mieście i na przedmieściach jest razem siedmnaście. Bo i co tam w nich oglądać, skoro nawet żadnych starożytności w sobie nie mieszczą? A historya każdego z osobna jest mniéj więcéj jedna i ta sama.

Jedynie więc z obowiązku turysty wstąpiłem do kościoła św. Jana, zbudowanego w r. 1356, aby obejrzeć piękne sklepienie wzniesione 1460. Z dawniejszych zabytków utrzymały się jeszcze

piękne stale i rznięte ozdoby organu. — Kilka dobrych obrazów, mianowicie Wjazd P. Jezusa do Jerozolimy, niektóre portrety i Sąd ostateczny, ten ulubiony temat malarzów, jako też nagrobek sławnego astroma Heweliusza są widzenia godnemi w najstarszym pono z gdańskich kościołów, św. Katarzyny, który miał Subisław około 1185 wystawić. Na wieży tegoż kościoła znajduje się owa mechanika grająca, która mi, jak już wspomniałem, drugiéj nocy mego pobytu w Gdańsku swojém monotonném pukaniem tyle dokuczała. Jestto bardzo skomplikowania i kosztowna zabawka, za którą miasto i jakiś czuły dziwak zapłacił 30,000 złotych pruskich czyli 60,000 złp. Składa się zaś z 35 dzwonów, obejmujących kilka oktaw, i z walca obracającego się, złożonego z 121 lat dębowych; w tych jest wywierconych 7,260 dziur, w których się umieszczają ukośne drążki bijące po dzwonach; co tydzień zmieniają się ukośne drążki i przez to melodya, — jestto więc coś na kształt dużéj katarynki. Kościół Trójcy Przenajśw. pofranciszkański, goły i pusty wewnątrz, posiada w swym szczycie arcydzieło architektoniczne; cały bowiem zbudowany z palonéj cegły odznacza się pomimo ciężkiego układu całości wielką elegancyą i bogatą ornamentyką. Tuż przy kościele św. Trójcy stoi kaplica św. Anny, która na rozkaz króla Kazimierza stanęła dla wygody Polaków (1480), ale już 1552 r. przeszła na usługę lutrów jako filia św. Trójcy. Jest zaś szczególnie dla tego wspomnienia godną, że przy niéj był pastorem zasłużony znawca i miłośnik języka polskiego, Mrongowiusz, zmarły r. 1855.

Twój
Czesław.

Kochany Przyjacielu!

Gdańsk....

X.

We wspaniałych i obszernych zabudowaniach pofranciszkańskich, należących do kościoła Trójcy Przenajśw., o którym właśnie wspomniałem, umieszczono po wydaleniu zakonników (1558) tn. gimnazyum akademickie o czterech wydziałach i katedrze dla historyi, matematyki, poezyi, literatury greckiéj i języków wschodnich. Z upadkiem Rzeczypospolitéj polskiéj pokwapiła się téż czemprędzéj ku końcowi złota swoboda wolnego miasta Gdańska, a z nią runęły liczne i różnorodne instytucye, czy katolickie, czy luterskie bez różnicy, pomiędzy innemi ta akademia. Otóż koleją rzeczy w Prusiech zamieniło się gimnazyum akademickie gdańskie na szpital wojskowy, a po wystawieniu nowego szpitala, stały czcigodne mury poreformackie pustkami i już, już je skwapliwy fiskus miał rozwalać, gdy się usilnym prośbom i zabiegom kilku znawców starożytnych budowli na szczęście udało ocalić je przed zagładą i uzyskać pozwolenie do odbudowania starego gmachu. Z wielkim kosztem miasta i osób prywatnych odbudowano i odświeżono w czystym stylu gotyckim gmach zrujnowany, który dzisiaj stał się jedną z najpyszniejszych ozdób miasta i służy obecnie na szkołę realną i muzeum miejskie.

Korzystając z sposobności, o ile że przystęp do muzeum dla publiczności jest tylko dwa razy w tygodniu na kilka godzin dozwolony, wstąpiliśmy, będąc w bliskości i nie tracąc czasu, w poważny niegdyś z kolei przytułek modlitwy, nauki

i cierpienia, a dzisiaj sztuki i starożytnych zabytków, które tutaj schronienie i dalszy byt znalazły. Trudno zaprawdę o więcéj odpowiednie gmachy ze względu na ich obecne przeznaczenie, ale bo téż sama budowla jest najpiękniejszą sztuką całego zbioru, nędznego zresztą co do ilości, jakości i porządku. Ten albowiem zbiór starożytności umieszczony w krużgankach parterowych, jest i będzie jeszcze przez długi czas bardzo podobny do tandety, tak względem wartości, jak zestawienia przedmiotów tu zgromadzonych: widzisz tam monety stare rzymskie i tureckie, amerykańskie i nowe włoskie, ostrogi i siodła, trąby i bębny, kafle, flizy i figielki szklanne, starosłowiańskie kolczyki i urny, stare bambosze i kubek generała Blüchera, bałwany pogańskie obok figur świętych Pańskich, słowem ogromny to chaos, ni w pięć, ni w dziewięć, który bez skrupułu minąć można. Porozstawiane szeroko po kątach stare landary, obicia, konfesyonały, fotele i t. p. graty zdają się służyć na to, aby jeszcze lepiéj uwydatnić ogólne ubóstwo tego muzeum. Uznania godnym jest jednak zbiór ptaków wyścielanych, obejmujący dwa tysiące okazów różnego rodzaju swojskiego i zagranicznego ptastwa; szkoda, że tu właśnie nie zdaje mi się być w swojém miejscu. Z innych zwierząt jest jeszcze ogromny wilk i dwa potworne cielaki zrosłe do kupy, które jak wnosić wolno zostały wydane molom na pastwę, bo innego pożytku trudno się z nich domyślić.

Przejdźmy się teraz na piętro, gdzie krużganki i celki pobożnych mnichów urządzono dla stałéj wystawy kilku set obrazów. Środek krzyżujących się krużganków zajmuje sam jeden wielkich roz-

miarów obraz tendencyjny, którego treść tłumaczy następujący podpis niemiecki „Pankracy Klemm trzymany przez biskupów w więzieniu, wyswobodzony z niego przez wzburzonych mieszczan gdańskich; z czasów reformacyi Lutra.“ Twórcą tego malowidła jest dyrektor Rosenfelder w Berlinie, ale nie wiadomo mi, czy z własnego natchnienia czy na obstalunek tę scenę przedstawił, którą Gdańszczanie — przynajmniéj tłum bez myśli i sądu — z dumą i namaszczeniem zowią własną w rzeczywistości i na obrazie, zarzucając tylko mistrzowi, że niektóre akcesorya n. p. wieże i domy, nie tak wiernie pochwycił i oddał na płótnie, by je prawdziwy Gdańszczanin natychmiast poznał jako swoje.

Otóż bohater téj sceny, Pankracy Klemm czy Klein, exdominikanin, i jak już wyżéj wspomniałem, rzekomy reformator Gdańska, jest przedstawiony właśnie w chwili, gdy opuszcza dom, w którym go podobno na rozkaz władzy duchownéj trzymano uwięzionego. Jestto wysoka figura, z twarzą bez wyrazu, z długiemi włosami na ramiona spadającemi, w sukni ani to dominikańskiéj, ani reformackiéj, ale krojem najwięcéj podobnéj do sutany pastorów luterskich, słowem ani to ptak, ani ryba, w czém, chociaż może bez wiedzy i woli, oddał malarz prawdziwe usposobienie nieszczęśliwego mnicha, walczącego ze sobą, niepewnego, czy uczynić krok stanowczy, czy go zaniechać. Za nim stoi dwóch biskupów in pontificalibus, z berłem pasterskiém i mitrą, i legat papieski przybrany w fiolety, w około cystersi i kapucyni; wszyscy z giestami zbyt gwałtownemi, z wyrazem twarzy odrażającym, bo nie świątobliwe

oburzenie lub zmartwienie ojcowskie, nie smutne zwątpienie nad zaślepieniem biednéj owieczki odbija się w rysach wysokich dygnitarzy Kościoła i zakonników, ale namiętny gniew ludzki i złośliwa nienawiść rozlała się po ich całéj postaci. Nie nasi to przeto biskupi, takich my nie znamy, bo takich w rzeczywistości niema; ale są to karykatury, jakie zarażona fanatyzmem fantazya Kaulbachów, Rosenfelderów i Lessingów sobie wymarzyła. — Przed nimi zebrały się tłumy mieszczan, rzemieślników i kobiet, zwłaszcza niższego stanu, pomiędzy nimi są portrety malarza i jego żony, w czém nie mogę dojrzeć ni gustu, ni taktu; na wszystkich twarzach i w postaciach przebija się głębokie uszanowanie, z jakiém wychodzącego mnicha witają, klękając przed nim i cisnąc się do ucałowania ręki. Ile fałszu, ile przesady i czystego niepodobieństwa spostrzega oko i czucie katolickie w téj scenie zaraz na pierwszy rzut oka! Wspomniałem już o biskupach, nie inaczéj ma się rzecz z ludem; bo kto zna usposobienie ludu katolickiego, zwłaszcza klas niższych, ich uległość i uszanowanie, jakiém otaczają swoich biskupów lgną do zakonników, czy ten może przypuścić, by ten sam lud — nota bene, scena odgrywa się 1525 r., a zatém przed zaprowadzeniem tu. reformacyi w Gdańsku! — stał się prawie ślepym na widok trzech sędziwych biskupów, przybranych w kościelne oznaki ich godności, głuchym na ich słowa ojcowskie, obojętnym na grono zakonników i to do tego stopnia, by tak jawnemi oznakami czci i miłości, jakie się tamtym należą, obsypać bez miary jednego mnicha — apostatę?! Nie, kto to twierdzi, takie rzeczy wierzy i je maluje, ten

nie zna zgoła ludu katolickiego, ten się grubo myli i nie powinien się dziwić, że jego dzieło nie uzyska sobie nigdy powszechnego uznania i sympatyi; brak mu albowiem najgłówniejszego warunku, aby uchodziło za prawdziwe dzieło sztuki, brak mu bowiem prawdy, prawdy istotnéj, któréj żadne prawdopodobieństwo nie zastąpi. — Dodać winienem, że bezstronni znawcy zarzucają wspomnianej scenie także brak prawdy historycznéj, przez co takowa pokazuje się widocznie jako pomysł tendencyjny. Zresztą i co do wartości są zdania krytyków podzielone, o ile niektórzy tylko niektórym figurom przyznają wartość artystyczną.

Zupełnie przeciwny temu obrazowi co do treści i ducha, a daleko wyższy jako dzieło sztuki, jest powszechnie chwalony ogromnych rozmiarów obraz Szradera, przedstawiający chwilę, jak buntownik Cenci prosi papieża Grzegorza VII. o przebaczenie.

Z drugich obrazów uderza zwłaszcza jeden, sławny na duży kawał świata, któryś może sam już oglądał na wystawie sztuk pięknych w Wrocławiu, znany pod nazwą: Das blaue Wunder — modre dziwowisko. Smutny to tytuł, jak wogóle śmiałe to przedsięwzięcie, na kilkołokciowym szmacie płóciennym chcieć uchwycić czarodziejskie morze bez granic. O ile mistrz zadaniu swemu sprostał, nie śmiem sądzić; nie mogłem się jednak przy oglądaniu pozbyć myśli, przywodzącéj mi na pamięć znaną legendę o św. Augustynie i aniołku, przelewającym muszelką wody oceanu w mały dołek. Przyznaję przecie chętnie, „że modre dziwowisko“ ujmuje jakimś tajemniczym urokiem, że w niém wiele poezyi, a — powiem, co myślę,

choć to może wielkie głupstwo lub bluźnierstwo — pod pewnym względem wiele w niém sztuki, jakiejś tam nowéj szkoły, o ile, że malatura zbliża się mocno do płaskorzeźby, co jednak patrzącego z blizka razi. I to okrywa piękną malaturę pewnym urokiem i jedna jéj sympatyą, że mistrz Hildebrand gdańszczanin, którego portret wykonany przez niego samego wisi w drugiéj sali, nabawił się śmierci podczas téj pracy, przeziębiwszy się na okręcie, śledząc piękności i tajemnic oceanu pod równikiem.

Nie mogę pominąć jeszcze jednéj perełki na wystawie, drogiéj sercu polskiemu dla przedstawionego przedmiotu. Imię mistrza jest Stryjowski, Gdańszczanin. Wprawdzie nie Polak on, jakby z nazwiska sądzić można i z obranego przedmiotu obrazu; wszelako ciepło, znajomość i zamiłowanie, z jakiém ten obraz wykonany, znamionują widocznie pochodzenie i ducha polskiego mistrza, bo tak tylko swój swoje odczuć, pochwycić i oddać może. Jeżeli się nie mylę, wspomniałem Ci już w pierwszym z Gdańska pisanym liście o miejscu zwaném Przerabką, ponieważ tam „przerabiają“ zboże przybyłe na dubasach z głębi Polski, zanim je na nowo sypią w szkuty angielskie. Przerabka jest przeto główną przystanią, zbornym punktem dla naszych flisów i przedstawia ztąd w każdéj chwili, a zwłaszcza w godzinach wypoczynku i wieczorem ciekawy widok, gdy się nasi poczciwcy obozem roztarasują około ogniska, przy którém się skromna wieczerza gotuje, lub też w koło grajka gromadnie zasiędą, który na samorodnych skrzypkach z drzewa lipowego wygrywa wiecznego mazura; taką oto scenę przedstawił

Stryjowski i nazwał ją Przerabką. Śliczny to obrazek i ślicznie wykonany; dwa szczególnie przymioty, jak uważałem, cechują tę piękną malaturę i nadają jéj wysoką wartość: wielka naturalność czyli prawda i spokój, rozlane w przecudny sposób po całym obrazie i każdéj figurze z osobna. Prawdziwie polska, serdeczna wesołość, pewne opuszczenie się pełne prostoty i dobroduszności jest wszystkim figurom wspólne, a jednak każda z nich ma swój odrębny, wierny, typowy wyraz, który nam Polakom tak zrozumiały i do serca przypada. To zwłaszcza rozumie się o dwóch głównych figurach. Jedną jest grajek, krzepki jeszcze starzec o smagłych rysach twarzy i błyszczącém oku, wysokiéj budowy ciała wprawdzie pracą, biedą i wiekiem wysuszonego, ale chowającego jeszcze dobry zasób siły i energii. Druga jest sobie tak nasza prosta wiochna dwudziestoletnia, jakbyś ją żywą widział w Wielkopolsce, na Mazurach lub w Kujawach, z okrągłą rumianą twarzą i filuternym uśmiechem na ustach, którym patrzącego mimo woli zaraża. Najwięcej jednak jest do podziwienia śmiałość artysty, a zręczność i delikatność w wykonaniu swego pomysłu; albowiem okrągła Kujawianka zajęła zaraz pierwsze pole widowni i to rozłożyła się bez wszelkiéj żeny jak długa na ziemi! Śmiało to zaprawdę, ale udało się szczęśliwie.

Resztę zbioru składają portrety, a po większéj części obrazy rodzajowe, — istna proza rymowana, — nie ma w tém myśli i ciepła, to téż efekt odpowiedni — czczość i nudy. Muszą być przecież i takie rzeczy, bo czémżeby panowie dorobkowicze upstrzyli swe salony, czémby wystrojo-

no pasażernie i gabinety do spuszczania włosów?

Ale czas nagli i trzeba nam się wziąść do spieszniejszego przeglądu miasta i jego drugich skarbów. Z muzeum przeszliśmy przez kilka wązkich i ciasnych ulic na główną żyłę ruchu miejskiego, Długą ulicę, która się na jednym końcu rozszerza nieco na tak zwany Długi Rynek; jak wiadomo nie mają prawie wszystkie miasta północnych Niemiec właściwych rynków. Jeden róg tego placu zajmuje starożytny ratusz, zbudowany 1311 r., w stylu gotyckim o jednéj wieży, pochodzącéj z r. 1560. Budowla ta przypomina nieco stary ratusz wrocławski. Z lokali, które nam z wielką uprzejmością obejrzeć pozwolono, są widzenia godne kasa i archiwum miejskie, izba posiedzeń letnia i zimowa, a mianowicie wielka sala, przeznaczona na sesye deputacyi miejskiéj. Wszystkie te pokoje są pełne starożytnych ozdób rzniętych, nieraz bogato pozłacanych, portretów, biustów, malatur ściennych i napisów, niektórych bardzo ciekawych i zabawnych. Z ostatnich przytaczam przynajmniéj dwa, jako znamionujące doskonale dawniejsze czasy i dawniejszych ludzi. Nad drzwiami kancelaryi czytasz:

Amice sufficit tibi amicitia nostra gratis.
Laborem vero nostrum solve pecuniis paratis;
Si res vis, res porta, pro verbis verba reporta.

To jest:

Nasza przyjaźń, mospanie,
Darmo ci się dostanie;
Lecz za naszą pracę
Prosimy o płacę.
Żądasz czynów — pokaż czyny,
Słowa — słów skutek jedyny.

Nad kominkiem zaś jest czterowiersz łaciński, który tak przekładam na polskie:

Mile grzeje płomień z daleka,
Lecz z bliska boleśnie dopieka:
Wolno na nasze biórka spozierać,
Lecz nie wolno w papierach szperać.

Powiadam, że wiersze te znamionują doskonale owe złote czasy, pełne zdrowego dowcipu i ogłady wrodzonéj, bo wypowiadają prawdę w sukience alegorycznéj i żądają rzeczy, niekoniecznie miłéj, ale w sposób grzeczny i dowcipny, który nie tak łatwo wywołuje pewien niesmak.

W owych pokojach ściągają zwłaszcza uwagę powszechną kunsztownie wykonane pułapy, a w wielkiéj sali prześliczne sklepienie, opierające się na jednym eleganckim słupie granitowym. Nie zbywa też na przedmiotach i obrazach przypominających czasy polskie, zwłaszcza pełno wszędzie herbów polskich, na które z pewném rozrzewnieniem spoglądałem, wiążąc w myśli świetną przeszłość z jałową teraźniejszością. Bo też i wszystko inne wydawało mi się, jakby było wytarte, zużyte i wypłowiałe, a ślady dawnéj zamożności, pewnéj siebie i przedstawiającéj się okazale, służą na tém jawniejsze uwydatnienie obecnego ubóstwa, któremu z wielką oszczędnością liczyć się przychodzi. Tak ratusz z swym starym przepychem, jak wiele innych gmachów gdańskich wydawają mi się jakby kosztowna niegdyś suknia dziada, która na wnuku wygląda jak wytarta liberya.

Niedaleko ratusza stoi posąg bóżka Neptuna, który się tak dziwnie wykrzywia, że łatwo można wpaść na myśl, że go brzuch boli, albo że biedak swemi widełkami wywija z desperacyi, iż żywioł jemu poddany wypowiedział mu całkiém posłuszeństwo, gdyż rzeczywiście do najrzadszych

widowisk w Gdańsku należy tryskanie fontanny, na której miedziany bałwan siedzi; czemu zresztą nie winien mistrz. Wodotrysk ten wykonał Adryan de Vries, Holenderczyk.

Długi rynek jest jakby sercem tego grodu, gdzie życie silniejszém tętnem bije, gdzie się zbiegają i rozchodzą główne arteryc ruchu handlowego. W około wznoszą się pyszne hotele, banki, sklepy, cukiernie, uwijają dorożki i tłoczą taradeje, a podwójnym szeregiem rozsiadły się krzykliwe przekupki z najrozmaitszym towarem. Do najwyższego stopnia zaś ruch dochodzi około południa, kiedy się długi rynek, jakby nagle napadnięty od wędrownego mrowiska, zaludnia czarno wystrojonymi, w wysokie cylindry opatrzonymi perypatetykami, po większéj części z synów Izraelowych, którzy się tu na giełdę schodzą. Giełda to jeden z najciekawszych gmachów Gdańska, lubo nie należy do najstarszych, gdyż dopiero po r. 1500 został wystawiony. Atoli już przed r. 1370 stał na tém samém miejscu tu. Junker - Hof, to jest dom przeznaczony na schadzki dla cechu kupieckiego, gdzie się po załatwieniu spraw handlowych bawili po towarzysku i po niemiecku, wychylając potężne puhary piwa. Ztąd przybrał później nazwę Artus-Hof czyli sali Artusowéj, po królu angielskim tegoż imienia i jego sławnych biesiadach pijackich; tak zowie się ten gmach dziś dnia *). Nie myślę Cię zaprzątać szczegóło-

*) Na wzór biesiady króla Artusa wystawiano podobne sale Artusowe także w wielu innych miastach Hanzy niemieckiéj, mianowicie w téj prowincyi w Toruniu, Elblągu i dwie w Królewcu, które jednak nie mają wcale podobieństwa do sali gdańskiéj. Zresztą utrzymała się z nich jedynie osta-

wym opisem zmiennych losów tego ciekawego domu, które pomimo jego wesołego przeznaczenia były po większéj części nędzne i smutne, z powodu częstych zaburzeń miejskich, klęsk wojennych i upadku zamożności całego miasta. Nasłuchały się te ściany więcéj narzekań i skarg, aniżeli wesołego rozhoworu biesiadników artusowskich; dopiero od roku 1742 ustalił się los domu o tyle, o ile od tego czasu zamieniony wyłącznie na giełdę kupiecką, nie doznał już nowéj zmiany.

Dziwna to i ciekawa pod każdym względem budowla. Składa się tylko z czterech ścian na kilka piętr wysokich bez wszelkich przedziałów; na nich wznosi się piękne sklepienie oparte na czterech wysmukłych filarach granitowych. Wejście jest maluczkie i ciasne; tém większe są trzy ogromne okna ostro-łukowate, które gustowny front z przodku zajmują. Wnętrze sprawia na wchodzącego wrażenie podobne do odurzenia, i to nie tyle dla dziwnéj architektury, ile raczéj że od dołu do góry jest wystrojone w guście baroque, co się zowie, i z niemałém zdumieniem błąka się oko po fantastycznych przedmiotach, nie mogąc ich żadną miarą w pewną całość skleić, ani na czémś dłużéj odpocząć. U sufitu wisi kilka okrętów en miniature, z całym przyborem żeglarskim, przypominających minione czasy potęgi i sławy królowéj morskiéj, gdy jeszcze z Turkami, Anglikami i Włochami w zapasy chodziła. Wzdłuż ścian ciągnie się sześć ław, które dawniéj nale-

tuia w pierwotnym stanie i służy pierwotnym celom; zaś toruńska sala Artusowa służyła przez długi czas na zbór luterski, dziś stoi w jéj miejscu teatr; elbląską zamieniono na pocztamt.

żały do pewnych kółek mieszczańskich, zwanych Reinholda, św. Krzysztofa, św. Trzech Króli, Nyderlanska, Malborska, i Żeglarska, dziś jeszcze opatrzonych w godła i wiersze objaśniające ich przeznaczenie. Pod jednym oknem stoi figura pątnika w średniowiecznym stroju, który wykluczony z kolei z wszystkich sześć ław, odprawił za pokutę pielgrzymkę do grobu św. Jakóba w Kompostelli. Na drugiéj stronie znajduje się kolosalna figura św. Krzysztofa i płaskorzeźba św. Jerzego na koniu, wedle podania najstarsza robota snycerska w Gdańsku. W samym rogu sali przy wyjściu na drugą ulicę stoi 38 stóp wysoki piec kaflowy, zwężający się w komin, ozdobiony zabawnemi karykaturami. Oprowadzający szwajcar w czerwonym fraczku, nie omieszka żadnego przychodnia zaprosić, aby ramionami swemi zechciał zmierzyć szerokość téj glinianéj potwory; kto nieświadomy, wyciąga z prostotą ręce do serdecznego uścisku, to dopiero szyderczy śmiech ogólny zwraca mu uwagę, że przy tym uścisku dotknął się usteczkami swemi „północnéj części“ jakiegoś djabełka, który się tyłem wypycha z pieca, — jestto podobno sławny Tyll Eulenspiegel, niby nasz Sowizdrzał, patron specyalnie niemieckiego cechu „arme Reisender.“

Z licznych wierszy, po części poważnéj po części krotofilnéj treści, okrywających jeszcze do dziś dnia ściany sali Artusowéj, wypierają się z pewnem oburzeniem starzy kronikarze następującego, uważając go za złośliwy koncept jakiegoś dowcipnisia, chociaż przyznać trzeba, że jeżeli był kiedyś, to był w swojem miejscu, a jeżeli zmyślony, to nie od rzeczy i nie bez przyczyny,

wnosząc z przeznaczenia téj sali i surowych przepisów władzy miejskiej o pijaństwie. Brzmiał zaś podobno tak:

Hic madidi fratres spumantia pocula siccant,
Hic nihil est aliud vivere, quam bibere.

To jest:

Tu bracia od mokrego cechu wysuszają
Kipiące puchary, którzy za godło mają:
Kto pije — ten żyje!

Sam środek sali zajmuje piękny posąg z białego marmuru króla Augusta III Sasa, wielkiego dobrodzieja kupców gdańskich, którzy mu z wdzięczności ten posąg w r. 1755 postawili; wykonał go rzeźbiarz gdański imieniem Meisner.

Z ścian, bogatemi freskami od dołu do góry pokrytych, wystaje mnóstwo rogów jelenich, niezawodnie trofei myśliwskich czcicieli Nimroda, te rogi dały téż następnie może powód do niektórych malatur, zwłaszcza Akteona i Orfeusza. Oprócz scen biblijnych widać dalej walkę Horacyuszów i Kuracyuszów, rycerza Reinholda i jego trzech braci (vier Hajmonskinder), oblężenie Malborga z r. 1410, wizerunek Najśw. Panny i Chrystusa Pana. Te dwa ostatnie obrazy odznaczające się pięknem wykonaniem, są pędzla Gdańszczanina Andrzeja Sztech; ale bliskość rubasznych nimf, umieszczonych tuż nad niemi w scenie łowów Akteonowych, sprawia gorszący kontrast. — Najlepszą z wszystkich malatur jest Sąd ostateczny, to niewyczerpane źródło natchnienia artystów, wykonany przez Antoniego Möllera Gdańszczanina około r. 1600, który tę straszną rozprawę przedstawił w sposób alegoryczny z wielką znajomością przedmiotu i z wielką sztuką. Na pozór rubaszne, ale pełne jędrnego rozsądku i krotofilnego

dowcipu życie średnich wieków, lubiło wszystkie przedniejsze wypadki i dzieła swych czasów otaczać pewnym urokiem, łącząc je w dziwny sposób z żywym światem ludzi lub z tajemniczym światem duchów, o czém się na każdym kroku przekonać można. Tak przywiązało podanie ludowe następującą legendę do Sądu ostatecznego Möllera.

Młody ten artysta ubiegał się o nadobną córeczkę burmistrza gdańskiego, ale ten odprawił z pogardą mistrza, wskazując mu szyderczo na pędzel i paletę, by sobie według gustu utworzył bohdankę. Obrażony mistrz zemścił się po swojemu, i wymalował na swoim obrazie prześwietnego pana burmistrza w łódce pomiędzy potępieńcami, pędzącymi wprost do przepaści piekielnych. Można sobie łatwo wystawić zdumienie i wściekłość tego pana, gdy po ukończeniu odkryto obraz; poczciwy zaś lud zanosił się od śmiechu, gdy drogą głowę miasta swego zobaczył w takiém towarzystwie i na wyprawie do piekła. Naturalnie, że natychmiast wrzucono zuchwałego mistrza do kozy; ale za wpływem podobno córeczki burmistrza, która bez wiedzy ojca podzielała uczucia nieszczęśliwego bohatera, przyszło do układów, i stanęło na tém, że się malarz zobowiązał zamazać portret burmistrza, a za karę siebie samego wsadzić do łódki. Mistrz zgodził się na to, ale filut zrobił znów po swojemu. Bo otóż wymazał rzeczywiście burmistrza i umieścił własny portret w jego miejscu, ale nad łódką wymalował córeczkę burmistrza w postaci anioła miłosierdzia, który łódkę zwraca w przeciwną stronę, — do portu niebieskiego. Cóż miano zrobić? Dumny burmistrz

trafiwszy na swego, udobruchał się nakoniec i na dowód przebaczenia i szczeréj zgody zadatek oddał swą córkę dowcipnemu mistrzowi za żonę.

Resztę zbywającego czasu poświeciliśmy na pobieżne obejrzenie miasta i niektórych widzenia godnych gmachów, posiliwszy się poprzednio w sklepie pod Salą Artusową, który jéj pierwotne przeznaczenie przejął na siebie wyłącznie, a zowie się Rathhauskeller, chyba dla tego, że ratusz niedaleko. Jestto obszerny lokal, coś nakształt świdnickiego sklepu w Wrocławiu, ale wymuskany i wybielony bez gustu, zwiedzany téż przeważnie przez lepsze towarzystwo, mianowicie wieczorem. Piwo, wino i jedzenie są tam dobre i tanie, zresztą lokal sam nie zajmujący wcale, nudny i powszedni, jak pierwsza lepsza winiarnia.

Z innych budowli wymieniam jeszcze liczne bramy, wieże i stary arsenał. Ten ostatni przedstawia kolosalną budowlę, z prześlicznym frontem ozdobionym czterema wysokiemi szczytami i dwoma ośmiokątnemi wieżyczkami; ze lśniących się od złota i jaskrawych kolorów ozdób, któremi przednia fasada nieco obciążona, są najpiękniejszemi posąg Minerwy i studnia w kształcie świątyni pomiędzy dwoma wejściami umieszczona. Tylny front zdobi jakiś rubaszny bałwan z piaskowca, który wedle jednych przedstawia bóżka wojny, wedle innych kozaka, który na rozkaz Batorego podjął się ściąć swego własnego pana, olbrzymiego Mołdowianina, czego żaden kat uczynić nie miał odwagi; — jedno i drugie nie bardzo prawdopodobne i nie bardzo dowcipne.

Na zakończenie tego już zbyt długiego opisu,

podam Ci krotki pogląd na dzieje tego ciekawego grodu i jego dzisiejszą fizyonomią.

Zaczynam od nazwiska, a że to sprawa sporna, przeto też niesmaczna i niepożyteczna, ograniczam się więc na wzmiankę, że uczeni dotychczas nie zgodzili się na coś pewnego względem pochodzenia nazwy Gdańska. Nie potrzebuję szczegółowo podnosić, że Niemcy usiłują ją à tout prix wyprowadzić z niemieckiego, twierdząc, że znaczy tyle co Gotiscanzia t. j. Gothenschanze, okop Gotów; mnie bo zdaje się brzmienie i duch wyrazu wskazywać więcéj na pochodzenie słowiańskie. Wedle drugich mniéj uprzedzonych ślepym patryotyzmem, wzięło to miasto swą nazwę od Duńczyków, ale nie jako kolonia przez nich założona, lecz jako osada zaludniona jeńcami téj narodowości, których bajeczny książę polski Widzimirz około r. 340 po narodz. Chrystusa Pana miał tu osadzić, wedle tegoż podania miała też pierwotna nazwa brzmieć Danswyk t. j. miasto duńskie. Okoliczni Kaszubi zowią dawną stolicę swych książąt Gdańsk albo po prostu „miasto“ lub czasem „stare miasto.“ Ile jednak niepewne pochodzenie nazwiska, tyle pewna, że to jest odwieczny gród słowiański, gdyż kronikarze wspóminają już o nim w żywocie św. Wojciecha pod r. 997, zowiąc go Gidanie, i pod r. 1163, jako castrum Gedanense czyli Gdańskie i siedzibę książąt pomorskich, kiedy o Niemcach w tych stronach ani słyszano, trudno zaś uwierzyć, by się po Gotach nazwa i osada przez przeszło tysiąc lat utrzymać miała, bez innego dowodu, jak obecnie przez niemieckich profesorów popieranego twierdzenia, nie mającego nic więcéj za sobą, jak pewne podobień-

stwo w brzmieniu. — Pierwotny zamek gdański książąt pomorskich, wzniesiony nad Radunią, kazał ich spadkobierca Przemysław rozebrać i wystawił sobie nowy obronny zamek nad Motławą i Wisłą, ale także drewniany, który Krzyżacy przerobili w mocną murowaną twierdzę (1331—1335). Polacy zaś po zajęciu Gdańska (1454) nie tylko zamek krzyżacki, ale także większą część murów obronnych poznosili, dla czego dziś tak mało śladów z owych najstarszych budowli widzimy, wyjąwszy bram i wieży niektórych. Dzisiejszy Gdańsk należy do fortec pierwszego rzędu, będąc twierdzą lądową i morską, nie posiada jednak żadnych murów obronnych, ale natomiast mnóstwo grobli, foss i fortów daleko wysuniętych. Składa się zaś z następujących dzielnic, które się z czasem z osobnych osad w jedną całość organiczną zestrzeliły, mianowicie: Altstadt, najstarsza część miasta, Rechtstadt (1311), Vorstadt (1393), Langgarten i Niederstadt (1626); oprócz tego należy do komuny miejskiéj kilkanaście przedmieści wewnętrznych i zewnętrznych. Tam gdzie dziś po gołych pagórkach Bischofsberg i Stolzenberg, tuż przy samym Gdańsku pług pulchną ziemię kraje, stało aż do 1807 r. miasto Stolzenberg, liczące przeszło dziesięć tysięcy dusz, dwa kościoły katolickie i jeden luterski, liczne fabryki i t. p., co wszystko w upływie kilku dni w proch się zamieniło, a po kilku miesiącach znikło z powierzchni ziemi bez śladu. Jako ważna forteca i bogate miasto handlowe bywał Gdańsk zawsze ponętnym przedmiotem nagrody dla pasujących się stron nieprzyjacielskich i podlegał z téj przyczyny licznym napadom i oblężeniom.

Sześć razy został wzięty, i to pomiędzy innemi kilka razy przez Polaków, mianowicie pod Jagiełłą (1431), pod Stefanem Batorym (1577), trzeci raz za Augusta III., gdy się w jego mury schronił Stanisław Leszczyński (1734); najdłuższe oblężenie trwało prawie cały rok, gdy Prusacy i Moskale to miasto dobywali 1813, bronione wtenczas przez Polaków i garstkę Francuzów.

Już za czasów Krzyżackich zażywał Gdańsk wielkich swobód, jako członek Hanzy niemieckiéj; bo mądrzy politycy zakonni woleli widzieć w potężném mieście obojętnego i mało użytecznego przyjaciela, aniżeli gorliwego i szkodliwego wroga, na którego zniszczenie nie byłoby im sił stało, choć była zapewne chęć i wola ukrócenia tych swobód, jak historya poświadcza. Po powrocie Prus i Pomorza do Korony polskiéj uznawało to miasto króla polskiego za swego zwierzchniego pana, i należało przez 340 lat do Rzeczypospolitéj. Ale równie jak drugie większe miasta, mianowicie Elbląg i Toruń, czuwało z wielką zazdrością i drażliwością nad swemi przywilejami i wyłamywało się nieraz gwałtem z pod władzy zwierzchniczéj, uważając swój stósunek li jako unią osobistą pomiędzy „wolném miastem a królem polskim“, nie chcąc nic słuchać o Rzeczypospolitéj i obowiązkach względem całego państwa. Ten luźny stósunek charakteryzuje doskonale przysłowie, które nie wiedzieć kiedy i z jakiego powodu powstało, a którego sens moralny nie trudny do odgadnięcia: „Pogniewał się burmistrz gdański na król polski, będzie wielki wojna,“ co ma także Prusakom przypomnieć, iż zawsze źle, a przytém niechętnie mówili po polsku. — Wew-

nętrzne rządy Gdańska były zawsze pełne sporów, a nawet burzliwych zajść pomiędzy władzami a mieszczaństwem t. j. pomiędzy arystokracyą kupiecką i demokratycznie usposobionymi rzemieślnikami, co sprowadzało częste zmiany wewnętrznéj organizacyi. Jak wiadomo, należał Gdańsk aż do trzeciego rozbioru Polski w r. 1795 do Rzeczypospolitéj; ale dwadzieścia lat od pierwszego aż do trzeciego podziału zniszczyły zupełnie zamożność i jakiebądź znaczenie tego miasta, dzięki przebiegłéj polityce pruskiéj, która takim sposobem wyleczyła dumnych kramarzy gruntownie z słabości republikańskich i przysposobiła ich umysły do chętnego poddania karku pod nowe jarzmo. Od r. 1807—1814 zwał się Gdańsk wolném miastem, powiadam wyraźnie, zwał się tak, bo niém nie był w rzeczywistości, ale raczéj fortecą francuską.

Z Gdańszczan, którzy szerszéj sławy nabyli, zasługują na wspomnienie oprócz już wymienionego astronoma Jana Heweliusza, któremu Jan Sobieski wyznaczył jurgielt roczny 1000 złotych gdańskich, także Daniel Mikołaj Chodowiecki ur. 1726, syn rytownika gdańskiego, zmarły 1801 r. jako dyrektor akademii sztuk pięknych w Berlinie, i uczony fizyk Fahrenheit, wynalazca podług niego nazwanego termometru, zmarły w Nyderlandach.

Na pożegnanie rzućmy raz jeszcze okiem na ogólną zewnętrzną fizyognomią tego miasta. Za kilka lat nie będzie się takowa wiele różniła od wszystkich innych miast większych, ale dzisiaj, gdy niwelizujące zgrzebło kultury w postaci policyi nie starło z niego jeszcze cechy oryginalnéj, należy Gdańsk pod pewnym względem do najpię-

kniejszych miast, które pierwotną, średniowieczną postać najwierniéj przechowały. Trudno mi znaleść odpowiednie porównanie, któreby trafnie i dobitnie oddawało rzeczywistość; ale przypominając sobie, jak poeci zowią pyszne budowle skamieniałemi myślami ich twórców, zdawało mi się, ilem razy spojrzał na te kolosalne wieżyce, bramy, okna i okapy, na te wązkie i wysmukłe domy, aż do samego szczytu wystrojone dziwacznemi ozdobami i ozdóbkami architektonicznemi, na te wejścia i bramki do każdego z nich prowadzące, strzeżone przez kamienne lwy, smoki i inne potwory, lub przez misterne kratki i ciężkie poręcze, zawsze, powiadam, zdawało mi się, że to jakiś czarno-księżnik swe fantastyczne marzenia senne zamienił w kamienną rzeczywistość. Zwłaszcza owe przysionki, tu zwane Beischlaege, nieco niżéj od domów położone, do których się po kilku wschodach wchodzi, odznaczają się nieraz wielkim gustem i kosztownością, bo bywa, że niektóre z nich kosztowały kilka tysięcy talarów, a nietylko że są ozdobą domów, ale także wygodą dla domowników. Tu spędzała familia w owych „dawnych czasach“ swe wieczory, zanim w modę weszły ogrody i „bierstuby“; tu odbywały się drobniejsze interesa i znalazł niejeden miejsce, który nie wiedział, gdzie głowę swą na nocny spoczynek złożyć. Dziś niestety takowe tylko jeszcze na niektórych pobocznych ulicach się zakonserwowały by późniejsi i cudzoziemcy wiedzieli, jak dawniéj całe miasto wyglądało. Na pryncypalnych zaś ulicach zniesiono ową z najpiękniejszych ozdób jako utrudniającą komunikacyę, przez co ulice zyskały wprawdzie na szerokości a publiczność na wygodzie z szero-

kich chodników, ale miasto straciło przez to swą oryginalną fizyonomią.

Twój
Czesław.

XI.

Kochany Przyjacielu!

Tczew — Malbork....

Zatopiony w myślach turystowskich, o małom się nie spóźnił do pociągu, który nas z Gdańska do Tczewa, a ztamtąd do Malborga miał zawieść. Złajany i poszturany przez szafnera, wtłoczyłem się do pierwszego lepszego wagonu i tak zostałem na krótki czas odłączony od moich towarzyszów podróży. Jakby za wynagrodzenie za tę małą awanturę, pierwszą, która mnie w téj podróży wogóle spotkała, uważałem sobie, żem kilka kwadransy aż do Tczewa w bardzo przyjemném dla mnie towarzystwie spędził i to malca siedmioletniego, który, jakom się z rozmowy z nim dowiedział, pod opieką swéj matki odbywał pierwszą podróż wakacyjną do krewnych w bliskości, a zarazem pierwszy wojaż w świat daleki. Szczęśliwy malec, wielkomiejski mieszkaniec, nie mógł się nacieszyć z mnóstwa dla niego nowych i arcyciekawych widoków i przedmiotów, jako drzew i domów, krów i bocianów, a ja miałem przyjemność odpowiadania na zabawne pytania dzieciny. Jego matka, przystojna pani, uśmiechała się z zadowoleniem, ale nie brała udziału w naszéj rozmowie, dla niéj zapewne powszedniéj, a może i nudnéj, bo jéj się nasłucha co dzień do syta, nadto

była pilnie zajęta — pończoszką. W drugim końcu wagonu siedział jakiś jegomość z swą żoną, których byłbym może wcale nie spostrzegł, gdyby tam ten nie był ściągnął na siebie mej uwagi przez remarkę, niekoniecznie potrzebną ani sprytną, ktorą wymówił po polsku, a która dotyczyła mej własnej osoby. Nie widziałem potrzeby ani miałem ochoty, wydać się, że po polsku rozumiem, bo nie chciałem go zmięszać, a nadto rozmowa z lubym żaczkiem była mi milszą. Zresztą zajęli się wnet owi państwo znać przejezdni, ważniejszemi sprawami osobistemi; bo najprzód zaczęli głośno przechodzić rachunek hotelowy, z którego się dowiedziałem, gdzie przez pięć dni w Gdańsku na stancyi stali, co jedli, co pili, ile zapłacili, i że z cen i usługi byli wcale niezadowoleni. Następnie zabrali się do przekąski obiadowéj, bo to było około południa, wydobywając z ogromnéj torby rozmaite ryby, wędliny, owoce i ciastka, przychwalając sobie i zachęcając się do jedzenia z wielką naiwnością; potém pokropili tę część zapasów podróżnych która swemu przeznaczeniu już zadość uczyniła, wódeczką gdańską, a na deser dali sobie głośnego buziaka jakby z bicza trzasnął, tak że się mój malec przelękniony obejrzał, a jego matka wydobywający się uśmiech czémprędzéj w chusteczce od nosa pogrzebała. Nakoniec ukręcił sobie jegomość papieros, a rozpaliwszy podał żonce, która go po kilku haustach oddała mężulkowi; a ponieważ taki papierosik rzecz arcykrucha i nie trwała, więc téż zabawa była króciutka — wnet usłyszeliśmy po drugi raz nadobny łoskot potężnego całusa, niby na „dobra noc,“ a niezadługo smaczne chrapanie mężulka, gdy tym-

czasem skrzętna jéjmość nie lubiąca próżnować, grzebała nadobną rączką w tłustych i słodkich wnętrznościach plecionéj arki podróżnéj. Co się daléj z tą parką stało, nie wiem, bom ich w Tczewie z oczu stracił, gdzie także mojego małego towarzysza i jego matkę pożegnałem. Nie byłem téż zresztą ciekawy śledzić dalszych ich losów, zapewne podobnych do opisanego epizodziku z ich pielgrzymki ziemskiéj, składającéj się przeważnie z jedzenia, picia, kręcenia i dymienia tytoniu, chrapania i gadania o tych ciężkich i ważnych zadaniach życia ludzkiego. A już tak może zabawiłem Cię za długo opisem téj sceny, któréj związku z moją podróżą nie pojmujesz. Zapewne byłaby téż uszła mojéj uwagi i Ty się o niéj nie dowiedział, nie byłbym téż zaprawdę o niéj wspomniał, gdyby owa para nie mająca zresztą nic oryginalnego, nie byli Polakami, którzy zazwyczaj słyną i rzeczywiście odznaczają się delikatnością uczucia i dobrém wychowaniem w obec drugich, zwłaszcza obcych. Ich opuszczenie się publicznie, ich rubaszne, a biorąc rzecz ściśle, nieprzyzwoite zachowanie się raziło tém więcéj w obec pilnéj i spokojnéj pani niemieckiéj, i bolało mnie rzeczywiście w przekonaniu, że z nich i z ich postępowania mogą i będą inni, zwłaszcza Niemcy, wysnuwali dla Polaków wogóle krytykę i wnioski niekorzystne i niepochlebne. Dla tego żałowałem następnie, żem ich nie zajął rozmową, przez co byłbym zapobiegł ich rozgospodarowaniu się w wagonie, i dla naprawy tego opuszczenia podałem tu ową scenę ad usum, quorum et quoad interest.

Podróż koleją żelazną odbywana nie daje

sposobności do szczegółowego oglądania okolicy, przez którą się przejeżdża, zwłaszcza jeżeli to równina gładka jak stół, — a to rozumie się także o téj, którąśmy z Gdańska aż do Tczewa przebyli. Tczew za polskich czasów miasto powiatowe, jest punktem centralnym kilku dróg żelaznych, i z téj przyczyny bardzo ożywione. Dwie godziny zbywające nam aż do odejścia naszego pociągu, którymśmy dalej jechać zamierzali, poświęciliśmy na obejrzenie kościoła katolickiego św. Krzyża czyli św. Mikołaja, bardzo poważnéj budowli z czasów przedkrzyżackich, bo wzniesionéj już w r. 1226, o któréj Ci jednak nic więcéj powiedzieć nie mogę, jak że to kościół wielki i piękny.

Następnie obejrzeliśmy sławny most żelazny na Wiśle, który nie bez słuszności mógł uchodzić za cudo choć nie świata, to sztuki budowniczéj, zanim w nowszych czasach podobne budowle stały się powszechniejszemi. Praca około niego trwała przez dziesięć lat, a przysposobienia i przyrządy w tym celu podejmowane, zasługują już same przez się na podziwienie. Pokład mostu spoczywa na siedmiu olbrzymich filarach, nad któremi przez pięć lat pracowano. Na nich opiera się właściwy most i to w taki sposób, że z sześciu otworów znajdujących się pomiędzy filarami, są zawsze po dwa połączone ogromnym łukiem z krat żelaznych, których jest przeto trzy w całości; a że odległość jednego filaru od drugiego wynosi 415 stóp, zatém jest każdy łuk dwa razy tak długi czyli 830 stóp. Wysokość zaś pobocznych krat żelaznych, połączonych u góry żelaznym dachem, podobnych do ścian żelaznych, wynosi 37 stóp. Szerokość

pokładu nieznaczna, bo wynosząca tylko 21 stóp, jest zajęta przez podwójne relse kolei żelaznéj i drogę dla powozów; poza kratami zaś znajdują się chodniki z niższą poręczą na zewnątrz dla pieszych. Dla dostawiania potrzebnego materyału żelaznego nabył rząd pruski umyślnie poblizką fabrykę, którą jeszcze znacznie rozszerzył; ciężar użytego do kratek i pokładu żelaza wynosi 14 milionów funtów.

Każdy z siedmiu filarów zdobią dwie wieżyczki, z których dwie, wznoszące się na filarach zewnętrznych t. j. opartych o brzegi koryta rzeki albo raczéj ogromnego rozdołu, łożyska Wisły, są połączone łukami murowanemi w stylu gotyckim; wieżyczki te, wyższe o 40 stóp aniżeli żelazne kraty, służą jedynie ku ozdobie mostu. Szczyt jednéj arkady przedstawia w płaskorzeźbie oddanie mostu na użytek publiczny przez panującego wtenczas króla pruskiego Fryderyka Wilhelma IV, na drugiéj widać scenę z historyi Krzyżaków, a mianowicie Winryka Knyprode, którego rządy uważają za złotą epokę rządów Kawalerów Teutońskich na ziemi pruskiéj.

Wkrótce przepędziliśmy błyskawicą przez tenże most, a niezadługo przez drugi jemu podobny, ale nie tak kolosalny, zarzucony przez córkę i rywalkę Wisły, przez Nogat pod Malborgiem. Malborg — nie obojętne to dla ucha i serca polskiego słowo! Z Malborgiem przecie wiąże się pasmo długie walk krwawych, a pełnych sławy dla naszego orężа, z nim smutne i upokarzające wspomnienie hołdu złożonego przez stany pruskie w roku 1772, i demonstracya — w setną rocznicę poprzednio wspomnianego aktu. A komuż na-

koniec nie przywodzi Malborg na pamięć jednego z najpiękniejszych utworów księcia naszych wieszczów, który to miejsce przyodział nam nowym urokiem poezyi? To też dla serca mego zdawała się szybka jazda parowym wozem powolną, niecierpliwe oko wyprzedzało przestrzeń dzielącą nas od celu podróży, a gdy się nareszcie o ucho odbił szalony łoskot toczącego się przez żelazny most pociągu, zdawało mi się na chwilę, jakby:

Z Marienburskiéj wieży zadzwoniono,
Działa zagrzmiały, w bębny uderzono.

Wytchnąwszy chwilkę w hotelu pod „Wielkim Mistrzem,“ położonym naprzeciw zamku, zabraliśmy się niezwłocznie do obejrzenia miejscowości, i to, aby najprzód pochwycić ogólny widok tego kolosalnego gmachu i odczuć wielkie wrażenie, jakie takowy zawsze wywiera na każdego przychodnia. Najlepiéj prezentuje się zamek od strony gdańskiéj, z tamy po lewym brzegu Nogatu. Z wspaniałą powagą ciągną się olbrzymie mury w kierunku od północy ku południowi wzdłuż rzeki, począwszy od wysmukłéj okrągłéj wieży tn. Buttermilchthurm, coraz wyżéj aż do właściwego zamku, położonego na niewielkim pagórku, Ober-Schloss, z którego wystrzela wysoko ku obłokom zgrabna wieża, zdobiąca kościół poświęcony patronce téj twierdzy i jéj założycieli, Najśw. Maryi Pannie. Liczne przemiany, jakim te gmachy w ciągu wieków podlegały, zniszczenia spowodowane wrogim wpływem czasu i wroższego dotknięcia ręki ludzkiéj, a zwłaszcza barbarzyńskie przylepki nowoczesne i anachronizmy w stylu, szpecą je wprawdzie i psują ogólny widok, ale pomimo to przyznać trzeba, że, zważywszy plan i

ogrom budowli, zamek malborski może się mierzyć z wszystkiemi budowlami wieków średnich i nowszych, co do śmiałości, wielkości myśli w nim przeprowadzonéj i piękności architektonicznéj.

Powstrzymuję się od wynurzania na tém miejscu moich własnych uwag i uczuć, a podaję Ci nasamprzód krótki opis téj wspaniałéj budowli. Już za czasów książąt pomorskich stała w tém, dla obrony kraju ważném i dogodném miejscu mocna twierdza Santyr, którą W. Mistrz Hartmann Heldrungen zburzył, a założywszy na jéj miejscu miasto i nową twierdzę, przezwał je na cześć patronki Zakonu Marienburgiem (1274). Z czasem powstały tu trzy forteczki, burgi czyli domy, jeden obok drugiego; najstarszym był dom zwany wyższy Ober-Schloss, a najbliżéj ku miastu posunięty. Obok niego po stronie południowéj wystawił sobie drugą rezydencyą Zygfryd Feuchtwangen (1309) a tak zwana przednia twierdza, niby fort wysunięty, Vorburg, została w większéj odległości założoną. Prawie do połowy chowa się najznaczniejsza z wszystkich części, to jest środkowa, pod ziemią, tak że się cała wierzchnia, widzialna część na kolosalnych filarach i sklepieniach opiera; dla téj przyczyny są téż charakter i wrażenie licznych komnat wierzchnich i dolnych wcale różne, bo o ile tamte zachwycają lekkością i ujmują elegancyą, oblitością światła i cudnéj ornamentyki, o tyle te ciężkością masy i ponurą posępnością wywołują chłodne i niewesołe usposobienie.

Jeszcze w innéj mierze zmienia się charakter budowli z dołu ku wyższym częściom. Albowiem nietylko materyał w suterenach i dolném piętrze

jest podlejszy, mianowicie granit jest grubszego ziarna, aniżeli u góry, ale także robota jest prostsza i grubsza a więcéj obliczona na trwałość i pewność, niż na zadowolenie oka i gustu. Tak np. są wszystkie słupy wsuterenach nizkie, czterograniaste i bez kapiteli, wyżéj są ośmiokątne, wysmukłe i gustownemi kapitelami ozdobione. Wszystkie ściany i sklepienia są bez wyjątku z cegły palonéj, tak twardéj jak kamień, i zespolonéj wapnem, jeszcze twardszém od saméj cegły. Brak innego materyału budowlanego, zwłaszcza głazów, w tych stronach, zmusił rycerzy użyć tego materyału, który powszechnie jako wielce niewdzięczny i oporny uważany pod względem piękna architektonicznego. Ten niedostatek przebija się bardzo jawnie w ogólnéj postaci kolosalnego gmachu, pozbawionego zgoła owych kształtnych wieżyczek, wystawek, framug, stromych szczytów i tysiąca innych drobiazgów, które właściwe budowlom gotyckim, nadają im tak fantastyczną i ożywioną postać. Łatwo jednak ztąd zrozumieć można przysłowie dawnych czasów: ex luto Marienburg, Offen ex saxo, ex marmore Mediolanum, to jest; z błota Malborg, Offen ze skały, z marmuru Medyolan.

Z dziedzińca wchodzi się po głównych wschodach na tak zwany krużganek w ściślejszém znaczeniu (Gang) czyli sień, zadziwiającą pięknością sklepienia. W ścianie zewnętrznéj widać studnią umieszczoną, z granitowych głazów, „Meisters runder Born,“ która wszystkie cztery piętra zaopatrywała w potrzebną wodę, w ostatniém piętrze zaś kończy się w ogromną kadź kamienną, zwaną „des Meisters Handfass.“ — Minąwszy sutereny,

w których oprócz już wspomnianych filarów ogromnych i sklepień niema nic do oglądania, a które za magazyny i pomieszkania dla czeladzi służyły, i nie zatrzymując się także w komnatach pierwszego piętra, nie zawierających również nic szczególnego, przechodzimy z wspomnianéj sieni na drugie piętro, w którém się najpyszniejsze komnaty mieszczą. Kurytarz na tém piętrze równie zachwyca pięknością sklepienia, które na jednym filarze granitowym spoczywa. Przodkową ścianę zajmuje prawie całkiem jedyne okno, z obrazami szklannemi Henryka Plauen i kuchmistrza Sternberga; drugie ściany zajęte są wizerunkami naturalnéj wielkości różnych Mistrzów i ozdobione starą bronią, pancerzami i szyszakami. Naprzeciw schodów stoi jakby na warcie zbrojny rycerz wykuty z kamienia. Przecudnéj piękności sklepienia na pobocznym kurytarzu (Obergang), oświetlonego pięciu z szkła malowanemi oknami, zapowiadają mieszkanie książęce W. Mistrza. Tu oto spotykamy się ze wspomnianą już kadzią, Meisters Handfass. — Zaraz podle niéj wchodzi się, jak niemieccy pisarze w swoim przesadnym entuzyazmie się wyrażają, do „świętego świętych“, to jest do wielkiéj sali Mistrza, „Meisters grosser Remter.“ Ta sala to rzeczywiście perłą całego ogromu zamkowego, jedyna może w swoim rodzaju. W niéj przyjmował W. Mistrz posłów obcych monarchów i spędzał dni świąteczne w towarzystwie swoich dygnitarzy. Przecudne sklepienie, rozstrzelające się w gladkie, lekkie łuki, niknące nawet bez cienia oparcia w ścianach, podpiera jedyny ośmiokątny filar granitowy. Na szczególną uwagę zasługują okna téj sali, które gęstym sze-

regiem, jedno obok drugiego, otwierają obszerny widok na trzy różne strony okolicy. Właściwie składają się okna idące w około z trzech rzędów okien, położonych jedne nad drugiemi; dla zbiegających się u góry łuków jest najwyższy rząd nieco węższy, aniżeli dwa dolne; wszystkie jednak ozdoby okien, futra, głowy i żebra nawet pomiędzy szybkami są z kamienia wykute. Skarpy czyli zewnętrzne filary, ściskające i podpierające wysokie mury, ponieważ cały zamek, jak już powiedziano, jest zbudowany z samej cegły, są pomiędzy oknami poprzecinane, aby nie odejmowały światła i widoku; w owych miejscach są wspomniane skarpy zastąpione dwiema wysmukłemi, ośmiokątnemi słupkami granitowemi, połączonemi u góry podobnemi arkadami, na których się ceglane skarpy daléj do góry wspinają. Ten koniecznie potrzebny i pożyteczny pomysł przyczynia się zarazem do urozmaicenia i upiększenia zewnętrznego wejrzenia wysokich murów. Posadzka w sali jest wykładana glazowaną cegłą. W ostatniéj ścianie znajduje się ogromna kula kamienna — polska z roku 1410. Podczas oblężenia albowiem zamku malborskiego w owym roku przez Jagiełłę, udało się Polakom przekupić jednego ze służby zakonnéj, który im przez pokrycie głowy czerwoną czapką miał dać znak, skoroby się W. Mistrz Plauen z swoimi wojskowymi zabrał na radę do Wielkiéj sali. Ledwie się umówiony znak ukazał, wleciała niespodzianie wspomniana kula oknem do sali, ale chybiła średniego filaru zaledwie o parę cali, bo inaczéj byłaby przez jego wywrócenie, jak zamierzano, W. Mistrza wraz z całém zgromadzeniem pogrzebała w gruzach walącego się

sklepienia. Później wmurowano ją w miejscu, gdzie się dotychczas znajduje, a pod nią umieszczono następujący napis:

Als man zelet MCCCCX Jar,
Das sage ich jederman vor war,
Der Stein geschossen wurd in die Want,
Der soll es bleiben zum ewigen Pfant.

Framugi pomiędzy oknami dwóch ścian, a jest ich dziesięć, zdobią świeże freski, przedstawiające najcelniejszych Mistrzów Zakonu Teutońskiego; tak te freski jak i malowane okna zostały wykonane na rozkaz i koszt króla pruskiego. Z innych ozdób ściąga jeszcze na siebie uwagę kominek cały z kamienia kuty i bufet w ścianie, przez który podawano potrawy i napoje na stół W. Mistrza.

Zaraz obok wielkiej sali leży mniejsza, „des Meisters kleiner Remter," nader wesoły i przyjemny salon, który jako zwyczajna jadalnia W. Mistrzowi służył. I jego sklepienie spoczywa na jednym filarze, w około ścian zaś ciągną się kamienne ławy. W posadzce znajdują się otwory, przez które wpuszczano ciepłe powietrze z dolnych komnat na ogrzanie sali. Przestrzenie pomiędzy łukami sklepienia są zapełnione portretami Mistrzów na koniu i przybranych w białe płaszcze. — Z tą salą stykają się o ścianę dwie mieszkalne komnaty W. Mistrza, „Meisters Stube i Gemach," robiące bardzo miłe wrażenie. Ściany pierwszéj są zielono malowane, sklepienie białe a posadzka wykładana białemi i czerwonemi flizami. Druga ma sklepienie oparte na trzech wysmukłych filarach granitowych, a pięć szerokich okien malowanych otwiera widok na obszerny dziedzi-

niec zamku, tak że W. Mistrz mógł każdéj chwili, nie opuszczając swego pokoju, widzieć, co się w każdym kącie dziedzińca działo. — Przeszedłszy wspomnianą sień i mały przysionek, w którym W. Mistrz Werner von Orseln przez jednego z braci zakonnych zamordowanym został, wchodzi się niskiemi drzwiami do kaplicy prywatnéj Mistrza. Jestto mile przemawiająca do serca i do nabożeństwa skłaniająca skromna kapliczka o dwóch malowanych oknach, przedstawiających św. Jana Chrzciciela i Ewangielistę. Oprócz ołtarza przechował się jeszcze ogromny, pięknie rznięty klęcznik, przeznaczony dla W. Mistrza. Tu odprawiał on swoje nabożeństwo prywatne i słuchał mszy św., udając się do kaplicy przez poboczne drzwi, prowadzące wprost z jego komnaty sypialnéj. W téj widać dotąd zwyczajne sprzęty W. Mistrza, ogromny stół dębowy, łóżko, i kilka krzeseł starożytnych, w ścianach zaś szafy i police na schowanie odzieży, bielizny i pancerza; rzeczywiście zdaje się, jakby W. Mistrz dopiero co wyszedł i miał za chwilę powrócić! Z pobocznéj komory, w któréj się także rozmaite skrzynie i szafy znajdują, a która, jak się domyślają, służyła za pomieszkanie dla sługi Mistrza, prowadzą długie schody kamienne do sali konwenckiéj, Konventremter, które wyłącznie do użytku W. Mistrza służyć musiały, gdyż są jedynie z jego pomieszkaniem połączone. Jestto zdumiewającéj wspaniałości i nie dającéj się opisać struktury gmach, 110 stóp długi, opierający się na trzech przecudnych filarach granitowych, z których się śliczne sklepienie rozrasta jakby z trzech pniów korona drzew olbrzymich. Gzymsy filarów są pokryte płasko-

rzeźbami, odpowiedniemi do przeznaczenia téj sali jako jadalnéj dla całego konwentu: jedna z nich przedstawia bawiących się wesołemi pląsami, druga biesiadę pijacką, trzecia w humorystyczny sposób grzech pierwszych rodziców i karę zań. Okna w téj sali są także z szkła malowanego, na które się składały miasta pruskie.

Oto są znaczniejsze lokale zamku i to te, które począwszy od r. 1816 za inicyatywą prezesa naczelnego Schoena odrestaurowane zostały. Reszta i to większa część gmachów zadziwia chyba ogromnością murów, jak mianowicie już kilkakrotnie wspomniane sklepy i sutereny, w których pomiędzy innemi zadziwia zresztą dość prosty przyrząd do ogrzewania górnych pokojów za pomocą rozpalonych głazów i powietrza przeprowadzanego rurami glinianemi na odpowiednie miejsca.

Przy dawnym stanie rzeczy t. j. za rządów krzyżackich, był wielki dziedziniec zamkowy, także z drugiéj strony w podobne wspaniałe budowle opatrzony, które dziś wcale niepokaźnie się przedstawiają. — Teraz jeszcze kilka słów o górnym zamku, Ober-Schloss, który się obok opisanego średniego utrzymał, gdy tymczasem przedni zamek, Vorburg, który nad samym brzegiem Nogatu leżał, tam gdzie dziś kolej żelazna przez rzekę przechodzi, rozebrano już za polskich czasów, tak że po nim ani ślad nie pozostał. Zresztą nie mógł się takowy podobno pod żadnym względem mierzyć z drugiemi dwoma zamkami, będąc po części obronną fortecą, po części zaś służąc za pomieszczenie dla czeladzi; obejmował także stajnie, obory i rozmaite officyny. — Przez wysoką bramę więc wchodzi się na mniejszy dziedziniec

górnego zamku, którego środek zajmuje głęboka studnia. Po prawéj ręce masz salę kapitulną, która wedle dawnych opisów miała być najpiękniejszą z wszystkich gmachów. Z wyjątkiem sklepień podziemnych, zawaliły się w téj części wszystkie inne, w skutek pożaru powstałego z ognia działowego podczas uroczystości Bożego Ciała w roku 1644, tak że tylko gołe mury pozostały. Zapadłe sklepienia zastąpiono prostemi pokładami z belek, pyszne okna ostrołukowate pozamieniano w ciasne luki czworograniaste, odpowiednio do nowszego przeznaczenia tych obszernych lokali, które od zaboru przez Prusaków służą za śpichlerze, dawniéj za magazyny soli.

Z tąż częścią styka się kościół N. P. Maryi, którzy się wysokością murów i okien przed drugiemi zabudowaniami odznacza. Jednym z najcenniejszych zabytków sztuki i starożytności jest tu. Złota Brama, czyli wejście do téj świątyni; nazwano ją zaś tak, jak się zdaje, nie tyle dla bogatéj pozłoty, która ją niegdyś pokrywała, ile raczéj dla misternéj i cennéj sztuki wykonania. Brama ta bowiem przedstawia ostrokąt przełamujący grubą ścianę, a zwężający się ku wejściu, cały wykonany z cienkiéj terrakoty, a okryty najbogatszą ornamentyką z kwiatów, liści i fantastycznych floresów. W tym samym guście, co właściwa brama, wykonana cała facyata, przyozdobiona w płaskorzeźby, słupki, framugi, arkady, tak że nawet oko laika, jak moje, odczuwa w tym widoku jedno z najrzadszych dzieł sztuki budowniczéj. Kościółek nie wielki o jednéj tylko nawie, bywa do dziś dnia przez gminę katolicką używany, lubo nie jest parafialnym. W obec py-

sznych gmachów otaczających ze wszystkich stron kościołek, i wobec ogromnych kosztów restauracyi, jakich nie żałowano na nie, markotno się robi, patrząc na opuszczenie i ubóstwo tego domu bożego.*) Bo wyjąwszy piękne i śmiałe sklepienia, gustowne okna i ornamentyki, co wszystko z gliny palonéj lub kamienia, a nawet z mozaiki wykonane, nie zawiera kościołek nic osobliwego. Jedynie obraz Najśw. Panny, patronki tego zamku, w wielkim ołtarzu uchodzi za arcydzieło pędzla, ale niewiadomego mistrza. Pod chórem, który dopiero późniéj przybudowano, znajdują się katakumby, w których chowano W. Mistrzów i Braci zakonnych; ale téj części dali się najwięcéj we znaki Francuzi, podczas okupacyi miasta, którzy się tu ukrytych skarbów spodziewali i dla ich odkrycia wszystko przekopali. — Tu więc złożono zwłoki śmiertelne dziesięciu W. Mistrzów i Rycerzy bez liku na wieczny spoczynek, ale ich popioły rozsypane przez obojętność i znieważone przez namiętność ludzką, rozniósł wiatr po całym świecie! Smutny zaprawdę widok tych pustek a zarazem pouczający o znikomości dzieł i zmienności zamysłów człowieka: przekonani doświadczeniem czerpanem z dziejów świata i z swoich własnych, nie wierzyli zapewne ci olbrzymi zakonni w trwałość swéj potęgi i jéj figurę, ten zamek obronny; ale spodziewali się przynajmniéj, że ciała ich znajdą spokój i uszanowanie w tych grobach, które sobie zbudowali; — a jakże się zawiedli! O zaprawdę, jak kmiotek

*) W ostatnich latach rozpoczęto także restauracyą téj świątyni.

szczęśliwszy i bezpieczniejszy za życia, aniżeli ludzie wielkiego świata, tak też spokojniej spoczywa na cmentarzu wiejskim pod cienistą lipą i drewnianym krzyżykiem bez napisu, aniżeli książę w pysznéj katakumbie, pod cieniem baszt i murów, pod nagrobkiem z szumnemi pochwałami i tytułami zmarłego.

Na wspomnienie zasługuje nakoniec kolosalna figura Matki Boskiéj w północnéj ścianie kościoła umieszczona, lubo swą sławę winna więcéj niezwykłym miarom i ogromowi, aniżeli sztuce lub innym przymiotom; chociaż bardzo sztucznie i kosztownie wykonana jako mozaika, sadzona z samych kolorowych kamyczków. Przedewszystkiém ujmuje jéj wielce wązkość i szczupłość framugi, w jakiéj stoi, i zbytnia blizkość dla oka wobec ogromności, chociaż bynajmniéj ani dosyć blizko ani nizko nie stoi, by się tak kolosalnych rozmiarów domyślać można; wysokość Matki Boskiéj bowiem wynosi 25 stóp, a Dzieciątka Jezus, które trzyma na ręku, 8 stóp! Bądź co bądź zawsze to charakterystyczna, że Rycerze Teutońscy, lubiący we wszystkiém niezwykłe miary i kolosalność aż do przesady, nie odstąpili nawet w wykonaniu tego godła swego od swoich zapatrywań, tak że w okolicy Malborga weszło u mieszkańców w przysłowie: „Czy nie widzisz zamku malborskiego?“ co znaczy, czy nie widzisz rzeczy uderzających przez swoją wielkość?

O zewnętrznych losach zamku miałem już sposobność potrącić. Kto właściwie pierwotny plan ułożył i kto go wykonał, nie wiadomo zgoła; ztąd można z pewnością przypuścić, że albo wcale nie istniał jako całość, albo też, że pierwszym

architektem był jeden z braci zakonnych, który pracując w pokorze dla Boga i swego zakonu, nie szukał sławy przed światem i dla tego swe imię zataił. Z różnorodności stylu widać jednak, że się różni ludzie w różnych czasach do postawienia całości przykładali, stósując się wedle sił i okoliczności do potrzeby i do tego, co już zastali. Oblegany pierwszy raz przez Polaków w r. 1410, zamek przeszedł w ich stałe posiadanie dopiero po drugim pokoju toruńskim w r. 1466 i pozostał w ich ręku aż do 1772 służąc za mieszkanie dla wojewody i starosty malborskiego, mieszcząc także małą załogę. Przez owe trzysta lat nie doznał ten dom, wyjąwszy nieszczęśliwy wypadek pożaru i rozebranie zbyt odległego fortu Vorburg, prawie żadnéj zmiany i żadnego znaczniejszego uszkodzenia, pozostał owszém prawie nietknięty w pierwotnym stanie i porządku.

To téż wszyscy pisarze niemieccy bez wyjątku, jakkolwiek pełni uprzedzenia do imienia polskiego, nie mogą nie oddać słusznéj i zaszczytnéj sprawiedliwości Polakom w téj mierze i z widocznym wyrazem goryczy i wewnętrznego niezadowolenia wspominają, że „wrogowie Zakonu“ przez trzy wieki nie wyrządzili téj budowli takiéj krzywdy i szkody, ile utylitarna polityka Fryderyka II w kilku leciech. Ale bo téż prawie nie do uwierzenia, jak się ten monarcha z tym domem obchodził i jak jego urzędnicy rozkazy swego pana skwapliwie wykonywali. Tak n. p. została sala konwencka, w któréj jeszcze 1772 r. składały stany trzech województw zabranych hołd nowemu panu, wkrótce zamieniona na miejsce musztry a później na ujeżdżalnią! W sali W. Mistrza

założono warsztaty tkackie i fabrykę wyrobów bawełnianych i sukiennych, który to rodzaj przemysłu, jak wiadomo, „wielki król“ bardzo protegował, aby się niezależnym uczynić od fabrykantów angielskich, a oprócz tego zarzucić wyrobami własnego kraju ziemie polskie i tak zbogacać się pieniędzmi polskiemi; kuchnia konwencka zamieniła się na stajnią, inne gmachy obrócono na magazyny, szkołę, więzienia i szpital, a nadto wpakowano jeszcze cały pułk wojska. Ale nie na tém koniec! By jaknajściślej wyzyskać obszerne gmachy, położono przez środek sali konwentualnéj pokład z belek i podłogę i takim sposobem podzielono ją na dwie części, dolną i górną; w tamtéj, jak powiedziano, ujeżdżali dragoni swe szkapy, a w górnéj odbywały się przedstawienia teatralne i uroczyste akty publiczne! Zaprawdę że można się od tego monarchy nauczyć oszczędności i praktyczności! Pomimo to, że pyszna siedziba ongi dumnych książąt zakonnych wysługiwała się jak najpodlejsza niewolnica swoim nowym nabywcom, a bynajmniéj nie wrogom Zakonu Teutońskiego, ale spadkobiercom po duchu, a chociaż im przynajmniéj nie przynosiła żadnéj szkody, nie zawadzała w niczém i nic nie kosztowała, jednak wydał pruski minister von Schretter 1804 rozkaz — incredibile dictu! — zupełnego rozebrania zamku malborskiego! Tylko nieszczęśliwe wypadki lat następnych dla monarchii pruskiéj zapobiegły wykonaniu wandalskiego rozkazu, inaczéj byłoby już po zamku malborskim.

Tymczasem doczekał on się lepszych czasów i pomyślniejszego losu, na jaki sobie w każdéj mierze zasłużył. Odrodzenie ducha patryotycznego

w Niemczech, a szczególnie w Prusiech, po doznanych klęskach na początku bieżącego wieku, dało pierwszy pochop i zrodziło myśl odnowienia tego pomnika blasku i potęgi Kawalerów Teutońskich, alias ducha niemieckiego. Już 1806 roku zachęcał niemiecki poeta Max Schenkendorf do wykonania tego pomysłu, ale dopiero za staraniem wspomnianego prezesa naczelnego Schöna, wzięto się 1817 r. do dzieła, które w późniejszym królu, a wówczas królewiczu pruskim Fryderyku Wilhelmie, w mężu popierającym gorąco wszystko, co wielkie i szlachetne, znalazło gorliwego protektora. Cały dom i dwór królewski, cała prowincya i monarchia pruska, ba nawet całe Niemcy ubiegały się formalnie o przyczynienie się do tak patryotycznego dzieła, za jakie uważano odnowienie zamku malborskiego. Dzięki temu zapałowi i ogólnéj ofiarności narodu niemieckiego, podniósł się strasznie sponiewierany i do ostatniéj ruiny przyprowadzony gmach w upływie kilku lat z gruzów i wrócił do dawnéj niemal świetności, przynajmniéj w téj małéj cząstce zmienił się na tak cudny zabytek starożytności, jak go dziś widzimy. Atoli szkoda tylko, że się nie umiano, albo raczéj nie chciano uchować od rażących anachronizmów, łącząc w niewłaściwy sposób teraźniejszość z przeszłością. To rozumie się mianowicie o niektórych ozdobach, napisach, herbach i datach licznie przytaczanych, a szczególnie w scenach i osobach, które sobie za przedmiot malowideł i okien malowanych obrano, czerpiąc bez namysłu i bez granic z fantazyi zamąconéj uprzedzeniem lub wygórowanym patryotyzmem. Tak n. p. umieszczono w jednem oknie wielkiéj sali pruskiego „landwermanna“ obok

W. Mistrzów, co prawdziwie rozśmiesza; zaś w salonie Mistrza przedstawiono zmyśloną scenę, jak ostatni Mistrz Wielki, nieszczęsnéj pamięci Albrecht, margraf brandeburski, broni Marcina Lutra na sejmie niemieckim we Worms; a takich niewłaściwości, niekiedy możnaby wprost rzec niedorzeczności, znajduje się jeszcze więcéj. Na wytłómaczenie, chociaż nie na usprawiedliwienie, służy jedynie, że to zrobiono z namysłem, pragnąc w taki sposób niby zespolić na nowo końce przerwanéj nici historycznéj, nawięzując sztucznie sprawy nowsze do owych starych, przedzielone przez trzy wieki i w duchu i w zasadzie sobie wręcz przeciwne, aby dzieło to martwe ożywić i popularném uczynić. Ale czy się udało? Ci, których to najwięcéj obchodzi, czują i przyznają sami, że w téj mierze chybił zamiar, że popełniono błąd wielki i starają się ile możności uniewinnić niezręczny pomysł, nie mogąc go już naprawić.

Zaraz naprzeciw zamku znajduje się nieforemny pomniczek, postawiony przed kilku laty pamięci dawniejszego burmistrza miasta Malborga, Bartłomieja Blume, o którego sprawie już potrąciłem przy opisie kościoła Panny Maryi w Gdańsku. Było to podczas drugiéj wojny z Krzyżakami, kiedy się Malborg poddał Kazimierzowi, który 8 czerwca 1457 odprawił uroczysty wjazd do miasta. Atoli przez zdradę mieszczan, gorliwych stronników Zakonu, na których czele stanął sam burmistrz Bartłomiej Blume, pozostawiony przez króla w urzędzie po złożeniu uroczystéj przysięgi wierności, otwarły się już w nocy 29 września tego samego roku bramy miasta dla oddziału krzyżackiego, sprowadzonego przez samegoż Bluma ze

Sztumu. Bez litości wycięli Krzyżacy polską załogę do nogi, wynoszącą kilka set głów, poczém obsadzili miasto, a po kilkomiesięczném oblężeniu zamku zmusili komendanta, Ulryka Czerwonkę, do poddania się. Gdy w trzy lata później (1460) Malborg przez Polaków powtórnie odebrany został, oddano zdrajców pod sąd wojenny, któremu przewodniczył ów Czerwonka; burmistrz Blume i dwóch synów, jako najwinniejsi, przypłacili swą zdradę gardłem; trupy zostały rozćwiartowane, co wprawdzie było zbytecznem barbarzyństwem, a jak się zdaje wynikiem osobistéj zemsty Czerwonki, człowieka ambitnego i gwałtownego. Narobiono z powodu téj egzekucyi wiele hałasu, Polacy okrzyczani za barbarzyńców, a straceni uważani przez Niemców jako męczennicy. Ale szkoda obfitego szafunku, niby to tém świętém oburzeniem, a jeszcze liczniejszemi obelgami, — tak że pomniczek wcale nie w swojém miejscu. Bo rzecz prosta i jasna: choćby Malborg nie należał do związku miast pruskich, które się pod protekcyą króla polskiego uciekły, dostał się przecież podczas wojny prawnie w posiadanie polskie, a burmistrz pozostał na swéj posadzie jedynie w słusznem przypuszczeniu, że dochowa wierności, którą uroczyście zaprzysiągł nowemu panu. Jeżeli mu zaś było niepodobieństwem służyć Polakowi i z rezygnacyą poddać się losowi wojennemu, trzeba było ustąpić z urzędu, by uzyskać wolność działania, a nie jako urzędnikowi mięszać się w sprawy wojenne i polityczne, a nawet stanąć na czele brzydkiego spisku i dopuścić się podłéj zdrady, która kilka set ludzi polskich przyprawiła o życie. Dostało mu się przeto, na co zasłużył, bo swe przywiązanie do Krzy-

żaków i patryotyzm swój skalał, ale taki już porządek rzeczy był i będzie zawsze: jedna strona wynagradza zdrajcę złotym łańcuchem, a druga stryczkiem.

Miasto Malborg, dawniéj wojewódzkie, dziś powiatowe, ma także coś charakterystycznego w swéj głównéj ulicy czyli rynku, która się wprost od zamku aż do przeciwległéj bramy miejskiéj ciągnie. Domy albowiem po obu stronach ulicy wprawdzie w nowym stylu, tj. bez stylu stawiane, mają każdy bez wyjątku — bo magistrat inaczéj budować nie pozwala — dwanaście stóp długą wystawkę na piętrze, opartą z przodka ku ulicy na słupach, tak że przez całą ulicę można przejść suchą nogą pod owemi wystawkami, zwanemi Vorlauben raczéj w dyalekcie tutejszym Vorlöfe. Tu panuje bez ustanku znaczny na tak małe miasto ruch handlowy, bo ciemne części dolne domów pod wystawami służą powszechnie na sklepy i składy, tak że się tu wszystko w nich koncentruje. Podczas oblężenia 1410 roku kazał W. Mistrz, Henryk Plauen, całe miasto spalić, tylko kościół katolicki św. Jana i ratusz uszły ogólnemu zniszczeniu. Tamten jestto wspaniała świątynia o trzech nawach, ale bez wspomnienia godnych zabytków bądź sztuki, bądź starożytności, z wyjątkiem niektórych pięknie rzniętych figur i składanego ołtarza o niezwykłych rozmiarach i starożytną malaturą. Wielki ołtarz i kilka pobocznych zostało niedawno z wielkim kosztem w czystym stylu gotyckim odnowionych, ale rażącą świeżością odbijają zanadto od reszty wnętrza, wyglądającego nieco opuszczonem. Ratusz zasługuje dla swego wieku na uwagę, zresztą nie zawiera nic widzenia lub wspomnienia godnego.

Ludność nie tylko miasta, ale całego powiatu malborskiego, sprowadzona w znacznéj części przez Krzyżaków, jest przeważnie niemiecka, a żywioł polski, który się podczas rządów polskich wcale nie tak rozwinął, jakby przypuszczać i życzyć wypadało, jest dziś prawie zupełnie pozbawiony poczucia narodowego. Proces wynarodowiania idzie wolno, ale stale.

Dla braku czasu nie mogliśmy podjąć dalekich wycieczek w okolicę Malborga, która zresztą nie ma nic widzenia godnego: wszędzie równina gładka, poprzerzynana wszerz i wzdłuż nudnemi alejami wierzb rozczochranych; wioski zamożne, lud ociężały i ospały. Przejechaliśmy się przecież do Montów po tamach nadnogackich aż do Mątowskiego Przylądku (Montauer Spitze), gdzie się Wisła rozdziela na dwa ramiona, z których jedno połączono kanałem pod wioską Piekłem z Nogatem i takim sposobem skazano je na wyschnięcie, sprowadzając jego wodę do Nogatu, tak że matka Wisła własną wodą zasila swą córę Nogat. Obie rzeki sprawiają nader wspaniały widok; są to prawdziwie olbrzymy co do wielkości i co do siły, z jaką swe nurty toczą i nie trudno pojąć, jak ciężka z niemi i niepewna walka dla przemysłu i siły ludzkiéj. Mątwy są jedną z najstarszych osad nizińskich, bo istniały już przed przybyciem Krzyżaków do ziemi pruskiéj, leżą jednak z jakie dwie mile od przylądku od nich nazwanego. Wedle jednych pochodzi to ztąd, że Wisła naniosła z czasem w te strony tyle ziemi, zkąd ta odległość urosła (co mi się nie bardzo prawdopodobném wydaje), wedle drugich przenieśli się mieszkańcy Mątew w bezpieczniejsze miejsce, więcéj odległe

od owego przylądka. Pomimo to i pomimo olbrzymich tam, pozostaje los wioski jak nizin wogóle niepewny, a zwłaszcza wylew w roku 1856, zamienił żyzne łany mątewskie po większéj części w martwe wilgotne sapy i piaszczyste pustynie. Nawet prastary kościółek nosi na sobie ślady takiéj klęski; bo, niewiadomo już kiedy, zabrała Wisła jedną z pobocznych naw, któréj już nie przybudowano na nowo, tak że obecnie kościołek składa się tylko z dwóch łodzi, jednéj wyższéj i drugiéj niższéj. W nim oglądaliśmy wizerunek błogosławionéj Doroty Mątowskiéj, która się w téj wiosce urodziła, a żywot swój zakończyła w Kwidzynie jako pustelnica żywcem zamurowana, o czém jeszcze będę miał sposobność pomówić obszerniéj. — Tu zostaliśmy uprzejmie uraczeni samemi płodami dostarczonemi przez niziny, bo wszystko co nam podano, było ich darem, nie tylko jarzyny, chleb, masło i piwo tczewskie, ale także rozmaite owoce, sery, ryby, a nawet wyborny kawior był wyrabiany z jesiotrów,które u przylądku mątowskiego w takiéj ilości łowią, że się ten przemysł rybakom opłaca.

Tymczasem miało się ku wieczorowi, a ponieważ podróż po stromych tamach, zwłaszcza po ulewnym deszczu, jakiśmy tego dnia mieli, nie bywa bez wypadków, pożegnaliśmy z wdzięcznem sercem miłe i niespodziewane towarzystwo, jakieśmy tu zastali i wrócili zawczasu do Malborga, by nazajutrz puścić się w dalszą drogę.

Wprzód jednak odbyliśmy przy szklance piwa w „W. Mistrzu“ naradę, by powziąść ostateczną decyzyą, w którą stronę rzemiennym dyszlem daléj pokierować. Boć prawda, że ziemia okrągła i że z

każdéj strony świata można się wreszcie zatoczyć przed rodzinną strzechę, ale téż i czas wartki okrągłém obraca się kołem, a także pieniążki — okrągłe kulają się jeszcze prędzéj; trzeba więc było obliczyć się z jedném i drugiém. Radzi bylibyśmy poznali Warmią bliżéj, bo i ten kraik nam wcale nie obcy i nie obojętny, jako część Prus królewskich i Korony, radzi poznali uroczy Elbląg, sławny z piękności przyrody i jako zazdrosny współzawodnik Gdańska i ongi siedziba starosty polskiego i Frombork, stolicę biskupa warmińskiego i księcia poetów Ignacego Krasickiego, i ów punkt Archimedesowy, z którego największy z Archimedesów, nasz Mikołaj Kopernik słońce powstrzymał w swym biegu, a całe wojsko niebieskie poruszył, i Brunsbergę, olśnioną, pamięcią Stanisława Hozyusza, i Święto-Lipkę, tę Częstochowę mazurską, — ale contra okazało się silniejsze niż pro, tak żeśmy sobie tego wszystkiego odmówić musieli.

Twój

Czesław.

XII.

Kochany Przyjacielu!

Peplin.

Przypominając sobie pewnych geografów we Lwowie, coś nakształt Francuzów z Kołomyi, którzy nie znają Bydgoszczy tylko Bromberg, i Leszna tylko Lissa, a Kaszubów osadzają na Śląsku, pozwalam sobie przypuścić, że może Ci nie znajomy jest Peplin, — przepraszam, jeżeli się nie

mylę, a z resztą byłaby to ignorancya łatwa do darowania. Dla pewności jednak dodaję, że Peplin to więc wioska i stacya nad koleją Wschodnią pomiędzy Tczewem i Bydgoszczą, a oraz metropolia dyecezyi chełmińskiéj, z wszystkiém co się z tém wyrazem wiąże. Okolica wzdłuż kolei od Tczewa nie zmienia się w niczém i przedstawia wcale powszedni krajobraz płaski, urozmaicony tylko pojawiającemi się tu i owdzie wioskami. Bliżéj Peplina ożywia się nieco lesistemi garbami gór kaszubskich, sięgających ostatniemi promieniami aż w te strony, a Peplin sam położony w głębokim kotle nad Wierzycą, przedstawia się jakby wielki ogród, z którego wyziera wysoko w górę poważna katedra i mnóstwo wesołych domków. Choćby się nie wiedziało, że to prastara osada Cystersów, możnaby łatwo wpaść na tę myśl pomnąc, jak wielce ci Ojcowie lubili urocze doliny obfitujące w lasy i wody.

Początek swój zawdzięcza stare opactwo peplińskie, podobnie jak większa część pobożnych fundacyi Pomorza, własnym swym panom, książętom pomorskim na Gdańsku. Mianowicie wystawił Mestwin II dokument erekcyjny na dniu 2 stycznia 1274 r., a zatém prawie sto lat po założeniu opactwa oliwskiego. Atoli dopiero nieco późniéj wprowadzili się Cystersi do téj nowéj osady, opuszczając swój dom w Pogódkach, gdzie już od kilku lat mieszkali i osiedli na dobre w Peplinie, ponieważ jego położenie zdawało im się zdrowszém, aniżeli Pogódek, wioski należącéj dziś do powiatu kościerskiego, a odległéj o dwie mile od Peplina. Pod troskliwém okiem dobroczynnych i pobożnych książąt pomorskich i ich następców

króla Przemysława i Władysława Łokietka, z którymi się szlachta krajowa ubiegała w składaniu dowodów swéj życzliwości dla tego domu Bożego i gorliwości o chwałę Bożą, rozwijała się nowa osada bardzo pomyślnie, czyniąc swemu zadaniu zadość przez szerzenie wiary, oświaty i dobrych obyczajów pomiędzy ludnością krajową. Mniéj pomyślne czasy nastały dla opactwa peplińskiego wraz z całém Pomorzem po przejściu pod rządy Krzyżaków, którzy kierując się egoistyczną i chciwą polityką utylitarną, pod rozmaitemi pozorami turbowali bez ustanku poczciwych mnichów, ścieśniając ich przywileje i okrawając majątek, a bezbronnych wydawając na łup niegodziwych sąsiadów, tak że nawet Ojciec święty, Jan XXII, widział się zmuszonym wystąpić w obronie pokrzywdzonych i natrzeć uszu hardym Krzyżakom. Następnie uległ Pelplin razem z Oliwą zupełnemu zniszczeniu przez Husytów; dopiero pod ojcowskiemi rządami królów polskich od roku 1466 nastały znów dla Peplina, jak dla całéj ziemi pruskiéj, chwile błogiego spokoju i szczęścia, do którego się pobożni monarchowie osobistą szczodrobliwością przyczyniali. Nieszczęsne wojny szwedzkie i siedmioletnia dały się naturalnie i Peplinowi we znaki i zadały mu rany, z których wylizać się już nie miał czasu, bo katastrofa z roku 1772 wciągnęła także tę cichą siedzibę ludzi Bogu poświęconych w swe wiry, zapowiadając z czasem skon ostateczny. Zaczęło się od administracyi majątku klasztornego, dekretem króla Fryderyka II z dnia 1 listopada tegoż roku, „weil die Pfaffen die Wirtschaft nicht verstehen.“ Wkrótce nastąpił drugi cios, podwięzujący żyły żywotne zakładu,

przez zakaz przyjmowania nowicyuszów wydany 30 paźdz. 1810 roku przez Fryderyka Wilhelma III, a dobił dogorywający konwent rozkaz tegoż króla z dnia 14 marca 1823, nakazujący zwinąć klasztory w Kartuzach i Peplinie. — Tak runęło to rozłożyste drzewo, w ogrodzie na ziemi ojczystéj zasadzone i chodowane troskliwą ręką naszych książąt i królów, które tak liczne burze przetrwało i tyle zbawiennego owocu wydało, runęło pod świętokradzkiemi ciosami, jakie mu chciwość i zazdrość obcych zadała, po 565 leciech, od przeniesienia się Cystersów z Pogutek do Pelplina!

Katedra peplińska może się śmiało mierzyć z każdym innym gmachem tego rodzaju, których już tak wiele miałem sposobność opisać Ci, i to zarówno co do wewnętrznéj okazałości, Jéj długość wynosi 286 stóp, szerokość 83 i tyleż wysokość, co się nieczęsto zdarza. Jéj podwaliny i mury są jeszcze te same, jak je założył pobożny Mestwin II r. 1286, chociaż dopiero 1557 budowę ukończono. Styl czysto gotycki bez wykwintnych ozdób, nadaje katedrze bardzo poważną i nieco ciężką postać, co przecie jest dowodem jéj znacznego wieku; jeden tylko wyjątek stanowią narożne ośmiokątne skarpy, którym nadano kształt wież pobocznych, gdyż podobno miały służyć ku obronie klasztoru. Na zatknięciu się naw poprzecznych z główną, gdyż kościół ma formę krzyża, wznosi się wysmukła wieżyczka: z jéj umieszczenia domyśleć się można łatwo, że nie może być zbyt wielką, to téż nie stoi w stósunku do ogromnéj całości. W ramieniu poprzecznem postronie północnéj widać zamurowaną bramę, przypominającą zupełnie złotą bramę przy kościele P.

Maryi w Malborgu. Jest to klejnocik sztuki starożytnéj, nad którego pięknością unoszą się artyści i znawcy: a chociaż nie wyrównuje ona złotéj bramie malborskiéj wielkością i obfitością ozdób, jest jéj przecie równą w akuratności wykonania i ornamentów architektonicznych, a bogatsza o kilka ślicznych figurek świętych Pańskich, mianowicie św. Piotra i św. Katarzyny. Główną bramę zdobi posążek Mestwina II, fundatora kościoła, ale pochodzący z późniejszych czasów.

Wnętrze kościoła wspaniałe, sprawia silne wrażenie; zwłaszcza bogate w zmienne wzory sklepienie i ogromne filary uderzają pięknością wykonania i śmiałością. Mianowicie filar w lewém ramieniu krzyża, lekki i wysmukły, jest prawdziwém cackiem budowniczém, na które się napatrzeć nie można. Dwadzieścia ołtarzy zostało w różnych czasach dźwigniętych, jak to różność stylu potwierdza. Wszystkie jednak odznaczają się równemi zaletami, t. j. wielką starannością w wykonaniu, obfitością rzeźby, po większéj części wyszłych z pod dłuta zakonników peplińskich i doborem materyału użytego. Większa część ołtarzy w stylu roccoco jest z drzewa wykonana, ale jest także kilka marmurowych. Na szczególną wzmiankę zasługuje ołtarz Wniebowzięcia N. Maryi Panny, znajdujący się w końcu prawéj łodzi, fundowany przez opata Rembowskiego II r. 1619. Rzeźby w nim wprawdzie nie odznaczają się tyle gustem i dokładnością, ile raczéj główny obraz przedstawiający Wniebowzięcie N. Panny, obfity w piękne grupy apostołów i aniołków, a jeszcze piękniejszy jest obraz niżéj umieszczony, który uchodzi za najlepszą malaturę ka-

tedry. Dla oryginalnego pomysłu malarza, który widocznie zaczerpnął w przecudnych kantyczkach przedmiotu, a który z równą prostotą serca ciepłém zamiłowaniem przedstawił, jak nasz ludek pieśni o Narodzeniu Dzieciątka Jezus wyśpiewał, podaję Ci jego szczegółowy opis, wyjęty z Opactwa Peplińskiego X. Kujota. *) „Pasterze przychodzą do stajenki drewnianéj, by uczcić nowonarodzonego Zbawiciela, przed którym już się zebrali aniołowie. Dwaj aniołowie klęczący tuż przed dzieciątkiem, przy którém siedzie Najśw. Panna, zwracają się do przybywających pasterzów. Po lewéj widza śpiewają aniołowie, naturalnie z nut i wygrywają na różnych instrumentach. Oczywiście wypadało też w stajence postawić „klawicymbał," o który się wspiera patrzący z pokorą i radością na Zbawiciela św. Józef. Koło dzieciątka ustało czterech pasterzy, ciekawie się patrzących na cudownie zwiastowanego. Twarze ich oświetlone jasnością bijącą z dzieciątka, porywają szczęśliwie zespoloną grą światła z prostaczą radością i zdziwieniem. Przy działaniu światła uwzględnił artysta starannie bliskość i linie, w których stoją widzowie od cudownego dziecka. Pomimo zaś, że uczucie radości i zdumienia u wszystkich to samo, umiał je malarz u każdego w inny, a zawsze naturalny sposób wyrazić. Mała latarnia, powleczona pęcherzem, wisi u belki i oświeca prawy koniec stajni, do którego właśnie wstępuje porywająca ułożeniem para: podeszły już pasterz, który zapewnie zdążyć nie mógł za towarzyszami, prowadzi

*) Podług tegoż dzieła podany jest opis całego kościoła i wiadomości historyczne o Peplinie.

swą niewiastę, przyświecając małą latarką. Oboje przygarbieni, podwajają kroku, żeby się nie spóźnić. Wyraz twarzy i pośpiech znakomicie jest oddany. Szkoda, że nazwisko malarza nieznajome, ale porównanie wyższego i tego obrazu wskazuje podobieństwem kolorytu, osobliwie zaś używaniem światła, na jednego mistrza, którym może był Stech z Gdańska.“

Wielki ołtarz wzniesiony w r. 1622, jest poświęcony na cześć N. Panny, św. Stanisława męczennika, Bernarda i Benedykta. Zadziwia on swoją wielkością zarówno jak kosztownością ozdób, które całą ścianę, zamykającą średnią nawę, zajmują. Odpowiednio do rozmiarów ołtarza wynosi wysokość obrazu w nim umieszczonego 20 łokci, szerokość sześć; jest to dzieło Bernarda Hahn z Chojnic, malarza nadwornego króla polskiego. Wspomniany autor Opactwa Pelplińskiego opisuje ten obraz jak następuje: „Osobą główną jest Matka Boska, na której głowę właśnie ma Bóg Ojciec i Bóg Syn złożyć koronę, Duch św. unosi się nad Nimi w postaci gołębicy. Najświętszej Pannie, ubranej w misternie malowaną suknię koloru różowego i fałdzisty niebieski płaszcz, umiał artysta nadać ujmujący wyraz słodyczy, szczęścia i pokory. To nie jest królowa wszechświata, która w świadomości wysokiego dostojeństwa żąda hołdów, ale przeczysta, pokorna dziewica, która własne uczczenie składa jako hołd najgodniejszy Twórcy swemu. Nadto ma twarz jéj ów wyraz swojskości, rysy tak rodzime, że na widok jéj jakbyśmy czuli, że to nasza królowa. Do niéj zwracają się też oczy wszystkich osób umieszczonych na obrazie. Tuż u dołu przedstawił malarz

Kościół wojujący, uosobiony w portretowych postaciach cesarza rzymskiego, Ferdynanda II (najniższa osoba po prawéj) i Zygmunta III (druga osoba), zupełnie podobnego do króla na „Kazaniu Skargi“ Matejki. Trzeci król, ofiarujący Matce Boskiéj koronę, może jest Władysław IV, wtenczas jeszcze królewicz. Zaraz przy nim stoi opat Rembowski. Trochę na prawo podnosi Mestwin II, którego twarz oczywiście jest zmyślona, klasztór pepliński. Po lewéj stronie pomieścił artysta osoby duchowne. Pierwszy jest papież Urban VIII, obok niego biskup włocławski, Jędrzej Lipski. Za nim jest kardynał jeden i generałowie różnych zakonów. W samym środku stoją w dwu rzędach senatorowie Rzeczypospolitéj; twarze ich, zdaje się, nie są portretowe. Nad Kościołem wojującym osiadł tryumfujący; po prawéj pustelnicy i męczennicy, w środku pod stopami Matki Boskiéj, dziewice, po lewéj wyznawcy zakonni i świeccy, nad nimi patryarchowie, z którymi już się łączy świat aniołów.“

„Całemu obrazowi brak perspektywy, nie widać tu, prócz u senatorów, nic przedniego lub dalszego, nie ma też w pierwszorzędnych przedstawicielach Kościoła wojującego i tryumfującego życia i panuje za wielka jednostajność w postawach, pewnie dla tego, że malarz chciał głowy portretowe wszystkie podać z boku. Natomiast świat aniołów, unoszący się koło trochę za ciężkich osób Boskich, tryska życiem. Już głowy aniołów, wyzierających z nad chmury, na któréj się unosi Matka Boska, są nadobne i wesołe. Osobliwie zaś podpada jeden anioł po lewéj stronie, ciekawie patrzący na dół. Wrażenie ogólne malowidła nie cierpi

tyle pod niedostatkami dla udatnéj postaci Najświętszéj Panny.“

Kaplic ma kościół tylko jednę, zwaną Kosów, którzy się w niéj chowali, — dziś Przenajśw. Sakramentu; znajduje się w lewém ramieniu skrzydła i wchodzi się do niéj po kilku schodach. W niéj pomnik Jana Kosa, kasztelana elbląskiego, i piękny ołtarz marmurowy; zdobi ją także piękna marmurowa poręcz, która ją od kościoła przedziela. — Organów posiada katedra dwoje: mniejsze w pobocznym chórze, zbudowane dopiero 1840, kosztowały 10,000 talarów. Jak wszystkie znaczniejsze kościoły w téj dyecezyi, jest téż katedra sama bardzo bogata w rozmaite rzeźby, wspomniałem już o nich mówiąc o ołtarzach; oprócz tych służą ku wielkiéj ozdobie dla presbyterium kosztowne, nawet pod względem sztuki cenne stale, pochodzące z pierwszéj połowy szesnastego wieku i drugie mniejsze, umieszczone dziś w pobocznéj nawie, z równą staranności i gustem zrobione; to samo należy powiedzieć o kazalnicy i licznych konfesyonałach. Z innych ozdób świątyni są drogie dla serca polskiego, chociaż nie celują sztuką, wizerunki książąt pomorskich, począwszy od bajecznego Subisława Starego, domniemywanego założyciela Oliwy, aż do Mestwina II, i dwa obrazy, przedstawiające założenie Pogutek i Peplina, wszystkie zawieszone w południowém ramieniu krzyża.

Naprzeciw katedry znajduje się kościółek Bożego Ciała dziś jak za czasów Cystersów parafialny, a na drugim końcu wioski klasztórek Sióstr Miłosierdzia.

Korzystając z kilku chwil wolnych i ze spo-

sobności miejsca, podaję Ci w następujących rządkach krótki pogląd na dzieje dzisiejszéj dyecezyi chełmińskiéj, obejmującéj w swoich granicach dwa dawne województwa, pomorskie i chełmińskie. Pomorze wschodnie czyli polskie, które pod koniec dwunastego wieku wiarę chrześciańską przyjęło za przykładem księcia swego Subisława, zostało na dniu 9 kwietnia 1148 przez Ojca św. Eugeniusza III przyłączone jako archidyakonat do dyecezyi kujawskiéj, w któréj skład wchodził jeszcze archidyakonat włocławski i kruświcki; godność i urząd archidyakona znaczyły natenczas tyle, co dziś oficyała albo generalnego wikaryusza biskupiego. Powtórna zmiana w rządach świeckich, jakiéj Pomorze w następujących wiekach aż do drugiego pokoju toruńskiego doznawało, nie pociągnęła ze sobą zmiany, ani nawet szkody pod względem duchownym i kościelnym dla archidyakonatu pomorskiego; ale owszém rozwinęło się życie kościelne w najpiękniejszy sposób przez przejście pod rządy polskie, co zarazem stało się szczęśliwą przyczyną, że tak Pomorze jako i Warmia (po części przynajmniéj) zachowały z narodowością także i wiarę katolicką, gdy przeciwnie właściwe Prusy czyli wschodnie lub książęce, które pozostały pod panowaniem Krzyżaków, zniemczyły się i zlutrzyły za wpływem i przykładem swych panów. W chwili pierwszego rozbioru Polski liczył archidyakonat pomorski piętnaście klasztorów męskich z kilku szkołami wyższemi i pięć żeńskich, kościołów zaś sto czterdzieści.

Do biskupów, którzy byli szczególną ozdobą katedry włocławskiéj czyli kujawskiéj i od znaczali się szczególną pieczołowitości około archi-

dyakonatu pomorskiego, należy pomiędzy innymi Zbigniew Oleśnicki, sławny z głębokiéj nauki i zacności charakteru, późniéj arcybiskup gnieźnieński. Daléj Maciéj Drzewicki, podczas którego rządów przypadły burzliwe nowinki w Gdańsku, dla których uśmierzenia zjechał natychmiast do tego miasta i, by na przyszłość zapewnić wczesną i wszelaką pomoc zagrożonéj w tych stronach wierze, wyjednał u Stolicy apostolskiéj dla oficyała pomorskiego, rezydującego w Gdańsku, godność sufragana. O zasługach i gorliwości Hieronima Rozdrażewskiego wspomniałem już na innem miejscu. Jego poprzednikiem na katedrze kujawskiéj był niemniéj zasłużony, zacny Stanisław Karnkowski, rodem z ziemi dobrzyńskiéj, przyjaciel św. Karóla Boromeusza, wielki miłośnik nauk, dbały o dobro Kościoła i kraju, a odznaczający się szczególną opieką dla szkółek ludowych, które pieczy plebanów najusilniéj polecał. Sam ułożył katechizm dla ludu i wraz z innemi uczonemi dziełami ogłosił drukiem. Za jego to staraniem i nakładem przełożył Jakób Wujek biblią na język polski i jego także staraniu i ofiarności winniśmy polski przekład katechizmu rzymskiego, ułożonego przez św. Sobór trydencki. Biskup Piotr Tylicki słynie ze swéj szczodrobliwości, jako wielki dobroczyńca kościołów, klasztorów, szpitalów, szkół i burs studenckich. Piękną pamiątkę pozostawił po sobie w uchwałach dyecezalnych, odbytych w roku 1634 i 1641 biskup Konstanty Łubieński, w których przedewszystkiém błaga i zaklina na wzór św. Pawła swych braci i współpracowników w winnicy Pańskiéj, o sumienne przestrzeganie czystości dożywotniéj i trzeźwości, wzywa do pełnienia

uczynków miłosierdzia, a zwłaszcza do częstego odwiedzania szkółek parafialnych i troskliwego przysposabiania dziatwy do pierwszéj spowiedzi i komunii św. Szczególną opieką ojcowską otaczał archidyakonat pomorski, a mianowicie zarażone lub najwięcéj zagrożone protestantyzmem części zachodnie i miasto Gdańsk, biskup Konstanty Felicyan Szaniawski, referendarz litewski i najwierniejszy doradzca i przyjaciel Augusta II. Nie mogąc dla burzliwych czasów zwołać synodu dyecezalnego, kazał przedrukować uchwały synodów odbytych przez biskupa Lubieńskiego w Warszawie 1711, dołączając od siebie list pasterski, świadczący o gorącéj pobożności i wzorowéj gorliwości tego zacnego biskupa. Pomiędzy innemi wspomina także od siebie do kapłanów, aby oprócz kazań przedpołudniowych, miewali co niedziela i święto po nieszporach i przed niemi nauki katechizmowe dla dziatwy, ażeby pilnie i często odwiedzali szkółki parafialne i troskliwie dozorowali nauczycieli, aby ci nie tylko nauką, lecz i dobrym przykładem dzieciom do szkoły uczęszczającym przyświecali, a przedewszystkiém uczyli je czytania i pisania w języku ich ojczystym, katechizmu, historyi świętéj, należytego śpiewania pieśni kościelnych i zwyczajnych rachunków, tudzież napomina rodziców, aby dzieci swoje regularnie posyłali do szkół katolickich.

Województwo chełmińskie z cząstkami malborskiego tworzyło osobną dyecezyą chełmińską, która takim sposobem przedzielała całkiém archidyakonat pomorski od dyecezyi kujawskiéj, do któréj tenże należał. Biskupstwo chełmińskie czyli pierwotnie zwane pruskie, było aż do 1243 tu.

wikaryatem apostolskim czyli in partibus infidelium w ogólném znaczeniu, a zarazem katedrą, do któréj miały należeć wszystkie kraje, przez Zakon Kawalerów Teutońskich nawrócone w ziemi pruskiéj. Na prośby Krzyżaków uregulował Papież Inocenty IV w wspomnianym roku hierarchią kościelną w ziemiach zawojowanych przez Zakon w ten sposób, iż ustanowił oprócz dyecezyi chełmińskiéj, dla któréj teraz wymierzono pewne granice pomiędzy Wisłą, Ossą i Drwęcą, jeszcze dyecezyą warmińską, pomezańską i sambieńską. Biskupstwo chełmińskie było wprawdzie szczupłe co do rozległości, ale bogato wyposażone i liczyło pomiędzy swymi pasterzami wielu najzacniejszych, około Kościoła i narodu dobrze zasłużonych mężów, z których wymieniam choć z nazwiska pierwszego Krystyana, z cysterskiego zakonu. Inni byli Jan Dantyszek, Tydeman Gize i Stanisław Hozyusz, ten „Augustyn polski," jak go powszechnie zwano; ci trzéj przenieśli się z czasem na katedrę warmińską, daléj Piotr Kostka. Piotr Tylicki, już wspomniany jako biskup kujawski, Teodor Potocki, Adam Stanisław Grabowski, Andrzej Stanisław Załuski, którego kosztowną bibliotekę obejmującą także zbiory po Janie III, a składająca się z 262,640 dzieł, kilkadziesiąt tysięcy rękopisów, głównie polskich lub do historyi polskiéj się odnoszących, i 24,574 rycin, odnoszących się także przeważnie do dziejów ojczystych, zabrano po ostatnim podziale z Warszawy i do Petersburga przewieziono.

Ostatnim biskupem chełmińskim był Franciszek Ksawer Rydzyński, po którego zgonie 1814 pozostała katedra przez dziesięć lat osieroconą, zostając przez ten czas pod zarządem sufragana

Jana Jerzego Wilxyckiego. Ostatnim zaś biskupem kujawskim w owym czasie był Jan Rybiński, którego rządy pasterskie przypadały w ciężkie lata od 1772 aż do 1806; po jego zgonie nie została również katedra włocławska obsadzoną przez dwanaście lat, aż do zawarcia konwencyi pomiędzy Stolicą apostolską a carem Aleksandrem I w roku 1818. Na mocy owéj ugody odłączono od téj dyecezyi kujawskiéj oprócz innych części także archidyakonat pomorski, który zamieniono na wikaryat apostolski, a którego zarząd powierzono wspomnianemu już X. kanonikowi Stanisławowi Rosołkiewiczowi, proboszczowi przy kaplicy królewskiéj w Gdańsku. Było to tylko urządzenie przejściowe, albowiem bullą Ojca św. Piusa VII De salute animarum, z dnia 16 lipca 1821 r,. został archidyakonat pomorski czyli wikaryat apostolski zniesiony i w jedną całość z dyecezyą chełmińską połączony, a równocześnie przeniesiono stolicę biskupią z Chełmży do Pelplina, tak że wspaniały kościół Cystersów pelplińskich stał się odtąd katedralnym dyecezyi chełmińskiéj. Pierwszym biskupem téjże dyecezyi po nowéj cyrkumskrypcyi zaprowadzonéj przez wspomnioną bullę, magna charta katolików monarchii pruskiéj, był X. Stanisław Ign. Mathy, szlachcic rodem z Kobierzyna w powiecie starogardzkim.

W nowym porządku rzeczy rozwinęło się niebawem nowe życie w téj części winnicy Pańskiéj na ziemi polskiéj i dzięki gorliwości zacnych arcypasterzów i duchowieństwa, za pomocą Boską wydało piękne kwiaty i obfite owoce. Urosła liczba kapłanów, wiernych, kościołów, szkół wyższych i niższych i dobroczynnych zakładów mnóstwo.

Może Ci się, kochany przyjacielu, ten pogląd na dzieje dyecezyi chełmińskiej będzie wydawał zbyt obszernym, zwłaszcza wydawały Ci się może „stare dzieje,“ przytoczone o mężach, których nikt nie zna, którzy żyli tam gdzieś i kiedyś, o czém już nikt nie pamięta, nudne i zbyteczne? A mnie przeciwnie zdaje się, żem za mało powiedział, żem takiém streszczeniem doraźném ubliżył historyi i pamięci owych mężów; owszem, gdybym mógł, jak pragnę, napisałbym Ci nawet kompletną historyą i podał szczegółowo i całkowicie żywoty owych osób, których cnoty i zasługi niestety zaginęły zbyt prędko w pamięci potomności! Ach! jeżeli nie można kochać ojczyzny, której się nie zna, jakże można Kościół i wiarę kochać, które się z nią tak silnie zespoiły i zrosły, że stanowią jedne dzieje i jedno ciało z tą kochaną ojczyzną? Bo czy to tylko szabla i okrzyk wojenny stworzyły Polskę i zrobiły ją wielką i szczęśliwą? A choćby tak było, ażali rękojeścią tej szabli, począwszy od szczerbca Chrobrego aż do szpady Kościuszki i ks. Józefa, nie był krzyż święty? Ażali okrzykiem wojennym naszych hufców, począwszy od pochodu Chrobrego na pohańców Pomorza i Rusi aż do błoni Maciejowickich Lipskich, nie było zawsze jedno hasło Bogarodzica Dziewica?

Twój
Czesław.

XIII.

Kochany Przyjacielu!

Gniew....

Do dalszéj podróży użyliśmy znowu drogi

żelaznéj. Szczególna to zaprawdę ta kolej Wschodnia, albo raczéj jéj kierunek przez Prusy królewskie! Jedna z najpierwszych dróg żelaznych w monarchii pruskiéj, łącząca Berlin z Królewcem, została od Bydgoszczy aż do Tczewa poprowadzoną po lewym brzegu Wisły i to z taką dziwną sztuką, że omija szczęśliwie wszystkie miasta i znaczniejsze miejscowości, które po dwie do trzech mil pozostają na boku, po większéj części przedzielone od kolei Wisłą.

Tak też bodaj ma się rzecz z Gniewem, miasteczkiem położonem nad ujściem Wierzycy do Wisły, którego starożytne wieże i mury rysują się wspaniale na płaskim widnokręgu, w odległości dwóch mil od kolei.

Prastara ta twierdza Samborów i Mestwinów stała się stolicą Wrocisława, najmłodszego syna Mestwina I. Nierozważna zażyłość tegoż Wrocisława i Sambora II z Krzyżakami doprowadziła do tego, że się z czasem książęta zobaczyli pozbawionymi swéj własności, a Krzyżacy z łaski dobrodusznych książąt ujrzeli się panami znacznéj części Pomorza wschodniego. Jako ważny punkt nad Wisłą, cieszył się Gniew szczególnemi względami W. Mistrzów, którzy miasteczku schlebiali obfitym szafunkiem różnych przywilejów, za które ono nawzajem odwdzięczyło się wiernem przywiązaniem, za co znów ściągało na siebie niejednokrotnie zemstę Polaków. Tu z zamku gniewskiego rzucił nieszczęśliwy W. Mistrz Ludwik von Erlichshausen, ostatni, który w Malborgu rezydował, po raz ostatni okiem zalanem łzami na obszerne włości Zakonu, rozciągające się po obu stronach Wisły, gdy wśród ciemnéj nocy uchodził

na wątłém czołenku przed ścigającemi go hufcami.

Wspaniały zamek krzyżacki, następnie siedziba starosty, zamienił Fryderyk II na koszary; obecnie służy na dom poprawczy. Nad samym brzegiem Wisły wisi piękny niegdyś zameczek, który sobie Jan Sobieski wystawił, będąc jeszcze starostą gniewskim, dziś po części rozebrany, po części podziela los zamku krzyżackiego. Za pomocą dalekowidza można dość dokładnie rozpoznać stare mury i baszty, ale oko ducha sięgało daléj, a skrzydło fantazyi zaniosło mnie jeszcze daléj w przeszłość i ożywiło mile osamotnione gmachy postaciami Jagiełłów, Batorych, Kazimierzów i Sobieskich, które mi towarzyszyły daléj i nie odstąpiły aż do samego Czerwińska.

W krótkim czasie stanęliśmy w Czerwińsku, zkąd jadąc daléj szosą przez najpiękniejszą okolicę, przypominającą uroczą Szwajcaryą kaszubską lub podobne wybrzeża Pilicy, nad brzegiem „Białéj Wody," przez którą trzeba się, jak wszędzie w tych stronach, przeprawiać na drugi brzeg promem. Nadobny dotychczas, ale skromny i ciasny widok okolicy zmienia się tu na wspaniały krajobraz: wzdłuż ciągnie się na milę szeroka dolina nadwiślańska, na któréj złotych i zielonych kobiercach pieszczą się faliste wody pysznéj matki ziemi naszéj, a naprzeciw rozkładają na wysokich tarasach nadbrzeżnych liczne wioski, których środek zajmuje poważny Kwidzyn. Ważność tego punktu, stanowiącego główne przejście przez Wisłę i zdatnego do obrony, wyniosła to miejsce już za czasów krzyżackich do znaczenia pierwszorzędnéj twierdzy i godności stolicy Zakonu. Albowiem

już 1232 r. założył Herman Balke, Mistrz Teutoński, pierwszy dygnitarz po W. Mistrzu, w tém miejscu blokuz na osuszonym ostrowie wiślańskim, zwanym Kwidzyn i przezwał go na cześć patronki Zakonu Marienwerder, czyli Ostrow P. Maryi. Już po trzech latach wzniesiono mury i okopy obszerne, zbudowano wspaniały kościół i nadano nowéj osadzie przywiléj prawa chełmińskiego, równającego się magdeburskiemu. Ale nie minęło 10 lat, gdy rycerski Świętopełk dzieło Krzyżaków w perzynę obrócił i osadników wyciął do nogi (1242); niestety, zwycięstwo to nie było trwałém w swych skutkach i Kwidzyn powrócił już w następnym roku w ręce Kawalerów Teutońskich.

Jak wiadomo, uregulował papież Innocenty IV w wspomnianym roku stale stósunki hierarchiczne w tych stronach, erygując na raz 4 katedry, z których jedna była pomezańska. Jéj biskup i kapituła rezydowali w Kwidzynie, przez pewien czas i po części w Prabutach; przez to podniosło się to miasteczko dosyć znacznie. Nie znam wprawdzie szczegółowo dziejów tych książąt kościoła i nie radbym dla braku pewnych i dostatecznych wiadomości uwłaczał ich pamięci wbrew prawdzie. Ale tyle pewna, że niektórzy z nich odgrywali nie bardzo świetną a dwuznaczną rolę w zatargach politycznych pomiędzy Zakonem a Polską, a z zbytniéj uległości dla Zakonu nie dość bacznie czuwali nad dobrem i prawem Kościoła, zamieniając się formalnie w urzędników Zakonu i za takich się uważając; a i to pewna, że wielu z nich było lepszymi żołnierzami, aniżeli kapłanami i znało się lepiéj na sztuce szermierskiéj, aniżeli na dźwiganiu pastorału. Wiadomo, iż

polityka Zakonu P. Maryi zmierzała od wieków do tego, aby wpływ biskupów i powagę duchowieństwa wyzyskać na swoję korzyść; może nigdzie nie udało mu się przeprowadzenie tego zamiaru tak szczęśliwie, jak w dyecezyi pomezańskiej. Biskup Albert bowiem na początku XIV wieku wydał ustawę na wieczne czasy zobowięzującą, aby wszyscy kanonicy byli zarazem członkami Zakonu Teutońskiego i żyli wedle reguły zakonnéj; toż samo rozumiało się i przestrzegano tegoż jak najściśléj względem biskupa samego. Ztąd poszło, że duch w kołach dyecezyą rządzących, stał się stronniczym, postradał jasność widzenia i pewność działania, swobodę i siłę moralną, a nakoniec została władza zwierzchnicza z całą dyecezyą wciągnięta w ostateczną fatalną przemianę Zakonu. Ostatni biskup pomezański, Erhard von Queis, którego historycy niemieccy chwalą jako męża światłego i tolerantnego (naturalnie w ich rozumieniu i pojmowaniu rzeczy), nie czynił nic, aby zapobiedz szerzeniu się nowinek luterskich w swéj dyecezyi. Gdy go dla tego ostatni trzéj kanonicy, którzy wierze katolickiéj wiernymi pozostali i w ogóle kapitułę stanowili, — gdyż po śmierci drugich wiernych kanoników nie zostały ich miejsca na nowo obsadzone — u króla polskiego o sprzyjanie nowinkom oskarżyli, zostali przez W. Mistrza Albrechta Brandenburczyka uwięzionymi, zarząd dyecezalny został rozwiązany, a biskup „zreformowany“ przeniósł stolicę swą do Młyna liwskiego (Liebemühl), miasteczka nad Liwią, nad którą także Kwidzyn leży (1526); w r. 1587 zaś zaprowadzono w miejsce dawnéj hierarchii katolickiéj luterskie konsystorze. Taki był koniec dye-

cezyi pomezańskiéj, którą następnie wcielono do warmińskiéj.

Miasto samo ucierpiało może najwięcéj z wszystkich miast podległych berłu Krzyżackiemu, to od Prusaków, to od Polaków, to od Szwedów, to od Moskali, od Prusaków nowszéj daty, a na koniec od Francuzów, którzy z niego niejako centrum swoich operacyi przeciw Prusom i Moskwie zrobili. Kwidzyn należał do księstwa pruskiego, a król Fryderyk II to miasto bardzo po macoszemu traktował, ponieważ mu się nie udał plan zrobienia z niego ważnéj twierdzy, co się także Napoleonowi nie udało. Pomimo to został Kwidzyn ze względu na swoje położenie i dla braku znaczniejszego miasta, gdyż Gdańsk i Toruń dostały się dopiero późniéj do Prus, wyniesiony do godności stolicy rejencyjnéj i wcielony do tu. Prus Zachodnich. Od owego czasu odznaczała się rejencya kwidzyńska i słynie aż do dziś dnia ut facta et acta loquuntur, jako najwięcéj wroga żywiołowi polskiemu.

Pomimo prawdziwie wspaniałego widoku, jaki miasto zdaleka przedstawia, pomimo niektórych poważnych budowli i ulic i pomimo, że jest siedzibą władzy departamentowéj i wielu innych, robi Kwidzyn zbliska wrażenie małego miasta. Sprawia to po części mnóstwo ślicznych i wielkich ogrodów, w których pojedyńcze domy i całe ulice formalnie nikną.

Ale przejdźmy się na chwilkę po mieście! Stare mury utrzymały się jeszcze po części, ale ponieważ ta sukienka okazała się już dawno za ciasną, rozrosło się miasto znacznie po za jéj obręby, które należą do piękniejszych dzielnic, o ile

że modniejsze. W niewielkim rynku, przystrojonym jeszcze po jednéj polaci starożytnemi wystawkami przed domami, stoi ratusz, ozdobny w piękną wysmukłą wieżę. Wnętrze wszelako, równie jak niepokaźna zewnętrzność, nie ma nic oglądania godnego, chyba zasługuje na to pająk, wyrobiony z ogromnych rogów jelenich z obrazem Maryi P. i portret króla Stefana Batorego, wielkiego dobrodzieja tego miasta, umieszczony na drzwiach subtelnie rzniętych.

O parę ulic daléj stoi dawny pałac biskupi, w dwóch najpiękniejszych częściach rozebrany, a w pozostałéj reszcie zaniedbany i zrujnowany, zamieniony dziś na gmach sądu, więzienia i t. p. Niegdyś wchodził on w system fortyfikacyjny miasta, a nawet stanowił punkt najobroniejszy, podobnie jak przytykający tum, którego przeznaczenie wojenne można jeszcze poznać z wieży, zrębów i łuk armatnich. Z pałacem są połączone dwa, wsparte na kolosalnych łukach i filarach, długie ganki kryte, jeden większy, drugi mniejszy, tu. Danziger. Pierwotnego przeznaczenia tych oryginalnych budowli jeszcze nie wyjaśniono dostatecznie, pomimo sprytu i wysileń uczonych badaczy niemieckich. Najpowszechniejszém jest dziś mniemanie, że za czasów krzyżackich służyły głównie Dancygiery jako prawety, co przy licznéj załodze zamkowéj i potrzebie liczenia się z miejscem i koniecznością utrzymania schludności i zdrowego powietrza, zdaje się bardzo prawdopodobném. Naturalnie, że nie przepomniano także o głównym celu twierdzy i dla tego służyły zarazem jako więzienia i dogodne stacye dla straży zamkowéj, z nich bowiem jest widok przestronny na kilka

mil w około. Jak w Kwidzynie zastępowały też Dancygiery forty wysunięte, broniące przystępu od Wisły, który bez nich byłby z tej strony bez wszelkiego punktu obronnego przeciwko mogącemu uderzyć wprost w serce twierdzy. Dancygiery stoją dziś pustkami. Pałac zaś biskupi nie zawiera w sobie nic zgoła, coby jego dawniejszego przeznaczenia, lub dawnéj świetności choćby tylko domyślać się pozwalało.

Za to utrzymała się tém lepiéj wspaniała katedra, tworząca jednę całość z pałacem biskupim. W miejscu zburzonéj przez Świętopełka w r. 1212, wystawił biskup Bertold ten pyszny tum, który po kościele P. Maryi w Gdańsku jest największym w Prusiech, mając 286 stóp długości. Z trzech wieży, dwóch niższych po bokach z przytępionym końcem, zwraca na siebie szczególnie uwagę trzecia, 170 stóp wysoka, służąca za dzwonicę i to z powodu prostoty i gładkości stylu gotyckiego, jak się takowy tylko w swoich pierwszych początkach pojawia. Na południowéj stronie utworzył biskup Jan I (1384), przez pokrycie wzniesione na skarpach, krużganki i obsadził je gęsto armatami. Wschodni szczyt świątyni zdobi kilka kul kamiennych różnego kalibru, które oprócz wspomnianego portretu króla Stefana, są jedyną polską pamiątką w tém mieście, pochodzą albowiem z dział polskich. Odpowiedniejszą świątyni jest ozdoba głównéj fasady, przedstawiająca na mozaikowym, niezgrabnym obrazie św. Jana ewangielistę, patrona kościoła, wychodzącego z wrzącego oleju, i biskupa w klęczącéj postawie, podobno fundatora kościoła, Bertolda.

Wnętrze świątyni jest nierównie godniejsze, a milsze dla oka i serca, aniżeli widok zeszpeconego i uszkodzonego czasem i ręką ludzką gmachu. Siła i prostota połączyły się mile w jedno, aby zająć uwagę i zyskać sympatyą widza. Jakby na ogromnych skałach wspiera się prześliczne sklepienie, urozmaicone w odmienne wzory i linie, na pięciu parach ośmiokątnych filarów, siedmdziesiąt stóp wysokich a mających trzydzieści i dwie stopy w obwodzie. Pomimo to nie rażą by. najmniéj ciężkością masy, co pochodzi ztąd, że nie są tynkowane, ale mają naturalny kolor palonéj cegły. Najwięcéj jednak zachwyca rzadkie wogóle widowisko, jakie ten kościół posiada w przecudnych freskach, pokrywających całe dwie główne ściany świątyni. Po jednéj stronie przedstawiają owe obrazy żywoty różnych świętych, po drugiéj są wyobrażone główne sceny z życia Zbawiciela. Dopiero kilka lat temu, jak ten cenny zabytek starożytnéj sztuki odkryto i z wielkim mozołem odrestaurowano; i przyznać trzeba, że restaurator — którego nazwiska niestety nie dowiedziałem się — nie potrzebuje się wstydzić pierwszego mistrza, bo z równą sztuką jak sumiennością odświeżył i uzupełnił jego dzieło, o ile go czas nie zniszczył zupełnie, a które wygląda jakby dziś dopiero wyszło z pod pędzla malarza. Przez kilka wieków, niezawodnie od czasu zamienienia tumu na zbór luterski, były te malatury pogrzebane pod grubą powłoką wapna, którą dziś w interesie sztuki zdarto; zarazem oczyszczono filary z tynku, tak że dziś przedstawia się wnętrze zupełnie w swoim pierwotnym stanie.

Z dawniejszych sprzętów kościelnych, po-

chodzących z czasów katolickich, przechowało się bardzo mało; stary organ, dwa gustownie rznięte i bogato malowane konfesyonały — oto wszystko. Ambona z piaskowca pochodzi z najnowszych czasów, a dla szczupłości rozmiarów w porównaniu do kolosalności świątyni, wygląda, nie przymierzając, jakby grzęda; do tego razi szary kolor kamienia, nie harmoniujący ani z białym tynkiem ścian, ani z jaskrawemi farbami fresków lub czerwonemi filarami. W jednéj z pobocznych naw znajduje się kaplica grobowa pewnego Fryderyka von der Groeben, generała pruskiego, bogata w piękne rzeźby kamienne i kosztowne malatury. — W wielkim ołtarzu, który się obecnie na swojém pierwotném miejscu znajduje, gdyż przez długie czasy stał w przeciwnym rogu pod organem, mieści się drogi i wedle znawców dobry obraz jakiegoś nowszego mistrza, przedstawiający Zmartwychwstanie Pańskie. Zresztą jest to ołtarz w guście luterskim, pusty i szczupły, składający się z prostéj mensy i kilku lichtarzy.

Ołtarz ten opiera się o mur, który wnętrze świątyni dzieli na dwie części, większą i mniejszą, co się na zewnątrz uwydatnia w dwóch pobocznych wieżyczkach. Z większéj części, właściwego kościoła, którą Ci opisałem, wchodzi się do mniejszéj przez wąziutki sklepiony otwór. Mniejszy ten kościółek jest kryptą, t. j. ma dwa piętra, z których niższe jest zupełnie ciemne, wyższe bez filarów, z sklepieniem równéj wysokości co główny kościół, ma kilka okien w koło i otwór na wielki kościół. Kościółek ten jest dosyć duży, bo 68 stóp długi, 33 szeroki a 58 stóp wysoki. Jak się zdaje, został otwór w przecznym murze

dopiero później wybity, całą kryptę zaś uważają za najstarszą część budowli, do której tu. wielki kościół następnie przybudowano. Górne piętro zowie się także polską kaplicą, ponieważ tu katolicka gmina przez długi czas swoje nabożeństwo odprawiała — komorą. Wzdłuż ścian ciągną się wizerunki trzech W. Mistrzów i siedmnastu t. j. wszystkich biskupów pomezańskich, malowanych al fresco. Z tych podpada zwłaszcza figura trzecia z końca, jestto Mikołaj II, trzymający pastorał na opak i bez mitry, co sobie zwykle tém tłómaczą — jak i nas zakrystyan objaśniał, — że biskup ten został dla gorszącego życia przez papieża z urzędu złożony. Rzecz jednak ma się tak, że Mikołaj nie został przez Stolicę apostolską potwierdzony, a dyecezya oddaną pod administracyą Wincentego Kiełbasy, biskupa chełmińskiego, jedynego Polaka w całym szeregu biskupów pomezańskich († 1489). Niżej tych malatur wmurowano w ściany mnóstwo kamieni pomnikowych i grobowców, dźwigniętych z posadzki kościoła, aby napisy na nich umieszczone ocalić od zguby przez starcie stopami przechodniów. Szkoda, że tak chwalebny pomysł, który się dla wszystkich kościołów zaleca, nie został wykonany z trzysta lub czterysta lat wcześniej, gdyż niestety większa część napisów już wytarta prawie nie do poznania.

Krypta właściwa czyli dolne piętro nie obejmuje nic ciekawego; jestto pusty i zupełnie ciemny gmach, służący obecnie za chrzcielnicę a po części zamieniony na zakrystyą. Znajduje się jednak w nim prześliczny, ale wielce uszkodzony i zaniedbany tryptyk, który, sądząc po umieszczo-

nych na nim malaturach zewnętrznych i wewnętrznych na tle złotém, podobnych do wspomnianéj skrzyni, musiał kiedyś służyć za tabernakulum. Po lewéj stronie krypty, przytyka do niéj o ścianę mała celka z wązkiém okienkiem, w któréj błogosławiona Dorota mątowska zamurowana zakończyła swój świątobliwy żywot. O téj służebnicy Pańskiéj, o któréj nawet innowiercy z uszanowaniem, a przynajmniéj bez zwykłych przytyków i szyderstwa — chociaż z wyjątkami — wspominają, opowiem Ci niżéj nieco obszerniéj. Pokazywano nam także parę bucików, które ona podobno nosiła; tymczasem trzeba je uważać za podsunięte, co się ztąd wykazuje, że wewnątrz są wykładane papierem drukowanym; wiadomo zaś, że błog. Dorota umarła już 1394 r.; a sztukę drukarską wynaleziono znacznie późniéj; zresztą buciki te wyglądają jak na pokutnicę, zbyt elegancko. Z rozrzewnieniem patrzałem na tę ciasną i cichą celkę, polecając siebie i ten wspaniały dom Boży pamięci bogomyślnéj pokutnicy, przypuszczając, że chociaż nie policzona przez Kościół w poczet świętych Pańskich beatyfikowanych, przecież przypuszczona do przybytków Pańskich, jest tam oddawna orędowniczką swéj ziemi ojczystéj.

Kościół katolicki, wystawiony z wielkim nakładem dość ubogiéj gminy i jeszcze nie wykończony, jest wielką ozdobą dla miasta, a jeszcze większą wygodą dla parafian, którzy ledwo kilka lat temu uczęszczali na nabożeństwo o milę do kościoła wiejskiego, — działo się to, jak przypominam, w drugiéj połowie wieku dziewiętnastego i w mieście regencyjném Kwidzynie! Jestto wspaniała bazylika o trzech nawach, wykonana w czy-

stym stylu romańskim aż do ostatnich linii i ozdóbek.

Dla braku czasu nie zabawiliśmy długo w Kwidzynie, ale dosyć długo, by oprócz wyliczonych znaczniejszych przedmiotów sztuki lub starożytności, zabrać także znajomość ze sklepami miejskiemi i spróbować wina i piwa kwidzyńskiego, co, przyznam się w sekrecie, zabrało nam znacznie więcéj czasu niż oglądanie starych murów. Ale tak to bywa; im mniéj znajdziesz znajomych i im rzadziéj się z nimi widujesz, tém dłużéj pragną cię zatrzymać, tém więcéj lgnie serce do serca, zwłaszcza w obczyznie. Zresztą uważam te niby skrupuły za zbyteczne, bo aby poznać świat, nie dosyć przecież obejrzeć góry i mury, ale trzeba poznać duchy i druhy, jakie je zamieszkują i ożywiają.

Aby Ci na zakończenie podać ogólną charakterystykę tego miasta, streszczam w kilku rządkach niektóre myśli wyjęte z Brandstettera Opisu Wisły, który rzecz o Kwidzynie mniéj więcéj tak kończy: Kwidzyn to miasto pełne sprzeczności, jak cała jego zewnętrzność tak i duch wewnętrzny; jedni nie wahają się pomieścić je pomiędzy mieścinami rólniczemi, drudzy widzą w niém metropolią inteligencyi wielkomiejskiéj, a w rzeczywistości jest ono po prostu kolonią urzędniczą, wielką stacyą biurokratyczną. Bo rzadko zaprawdę obejmuje w swych murach inne miasto, nie liczące jeszcze 10,000 mieszkańców, tyle władz i dykasteryi urzędniczych, co Kwidzyn. Mianowicie mają tu swoję siedzibę: regencya departamentowa, sąd apelacyjny na Prusy Zachodnie, sąd okręgowy, wyższa dyrekcya poczt, główny zarząd celny, ka-

mera domanialna, landratura, generalna i prowincyonalna landszafta, zakład rozpłodowy na konie, bank asekuracyjny dla ruchomości, gimnazyum, wyższa szkoła żeńska i odpowiednie władze wojskowe i komunalne, jeżelim je wszystkie wyliczył. Nic trudno więc uwierzyć, że oprócz wybornego piwa jest konsumcya atramentu największa, a żaden przemysł tutaj tak nie kwitnie, jak fabrykacya aktów. Handel ożywia się tylko czasami i to gdy stósy aktów zapisanych i zbutwiałych puszczają na licytacyą, zresztą skupia się cały ruch w kancelaryach, a powszechną ciszę przerywa jedynie nieustanne drapanie skrzętnych piórek. Taki oto Kwidzyn! Twój

Czesław.

XIII.

Kochany Przyjacielu!

Chełmno....

Czas przynaglał gwałtownie do przyspieszenia podróży, dla tego chcąc nie chcąc musieliśmy takową odbywać à l'américaine. Pomimo to zdecydowaliśmy się objechać ostatni kąt kraju, województwo chełmińskie, wozem a nie parą. Różnica bowiem wynikająca ztąd nie zdawała nam się zbyt znaczną, porównując koliste skręty kolei żelaznéj i częstą przeprawę przez Wisłę z prostym kierunkiem obranéj drogi bitéj; do tego mogliśmy dopędzić jakąś stratę czasu przez usunięcie się, a w dodatku mieliśmy przyjemność podróży odbywanéj powoli i dozwalającéj obejrzeć się w około siebie. Wprawdzie droga z Kwidzyna do Nowego, jadąc traktem publicznym, nie przedstawia wcale krajobrazu romantycznego, ale za to można

się napaść formalnie widokiem sytéj i zamożnéj okolicy aż do znudzenia. Gęste wioski i liczne kościoły są najlepszym znakiem, że kraj mocno zaludniony, a ztąd wniosek bliski, że nadzwyczaj urodzajny, choćbyś go nie umiał osądzić.

Nowe, w malowniczém położeniu na wysokim lewym brzegu Wisły, nie dozwala domyślać się po pierwszém wejrzeniu, że niegdyś odgrywało także rolę w dziejach téj prowincyi. Założone przez Sambora I w r. 1185, było od téj chwili świadkiem i uczestnikiem wiekowych zapasów pomiędzy Krzyżakami i Słowianami, dopóki przez pokój toruński z Polską stale połączoném nie zostało. Stary zamek nowski, dziś na szkołę luterską i pomieszkanie pastora obrócony, nie odpowiada w niczém swéj nazwie; jeszcze bardziéj podupadł dawny dwór starościński, zamieniony na szopę dla sikawek, bud i kozłów jarmarkowych i tym podobnych pięknych i pożytecznych sprzętów. Dawny kościół pobernardyński służy obecnie za zbór lutrom; katolicki kościół parafialny jest to poważna stara budowla, ale nie mieści w sobie nic wspomnienia godnego. — Posmakowawszy nowskiego piwa, o którém, chcąc powiedzieć prawdę, wyznaję, że nie jest tak dobre jak jego sława, wyruszyliśmy po półgodzinnym pobycie ku Grudziądzowi, który się już z daleka prezentuje jako znaczniejsze miasto.

Z budowli miejskich zasługuje najwięcéj na uwagę kościół parafialny św. Mikołaja, gmach poważny i przestronny, ale skutkiem ciągłych zmian i napraw przekształcony do niepoznania stylu. W kruchcie uderza mile arcyrzadki w tych stronach wizerunek Matki Boskiéj Często-

chowskiéj. Suto malowany obraz w wielkim ołtarzu przedstawia koronacyą Najśw. Panny; nad nim znajdują się obrazy patronów św. Mikołaja i Jędrzeja, ale wszystkie bez jakiéjkolwiek zalety. Znawcy podziwiają najwięcéj pięć obrazów starożytnéj sztuki, przedstawiających w nieco jaskrawych kolorach i grubych liniach na tle złotém mękę P. Jezusa; tak te, jak drugie pięć, odpowiednio umieszczone na przeciwnéj ścianie, a wyobrażające sceny z życia Matki Boskiéj, zostały przeniesione w to miejsce z kaplicy dawnego zamku. Z ołtarzy pobocznych odznaczają się mianowicie bogato pozłacany św. Kazimierza, Rocha i św. Barbary z napisem: Felix Portus Bonae Mortis Patrona S. Barbara; św. Anny, Opatrzności Boskiéj i Najśw. Panny z obrazem zapełnionym postaciami w stroju polskim. W pobocznym chórze widać pomnik Jakóba Czepańskiego († 1630), podkomorzego chełmińskiego i komendanta grudziądzkiego. Inny pomnik, który w roku 1849 przy renowacyi kościoła z ziemi wygrzebano, przedstawia rycerza z buławą, a nim jest hrabia Czapski, „Fundator Collegii Societatis Jesu. Benefactor Ecclesiae Parochialis Graudentinensis.“ Jego fundacyą zamieniono po zniesieniu Towarzystwa Jezusowego na katolickie seminarym nauczycielskie, przez kilka dziesiątek lat jedyne na całą prowincyą pruską.

Kurytarze tego zakładu były dawniéj ozdobione herbami i portretami naturalnéj wielkości rozmaitych dobroczyńców. — Przytykający kościółek pojezuicki, dziś seminaryjny, jest w stósunku do swoich szczupłych rozmiarów bardzo wysoki, a po każdéj stronie ma dwa rzędy okien, jeden nad drugim; nie mieści zresztą nic osobliwego.

Grudziądz, jak mniéj więcéj wszystkie miasta położone nad Wisłą, jest bogaty w piękności przyrody i malownicze widoki. Najpiękniejszy i najobszerniejszy widok przedstawia się z góry zamkowéj i od Strzębocina, dokąd wzdłuż brzegu Wisły śród cienistych zagajeń mieszkańcy licznie na przechadzkę uczęszczają. Dzięki Herostratowi pruskiemu, już kilkakrotnie wspomnianemu ministrowi Szretterowi, nie pozostało po starym zamku prawie nic, jak stara sto stóp wysoka baszta, Klimek, która się skutecznie oparła kilofom burzących ją ludzi.

W tym razie jednak wynagradza owę stratę widzowi śliczne panorama z wierzchołka góry zamkowéj i dopomaga skutecznie wyobraźni pobujać sobie po niezmierzonych obszarach przeszłości i przyrody, które nie dadzą się dosięgnąć motyką i gracą. U stóp góry rozkłada się po jednéj stronie wspaniałe miasto, usłane w gęstéj zieleni pysznych ogrodów i ciągną się piaszczyste, ciemnemi borami ocienione pagórki bińskie, z któremi się niejedno krwawe wspomnienie wiąże. Z drugiéj strony liżą podnoże Klimka mętne fale Wisły, która w tém miejscu tworzy dużą podługowatą kępę okrytą bujnym laskiem, a poza nią ginie w dali obszerny widnokrąg płaskich łąk i pól, zlewając się z obłokami w jedną szarą linią. Po téj stronie wspomnianych pagórków bińskich, pół mili od miasta, rzuca się w objęcia Wisły niewielka rzeczka, ale pamiętna w dziejach naszych; jest nią Ossa, w któréj Chrobry wbił pal żelazny jako groźny wykrzyknik, mający zagony dzikich Prusaków powstrzymać od dalszego posunięcia się w kraj polski. Po téj stronie Ossy wystawił

tenże Bolesław zamek Grodek, dzisiejszy Grudziądz, *) co zdaje się być zdrobniałém przekształceniem tamtéj nazwy, a który zmienną koleją losów, a mianowicie przez nieoględność osławionego Konrada Mazowieckiego, dostał się w posiadanie biskupa Krystyana (1222) czyli raczéj Kawalerów Teutońskich, dopóki 1466 do swoich dawnych panów dobrowolnie nie powrócił.

Historya Grudziądzka nie zawiera żadnych ciekawych szczegółów, mianowicie takich, coby nas bliżéj obchodziły. Długie panowanie Krzyżaków zrobiło z Grudziądza, podobnie jak z Malborga i Kwidzyna, miasto na wskroś niemieckie i zaszczepiło w mieszkańcach tego samego ducha dwuznacznego i skłonnego do intryg, jakim polityka Kawalerów tchnęła, co potwierdza niejeden fakt z czasów po przejściu tego miasta pod berło królów polskich. Mianowicie zaś dowodzi tego wiernopoddańczość jaskrawo okazywana dla nowego rządu po r. 1772. Zwłaszcza zasłynął Grudziądz podczas kampanii prusko-francuskiéj na początku tego wieku, jako jedna z małéj liczby fortec pruskich, które się nieprzyjaciołom nie poddały. Komendantem był wtenczas sławny rębacz Guillaume de Courbière, pochodzący z protestanckich wychodźców francuskich, którzy w Brandeburgu przytułek znaleźli. Blisko siedmdziesiątletni starzec, wysławiany w pieśniach patryotycznych jako „król Grudziądzki,“ był ślepo posłuszny, czynny, obrotny i bitny, ale przytém gburowaty w obyczajach i powierzchowności (najczęściéj

*) Inni wywodzę nazwę tego miasta od „grudy.“ Przyp. autora.

chodził bez surduta, w rękawach od koszuli i z rajtpajczą), ciasnego umysłu, szorstki i uparty, a nadewszystko surowy bez litości aż do barbarzyństwa. Tak n. p. nie karał zbiegów wojskowych — i to nie tylko w czasie wojny, ale nawet w czasie pokoju — inaczéj jak przez zakopanie żywcem i to niby dla odstraszenia drugich! Gdy podczas wspomnianych wojen napoleońskich pewna część załogi, składająca się z kilku set Polaków, podejrzenie zdrady na siebie ściągnęła, rozkazał ją natychmiast okrutny i popędliwy kapral na plac wyprowadzić, a nie mogąc wszystkich żywcem zakopać, kazał kartaczami aż do ostatniego rozstrzelać!! — Jako przez nieprzyjaciela nigdy nie wzięty, szczycił się Grudziądz przydomkiem „twierdzy dziewiczéj;“ skończył przeto jako „stara panna“, gdyż obecnie przestał istnieć jako forteca od lat kilku i służy chyba na pole ćwiczeń i popisów wojskowych.

Otrząsnąwszy proch miejski z obuwia, popędziliśmy daléj na południe ku metropolii ongi dyecezyi, a ogniska ruchu i życia polskiego w dawnych, a po części jeszcze w nowszych czasach, ku dziewięcio-pagórkowemu*) Chełmnu. Choć już oko dość nawykło do tych nizin nadwiślańskich, choć to Polska nasza przeważnie jak stół gładka, przecież nie można się oprzeć pewnemu zniżeniu, jakie na koniec jednostajna okolica na podróżnego wywiera, gdyż zielone wioski, kościółki, a obok nich wysokie kominy gorzelni

*) Chełmno ma w herbie dziewięć zielonych gór, na jednéj z nich czarny krzyż krzyżacki, — starszy herb przedstawiał rycerza w zbroi.

nie wystarczają nakoniec na urozmaicenie krajobrazu, podróż taka podobna do nudnéj książki lub do ciągłego karmienia się chlebem i wieprzowiną. W téj mierze przedstawiała mi się okolica chełmińska jakby oaza śród rozległych tłustych błoni, gdzie zmęczone oko znów na stromych stekach oprzeć się mogło, a wyobraźnia pohasać po malowniczych urwiskach i ciemnych jarach, sterczących wysoko nad chyżą Wisłą. Dodajże do tego tysiąc letnie niemal dzieje tego grodu i tych stron, zaludnij je sobie postaciami książąt pomorskich i królów polskich, komturów niemieckich i naszych biskupów, profesorów akademii i licznych zakonników, ożyw je brzękiem oręża i hukiem armat, odgłosem wymowy szlacheckiéj i pobożnych pieśni kapłańskich lub wesołych piosnek swobodnéj gawiedzi miejskiéj i wiejskiéj, — a zrozumiesz, z jakiém biciem serca, z jaką chciwością źrenicy wit*a*jśmy wyrastające przed nami wieże i szczyty tego prastarego, arcysłowiańskiego grodu! Zaprawdę, rzadko kiedy przedstawiało mi się jakiebądź miejsce w tak czarownem świetle uroku, ale bo téż rzadko która inna miejscowość może się poszczycić tak cudnym widokiem położenia i przyrody nadobnéj; a ku uzupełnieniu tego muszę dodać, że mi się rzadko kiedy przedstawiało inne miejsce w tak ponętny i ujmujący sposób zaraz na samym wstępie, jak właśnie Chełmno.

Wysiedliśmy nieco przed miastem, aby wygodniéj i dokładniéj ucieszyć się rozkoszną okolicą, któréj piękność przyrodzoną podniosła jeszcze sztuka ludzka, pozakładawszy po obu stronach drogi śliczne ogrody, a olbrzymie wały miejskie zamieniwszy na najpyszniejsze spacery. W tém

oto miejscu, gdzie je ulica przecina, stoi stara brama, u ludu zwana powszechnie Bramką, która to właśnie owo uczucie zadowolenia i podziwu zamieniła w szlachetniejsze nabożeństwa, wlewając w serce otuchę i nadzieję, a ujmujące i uprzedzające dla miasta. Na piętrze Bramki albowiem mieści się kapliczka Najśw. Maryi Panny, jak to kształt bramy dosyć wyraźnie zdradza; zewnętrzną ścianę szczytu zdobi ogromna rzeźba M. B. Bolesnéj z napisem w olbrzymich głoskach Monstra te esse matrem! Oczy moje przyzwyczajone na wstępie do jakiegoś miasta spotykać się jedynie z groźnemi przestrogami, lub nic nie znaczącemi obwieszczeniami, mile się rozjaśniły na ten zupełnie nowy widok, a równocześnie zaszły łzami rozczulenia, gdym spostrzegł poczciwych wiarusów i wieśniaczki, wracających z miasta do domu, jak się przed Bramką rzucali do stóp Królowéj świata, nie zważając na miejskich przechodniów ani ich się wstydząc, którzy jeżeli nie z oburzeniem, pogardą lub pewnym rodzajem litości, to w najlepszym razie z obojętnością spoglądali na klęczących „prostaków i dumme Polacken.“ A jam im zazdrościł i życzył szczęścia i powstrzymawszy kroku, myślą i sercem wtórowałich modłom, polecając ich i siebie, przyjaciół, Kościół i drogą ojczyznę naszéj Miłościwéj Pani i Królowéj Korony Polskiéj.

Nie wiem, jak długośmy stali w zadumaniu, gdy nam nakoniec wrzawa uliczna i strojne roje żydówek i Niemek spacerujących przypomniały rzeczywistość nędzną i jałową.

Stojąc nad samym brzegiem Wisły, którą jakieś przedmieście i rożne zakłady fabryczne

przedzielają od stromej góry, na której miasto zbudowane, widzisz przed sobą wysoko ciągnący się łukiem długi wieniec spleciony z starych baszt i murów, wieżyc i szczytów, czerwonych i szarych dachów i domów, wspaniałych klonów i kasztanów, słowem jak to wieniec na skroniach prawdziwego Tytana wyglądać powinien. Na prawym końcu tego wianka odbija się ostro na błękitném tle nieba klasztorek z wysmukłą wieżyczką, wiszący nad stromym stekiem góry, jakby gniazdo ptasze przylepione do skały, a ogromne lipy i olchy zdawają się trzymać go w silnych ramionach, aby się nie zerwał i ku Wiśle potoczył. Zaraz obok rozsiadł się nieforemny gmach z czerwonéj cegły w stylu nowo-pruskim czyli koszarowym, to jest gimnazyum; poza niem wystaje śmiało i ciekawie gustowna wieżyczka kościoła gimnazyalnego i coś jakby łysa czaszka olbrzyma, to jest dach kościoła pofranciszkańskiego. Obok stanął z kolei poważny gmach kościoła farnego z wysoką wieżą i maleńką sygnaturką, a nieco niżéj spustoszały kościół św. Ducha z mniejszą wieżą. Tuż obok wystrzela ku obłokom wcale innego stylu wieża czarna łamanéj roboty — to ratusz, a pomiędzy dachami kamienic wygląda jakiś karzeł swoją cienką szyję — to rezerwoar wody. Daléj rozpościera się inna świątynia rozrosła i barczysta, bo bez wieży to kościół podominikański, dzisiaj zbór luterski. Po lewéj zaś kończy nastrzępione półkole, już nam znana wdzięczna i miluchna Bramka. Ten widok uzupełniają niektóre znaczniejsze gmachy publiczne i prywatne, jak szkoła kadetów z kościółkiem, kapliczka św. Marcina, dziś na wewnątrz przebudowana na

salę posiedzeń Towarzystwa przemysłowego. Oczywiście, że Chełmno ma postać miasta katolickiego i pobożnego, chociaż liczba świątyń Pańskich zmniejszyła się z czasem. Mianowicie legły w gruzach, tak że dziś nawet ich miejsce niewiadome, jeżeli go pobożna ręka nie naznaczyła Bożą Męką, kaplica św. Jacka u Dominikanów, św. Agnieszki na Rybakach, św. Wawrzyńca, położona na wysokiéj górze ku Ściu i św. Jerzego na cmentarzu przed bramą grudziądzką.

Niemniéj piękny, a w swoim rodzaju jeszcze wspanialszy, tylko że w tych stronach nie tak rzadki widok otwiera Ci się z wysokiéj góry, na któréj miasto stoi, na płaszczyzny ciągnące się w około. Wracając przez poczciwe Rybaki, słynne przez swoich zuchowatych wiarusów, samych szyprów i rybaków, — postacie dla nas równie miłe i sympatyczne, jak wrogie i źle widziane dla cudzoziemców — i przechadzając się w rodzaju zachwytu po przecudnych tarasach spacerowych, dawniéj wałach fortecznych: zatrzymaliśmy się niedaleko Bramki, aby się uraczyć wspomnianym widokiem na Wisłę i poza nią szeroko rozpościerające się niziny. Obawiam się jednak, bym Cię nie znudził zbytecznie jednostajnością opisów widzianych okolic, lub byś mię nie posądzał o przesadę i uprzedzenie, gdyż zaprawdę musiałbym Ci znów przedstawić starą, już tyle razy wspomnianą Wisłę, góry i wioski, kościółki i zamki, gdzieniegdzie potrącić o komtura lub Lacha, a to zawsze to samo, chociaż w rzeczywistości zawsze inaczéj, a zawsze pięknie, a nawet każdy raz coraz piękniéj. Na Twoje szczęście nie dosyć mi znany obszerny krajobraz nadwiślański chełmiński,

podobny do olbrzymiéj szachownicy, nie byłem téż dosyć ciekawy dowiedzieć się nazwiska téj lub owéj wioski, jakby figur ustawionych na owéj szachownicy, bo zanadto były zajęte oko i umysł — Sartawicami i Świeciem, osiadłemi naprzeciw Chełmna po tamtym brzegu Wisły. Ach, bo Sartawice i Świecie, to jeden z klasycznych punktów ziemi pomorskiéj, to miejsce uświęcone sławą i krwią Pomorzan i ich rycerskiego wodza i księcia Świętopełka, który tu w obliczu sąsiada, czychającego w swém gnieździe (Chełmnie) na sposobność do zaboru Zawiśla, założył te dwa zamki obronne i takim sposobem przeciął żeglugę na Wiśle, co znaczyło, że powstrzymał Krzyżaków w dalszym pochodzie ku północy (1242). Niestety podczas nieobecności Świętopełka dostały się przez zdradę — ten ulubiony środek bojowniczy Teutońskich Kawalerów — Sartawice w ręce Niemców, a z niemi żona i syn księcia, dwunastoletni Mestwin, i jego najkosztowniejsze skarby, pomiędzy innemi głowa św. Barbary, którą rycerze do Chełmna przenieśli, gdzie z czasem przepadła, nikt nie wie jak i kiedy. I nie wróciły już więcéj Sartawice do swych panów, a z przeznaczeniem utraciwszy znaczenie, rozsypał się obronny zamek w gruzy, nie pozostawiwszy nawet śladu po sobie. Jego miejsce zajmuje dziś kapliczka dosyć modna św. Barbary, patronki żeglarzy, którzy tu od niepamiętnych wieków, jak za czasów Klonowicza, tak i dzisiaj jeszcze odprawiają swoje nabożeństwo, polecając się patronce szczęśliwéj śmierci.

Tuż pod górą sartawicką, pomiędzy Wisłą a ujściem kaszubskiéj Czarnowody i Błdy, leży Świecie, jakby przyczajone w jakimś złym za-

miarze. Resztki starych murów służą do dziś dnia miastu ku obronie przeciw upartszemu i silniejszemu wrogowi, aniżeli go Świecie kiedykolwiek w jakiéjbądź zbroi i pod jakiemi bądź znakami oglądało, to jest przeciw Wiśle, która prawie co rok nawiedza większą część miasta powodzią i grozi mu ostatecznem pochłonięciem. Znać że mieszkańcy przyszli nakoniec do przekonania, że ta walka nie znaczy nic innego, jak nieustanną klęskę bez nadziei zwycięztwa, dla tego postanowili opuścić dobrowolnie miejsca popisów odwiecznych, rzucając je na pastwę żywiołu, i przenieść się z budynkami i chudobą na bezpieczniejsze wyżéj położone wybrzeża, co zresztą trwać jeszcze będzie nie długo, gdyż dotąd przeniesiono już kilkadziesiąt domów na górę. Ponad nędzne nizkie domki i niepokazne ruiny zamczyska wznosi dumno ku obłokom czoło swoje okrągła wieżyca, pamiętająca jeszcze Świętopełka, przeszło sto stóp wysoki klimek, i kościół parafialny katolicki, zbudowany 1480 przez starostę Konopackiego, o którym podanie niesie, że stoi na miejscu świątyni drewnianéj, zbudowanéj przez Mieczysława Starego (1198?). Tyle pewna, że w wspomnianym roku został już kościół w tém miejscu poświęcony, co bardzo prawdopodobném, bo Świecie należało do znaczniejszych miejsc obronnych, było nawet przez pewien czas siedzibą udzielnego książęcia, dopóki 1311 nie przeszło w posiadanie Krzyżaków; po jego zajęciu przez Polaków(1460) zostały mury w większéj części rozebrane. — Odbijający się ostro od pięknéj zieleni modny gmach czerwony, ma smutne przeznaczenie, jest to bowiem dom obłąkanych; przed nim widać kościół i klasztór po-

bernadyński. Krótkość czasu niestety nie pozwoliła nam przeprawić się przez Wisłę do Sartawic i do Świecia, aby przynajmniéj podumać w cieniu pięknych drzew osłaniających owe ruiny nad przeszłością, a może nieco nad przyszłością, gdyż do oglądania niema tam bodaj nic szczególnego; ale ponieważ dumać można na każdém innem miejscu równie dobrze, zdołaliśmy się łatwo pocieszyć. Jak ogólnie utrzymują, zażywa dzisiejsze Świecie pewnéj renomy jako pnące się gwałtem do zdobycia sobie większego znaczenia. Jeżeli to w istocie prawda, nie byłaby to sława bynajmniéj oryginalna i właściwa samemu Świeciu; bo komuż nie wiadomo, że mniéj więcéj choruje każde miasteczko na żądzę przemienienia się w najkrótszym czasie na „Weltstadt?“ Ale może być łatwo, że to tylko Chełmniacy wymyślili na ohydę Świecian i aby pokryć własny zły humor, widząc, jak ich własne miasto traci prawie z każdym dniem z dawnego znaczenia, a inne wokoło zwolna się podnoszą.

Nim Cię jednak po prostych, jakby pod sznurem wyciętych ulicach Chełmna oprowadzę, które mi w téj mierze jak pod niejednym innym względem Gryfią na Pomeranii żywo przypominało, opowiem Ci w streszczeniu jego dzieje, których początek ginie w ciemnéj zamroce wieków. Tyle pewna, że ziemia chełmińska już wtenczas, kiedy po pierwszy raz w pewności światła historycznego występuje t. j. za czasów Bolesława Wielkiego, należała do ziem polskich. Wiadomo, w jaki sposób jéj się pozbył Konrad Mazowiecki na rzecz Kawalerów Teutońskich. Miasto Chełmno jest jednakże młodszego pochodzenia, albo wyraźniéj,

Chrobrowska twierdza Starogród, dziś tuż pod miastem położona wioska, została przez Krzyżaków opuszczona, którzy na szczycie góry Chełmu wystawili nową twierdzę i nazwali ją Neues Haus Culm czyli Neustadt; to ostatnie nazwisko nie utrzymało się czy też nie weszło w użycie. Że nazwisko góry i miasta czysto słowiańskie, nie ma potrzeby dowodzić, zarówno jakie jest jego znaczenie. Do licznych przykładów przytaczanych przez pisarzy, że Chełmno po łacinie Culmen, znaczy tyle co szczyt i że to nie nomen appelativum ale commune, dodam jeszcze ten jeden, którego m nigdzie niespotkał, że dziś powszechnie zwana góra ś. Anny w Górnym Śląsku zowie się właściwie Chełm czyli górą chełmską. Wielka część dziś jeszcze istniejących baszt i murów pochodzi z lat po 1239, w których je po zupełném zniszczeniu miasta przez pogańskich Prusaków na nowo z cegły bardzo starannie i regularnie odbudowano.

Przez wiele lat było Chełmno stolicą i głównem ogniskiem wojennych obrotów Krzyżaków na ziemi pruskiej, dopóki punktu centralnego nie przenieśli do Malborga. Atoli swój wzrost i swoję zamożność zawdzięczało daleko więcéj téj okoliczności, że bardzo wcześnie zostało przez Rycerzy uprzywilejowane prawem miast niemieckich czyli magdeburgią lub prawem śląskiém, tu przezwaném chełmińskiém z przyczyny, że w tém mieście znajdował się najwyższy trybunał sądowy dla wszystkich miast podległych berłu W. Mistrza. Do najważniejszych przywilejów mieszczan należało prawo wyboru sędziów, nabywania na własność gruntu (allodium), dowolnego sprzedawania i spuszczania majątku nieruchomego na córki; prawo

polowania i połowu ryb, jako też wolność od niektórych podatków i służenia z bronią w szeregach krzyżackiego wojska, wyjąwszy potrzeby bronienia granic. Z tém wszystkiém ciekawa jednak rzecz, że te liczne przywileje nie zostały przez Krzyżaków nigdy potwierdzone ani za pewne corpus juris uznane, słowem były raczéj łaską aniżeli prawem. Podczas rządów polskich sporządzono siedm edycyi prawa chełmińskiego w języku łacińskim i polskim, niewiadomo mi jednak, czy królowie polscy poszli za przykładem W. Mistrzów, czy też potwierdzili kiedy owe przywileje. Dzięki owym swobodom, do których należy policzyć jeszcze wolność od opłaty cła towarowego, podniosło się Chełmno do nadzwyczajnéj zamożności; oprócz polskich i niemieckich kupców mieli tu także Anglicy, Holenderczycy i Duńczycy swe składy, sklepy i śpichrze, było też Chełmno członkiem kupieckiéj Hanzy. Atoli wzrost Torunia i Gdańska przyćmił znacznie świetność Chełmna; jeszcze więcéj dały się spanoszonym mieszczanom we znaki surowe i zdzierecze rządy Krzyżaków, którzy po klęsce pod Grunwaldem odebrali miastu owe przywileje. W tym czasie wziął Jagiełło szturmem i głodem mocną twierdzę (1422), która niestety w niefortunnym pokoju, zawartym nad jeziorem Mielno, Krzyżakom napowrót oddaną została. Z pokojem wróciła zwolna dawna zamożność mieszczan i buta Krzyżaków, a skutkiem obu chętka do spisków i knowań, które w „związku miast pruskich“ wrogą dla rycerzy postać przybrały. Cel i koniec téj ligi wiadome; razem z drugiemi posiadłościami krzyżackiemi wróciło wreszcie Chełmno pod berło swoich pierwotnych

panów. Pod panowaniem polskiém — Chełmno było siedzibą kasztelana, który po biskupie pierwsze miejsce w województwie zajmował — uzyskał także żywioł polski większe znaczenie i dawną przewagę.

Chcąc choć w głównych zarysach poznać historyą Chełmna, musimy przedstawić a raczéj odgrzebać przeszłość. Jak zwykle przedstawiają najwdzięczniejsze pole w téj mierze kościoły i klasztory, które nasi ojcowie stawiali, w nich się modlili, często obradowali, a nakoniec chowali. Było niegdyś przysłowie; In dioecesi culmensi clerus non multus, sed magnus cultus. To może chyba odnosić się do całéj dyecezyi chełmińskiéj, ale żadną miarą do miasta Chełmna, gdzie musiał być niegdyś równie magnus cultus, jak był clerus multus. Pomijając, że tu było seminaryum duchowne, chociaż biskupi i kapituła rezydowali w Chełmży, miało także Chełmno kilka klasztorów męzkich i żeńskich, przy akademii bywało także po kilku profesorów, a przy farze kilku księży świeckich. Mieli tu bowiem swoje domy XX. Misyonarze, Franciszkanie, Dominikanie, Jezuici i Panny Benedyktynki; kościoły wymieniłem już przy opisie Chełmna, a było ich wszystkich siedm.

Do najwspanialszych świątyń w całéj dyecezyi chełmińskiéj liczy się chełmiński kościół farny sub titulo Assumptionis B. M. V. Jego początek i dzieje giną w zamierzchłéj przeszłości; późniejsze wizytacye biskupów mówią, że go wystawił Mieczysław I. 980 (?), co zresztą mało prawdopodobne; tyle jednak pewna, że go Krzyżacy już zastali i chyba tylko przebudowali.

Wnętrze kościoła dzieli się na trzy nawy, co

także po pokryciu zewnętrznem poznać można. Nad średnią nawą albowiem ciągnie się wązki dach wzdłuż od szczytu do szczytu, poboczne łodzie zaś są pokryte pięciu poprzecznemi daszkami jakby namiotami, co budowli wcale oryginalny widok daje. Przecudny widok przedstawia perspektywa od chóru ku wielkiemu ołtarzowi, który lśniący od obfitości złota, jakby wprawiony w czarne łukowe ramki, odbija się mile i charakterystycznie od białych, suto wystrojonych ołtarzy pobocznych, a obraz ten pomimo bogatej ornamentyki nie razi wcale zbytkiem lub jaskrawością.

Kaplic ma kościół dwie po obu bokach wielkiego ołtarza: w prawéj nawie Bożego Ciała, w lewéj Matki Bozkiéj. W tamtéj są ściany wykładane rzeźbami pełnemi sztuki i zalety mistrzowskiéj, przedstawiającemi figury symboliczne Przenajśw. Ciała Pańskiego n. p. kłosy pszeniczne, winogrady, pochód kapłanów z arką, mannę spadającą z nieba. Ołtarz kipi formalnie od złota, a miejsce obrazu zajmuje także przepyszna rzeźba, przedstawiająca Wieczerzę Pańską. Wejście zdobi gustowny portyk o szarych i złotych kolorach, co wobec nader bogatego wnętrza sprawia wcale miły kontrast, nie psujący bynajmniéj harmonii i dobrego wrażenia. Odpowiednio kończy się lewa nawa kaplicą Matki Boskiéj Bolesnéj.

Jeżeli pierwsza kapliczka dała Ci przeczuć groźną wspaniałość Przybytku Pańskiego, jeżeliś tam zadrżał przed majestatem Boga Przenajświętszego, jeżeli tłoczący sumienie żal wycisnął Ci z ócz łzy gorzkie, a na usta wywołał niemo wyrazy błagające kornie przebaczenia: tu owiewa Cię słodki zapach domu rodzicielskiego, tu wlewa rosę

niebieskiego spokoju w drżącą jeszcze duszę widok kochanéj Matuchny, a jéj oblicze i jej wzrok pełne boleści, bo na łonie trzyma ona martwe zwłoki jedynego Syna, dodają Ci tak dziwnéj śmiałości, że zapominając o sobie samym, o własnéj nędzy i grzeszności, ważysz się z Nią zapłakać nad jéj boleścią. O błogie chwile błogiego zapomnienia i wyzucia się siebie samego, obfitsze w błogosławieństwo matczyne, aniżeli wszelkie wysilenia w celu jego uzyskania! Jednak nie będę Cię dłużéj zaprzątał opisem własnych uczuć i wrażeń, których zresztą nie sam miałem szczęście doznać na tém miejscu, ale zapewne krocie przedemną i, daj Boże, drugie krocie tych, co tu po mnie modlić się będą. Dowodem tego są liczne wota w srebrze i złocie, któremi kapliczka zapełniona, chociaż świętokradzka ręka złodzieja nie zamarła w chwili, kiedy wielką część z nich przed kilkunastu laty sprzątnęła w ciemnéj nocy. Do poczetu szczęśliwych, którzy na tém świętém miejscu doznali szczególnéj łaski N. Panny i wdzięczną pamięć w złożoném wotum przekazali potomności, należą także X. biskup Teodor Potocki, sufragani Skotnicki i Szczuba, wizytator Bartłomiej Tarło, profesor Surowiecki, księni Magdalena Mortęska, mieszkańcy miasta Chełmna i wiele innych osób prywatnych. Ach gdyby te wota mówić mogły, gdyby każde z nich mogło nam opowiedzieć tragedyą życia swego wotanta aż do chwili, gdy tu zawieszoném było, podobnie jak pieczątka na liście lub krzyżyk na mogile, — ach coby to była za kronika!... — Od wieków odbywają się pobożne pielgrzymki do tego cudami słynącego obrazu, który za pozwoleniem

Papieża Benedykta XIV w r. 1752 i z polecenia X. biskupa Wojciecha Leskiego przez sufragana Fabiana Pląskowskiego uroczyście ukoronowany został; odpusty tutejsze należą z téj przyczyny do najwspanialszych i najliczniéj uczęszczanych w całéj dyecezyi.

Ołtarzy liczy kościół w ogóle ośmnaście, z których wielki wystawiony w r. 1710 staraniem X. Łukasza Rochena, przełożonego Misyonarzy, przedstawia na większym obrazie Wniebowzięcie N. P., na mniejszym Trójcę Przenajśw.; żaden z nich nie zaleca się sztuką. Silne wrażenie robi wspomniany już wyżéj ogromnéj wielkości łuk, umieszczony przy wejściu do presbyteryum, na którym figury P. Jezusa ukrzyżowanego, Matki Boskiéj i św. Jana sklepienia dotykają. Piękne stale zasługują i z téj przyczyny na wzmiankę, że rzeźby na nich wykonane przedstawiają prawie wyłącznie patronów polskich. Z drugich ołtarzy jest wspomnienia godny św. Jana Kantego, z relikwiami tegoż świętego, i św. Michała, najstarszy z wszystkich i z najlepszym obrazem całéj świątyni i to P. Jezusa Ukrzyżowanego, który podobno z Rzymu pochodzi; wreszcie ołtarz św. Wincentego a Paulo, który wystawiono na pamiątkę kanonizacyi tegoż świętego i poświęcono z taką pompą w dniach 6—8 maja 1730, że lud dziś jeszcze o téj uroczystości rozprawia. — Z znaczniejszych relikwii posiada kościół głowę św. Walentego w srebrnéj oprawie, która jest darem Jadwigi Działyńskiéj. Zaginęła wspomniana już głowa św. Barbary za czasów krzyżackich, i wedle jednych znajduje się w Malborgu, wedle drugich w Gnieźnie; sam przypominam sobie, żem gdzieś czytał,

iż ma się znajdować w jakimś kościele luterskim w Pomeranii, bodaj czy nie w Kołobrzegu, gdzie ją zakrystyan wraz z jajem strusiem, żebrami gadów przedpotopowych i innemi raritates ciekawym podróżnym pokazuje.

Organów ma kościół troje. Jak po innych kościołach w tych stronach widać jako szczególną ozdobę pająk w kształcie głowy jelenia. Jedni tłómaczą sobie tę ozdobę w znaczeniu symbolicznem wedle słów psalmu 41: Quemadmodum desiderat cervus ad fontes aquarum, ita desiderat anima mea ad te Deus; wedle drugich ma to być głowa wołu i być dowodem czci wiernych ku ś. Hubertowi, jako patronowi od bydła i łowów.

Wszystkie ściany kościoła są licznemi pokryte pomnikami, po większéj części osób prywatnych i urzędników miejskich; ale niektóre przechowują także pamięć o urzędnikach koronnych i różnych godności duchownych. Do pierwszych należą zwłaszcza imiona wielu rodzin szkockich i angielskich, które się w skutek prześladowania religijnego z ojczyzny swéj wyniosły i tu osiadły, mianowicie Smithów, Gordonów, Walterów, Arbuthnothów, Arysonów, Forbesów i innych znanych także w drugich stronach Polski. Obok nich spoczywają Kossendy, Dóbrscy, Grylewicze, Kolińscy, Konojadzcy, Bormanowie, Niemojowscy, których, gdyby nawet herby i nazwiska tego nie obwieszczały, podgolone czupryny, marsowe wąsy i żylaste twarze wydawałyby jako synów ziemi sarmackiéj.

Klasztór i kościół franciszkański powstał podobno już w r. 1255 pod wezwaniem św. Jakóba i Mikołaja i przetrwał szczęśliwie wszelkie złe czasy i burze aż do 1806, w którym uległ

kasacyi. Zacni Ojcowie zajmowali się obok zwyczajnych ćwiczeń nabożnych, mających ich własne udoskonalenie na celu, także dusz pasterstwem w okolicy, pełniąc mianowicie obowiązki proboszczów w Czystém, Starogrodzie, Błędowie, Płużnicy, przy kaplicy na dworze Działyńskich i niekiedy przy tutejszym klasztorze PP. Benedyktynek. Najpopularniejszy ten zakon na całą Polskę miał też wszędzie najliczniejszych dobroczyńców, którzy sobie hojnemi jałmużnami lub fundacyami wyrabiali prawo do modłów pobożnych ojców i przywilej wiecznego spoczynku w sklepach ich kościoła. Do poczetu nieboszczyków, którzy obok Ojców w ich kościele chełmińskim legli na sen wieczny, należą mianowicie Cerski, Słupska, Karłowski, Dębscy, Czeleski, Polszański, Rudnicki, Działowscy, Leski, Trzciński, Borowski, Kossowski, Aleksandra Piwnicka, Grodzińska, Katarzyna Niewieścińska i t. d. Niechże Cię te nazwiska nie zniecierpliwią zbytecznie; mnie bo takie katalogi są miłém wspomnieniem i dowodem budującéj pobożności naszych przodków; a wszakże ich potomkowie jeszcze nie wygaśli,może będzie niejednemu miło spotkać się z swojém nazwiskiem i pamięcią pradziada.

Przy klasztorze były dwie kaplice, jedna Wejherów, w któréj się ta rodzina chowała; kamień do grobowca z ich herbem leży dziś we wieczniku Sióstr Miłosierdzia. Druga zwana św. Krzyża była zbudowana przez posła Zawadzkiego w r. 1645. Biberstein-Zawadzki, pan rzadkiéj cnoty i pobożności, posłując w sprawach Rzeczypospolitéj do Hiszpanii, znalazł się przy téj sposobności w wielkiém niebezpieczeństwie życia

podczas burzy morskiéj. W téj gwałtownéj potrzebie uczynił ślub uroczysty, że w razie ocalenia życia podzwignie walący się w gruzy kościół franciszkański w Chełmnie. Bóg przyjął jego ofiarę, a bogobojny pan dotrzymał sumiennie swéj obietnicy, jak o tém dziś jeszcze świadczą silne skarpy i sztaby żelazne, broniące murów od upadku.

Ciało świątobliwego męża spoczywało przez długie wieki w sklepie kościelnym i to nienaruszone od zepsucia, dopóki za staraniem p. Wilkxyckiego z Wabcza do kościoła farnego przeniesioném nie zostało, aby je zachować przed profanacyą złych ludzi (15 paź. 1828 r.).

Była jeszcze druga przyczyna, dla czego się okoliczna szlachta prawie gwałtem cisnęła do grobowców OO. Reformatów. W nich albowiem spoczywały zwłoki dwóch mężów, których współcześni uważali jako świętych i obok których pragnęli czekać zmartwychwstania. Jeden z nich był doktor Jan z Torunia, przezwany z Łobdowa, który na instancyą X. biskupa Jana Lipskiego w r. 1638 przez głowę Kościoła w poczet błogosławionych świętych Pańskich policzony został, tenże biskup wystawił na cześć błogosławionego Jana ołtarz w kościele klasztornym. Drugi był brat Szymon także z Torunia, który swoim wzniosłym przykładem surowego życia i żarliwością w opowiadaniu słowa bożego zasłużył u potomnych na wielkie uwielbienie.

Kościół, 150 stóp długi, jest w stylu gotyckim stawiany; jego wysmukła, choć nie wysoka wieża, jest arcydziełem sztuki i gustu. Po sekularyzacyi stała świątynia przez wiele lat pustkami. Nareszcie zdecydował się rząd oddać zabudowania

Siostrom Miłosierdzia, nosząc się natenczas, jak mówiono, z myślą użycia ich w lazaretach wojskowych. Kościół zaś, z którego flizy z posadzki przeniesiono do Malborga, a prochy umarłych pochowano na cmentarzu farnym, walił się na dobre z wielką obrazą Boga i zmartwieniem pobożnych wiernych. Zaledwie w r. 1857 udało się gorliwym zabiegom zacnego dyrektora gimnazyum chełmińskiego, ś. p. Wojciecha Łożyńskiego, uzyskać tę ruinę dla pożytku i wygody gimnazyastów, i takim sposobem ocalił ją od zupełnéj zagłady. Po tymczasowéj reparacyi zawiązał się (1859) komitet, celem zupełnego odrestaurowania świątyni i zebrania potrzebnéj ku temu sumy 11,000 talarów. Bóg pobłogosławił tym szlachetnym zamiarom i wzruszył serca dobroczynne, tak że już 23 kwietnia 1868 kościółek swemu przeznaczeniu oddany i św. Wojciechowi poświęcony został. Jeżeli miło wspominać o szlachetnych czynach naszych przodków, czyż nie milej lub mniéj słusznie wplatać do wieńca wspomnień czyny ich potomków na równoczesnych? Powstrzymuję się jednak od wymienienia ich nazwisk, by czasem jednym przez przypadkowe pominięcie, drugim przez wygłaszanie, którego nie pragną, żadną miarą nie ubliżyć.

Im dłużéj Cię zająłem opisem owych świątyń, tém mniéj mam Ci do powiedzenia o kościele podominikańskim, dziś luterskim. Wedle podania miał go uczeń św. Dominika sam Jacek św. założyć 1228, któremu później wystawiono także kapliczkę. Z klasztorem tym był dawniéj połączony szpital. Po sześciu set latach, bo 1829 spotkał go równy los, co wszystkie inne zacisza klasztorne, kasacya pruska; odtąd rozsypywał się dom

Boży stale i szybko i doszedł nakoniec do takiego stopnia zaniedbania, że go lutrzy nawet za darmo przyjąć nie chcieli za swój kościół parafialny, żądając, aby im odstąpiono kościół pofranciszkański, albo zapłacono koszta reparacyi wynoszące kilka, czy kilkanaście tysięcy talarów. Wreszcie nie mogąc postawić na swojém, przyjęli ofiarowany kościół podominikański, by sobie zaś oszczędzić kosztów reparacyi, rozebrali całkiém pyszną wieżę, — budynki klasztorne już były dawniéj spłonęły. — Na zewnątrz dosyć wspaniały choć kusy, ale wnętrze jego robi nadzwyczaj smutne wrażenie: wiadoma prostota kultu luterskiego przeszła już tu w obojętność i rodzaj niedbalstwa czy lekceważenia; bo usuń tylko krzyż z ołtarza, a nie dopatrzysz się, czyś w kościele chrześciańskim czy w żydowskiéj bóżnicy. Ale nie, jest przecie jedna jedyna ozdoba, która przypomina, że to świątynia Boga chrześcian, a ta ozdoba pochodzi jeszcze z czasów katolickich; jest nią w szczycie nad ołtarzem umieszczona grupa wyobrażająca koronacyą N. P. Maryi. Tak więc Pani ongi tego domu na jéj chwałę wystawionego, nie opuściła go widocznie aż do téj chwili i strzeże bez ustanku swéj własności i własności tych dzieci swoich, które ją godnie i prawdziwie czcić umieją jako swoję Matkę, Panią i Orędowniczkę, które same jéj słowa prorocze zrozumiały: Ecce ex hoc beatam me dicent omnes generationes!

Dla dokładności wspominam nakoniec z żalem, — bo czyż to nie smutno zapisywać ciągłe upadki domów Bożych i ubytek chwały Bożéj? — że kościółek św. Marcina należący dawniéj

jako jakiś appendix do farnego, stał od r. 1836 ruiną dla zupełnego braku funduszów, w któréj gimnazyaści swoje graty do turniejów składali. Wreszcie ulitowało się nad nim Towarzystwo Przemysłowców i za inicyatywą księdza proboszcza odnowiło go własnym kosztem, zamieniając na salę swoich posiedzeń; oraz odbywają się tu także katechezy z dziećmi i inne zgromadzenia.

Przystępuję nakoniec do krótkiego opisu kościółka i klasztoru Panien Benedyktynek dziś Sióstr Miłosierdzia i to z pewném zadowoleniem, bo choć i tutaj więcéj smutku i cienia się znachodzi aniżeli wesela i światła, jest to przecież pewną satysfakcyą, że przynajmniéj ten jeden pomnik przeszłości przeszedł żywcem na nas, przetrwawszy różne burze i choć zmieniony, służy Bogu i ludziom wedle sił i możności. Czas założenia tego domu zupełnie niepewny; bo chociaż X. Fl. Jaroszewicz w swojém dziele Matka Świętych Polska, i X. Melchior Buliński w Historyi Kościoła polskiego, a nawet — świeżéj daty — tablica pamiątkowa w kaplicy klasztornéj utrzymują, że go Krzyżacy założyli i funduszem na utrzymanie 150 panien wystarczającym wyposażyli, trudno byłoby im dostawić dowodów na to twierdzenie, które samo z siebie nie jest bardzo prawdopodobném, pomijając nawet sprzeczność wspomnianych źródeł co do czasu i osób, którzy rzekomo dom ten wskrzesili. Wiadomo albowiem, że Krzyżacy nie byli wcale skorymi do zakładania osad zakonnych, owszém byli im przeciwni z zasady, a do tego nadzwyczaj oszczędni w wydatkach na te cele, okazując się nieraz wprost skąpymi i niesprawiedliwymi; zresztą prawie wszystkie zakony

i domy klasztorne w ziemiach pomorskiéj i chełmińskiéj, o których dotychczas mowa była, zastali już Rycerze przy zabraniu tych ziem. To wszystko czynił domysł uzasadnionym, że Bolesław Chrobry obsadził razem z Tyńcem, Łysą Górą, Sieciechowem i t. d. także górę chełmińską członkami reguły św. Benedykta.

Równie głucha i ciemna pustynia dziejowa zalega następujące wieki, o których zgoła nic a nic nie wiadomo, co się w tym domu działo. Szczęśliwym przypadkiem odkryłem w pewnéj plebanii na Kaszubach pisaną kronikę tego klasztoru, obejmującą kilkadziesiąt lat pod koniec szesnastego i początek siedmnastego wieku, któréj mi szanowny proboszcz łaskawie do użytku udzielić raczył. Może jeszcze mnie lub komuś zdolniej szemu uda się później wyzyskać ten skarb dokładniéj; na teraz ograniczam się na kilku słowach, że kronika obejmuje ważne lata rządów błogosławionéj ksieni Magdaleny Mortęskiéj, która obdarzona rzadkiém męstwem i cnotą, zdołała tę osadę przywiedzioną do ostatecznego upadku moralnego i materyalnego podźwignąć, nowém życiem natchnąć i tak silną uczynić, że na nowych fundamentach przetrwała jeszcze kilka wieków aż do naszych czasów.

Stan klasztoru PP. Benedyktynek krótko przed nastaniem ksieni Mortęskiéj opisuje wspomniana kronika jak następuje: „Gdy nieszczęsne herezye się rozmnożyły, słabieć i niszczeć poczęły zakonnice; w próżnowanie się wdawszy, do prywat się wszystkie udały, o pospolite dobro nic nie dbając żadnego nie czyniły starania, aby je między sobą zatrzymały. Do zakonu nikogoż

sposobnego przyjmować nie chciały i przyszło nakoniec do takiego spustoszenia, że tylko dwie panny zakonne zostały... Jedna z nich z wolności szkodliwéj heretyczką zostawszy, przywilejów klasztornych bardzo uszczerbiła, srebro i aparaty i ubiory kościelne przyjaciołom i powinnym swym rozdała, a prawie wszystek sprzęt domowy i klasztorny wypustoszała... ale potém za łaską Pańską się nawróciła do wiary katolickiéj i w téj wierze żyjąc kilka lat, umarła z nadzieją o miłosierdziu boskiém.“ — „Roku 1556 przyjechały dwie panny — mówi daléj kronika — zakonu bernardyńskiego, a trzecia panna z Gniezna zakonu świętéj Klary. Tych panien przyjąć nie chciano do klasztoru chełmińskiego, aż to biskup chełmiński na wstawienie się p. Służewskiego, wojewody brzezkiego, rozkazał. Te trzy pąnny czyniły starania jako mogły, aby poratować ten zakon i przyjmowały nie mało panien przez 22 lecie; ale iż nie miały ćwiczeń i żyły bez zawarcia klasztornego (klauzury) i znowu się do świata wróciły, — wtedy X. biskup już Piotr Kostka, miał wolą ten klasztór na jezuicki obrócić. Ale gdy się one trzy panny zastawiały, ksiądz biskup zaniechał.“ Ponieważ jednak szczegółowy opis zajść i zmian wedle kroniki za dalekoby prowadził, kończę dodając, że ostatnia z Sióstr reguły św. Benedykta w klasztorze chełmińskim, Agnieszka Plemięcka, umarła 1578.

W tymże roku sprowadziła się do Chełmna S. Magdalena Mortęska, a w następnym roku objęła urząd księni, i od téj chwili datuje się odrodzenie i nowe życie téj osady duchownéj. Magdalena z Mortąg Mortęska, córka Melchiora

podkomorzego malborskiego i starosty pokrzywińskiego, i Elżbiety z Kostków, wojewodzianki chełmińskiéj, a siostra Ludwika, późniéj wojewody chełmińskiego, wstąpiła 1578 do klasztoru PP. Benedyktynek w Chełmnie, i pod rządami S. Zofii Izbińskiéj, zakonu św. Franciszka, odbyła nowicyat świątobliwie i tak się przejęła duchem reguły św. Benedykta, jakoby tego zakonu nauczycielkę miała. Konsekrowaną została czyli złożyła śluby uroczyste w dzień Trójcy Przenajśw. dnia 4 czerwca 1579 przez swego wuja X. biskupa chełmińskiego Piotra Kostkę, a w tydzień później konfirmowaną na abbatysę czyli ksienią. Przekroczyłbym jednak granice listu i Twéj cierpliwości chcąc choćby tylko w stroszczeniu podać Ci pogląd na zbawienną czynność téj przezacnéj kobiety, która stała się reformatorką w najszerszém i najlepszém znaczeniu tego słowa i to nietylko klasztoru chełmińskiego, ale na całą niemal Polskę. Za jéj albowiem staraniem powstały całkiém nowe albo rozpoczęły nowy żywot klasztory Benedyktynek w Nieświeżu, Lwowie, Poznaniu, Toruniu, Sandomierzu, Radomiu, Sierpcu, Żarnówcu (przedtém Cysterki), a nawet Jezuitów w Toruniu, którym dom mieszkalny podarowała. Po żywocie pełnym zasług i pracy zasnęła w Panu ksieni Magdalena Mortęska r. 1631 w 63. roku żywota swego. Jéj ciało złożono w katakumbie klasztornéj, a jéj pamięć uczczono nagrobkiem, na którym dziś jeszcze wyczytać można następujące słowa:

Reverendissima Magdalena a Mortang . . . . . Magnifico Melchiore Mortęski succamerario culmensi patre et Matre Elisabetha Kostcianka . . . . . collapsi penitus monasterii culmensis resuscitavit et rexit et Mater consecrata anno . . . . obiit paratissima XV Februari MDCXXXI.

Przepisałem umyślnie ten ułamek w nadziei, że się może na kruchym papierze dłużéj utrzyma, aniżeli na twardym marmurze... Przy renowacyi kościoła i klasztoru, gdy jego rządy S. Meszyńska objęła około 1850 r., otworzono także trumnę ksieni Magdaleny i oglądano jéj ciało zupełnie nienaruszone z wyjątkiem jednego policzka. Następnie pochowano je uroczyście z szczątkami innych umarłych, jakie w owym sklepie znaleziono, i zamurowano szczelnie za ścianą nowo wzniesioną. Krzyż srebrny, który w trumnie błog. ksieni znaleziono, wzięto do użytku kościelnego i można go dziś jeszcze oglądać u Sióstr Miłosierdzia. W r. 1866 podjęto nową reparacyą posadzki w nawie kościelnéj i przy téj sposobności trumnę z ciałem czcigodnéj Mortęskiéj ustawiono na jakiémś miejscu, o którém nareszcie nikt nie wiedział. Dopiero w lecie roku 1881 odnaleziono tę trumnę pod cudownemi prawie okolicznościami, nad któremi się nie rozpisujemy, obawiając się, żeby to Siostrom Miłosierdzia w oczach ich nieprzyjaciół nie szkodziło. Biorący udział w obchodzie 50letniego jubileuszu dyrektora Łożyńskiego w dniu 4go paźdz. r. 1881 oglądali ciało Mortęskiéj, tak dobrze zachowane, że poznać można było niewiastę, bardzo podobną obrazom ją przedstawiającym. Ciało na twarzy jeszcze miękkie, jak u żywego człowieka, choć 250 lat upłynęło od jéj śmierci. Ciekawy życiorys téj świątobliwéj ksieni, napisany zaraz po jéj śmierci przez O. Jezuitę Stanisława Brzechwę, oddrukowany w Pielgrzymie na początku roku 1880, wyszedł w osobnéj odbitce pod tytułem: „Żywot świątobliwéj Magdaleny Mortęskiéj“ w księgarni E. Michałowskiego. w Pelplinie.

Od śmierci S. Mortęskiéj aż do nowszych czasów następuje nowa próżnia w dziejach tego domu i to aż do chwili kasacyi. 1824 opuściły na rozkaz rządu ostatnie Benedyktynki, a było ich jeszcze dziewięć, Chełmno i przeniosły się do Bysławka, własności klasztoru, gdzie dotychczas tylko emerytki ostatnię swe lata spędzały. Tu przeżyły biedne kobiety lat kilkanaście w największéj nędzy. Zaopatrywały je przecież Siostry Miłosierdzia chełmińskie w potrzebną bieliznę, odzież i t. d., o ile ich same na to stało, aż za zezwoleniem arcypasterza zabrała je wreszcie S. Meszyńska do Chełmna, gdzie ostatnia Benedyktynka na ziemi pruskiéj, S. Szymańska, umarła jako 90letnia staruszka. Oto dzieje klasztoru Panien Benedyktynek chełmińskich, wywołujące smutne myśli, że się widzi przed sobą żywot i dzieło niedokonane, styrane, zwichnięte. Pociesza tylko inna myśl, że P. Bóg zna całą sprawę dokładniéj i osądzi ją sprawiedliwiéj od nas, i że nie wszystko, co w oczach świata nędzne i marne, ponieważ się nie świeci i nie jest zapisane na marmurze lub kruszcu, jest także takiém w oczach Boga.

Pozostaje mi wspomnieć o ostatnim z klasztorów chełmińskich Sióstr Miłosierdzia, który od chwili swego założenia aż do dnia dzisiejszego trwa bez przerwy, co zaprawdę do rzadkich zjawisk w tych stronach należy. Córki Miłosierdzia św. Wincentego a Paulo sprowadził z Warszawy na to miejsce X. biskup Szczuka, a jego następca X. biskup Potocki wystawił im dom niedaleko fary i domu XX. Misyonarzy, Synów św. Wincentego, którzy, jak powszechnie, byli i tutaj kierownikami duchownymi i opiekunami Sióstr. Los

i dzieje tego zgromadzenia w minionych wiekach są mało znane. Polityczne zmiany pod koniec zeszłego wieku zachwiały także byt, a zwłaszcza nadwerężyły majątkowe stósunki Sióstr. Po kasacyi Benedyktynek przeniosły się Siostry Miłosierdzia w tychże klasztor 1825, a w ich własnym domu pomieszczono gimnazyum, a następnie katolicką szkołę elementarną, dziś symultalną. W wspomnianym roku było dalsze istnienie zgromadzenia najwięcéj zagrożone, i jedynie energii S. Schoene ma ono swój dalszy byt do zawdzięczenia. Ta albowiem udała się wprost do króla pruskiego, kiedy ten w Świeciu bawił, prosząc o sprawiedliwość przeciw uroszczeniom władz miejskich, i to z takim skutkiem, że za wdaniem się monarchy w sprawę ustały dalsze przykrości, a zwłaszcza pozostawiono Siostrom jako własność plac i ogród otaczający zabudowania. Prawdziwą jednak restauratorką zgromadzenia, domu, kościoła i budynków gospodarczych jest S. Aniela Meszyńska, Wielkopolanka, kobieta męzkiego hartu duszy, rzadkich zdolności umysłu i szlachetnych przymiotów serca, która ze wszech miar godna być nazwaną drugą Magdaleną Mortęską.

Z najgrubszego wyreparowała już zakład S. Schoene, która od 1849 aż do 1854 była przełożoną zgromadzenia. Pomimo to zastała S. Meszyńska stan zakładu w najsmutniejszém opuszczeniu, podobnemu do ruiny: płoty, stodoły i obory się waliły, dachy zaciekały, kościółek bez ozdób i aparatów, a w śpiżarni i kasie — pustki. Nadto niechęć władz świeckich, krępowały wszelką działalność i pozbawiały ją środków potrzebnych ku rozpoczęciu renowacyi. W tém opuszczeniu, gdy

już nawet kawałka chleba dla Sióstr zabrakło, poleciła pobożna przełożona siebie i swoję sprawę św. Józefowi, jako najmożniejszemu i najpewniejszemu opiekunowi wszystkich opuszczonych; u stóp jego złożyła ostatnie dziesięć fenygów — cały majątek zgromadzenia, i własne w smutku pogrążone serce, aby św. Józef daléj radził. I patrz, jeszcze tego samego dnia odebrała wcale niespodziewanie od pewnéj pani 25 talarów, — widocznie stało się to za sprawą św. Józefa! Także najprzewieleb. arcypasterz biskup Sedlag okazał swą życzliwość dla podnoszącego się zakładu i wyłożył na cele zgromadzenia 1000 talarów, zostając najgorliwszym przyjacielem i dobrodziejem tego domu. Ale prowadziłoby mnie za daleko, chcąc wyliczyć szczegółowo prace i zasługi S. Meszyńskiéj, które podczas swego przełożeństwa około klasztoru chełmińskiego położyła aż do r. 1863, w którym jako przełożona do Kościerzyny przeniesioną została. Wzorowy porządek wewnętrzny, nadobnie odświeżony kościółek, obszerny szpital z apteką, porządne stodoły, obory i ogrodzenia, prześliczny ogródek, a przedewszystkiém duch św. Wincentego, patryarchy zgromadzenia, którém ono oddycha i żyje, chwalą ją lepiéj od wszelkich słow uznania, któreby łatwo uważać można za zbyt pochlebne.

Tymczasem stał się dom chełmiński centralnym Zgromadzenia na Wielkopolskę, Prusy Królewskie i Śląsk, w którym się pod okiem Wizytatorki kształcą nowicyuszki na przyszłe siostry. Dalsze istnienie tego domu, jak wszystkich innych zakładów klasztornych i duchownych w całych Prusiech, spoczywa w ręku Opatrzności, która zrobi, co w jéj oczach najlepsze.

Z pomników posiada kościółek, oprócz już wymienionych dawniéj, tylko dwa starsze: jeden zbiorowy poświęcony pamięci księży Misyonarzy z takim napisem:

D. O. M.

Aeterni Sacerdotis ministri hic olim in vinea operati virginali, sacrificiis, conscentiarum arbitrio, Dei verbo hic, ubi laboravero, quiescunt, bonis operariis requiem et diurnum denarium precare, pie lector, ex alieno monumento tuum collige momentum, ex quo pendet aeternitas.

Drugi przechowuje w napisie i portrecie pamięć Władysława Dóbrskiego, pana na Wymysłowie i Rybińcu, chorążego michałowskiego i sędziego chełmińskiego a wielkiego dobroczyńcę Sióstr, który zmarł 1695.

Księża Misyonarze, którzy się razem z Córkami Miłosierdzia tutaj sprowadzili, zamieszkiwali w gmachu seminaryum duchownego niedaleko fary, dziś zamienionym na sąd powiatowy. Ich praca była z swéj natury cicha i głównie nauce i ascezie poświęcona, prócz kształcenia kleryków byli téż spowiednikami Sióstr. I oni przetrwali szczęśliwie pierwszą powódź kasacyjną, ale ulegli drugiéj, sprowadzonéj przez ustawę pruską o jezuitach z roku 1872. Ich skromny domek obok klasztoru siostrzyńskiego z miluchną kapliczką stoi pusty, ale nietknięty i nienaruszony, jak gdyby ojcowie tylko na rekreacyą do ogrodu wyszli...

Następnie obejrzeliśmy wnętrze czcigodnego wiekiem i przeznaczeniem gmachu Sióstr, w czém nam przew. S. Wizytatorka Balbina, wielce zasłużona i poważana przełożona całéj prowincyi, sama przewodniczyła, dając nam wszędzie z wielką uprzejmością potrzebne lub ciekawe objaśnienia. Główne zadanie Sióstr w zakładzie chełmińskim,

który jest także domem macierzyńskim na całą prowincyą, ogranicza się obecnie na opiekę około chorych, których zawsze po kilkadziesiąt w domu mają; przedtém, i to niedawno temu, zawiadywały także Siostry szkołą miejską żeńską i pensyą wyższą. Wszędzie, gdziekolwiek spojrzysz, czy w refektarzu, czy w salach dla chorych, aptece, ochronie i t. d. uderza cię wzorowy porządek, schludność, praktyczność, i wszędzie owiewa cię luba atmosfera modlitwy i namaszczenia t. j. duch boży, przenikający — powiedziałbym nietylko mieszkańców, ale i mury. Prawdziwą perełką jest chór siostrzeński na piętrze, jasny i przestronny, odznaczający się gustem i umiarkowaniem w ozdobach i urządzeniu, i dla tego jakoby tchnął pewną dziewiczą skromnością. Oby ten zakład trwał pod opieką św. patronki Matki Boskiéj Chełmińskiéj jeszcze długie, długie lata!

Na tém możnaby bez uszczerbku przerwać opis Chełmna, gdyż stósunkowo do wieku i dawnego znaczenia miasta, przechowało się mało zabytków starożytnych oprócz już wspomnianych. Ratusz w środku rynku zasługuje chyba na wzmiankę dla tego, że stary i oszarpany bez stylu. Niektóre malowidła na sali posiedzeń magistratu nie odznaczają się bynajmniéj sztuką, a wartość historyczną niektórych figur daje najlepiéj ocenić niefortunny pomysł, że pomiędzy niemi znajduje się wizerunek bajecznego założyciela Chełmna z napisem: Culmus, Waidewuti filius, primus dux Culmensis terrae.

Atoli byłoby niesłusznie zamilczeć o akademii chełmińskiéj. Była to t. n. kolonia akademii krakowskiéj czyli szkoła prowincyonalna, których alma

mater jagellonica liczyła w Polsce do czterdziestu i obsadzała profesorami. Taką pozostała szkoła chełmińska zawsze, albowiem bula papieża Urbana VI. d. d. Genua 9 lutego 1387, nadająca akademii chełmińskiéj przywileje kompletnego uniwersytetu (studium generale), a zwłaszcza prawo udzielania stopni doktorskich na wszystkich wydziałach, nie weszła nigdy w życie i użycie. Przez przeszło sto lat od chwili nadania przywilejów papieskich nie udało się Rycerzom Teutońskim postawić ani jednéj wyższéj szkoły w swém terytoryum pruskiém położonéj na stopie godnéj i odpowiedniéj swemu przeznaczeniu, lub rozwinąć ją do choćby tylko skromnego, lokalnego znaczenia. Dziwna to zaprawdę ilustracya do przechwałek o oświacie ludu i zasługach położonych przez Niemców około niéj i około nauk w tych stronach. Dopiero 1473 — a zatém po przejściu pod rządy polskie — została faktycznie szkoła ta otworzona, lecz tylko jako studium particulare czyli niekompletna akademia i zawisła od wszechnicy krakowskiéj. Biskupi chełmińscy i magistrat wyposażyli ją znacznemi funduszami, nadając wsie Gogolin, Steinweg i Młyn Żaki; zakwitła też dość szybko i przez 25 lat liczyła przeszło 400 uczni, — pomiędzy nimi odbywał także swoje nauki Mikołaj Kopernik, Torunianin. Atoli nauki Lutra, któremi się profesorowie przejęli, i utworzenie wyższéj szkoły w Gdańsku sprowadziły upadek akademii chełmińskiéj; jak się zdaje nie dbała też alma mater krakowska dosyć o obsadzanie katedr chełmińskich. W chwili gdy księża Misyonarze zarząd akademii objęli (1691), była szkoła ta tak dalece podupadła, że ją zaledwie kilkunastu żaków odwie-

dzało. Gorliwym staraniom X. superiora Fabri udało się natchnąć nowego ducha i nowe życie w gimnazyum akademickie, jak szkołę tę odtąd zwano; atoli frekwencya uczni nie przechodziła nigdy liczby 70, nie można było także otworzyć ostatniej klasy. Dopiero pod przewodnictwem X. rektora Stanisława Mrugaczewskiego (1756—1779) zakwitła szkoła na nowo i liczyła przeszło 200 uczni, którzy nie tylko nauki gimnazyalne pobierali, ale także filozofii i prawa słuchali. Podział Polski podkopał naturalnie pomyślność akademii; trzymała się atoli jeszcze aż do upadku Księstwa Warszawskiego, w którym to czasie odwiedził ją i zrewidował Niemcewicz. Następnie zamienili ją Prusacy na progimnazyum, ale odjąwszy jéj charakter wyznaniowy, położyli przez to tamę rozwojowi, ponieważ młodzież katolicka — polska stroniła od takiéj wtenczas nikomu jeszcze nie znanéj szkoły symultalnéj, do jakiejśmy dziś chcąc nie chcąc nawykli. Skutkiem tego niepowodzenia zostało progimnazyum wkrótce zamienione na wyższą szkołę miejską — „höhere Bürgerschule“, która po dziś dzień jeszcze pod tém samém mianem wegetuje. I nie dziw temu, bo jakież może mieć widoki powodzenia wyższa szkoła w nie wielkiém mieście, które ma kompletne wyborne gimnazyum?

Wspomniane gimnazyum zostało otworzone 3 sierpnia 1837, dzięki staraniom ś. p. biskupa Sedlaga, „für die Districte polnischer Zunge in West-Preussen“, ale z wykładem niemieckim ,a języka polskiego nie uczono nawet jako przedmiotu naukowego. Nastały atoli lepsze czasy i to tak dalece, że pod względem językowym stało się gimnazyum chełmińskie prawie symultalne i język

polski zażywał niemal równych co niemiecki praw n. p. w programach, — dziś znów inaczéj, a skutkiem téj zmiany należą najświetniejsze chwile téj szkoły już do jéj historyi minionéj. Owa złota epoka rozpoczęła się z objęciem dyrekcyi przez wielce zasłużonego ś. p. doktora Łożyńskiego; liczba uczni wynosiła wtenczas w przecięciu pięć set.

Jedynie dla uzupełnienia tego szkicu wspominam nareszcie o szkole kadetów, którą Fryderyk II w tém mieście założył (1776) i to z wypowiedzianym celem (jak w Słupsku na Kaszubach), aby synami szlachty polskiéj zapełnić szeregi i obsadzić stopnie oficerskie armii pruskiéj, tak jednostki, a przez nich całe rodziny zniemczyć, tylko że się wyrażono dyplomatycznie: „um dem zahlreichen unbemittelten Adel jener Provinzen die standesmässigen Erziehung der Söhne zu erleichtern.“ W tym zapewne celu powierzono zarząd zakładu Polakowi, kapitanowi Chlebowskiemu, sprowadzono na profesorów Jezuitów z Warmii, wykładano nauki po polsku, a nawet administracyą prowadzono przez jakie 50 lat w języku polskim! Pomimo to nie udawał się zamiar króla, szkoła stała pusta, tak że na jego rozkaz chwytano dzieci szlacheckie na polach i drogach i odstawiano na uczni do Chełmna, przyczém niejedno zabawne qui pro quo podobno miejsce miało. Z czasem atoli udało się przełamać nieco wstręt Polaków ku temu instytutowi i zapełniano go młodzieżą z téj narodowości przez długie czasy, dopóki żywioł niemiecki w tych stronach nie przemógł; mogło się to dziać bez obawy z strony pruskich władz, bo późniejsza służba w armii przerabiała uczni pochodzenia polskiego na gorli-

wych Niemców, jak to potwierdzają liczne nazwiska polskie w armii pruskiéj, z których niektóre już wymieniłem. Zakład ten rozwinął się dziś bardzo znacznie.

Za długom już zabawił się przy tych szczegółach, abym raz jeszcze miał podejmować opis miasta, którem szczerze polubił.. Kończę przeto mój przydługi list słowami, jakiem Chełmno pożegnałem, wybierając się w dalszą drogę, — i to ułamkiem sonetu Syrokomli do Bogarodzicy w bramie Słuckiéj, mając przed oczami Bramkę Chełmińską, — ale pozwalając sobie zmienić ostatnie trzy wyrazy:

Bogarodzico, ku litości łatwa,
Ty, co źrenicą czuwasz niezmrużoną
W bramie na warcie, aby twoja dziatwa
Bezpiecznie spała pod twoją obroną!

O strzeż tych świątyń, w których syn twój słodki
Odbiera od nas ofiary codzienne:
I strzeż te domy, te baszty kamienne,
Te rozwaliny, — wszak to dom sierotki. *)

Twój
Czesław.

Kochany Przyjacielu!

Toruń....

Charakter kraju pomiędzy Chełmnem a Toruniem jest czysto polski, scylicet równy i płaski, ztąd nieco jednostajny i nudny; podróż przez te wzorowo uprawiane chlebo- i złotodajne łany musi być dla serca hreczkosieja równie rozkoszną, jak

*) Syrokomla: — dawny gród Sierotki.

pierwsza wakacyjna wycieczka akademika w góry krakowskie; każdemu innemu podróżnemu pozwala słodko drzymać, jeżeli nie ma o czém dumać. Ja podziwiając ex officio i okiem niedoświadczonem laika praktyczną i materyalną stronę krajobrazu, że dla braku czasu nie mogłem go bliżéj poznać, bo to kraj nie tylko powierzchownie, ale na wskroś polski, w którym żywioł polski przeważa z dołu zupełnie. Przebiegliśmy tylko okolicę i otaczające pałace parki, zwłaszcza Turzna i Pluskowęs; ostatnie sławne z piękności położenia nad jeziorem chełmżyńskiém i widoku na równie pięknie położone miasteczko po tamtéj stronie jeziora. — Miłe godziny, nawet dni całe spędziłem w niejednym dworku szlacheckim, przypominającym mi, choć tylko en miniature, prawie na każdym kroku wzorowy dom i życie w dworze pana Podstolego; — za co szanownym gospodarzom serdeczne Bóg zapłać!

Na chwilę zatrzymaliśmy się w Chełmży dla obejrzenia kościoła, niegdyś katedry dyecezyi chełmińskiéj. Świątynia ta należy do najwspanialszych w całéj prowincyi, chociaż znacznie uszkodzona zębem czasu i zeszpecona wieżą banistą, nie przypadającą do stylu gotyckiego budowli. Kościół ten pochodzi z r. 1422, a był katedralnym aż do roku 1824; wspomnianą zaś wieżą wystawili 1692 Torunianie luterscy pro poena za jakieś wybryki, których się względem biskupa dopuścili. Wnętrze świątyni o trzech nawach przypomina nieco kościół chełmiński, ale weselsze sprawia wrażenie; rażą przecież ołtarze poodnawiane bez zastósowania do stylu budowli. Zadziwia także, jak ubogi ten kościół w malatury lub inne dzieła sztuki, a choćby

tylko zabytki starożytności; za to są wszystkie ściany, kaplice, i posadzka zapełnione pomnikami biskupów chełmińskich, których większa część tu spoczywa, i różnych dygnitarzy kościelnych i świeckich. Z pomników jest najpiękniejszy i zasługuje na podziwienie znajdujący się w presbyteryum sarkofag marmurowy Piotra Kostki, zmarłego 1590, biskupa chełmińskiego. Jak powszechnie w téj dyecezyi, posiada i tenże kościół misternéj roboty stalle w presbyteryum. Z zabudowań otaczających niegdyś katedrę, istnieją dziś tylko podziemne sklepy, a ślady pałacu biskupiego możesz oglądać w bok drogi prowadzącéj z Chełmży do Torunia, tuż za dworem w Tylicach. Licznie napotykające się tu w ogrodzie i zakopane w ziemi gzymsy z czerwonego piaskowca, naglówki filarów i tym podobne ozdoby architektoniczne, opatrzone częstokroć w insygnia władzy biskupiéj, każą się domyślać wspaniałości pałacu, a łosy i groble i znachodzące się niekiedy w roli kule armatnie i zbrojne żeleścia pozwalają wnosić, że zamek ten służył także za twierdzę obronną. Nie wiadomo mi, kiedy i czyją sprawą legł w gruzach; musiało to jednak nastąpić w dość dawnych czasach, kiedy jego losy świetne i żałosne nie przechowały się, czy wyginęły już u okolicznéj ludności w wieści gminnéj, „téj arce przymierza między dawnemi i młodszemi laty.“

Aczkolwiek ożywiony gęsto nasiadłemi wioskami, zawsze jednak jednostajny krajobraz nabiera dopiero większéj rozmaitości i staje się prawie zachwycającym na widok kochanéj Wisły i prastarego Torunia, który zaraz na pierwszy rzut oka usprawiedliwia swój przydomek „ceglanego,“ i

przypomina ironiczne wyrażenie: „zbladł jak cegła toruńska.“ Liczne i wspaniałe wieżyce i zbita masa czerwonych domostw nadają mu postać znaczniejszego miasta. Darujmy sobie, kochany bracie, uczone brednie i marzenia niemieckich Herodotów starej i nowszéj daty, którzy dowodzą — co zresztą dla prawdziwego Germana jest rzeczą pewną a priori —, że Toruń i nazwę i byt swój zawdzięcza Niemcom, że przed przybyciem Krzyżaków nie było nawet śladu osady ludzkiéj nad Wisłą, tam gdzie się dziś poważny Toruń rozkłada. Że Długosz wspomina już o Toruniu czyli Tarnowie (Mazowieckim) pod r. 1192, że Konrad w przywileju nadanym biskupowi Krystyanowi 1222 wymienia także to miejsce, że nawet Krzyżacy sami, przybywszy w te strony, obrali sobie za punkt oparcia i jako centrum swych ekspedycyi w tych stronach zgliszcze obronnego zamku i kościoła chrześciańskiego, zburzonego przez pogańskich Prusaków i miejscowości téj nawet starą nazwę Thorun pozostawili, — to historyków niemieckich nie żenuje bynajmniéj. Charakterystycznem jest także rozporządzenie rady miejskiéj z r. 1477, zabraniające pod surową karą, aby miasta nie zwano już nadal Thorun, ale Thorn, chociaż w herbie miejskim zatrzymano niekonsekwentnie dewizę: civitas Thorun. Wogóle odznaczała się niemiecka ludność i miejska zwierzchność Torunia przez wszystkie czasy nienawiścią, nietolerancyą ku pierwotnym mieszkańcom téj ziemi, gdzie znalazła przyjęcie gościnne. Zdaje mi się, żem już na innem miejscu wspomniał o rygorystycznych przepisach cechów władz komunalnych, pozbawiających Polaków wszelkiego prawa, nie pozwalających im osiadać w

mieście, uczyć się pewnych rzemiosł, słowem, czyniących im pobyt w tém mieście prawie niemożebnym i zaledwie niechętnie ścierpianym, w czém się nawet władze miejskie przeciwnym rozkazom W. Mistrza stanowczo opierały.

Z tém wszystkiém Toruń nie był, nie jest i nie będzie nigdy przenigdy miastem czysto niemieckiem. Trzymając się tylko czasów dzisiejszych — co do przyszłości, to zadanie dla naszéj potomności! — przyznać muszę, żem się nie mało zdziwił, poznając w Toruniu miasto prawie zupełnie polskie: wszędzie po ulicach rozlega się język polski, po wszystkich sklepach i hotelach rozmówisz się po polsku, bo nietylko wiecha i godła rzemieślnicze z napisami polskimi liczniejsze, aniżeli w Chełmnie, ale nawet afisze polskie po rogach ulic nie rzadkie.

Dzieje Torunia nie różnią się w niczém, jak już zauważyłem wyżéj, od historyi drugich miast w téj ziemi: miasto dźwignięte przez Krzyżaków w celach strategicznych, wyposażone bogato przywilejami w celach politycznych, stało się wkrótce wrogiem swych panów i dobroczyńców. Jest to rodzaj nemezys historycznéj, że jak zakon teutoński był owym wężem, którego Polska dla własnéj zguby na swojém łonie wychowała, tak samo zamieniły się jego faworyty na najzgubniejszych zdrajców, — w téj mierze jest téż nazwa znanych „Towarzyszów jaszczurczych“ bardzo charakterystyczna i dobrana. Obok sporów z zakonem, starającym się zapózno ująć w ściślejsze karby rozzuchwalone przywilejami i dobrobytem mieszczaństwo, szły nieustanne zatargi o pierwszeństwo z Nowém miastem, które 1264 statut miejski uzy-

skało, ale zresztą nie było nigdy w stanie mierzyć się z Starém miastem pod żadnym względem, co już z jego mniéj korzystnego położenia wynikało. Rząd polski położył raz na zawsze koniec tym niesnaskom przez połączenie dwóch miast w jednę komunę. Pierwszy niefortunny dla Polski traktat toruński z roku 1411 oddał to miasto z wszystkiemi zdobyczami Jagiełły pod panowanie W. Mistrza; drugi pokój toruński (1466) połączył je za to na zawsze z Rzecząpospolitą, nadając mu liczne przywileje. Z czasem uzyskał Toruń prawo głosowania przy elekcyi króla, prawo miecza, uwolnienie od cła za towary wychodzące za granicę, prawo nabywania dóbr szlacheckich, bicia monety, swobodę wyznawania nowéj wiary (1558) i wiele innych; na mocy ostatniego przywileju otrzymali nawet lutrzy kościoły św. Jana, Jakóba, Jerzego i Panny Maryi. 1595 odbyli tu innowiercy, kalwiniści, luteranie i bracia czescy z wszystkich województw Polski i Litwy zbór powszechny, który w 18 artykułach objął główne rozporządzenia administracyjne, obowiązujące protestantów w całéj Polsce. Atoli w chwili wprowadzenia Ojców Jezuitów do miasta przez Zygmunta III., którym — rok po wspomnianym zborze — oddano kościół św. Jana, wszczęły się nieustanne swary religijne i powstało głęboko sięgające rozjątrzenie mieszczaństwa różnego wyznania, które w r. 1724 sprowadziło ową smutną katastrofę, znaną w historyi jako „tragedya toruńska.“

Wiadomo, że burda, jaka się podczas procesyi na Boże Ciało pomiędzy studentami jezuickimi i mieszczanami wszczęła, dała motłochowi niemieckiemu pochop do formalnego rozruchu, skierowa-

nego przeciw kolegium Jezuitów i kościołom katolickim, z których nawet sprzęty kościelne powynoszono i palono publicznie. Wiadomo także, że Jezuici zanieśli o to skargę do króla i sejmu, któremu król sprawę oddał, złożył sąd ad hoc pod przewodnictwem księcia Lubomirskiego, który wydał zbyt surowy wyrok, skazujący burmistrza Reznera i jedenastu mieszczan na gardło. Wyrok został spełniony w dniu 7 grudnia 1724.

Dużo ucierpiał także Toruń podczas wojen szwedzkich, w skutek swéj chwiejności i nieszczerości dla Korony, do któréj przecie należał sua sponte et rite. Jednak dopiero przy trzecim podziale kraju przyłączony został do monarchii pruskiéj, a od r. 1807—15 stanowił część W. Ks. Warszawskiego. Chwila ta wytchnięcia, aczkolwiek krótka bardzo i zapełniona klęskami wojennemi, nie pozostała jednak bez skutecznego i trwałego wpływu na ludność i jej usposobienie: przyczyniła się bowiem do obudzenia pamięci o dawnéj sławie i swobodzie, do odświeżenia tradycyi.

Wspomniane już tu. nowe miasto odpowiada pomimo swego wieku zupełnie swéj nazwie; bo jakkowiek wiekiem nie wiele się różni od starego grodu, ma przecież widok dość świeżego miasta z prostemi ulicami, zastawionemi kamienicami bez powagi i gustu. Środek rynku zajmuje długa budowla. Jest to niefortunna próbka stylu starogotyckiego, pochodząca z r. 1824, gdy na miejscu rozebranego kościółka protestanci nowy sobie wystawili. Zewnętrznéj nieforemności odpowiada puste wnętrze kościoła. — Zaraz w rogu rynku wznosi się poważna wiekiem i postawą katolicka świątynia św. Jakóba, ozdobiona dwiema ku gó-

rze grubszemi wieżami, pochodząca z r. 1300. Wnętrze nieco przyćmione z powodu zbyt nizkich okien, traci wiele na swéj architektonicznéj piękności przez nieodpowiednie przyozdobienia, ołtarze, ambonę i t. d., będące w sprzeczności z stylem budowli. Na szczegółowe wspomnienie zasługuje przedzielający presbiteryum od naw łuk śmiały, pokryty pięknemi rzeźbami, i wizerunek Ukrzyżowanego, przejmujący grozą dla swéj okrutnéj trafności. Z malatur liczy się do najlepszych historya św. Stanisława, przemawiająca mile wyrazem prawdy i naturalności, które się wyrażają na twarzach i w postaciach osób występujących, przybranych w strój narodowy ówczesny; drugi obraz starożytny Jerozolimy i Męki Pańskiéj à vol d'oiseau. — Zewnątrz ciągnie się w około muru kościoła napis na glazowanych cegłach wypalony — podobnie jak na kościele chełmżyńskim, zawierający, jak się zdaje miejsca z psalmów; podobne ozdoby znachodzą się bardzo rzadko i to przy najstarszych kościołach. Właśnie przez sto lat 1567—1667) był kościół św. Jakóba w posiadaniu lutrów, poczém dostał się Siostrom reguły św. Bernarda, późniéj Benedyktynkom; przy kasacie (1833) została większa część zabudowań klasztornych rozebrana, pozostałą zamieniono na koszary i więzienie. — Przeszedłszy kilka uliczek i bram ciemnych i ciasnych i skręcając się nieznacznie ku Wiśle, dostajesz się na tak zwany Zamek t. j. dziś pusty plac, gdzie ongi zamek komturów groźno i dumnie nad miastem i okolicą panował. Pozostałe szczątki nie pozwalają z pewnością osądzić rozmiarów i obronności téj twierdzy, jednéj z pomiędzy pierwszych wzniesionych

przez Krzyżaków na ziemi pruskiéj respektywe polskiéj; można się jednak domyśleć, że budowle musiały być bardzo znaczne ze względu na ważność miejsca i poważną liczbę rycerzy, księży i knechtów, którzy jego stałą załogę stanowili. Z opisów wiadomo, że oprócz przestronnych pomieszkań, pomiędzy niemi po księżęcemu urządzone komnaty i przestronne sale komtura, posiadała twierdza osobny kościół, mennicę, młyn, tu. dancygiery, dom dla gości, szpital, obszerne stajnie i t. d. Wszystko to spłonęło podczas oblężenia zamku przez Torunianów — bo nigdzie nie panowała tak zawzięta nienawiść mieszczaństwa ku Krzyżakom, poddanych ku własnym panom, jak w tém mieście — po części podpalone przez Krzyżaków w celu obrony, po części przez mieszczan po kapitulacyi. Najznaczniejsza ruina, która wszystkie pożary i burze przetrwała, jest zadziwiająca swoją ogromnością brama sklepiona, szerokości i wysokości 29 stóp; nie wiem, czy się coś podobnego powtarza często w sztuce architektonicznéj.

Najpiękniéj przedstawia się miasto z lewéj strony Wisły widziane. Właściwe miasto otaczają liczne przedmieścia, wile, ogrody publiczne i fortyfikacye bardzo rozległe, służące zarazem za promenady; piękny ale nam już znajomy widok przedstawia przedewszystkiém Wisła, przypominająca ożywiony i ruchliwy obraz obozu. — Sam środek miasta zajmuje rynek, a tegoż środek zalega ogromny gmach ratuszowy, 167 stóp długi a 140 szeroki; nie imponuje wszelako ani starożytnością, gdyż wybudowano go dopiero 1703 od samych fundamentów, ani wytwornością stylu, ani śmiałością, chyba kolosalnością rozmiarów.

Składa się zaś z czterech z sobą w czworobok połączonych skrzydeł, które przedziela duży dziedziniec i cztery przejścia przez środek frontu, jak Sukiennice krakowskie lub ratusz sztralsundzki. Cztery rogi gmachu zdobi tyleż wieżyczek okrągłych murowanych; na facyacie południowo-wschodniego skrzydła wznosi się nieco wyższa wieża, ale ani w środku facyaty ani w żadnym stosunku do całości, co równie z innemi uchybieniami przeciwko symetryczności grzeszącemi, oko razi. Oprócz władz komunalnych mają w ratuszu swe pomieszczenie policya, sąd powiatowy, biblioteka miejska, muzeum starożytności i t. p. Wszystkie kurytarze, przestronne i jasne, są zapełnione malaturami, herbami i portretami zasłużonych lub sławnych Torunianów nowszych i dawniejszych czasów. W muzeum zasługuje na uwagę kompletny zbiór portretów królów polskich; pomiędzy niemi mają się znajdować cenne oryginały, ale też i kopie. Reszta jakkolwiek obfitego zbioru nie odznacza się w niczém przed innemi tego rodzaju „muzeami," są tam nova et vetera z wszystkich krańców świata i z wszystkich wieków zebrane. Najciekawsze i najkosztowniejsze pod względem starożytności i wartości moralnéj są wielkiéj liczbie i dobrze utrzymane foliały, dotyczące spraw miejskich, sądowych, politycznych, cechowych itp., czekające umiejętnéj ręki, któraby je uporządkowała i wyzyskała skarby w nich zamknięte.

Kościół św. Jana Chrzciciela i Ewangielisty, którego budowa trwała od 1231 aż do 1388 r., uległ w upływie wieków różnym zmianom tak co do budowli, jako i przeznaczenia. Jest to nieco sztywna i ciężka masa, jak niemal wszystkie świątynie

pokrzyżackie, nie tyle z powodu ogromności i rozmiarów, ile raczéj materyału użytego, ceglanego, który nie pozwala rozwinąć się liniom architektonicznym śmiało i giętko. Ku temu przyczynia się téż nie mało brak symetryi w wieży, która w miarę swéj ogromnéj grubości powinna mieć przynajmniéj jeszcze drugie 126 stóp wysokości. Nie stety, także wnętrze kościoła jest prawie całkiem ogołocone ze swoich pierwotnych ozdób: znikły ołtarze gotyckie, ambona, konfesyonały i stalle, znikły malatury ścienne i okna ze szkła malowanego, a ich miejsce zajęły szyby bezbarwne i nieforemne sprzęty. Wyjątek stanowi tylko ołtarz św. Szymona i Judy, stylu czysto gotyckiego, z wybornemi rzeźbami, malaturą i pozłotą, ale podobno — jak większa część przedmiotów w kościele umieszczonych — przeniesiono w to miejsce zkądinąd. Jestto tém więcéj prawdopodobne, że wspomniany ołtarz — miał służyć królowi Janowi III jako ołtarz obozowy, o czém także tablica pomnikowa wspomina, umieszczona w późniejszych czasach na sąsiednim filarze. Także ołarz św. Maryi Magdaleny uderza osobliwością posągu św. pokutnicy, wykutego z jednego głazu en haut relief. Do starszych wiekiem i lepszych wykonaniem należy też ołtarz Bożego Ciała z roku 1353. odnowiony przez Andrzeja Stacharskiego 1753 r., i kongregacyi niemieckiéj, fundowany przez Fukierów. Z malatur nielicznych jest bez zaprzeczenia najdoskonalszy i najstarszy wizerunek N. M. Panny ukoronowanéj, znajdujący się na filarze narożnym wyżéj pomnika kopernikowego. O ile się na malarstwie znam, przypomina takowy styl bizantyjski czy téż staroniemiecki; tyle pewna, że

historya tego obrazu wcale nie wyjaśniona. Napisu w wypukłych literach na ramkach umieszczonego niemogłem wyczytać, ponieważ po części starty lub zakurzony; wyraźny zaś podpis: Caratiolius Venetus. Magister Crucifecorum a. 1268 vixit annos 78, nie wiem na pewno, jakieby miał znaczenie.

Na tym samym filarze wisi wizerunek Mikołaja Kopernika, z pięknym wierszem, podobno własnego układu wielkiego astronoma:

Non parem Pauli gratiam requiro
Veniam Petri neque posco, sed quam
In crucis ligno dederas latroni,
Sedulus oro.

Portret, przedstawiający Kopernika w postaci klęczącéj u stóp krzyża, jest fundowany przez fizyka toruńskiego Pyrnczyusza Krakowianina (umarł roku 1589) .... ne tanti viri apud externos celeberrimi in patria sua periret memoria. — Drugi pomnik Mikołaja Kopernika, fundacyi księcia Józefa Jabłonowskiego, znajduje się niżéj pierwszego. Takowy przedstawia popiersie astronoma z białego marmuru wykonane przez Krakowianina Wojciecha Rojowskiego, umieszczone na dosyć wysokim czworograniastym słupie z ciemniejszego marmuru z przydłuższym napisem łacińskim. Losy tego pomnika opisuje X. Polkowski w Żywocie M. Kopernika na stronie 289. jak następuje. „Kiedy pomnik Jabłonowskiego dla Kopernika sprowadzony już został na miejsce do Torunia, magistrat tego miasta wzbraniał się z początku wystawić takowy na miejscu publicznem, podając za przyczynę mierność roboty i nieszczególny napis, właściwie zaś nie podobało się szanownemu magistratowi, że

pomnik wyraźnie opiewał, iż wzniesiony jest Kopernikowi jako Polakowi, a że wtedy rada miejska toruńska, dla smutnéj pamięci sprawy z Jezuitami, z zawziętością patrzała w Toruniu na wszystko, co nie było niemieckie, porzucono przeto pomnik Kopernika w jakimś ratuszowym sklepie, zkąd go potém dopiero, gdy za czasów księstwa warszawskiego Rada Stanu rezydowała w Toruniu, staraniem rodaków naszych wydobyto i umieszczono w kościele św. Jana, gdzie się dotąd znajduje.

Z innych starożytności wspominam jeszcze posąg kamienny Mojżesza, ogromne pająki mosiężne, pomnik burmistrza toruńskiego Jana Zoesta i króla Jana Olbrachta, który w Toruniu umarł i którego serce i wnętrzności złożono w tymże kościele. Zresztą trudno naliczyć, co tu pomników i pomniczków, portretów, napisów i tablic, poświęconych pamięci biskupów, królów, magnatów, wojskowych, burmistrzów, słowem wszelkiego stanu osobom, które zresztą przeniesiono dotąd z innych kościołów. Wiele zasługi zjednał sobie względem przeszłości, a wdzięczność naszę i późniejszych czasów Jakób Kazimierz Rubinkowski, który z kilkanaście tablic pomnikowych wystawił po katolickich kościołach toruńskich, poświęconych pamięci wielkich przodków lub nabożnych fundatorów. Ze względu na cel szlachetny i gorliwą zabiegliwość można mu chętnie darować, że nie był dosyć krytycznym w układaniu przekazywanych wiadomości. Aliści ileż to jest pomników wogóle mówiących szczerą prawdę? W téj mierze nie są niedokładności i omyłki w napisach Rubinkowskiego najgorsze, o ile że się tylko cza-

sem w datach i imionach myli. Nie podobna także oglądać pięknego portretu córki Rubinkowskiego, Maryi Konkordyi Józefy, bez wzruszenia i czytać wylania serdecznego żalu ojcowskiego po stracie swéj jedynaczki, zmarłéj w kwiecie wieku krótko przed ślubem, i po stracie syna Jana Karola, który także w młodym wieku ojca przedwczesną śmiercią ubiegł.

Arcyciekawy zabytek starożytności przedstawia oryginalna chrzcielnica, któréj pochodzenie i historya wcale nie znane. Podstawa jéj jest okrągła, kamienna; sama chrzcielnica z kruszcu białego jak cyna, ale twardego i jasnego dźwięku. W około ciągnie się wśród łukowatych ozdób napis wypukły; litery są charakteru Kirilicy, ale bez znaczenia, gdyż podług nowych badań służyły także niekiedy bezmyślnie zestawione litery litylko ku ozdobie.

Świątynia P. Maryi, równa wiekiem i wspaniałością kościołowi św. Jana, była najdłużéj w ręku lutrów, bo przeszło dwieście lat, i dopiero po znanym procesie z 1721 r. ustąpiono jéj i oddano Reformatom. Czas, burze i wojny a zwłaszcza zostawanie w ręku innowierców dały się świetnéj budowli mocno we znaki, to też jéj wnętrze, ogołocone z wszelkich ozdób, opatrzone w ubogie, niegustowne ołtarze sprawia smutne wrażenie opuszczenia. Najwięcéj zadziwia śmiałość sklepienia, spoczywającego na wysmukłych przeszło 60 stóp wysokich filarach i równie wysokich ścianach, sterczących śmiało do góry bez zwykłéj szkarp podpory.

Z obrazów są godne uwagi Ecce homo, ex aula seren. Joannis III. regis, i prastary wizeru-

ki: Faire connaître la Pologne, c'est la faire revivre.

Twój

Czesław.

KONIEC.

SPIS RZECZY.

List	I. Chojnice	3
„	II. III. Kościerzyna	18
„	IV. Kaszubska Szwajcarya — Kartuzy	55
„	V. Wejherowo — Puck — Jastarnia Pucka i Gdańska — Hela .	76
„	VI. VII. Copoty (Sobótka) — Oliwa	89
„	VIII. IX. X. Gdańsk	143
„	XI. Tczew — Malbork — Mątwy	213
„	XII. Peplin	237
„	XIII. Gniew — Kwidzyn . . .	251
„	XIV. Nowe — Grudziądz — Sartawice — Świecie — Chełmno .	284
„	XV. Chełmża — Toruń . . .	301

BIBLIOTEKA UNIWERSYTECKA w TORUNIU

Czcionkami E. Michałowskiego w Pelplinie.

Księgarnia nakładowa

E. Michałowskiego w Pelplinie

poleca następujące dzieła:

X. Fankidejski,

Utracone kościoły i kaplice

w dzisiejszéj dyecezyi chełmińskiéj podług urzędowych akt kościelnych

w 8ce stronic 372. — Cena 7 mrk.

Obrazy cudowne i miejsca

w dyecezyi chełmińskiéj

w 8ce stronic 257. — Cena 5 mrk.

Klasztory żeńskie

w dyecezyi chełmińskiéj

w 8ce stronic 279. — Cena 5 mrk.

X. Kujot,

Opactwo Pelplińskie.

z trzema drzeworytami

w 8ce stronic 512. — Cena 5 mrk.

Głowa św. Barbary

Powieść z przeszłości Pomorza

w 12ce str. 144. — Cena 50 fen.

☛ Dzieła powyższe nabyć można za pośrednictwem każdéj księgarni w kraju i za granicą.

Biblioteka Główna UMK
300040032929

803502

1181/96

450,-

Biblioteka
Główna
UMK Toruń

803502

Biblioteka Główna UMK

300040032929